

*Drew Jennifer*

*Autor pilnie poszukiwany*

*Maggie Saunders, redaktorka znanego wydawnictwa, napisała pod pseudonimem kilka przewodników turystycznych, nie biorąc udziału w żadnej z wypraw. Nowy właściciel firmy chce wysłać autora serii na szereg promocji i spotkań autorskich. Maggie ma więc problem - musi szybko znaleźć mężczyznę, który przekonująco wypadnie w roli autora podróżnika...*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Błagam, wybierz chłopaka ze sztucznym węzem na szyi - zaklinała Rayanne Jordan, spoglądając spod sztucznie zagęszczonych rzęs i wsuwając za ucho kosmyk włosów, które w tym tygodniu były jasne jak len.

- Węże przyprawiają cię o dreszczyk emocji? - droczyła się z nią Maggie Sanders.

Doskonale wiedziała, dlaczego Rayanne wybrałaby szarookiego bruneta o kruczoczarnych kędzierzawych włosach spływających na ramiona. Sama także zwróciła na niego uwagę.

- Co ty! Nienawidzę tych wszystkich pełzaczy! Dobra, przyznaję, że gumowy wąż to kiepski pomysł, ale chłopak pasuje do wizerunku autora przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”.

## 8

- Wygląd to nic wszystko. Idealny kandydat musi przede wszystkim mówić do rzeczy. Na razie przepytaliśmy dwóch. Ilu zostało? Dziewięciu?
  - Raczej około trzydziestki -oznajmiła Rayanne. - Kolejka stoi karnie w holu i w sekretariacie. Tylu ich jest, że szpilki nie wcisniesz. Duzo ogłoszeń powiesiłaś?
  - Dwa, może trzy. Wszystkie w pobliżu szkoły aktorskiej - odparła Maggie, zaskoczona, że tylu jest chętnych.
  - Wzbudziły zainteresowanie.
  - Przyślij mi następnego kandydata. Maggie lubiła Rayanne za poczucie humoru
- i zapął do pracy. Przed sześcioma laty, zaraz po studiach, również zaczynała jako sekretarka u pana Granville'a, cenionego wydawcy z Pittsburgha. Rayanne pracowała u niego od roku. Zaprzyjaźniła się z Maggie. Czasami razem jeździły do domu, bo obie pochodziły z niewielkich miasteczek niedaleko granicy stanu Wirginia Zachodnia. Maggie uwielbiała swoją pracę w małym wydawnictwie, głównie dlatego, że pan Granville był wspaniałym szefem. Przed kilku laty zatrudnił ją tymczasowo jako sekretarkę, od razu obiecując coś lepszego, gdy tylko nadarzy się sposobność. Po kilku miesiącach została redaktorką. Wielka szansa pojawiła się, gdy zlecił jej napisanie pierwszej książki z nowej serii „Wyprawa w nieznane”. Popularność pierwszego tomu przeszła wszelkie oczekiwania, a trzy kolejne sprzedawały się jeszcze lepiej. Maggie pisała je, nie opuszczając domu,

## *Autor pilnie poszukiwany*

### **9**

a potrzebnych informacji szukała w bibliotece oraz w Internecie. Zanim ukazały się przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane”, wydawnictwo pana Granville'a prosperowało całkiem nieźle, publikując książki historyczne, zwykłe przewodniki oraz tomiki poezji. Firma zajmowała dwa górne piętra w starej, wąskiej, dwupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły w centrum Pittsburgha, niedaleko muzeum historii naturalnej. Na drugim piętrze znajdował się obszerny gabinet pana Granville'a oraz magazyny, a na pierwszym gnieździła się reszta pracowników. Niewielki hol z windą okazał się dziś zbyt mały, żeby pomieścić wszystkich czekających na rozmowę z Maggie.

Do jej gabinetu wszedł następny kandydat ubrany w dżinsy i czarny T-shirt. Oryginalny w swej zwyczajności, wyróżniał się na korzyść wśród stłoczonych w holu młodzieńców poprzebieranych za komandosów oraz weteranów safari. Jeden z nich pojawił się w stroju niemal adamowym. Miał tylko przepaskę na biodrach skrojoną ze sztucznego futerka w lamparcie cętki.

Osobliwie przyodziani młodzi aktorzy zaludnili korytarze wydawnictwa, bo pisane przez Maggie przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane” stały się bestsellerami. Zyski Domu Wydawniczego Granville znacznie wzrosły, co sprawiło, że doskonale prosperującą firmą zainteresowali się przedstawiciele koncernu Pierponta, największego potentata finansowego w Pittsburghu.

*Jennifer Drew*

Szef Maggie dobiegał siedemdziesiątki, więc marzyła mu się emerytura. Nie chciał jednak likwidować przedsiębiorstwa, które założył jego dziadek, a nie miał następców. Dlatego zdecydował się je sprzedać Pierpontowi. W umowie przedwstępnej zapisano, że przez rok, w okresie przejściowym, były właściciel będzie pełnić funkcję konsultanta. Pan Granville zataił jednak pewien drobiazg przed nabywcą swojej firmy. Ten ostatni nie miał pojęcia, że M. S. Stevens, rzekomy autor przewodników opisujących ekstremalne wyprawy w nieznaną, jest w rzeczywistości niewysoką kobietką mierzącą niespełna metr sześćdziesiąt i ważącą pięćdziesiąt pięć kilo, która wzdraga się na wspomnienie jedynej w swoim życiu przygody na łonie natury. Był nią tygodniowy pobyt na obozie harcerskim. W tym czasie Maggie zdążyła zabłądzić w lesie, spalić na węgiel gulasz z okrawków mięsa gotowany nad obozowym ogniskiem oraz wpaść w pokrzywy tą częścią ciała, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Niechętnie wspominała zwłaszcza to ostatnie doświadczenie.

Rozejrzała się po niewielkim, starannie urządzonej gabinecie. Ciemnoszare metalowe biurko, komputer, obrotowy fotel... Surowość wystroju wnętrza łagodziły osobiste drobiazgi. Ze zdjęć w staromodnych, bogato rzeźbionych ramkach podarowanych przez babcię ze strony ojca uśmiechali się rodzice oraz siostry. O rok starsza Annie niedawno wyszła za pilota wojskowego i tak samo jak

## *Autor pilnie poszukiwany*

### 11

Maggie była zagorzałą domatorką unikającą mocnych wrażeń. Młodsza o trzy lata Laurie wciąż poszukiwała samej siebie. Na regale stał wciśnięty między książki ogromny bukiet sztucznych kwiatów, ręcznie robionych z jedwabiu przez panią Sanders. Na półkach królowały miniaturowe słonie we wszystkich kolorach tęczy. Maggie kolekcjonowała je od lat.

Wydawnictwo pana Granville'a miało stałą klientelę i nie dążyło do rozszerzenia rynków zbytu. Przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane” mimo braku reklamy sprzedawały się znakomicie. Inne książki również znajdowały nabywców, głównie dzięki sprzedaży wysyłkowej oraz księgarni internetowej. Do tej pory nikt się nie przejmował, że Maggie podróżuje wyłącznie palcem po mapie, a wiadomości potrzebnych do pisania kolejnych tomów szuka w literaturze fachowej oraz w Internecie. Sytuacja skomplikowała się dopiero wtedy, gdy negocjujący kupno wydawnictwa Pierpont wpadł na pomysł, by serię podróżniczych przewodników rozpropagować na cały kraj. Miała temu służyć trasa promocyjna i spotkania autorskie.

Pierpont uznał, że M. S. Sanders musi spotykać się z publicznością. W planach były także wywiady i sesje zdjęciowe dla popularnych czasopism. Nowy właściciel nie miał zielonego pojęcia, że jego nowo pozyskany skarb to uzależniona od komputera dwudziestoosmioletnia kobieta, dla której prawdziwym wyzwaniem jest nawet spacer po parku.

Co

*Jennifer Drew*

gorsza, Maggie panicznie bała się wszelkich wystąpień publicznych, mdlała ze strachu na widok mikrofonu i ulegała panice, ilekroć znalazła się w centrum uwagi. Homer Granville z obawy, że do transakcji nie dojdzie, zataił te szczegóły przed panem Pierpontem i dlatego trasę promocyjną przygotowano z myślą o wyimaginowanym macho, który w przerwach między niebezpiecznymi wyprawami z talentem opisuje swoje przeżycia.

Rozwiązanie problemu wymyślone przez pana Granville'a wydawało się bardzo proste: trzeba zatrudnić błyskotliwego faceta o właściwych warunkach zewnętrznych, który zamiast Maggie będzie się spotykać z publicznością i dziennikarzami. Stąd pomysł, żeby umieścić ogłoszenia koło budynku szkoły aktorskiej, bo dla jej studentów odgrywanie różnych ról to chleb powszedni. Kto by przypuszczał, że w Pittsburgu tyłu jest pozerów chętnych do podszywania się pod sławnego podróżnika barwnie opisującego niebezpieczne wyprawy! Kandydaci wypełnili cały hol. Większość podpierała wykładane korkiem ściany, nieliczni siedzieli na krzesłach z chromowanego metalu i białej skóry. Maggie nie miała pojęcia, jak z tej hałaśliwej zgrai wybrać idealnego kandydata. Gdyby nie wdzięczność i sympatia dla pana Granville'a, rzuciłaby posadę w wydawnictwie. Miała przecież dyplom z dziennikarstwa. Mogłaby wyciągnąć go z szuflady i zatrudnić się w lokalnej gazecie... Teoretycznie. W praktyce mało prawdopodobne, skoro pisanie książek oraz ich redago-

## *Autor pilnie poszukiwany*

### 13

wanie było jej ulubionym zajęciem. W zaciszu swego gabinetu wymyślała niezwykle przygody. Bez obaw przeżywała dreszczyk emocji, podobnie jak czytelnicy, którzy podczas lektury czuli się tak, jakby ryzykowali życie.

W otwartych drzwiach gabinetu stanęła szczupła, wysoka szatynka z włosami splecionymi w warkocz, ubrana w ciuchy koloru khaki. Maggie spojrzała na nią z uznaniem. Można zatrudnić kobietę! W chwilę później kandydatka zamachała jej przed oczyma wściekle żółtym pakietem, wyrwała zawleczkę, a po chwili pół gabinetu wypełniła tratwa ratunkowa.

- Rany boskie! - Zaskoczona Maggie wstrzymała oddech w oczekiwaniu na kolejne efekty specjalne. Co dalej? Stado różowych słoni i hipopotamów przemknie przez jej gabinet? Kandydatka, trzymając na ramionach jadowicie zieloną kobrę, wykona taniec brzucha?

- Moim zdaniem najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Nazywam się Mary Smith. Ale banał, co? Sama rozumiesz, koteńku, że muszę zaistnieć w świadomości innych ludzi.

- Jasne. Zapamiętałam - odparła z przekąsem Maggie, podnosząc przewróconego słonika z porcelany, który stracił pół ucha, gdy uderzony tratwą spadł z biurka.

Pospiesznie zadała kandydatce kilka pytań. W trakcie rozmowy zadzwonił telefon. Odebrała zadowolona, że będzie miała chwilę oddechu. Kandydatka okazała się nadzwyczaj absorbująca.



*Jennifer Drew*

- Maggie Sanders, słuchani.

- Tak, tak, oczywiście.

To był Homer Granville. Maggie z uśmiechem pomyślała o szefie. Nosił spiczastą siwą bródkę i dwuogniskowe okulary w drucianej oprawie.

Ubierał się w ciemne garnitury i śnieżnobiałe koszule. Przypominał wiekowego angielskiego kamerdynera, ale dziś w jego głosie brakowało charakterystycznego tonu protekcyjnalnej wyniosłości. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, co mu się na co dzień nie zdarzało.

- Dzwonię z komórki. Parkuję auto - oznajmił z naciskiem.

Jakie to ciekawe! Przed chwilą Maggie nie wiedziała nawet, że opuścił budynek.

- Jest ze mną pan Pierpont. Chciałby poznać zespół.

- Pan mówi serio?

- Tak - potwierdził szef.

- Proszę go zatrzymać na dole tak długo, jak się da. Robię casting. W holu aż się roi od kandydatów do roli wziętego autora. Lub autorki.

- Stanę na wysokości zadania. Połączenie zostało przerwane.

Maggie zerwała się z fotela, okrążyła biurko i popchnęła Mary Smith oraz jej tratwę ratunkową w stronę drzwi.

- Dzięki! Odezwiemy się do pani - zapewniła kłamliwie, nie dopuszczając kandydatki do głosu. - Rayanne! - zawołała, wzywając sekretarkę do swego gabinetu.

Przyciszonym głosem przekazała nowinę. Ra-

*Autor pilnie poszukiwany*

15

yanne natychmiast zaczęła działać. Wyszła do kandydatów i oznajmiła głośno:

- Bardzo, ale to bardzo serdecznie wszystkim państwa przepraszam. Mamy w wydawnictwie małe zamieszanie i musimy zmienić plany. Wszyscy państwo złożyli formularze zgłoszeniowe z adresami i numerami telefonów. Obiecuję, że przed końcem tygodnia na pewno się odezwiemy.

- Dziś jest czwartek, więc zostaje tylko piątek, czyli jutro - wtrącił mężczyzna oparty o burko Rayanne.

- Wielkie dzięki, że pan mi to uświadomił - odparła podejrzanie słodko. Po usłyszeniu złej nowiny tłum zebrany w holu trochę szemrał, ale zaczął się z wolna rozchodzić. Maggie miała wyrzuty sumienia, że wysługuje się Rayanne, ale wobec takich sytuacji zawsze chowała głowę w piasek. Bała się sporów, kłótni, awantur. Mimo poczucia winy nie zamierzała się kajać. Rayanne była twarda i w trudnych przypadkach znakomicie dawała sobie radę. Wkrótce kandydaci opuścili hol. Dopiero wtedy Maggie odważyła się wyjść ze swego gabinetu.

- Skąd się tu wzięła tratwa ratunkowa? - zapytała Rayanne. Maggie odwróciła się do niej, żeby odpowiedzieć... i zobaczyła marudera.

- Dziękujemy. Na dziś koniec. Zawiadomimy pana o terminie rozmowy - powiedziała do wysokiego mężczyzny opalonego na ciemny brąz. Stał przed tablicą informacyjną, zasłonięty dorodnym fikusem beniaminem.

*Jennifer Drew*

- Szukam Maggie Sanders - odparł niskim, dźwięcznym głosem.  
- Rozumiem, ale to nie jest odpowiednia chwila. Odezwiemy się do pana.  
Wszystkie dane są w formularzu.

Ten mężczyzna był starszy od studentów ubiegających się o angaż. Na oko trzydziestolatek. Blondyn z jaśniejszymi kosmykami, jakby sporo czasu spędzał na słońcu. Maggie od razu zwróciła uwagę na intensywnie niebieskie oczy. Ledwie widoczne kurze łapki świadczyły o tym, że często je mrużył lub dużo się uśmiechał. Nos zapewne był kiedyś złamany, ale leciutkie skrzywienie dodawało twarzy wyrazistości. Mimo drobnego defektu rysy sprawiały wrażenie bardzo regularnych. Ubrany był w spodnie koloru khaki i letnią koszulę z tej samej tkaniny. Kilka guzików od góry było rozpiętych, a spod tkaniny wysuwały się jasne włosy porastające tors. Dostał u Maggie najwyższą notę za wygląd, ale z pewnością brakowało mu talentu do kompromisu, bo ani myślał ruszyć się z miejsca. Popatrzył na nią spode łba.

- Nie wiem, co się tutaj dzieje, i nie mam z tym nic wspólnego - powiedział takim głosem, że ciarki jej przeszły po plecach. - Chcę tylko zobaczyć się z Maggie Sanders. Obiecałem to naszej wspólnej znajomej. Sytuacja się skomplikowała. Rayanne siedziała przy swoim biurku. Udawała zapracowaną, lecz pilnie nadstawiała uszu, słuchając osobliwej rozmowy.

## *Autor pilnie poszukiwany*

17

- To mnie pan szuka - powiedziała Maggie - ale teraz nie możemy rozmawiać. Zapraszam w innym terminie.

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Ann Cartwright prosiła, żebym to pani oddał. - Wyciągnął rękę, w której trzymał brązową kopertę.

- Kim pan jest? - Pan Granville i Peter Pierpont weszli już pewnie do budynku, może nawet jechali windą, lecz mimo to zaciekawiona Maggie zaczęła rozmawiać z nieznanym.

- Nazywam się Mark Sully. Ann uczestniczyła w górskim spływie kajakowym, który prowadziłem. Przyjechałem tu na jej prośbę, żeby oddać to pani do rąk własnych.

- Ann jest przyjaciółką mojej mamy - powiedziała na wypadek, gdyby o tym nie wiedział. Raczej mało prawdopodobne.

Ann Cartwright była samozwańczą konsultantką i oddaną fanką przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”. Od dzieciństwa przyjaźniła się z matką Maggie i jako zapalona turystka prowadziła życie pełne mocnych wrażeń, które młoda pisarka знаła tylko z książek oraz internetowych stron WWW. Ann uważnie czytała książki napisane przez Maggie, chwalać pewne fragmenty albo wskazując niedociągnięcia. Była przekonana, że jej subiektywne opinie natychmiast zostaną wzięte pod uwagę. Maggie lubiła ją i była wdzięczna za szczere zainteresowanie. Podejrzewała, że w grubej kopercie znajdzie krytyczną recenzję ostatniego przewodnika.

*Jennifer Drew*

Mark Sully wcisnął jej przesyłkę do rąk i powiedział tonem świadczącym o zadowoleniu z siebie i poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

- Załatwione. Miło było panią poznać, Maggie. Ann wynosiła pod niebiosą pani przewodniki.

- Pan ich nie czytał? - Głupie pytanie! Powinna ugryźć się w język.

- Jeden przeglądałem - odparł z kamienną twarzą. Żadnej wskazówki, czy według niego książka może się przydać doświadczonemu poszukiwaczowi przygód.

- Nie zamierzałam...

W tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do korytarza. Maggie przyjęła to spokojnie. W samą porę pozbyła się gromady kandydatów, a ten... Jak mu tam? Aha... Mark Sully, to znajomy znajomych. Właśnie wychodzi.

- Peter, chciałbym ci przedstawić dwie osoby, bez których moje wydawnictwo nie byłoby tym, czym jest. Obie panie są niezastąpione. To Rayanne Jordan, nasza sekretarka. Pracuje tutaj od roku i jest prawdziwą profesjonalistką.

Rayanne wstała, żeby przyszyły właściciel firmy mógł ją sobie obejrzeć, i z należnym szacunkiem uścisnęła podaną dłoń. Maggie przyznała panu Granville'owi dodatkowe punkty za próbę uzyskania dla pracowników gwarancji zatrudnienia.

- A to moja prawa ręka i znakomita redaktorka, której zawdzięczamy wydanie wielu naszych najlepszych książek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Maggie.

*Autor pilnie poszukiwany*

19

- Peter Pierpont mocno ścisnął jej dłoń, przytrzymał trochę dłużej, niż wypadało, i uśmiechnął się szeroko.

Był wysoki i chudy jak tyczka, ubrany w pogniecioną marynarkę z żółtego lnu, biały T-shirt i białe spodnie. Nosił mokasyny, ale nie miał skarpetek. Nie wyglądał na statecznego prezesa w mocno średnim wieku. Bure oczy patrzyły bystro, twarz była pociągła, wąskie usta rozciągały się w niezbyt przyjemnym uśmiechu. Siwe, ciemnoszare włosy strzygł na jeża. Maggie całkiem inaczej wyobrażała sobie groźnego rekina finansjery.

Mark nie miał zamiaru wyjść. Stał obok niej, wyraźnie zainteresowany. Chyba czekał, żeby go przedstawiła.

- To jest Mark Sully... - zaczęła.

- Witaj, M. S. - przerwał pan Granville z porozumiewawczym uśmiechem. - Miło, że wpadłeś. Chciałbym, żebyś poznał przyszłego właściciela mego wydawnictwa. To jest pan Peter Pierpont.

- Ale to nie jest... - próbowała tłumaczyć Maggie, lecz znów jej przerwano.

- Stoi przede mną tajemniczy M. S. Stevens, prawda? - mruknął znacząco Pierpont i zmiążdżył dłoń Marka w uścisku znamionującym siłę niekwestionowanego samca alfa.

Mark Sully zmarszczył brwi i rzucił Maggie pytające spojrzenie.

- Nie rozumiem... - odparł. - Wpadłem tylko oddać Maggie list od znajomej.

Westchnęła ponuro. Granville najwyraźniej uznał

*Jennifer Drew*

Sully'ego za aktora wynajętego do odbycia trasy promocyjnej. Nic dziwnego. Wystarczy rzut oka na Marka i od razu widać, że ma się do czynienia z poszukiwaczem przygód. Z kolei dla Pierponta tajemniczy M. S. był autorem przewodników. Maggie nie miała pojęcia, jak obu panów wyprowadzić z błędu, nie ryzykując, że korzystna transakcja nie dojdzie do skutku i szef będzie musiał znów odłożyć przejście na emeryturę.

Pierpont z pewnością należał do ludzi, którzy wiedzą lepiej i słyszą jedynie to, co chcą usłyszeć, więc puścił słowa Marka mimo uszu.

- Moi ludzie przygotowują już trasę promocyjną - oznajmił. - Spece od marketingu zgodnie twierdzą, że pańskie książki trafiają w czytelnicze zapotrzebowanie i mogą się sprzedawać o niebo lepiej. Trzeba je tylko odpowiednio zareklamować.

- Jestem z innej, choć pokrewnej branży - bronił się Mark Sully. - Jeżdżę z turystami na niebezpieczne wyprawy w nieznane.

- I dlatego tak profesjonalnie potrafi je pan opisać - wpadł mu w słowo Granville. - Drogą M. S., przed nami nie trzeba udawać. To chwalebne, że nie szuka pan taniej popularności, zachowując incognito, ale my wszyscy znamy pańską tajemnicę.

Pierpont ostentacyjnie popatrzył na markowy zegarek wart tyle co niezły samochód.

- W każdym razie przede mną nie musi pan udawać przeciętniaka. Faceta z talentem rozpoznam na kilometr. Granville wszystko panu wyjaś-

## *Autor pilnie poszukiwany*

21

ni. Ja uciekam. Muszę zdążyć na samolot. Moi ludzie skontaktują się z panem, gdy prawnicy dopracują kontrakt. Cieszę się, że będzie pan dla mnie pracował.

Mark popatrzył na Maggie tak, jakby chciał zapytać, czy trafił do wydawnictwa, czy do domu wariatów. Nim zareagowała, bez słowa ruszył ku drzwiom.

Pierpont spochmurniał. Jako właściciel potężnego koncernu oczekiwał od autora większej czołobitności, skoro miał środki, żeby go wydawać i lansować. Pisarze powinni zabiegać o jego względy. M. S. Stevenson za dużo sobie pozwalał.

Pan Granville przypomniał dyskretnie przyszłemu wspólnikowi o planowanym locie, a ten spojrział znowu na kosztowny zegarek, rozchmurzył się i zapomniał natychmiast o krnąbrnym autorze.

Maggie aż nazbyt wyraźnie uświadamiała sobie, w jaki sposób doszło do tego, że prosty pomysł, by na czas trasy promocyjnej wynająć aktora do roli wziętego pisarza, zmienił się nagle w prawdziwy koszmar. Gdy tylko obaj szefowie, obecny i przyszły, zniknęli z pola widzenia, wybiegła z biura i popędziła korytarzem. Musiała znaleźć takie wyjście z sytuacji, dzięki któremu pan Granville uniknie strat, a ona sama nie zostanie bez pracy.

Mark nacisnął guzik windy, a gdy nie zjawiała się natychmiast, co zresztą było do przewidzenia, ruszył w stronę klatki schodowej. Obojętnym spojrzeniem przebiegł po eleganckich detalach



*Jennifer Drew*

modnego wystroju wnętrza. Powinien domyślić się, że drobna przysługa oddana Ann Cartwright przysporzy mu kłopotów. Nie miał nic przeciwko tej podstarzałej, mocno postrzelonej kobiecie, ale już wówczas, gdy zapisywała się na wyprawę po Kolumbii Brytyjskiej, zwróciła jego uwagę, bo w przeciwieństwie do nadzianych burzujów nie twierdziła, że w leśnej głuszy najważniejszy jest renomowany sprzęt. W przeciwieństwie do reszty klientów Marka nie marudziła, że w kawie są patyki, a do butów sypie się piasek. Inni ciągle mieli jakieś powody do narzekań.

Mark skrzywił się wymownie. Nie tęsknił za turystami-neofitami, którzy nie odróżniali kanionu od pastwiska, ale z różnych względów nie mógł sobie pozwolić, żeby jako trzydziestolatek przejść na emeryturę. Musiał też myśleć o ukochanej babci, która nie miała ochoty sprzedać domu w górzystych okolicach Pensylwanii i zamieszkać na Florydzie z jego rodzicami. Tamci dwoje wkrótce zagłaskaliby ją na śmierć.

Cora Sully przed laty wytrwale pomagała mężowi budować rodzinny dom. Własnymi rękami wznosili go deska po desce. Córce stuknęła osiemdziesiątka i ta ważna rocznica utwierdziła tylko starszą panią w przekonaniu, że nie przesadza się starych drzew. Mark jako jedyny w rodzinie podzielał jej zdanie i zawsze był gotów do pomocy. Jego rodzice i starszy brat Todd rozpoczęli zmasowane natarcie, gdy Cora spadła z dachu i złamała rękę w nadgarstku. Oczywiście nie powinna sama

### ***Autor pilnie poszukiwany 23***

wymieniać obluzowanej dachówki nad gankiem, ale nie sprawdziły się również ponure przepowiednie najbliższych, którzy twierdzili, że jeśli nadal będzie mieszkać na odludziu, niewątpliwie skręci sobie kark. Mark miał wrażenie, że znalazł się na zakręcie. Dokonywał teraz ważnych życiowych wyborów. Chciał i musiał zająć się babcią, ale mieszkanie pod jednym dachem nie wchodziło w grę, ponieważ oboje byli zbyt niezależni. Postanowił zbudować własny dom na leśnej działce, którą zostawił mu dziadek. Wyliczył, że budowa pochłonie wszystkie jego oszczędności. Skoro miał dyskretnie opiekować się babcią, na pewien czas powinien zrezygnować z dalekich i niebezpiecznych wypraw. Problem w tym, z czego się utrzymać. Potrafił żyć oszczędnie, ale zamierzał nadal jeździć bezpiecznym autem z napędem na cztery koła. Nie mógł także odzwyczaić się od jedzenia. Zwykła posada nie wchodziła w grę. Miał już takie doświadczenie i widział, że to nie jest zajęcie dla niego. Po paru latach zwiął z uczelni, choć bardzo dobrze się zapowiadał. Gdy po dudniących metalowych schodach zszedł do holu, drzwi windy otworzyły się nagle i ktoś zawołał na cały głos:

- Panie Sully! Proszę zaczekać chwilę. Muszę z panem porozmawiać.

Wołanie rozległo się echem w obszernym wysokim holu.

O rany, Maggie Sanders deptała mu po piętach.

*Jennifer Drew*

Kiedy odwiedził ją w wydawnictwie, coś knuła i najwyraźniej mocno kombinowała, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Mniejsza z tym. Nie zamierzał się interesować jej problemami. Dlaczego małe, śliczne kobietki zawsze uważają, że musi ratować je z opresji? Powinny same sobie radzić. Dawno temu postanowił, że jego kobieta będzie twarda, samodzielna i niezależna jak babcia Córa.

Nie chciał wyjść na zupełnego gbura, więc odwrócił się i powiedział chłodno:

- Przepraszam, ale bardzo się spieszę. Mam umówione spotkanie.

Nie kłamał. Czekala na niego babcia, a cierpliwość nie była jej główną zaletą.

- Zajmę tylko minutkę. Odprowadzę pana do samochodu.

Już miał rzucić kolejną wymówkę, ale popełnił błąd i popatrzył Maggie prosto w oczy... cudowne, piwne, niemal czarne... zasnute łzami. Miał nadzieję, że nie jest płaksą. Nie znosił płaczących bab, a często miał z nimi do czynienia, bo zadufane w sobie początkujące turystki bały się własnego cienia. To był jeden z minusów zawodu przewodnika.

- Proszę bardzo, o ile zdoła pani dotrzymać mi kroku - mruknął w nadziei, że ją zniechęci.

- Na pewno - odparła zdyszana. - Pewnie zastanawia się pan, co się u nas dzieje.

- To nie moja sprawa.

Marzył tylko o tym, żeby się od niej uwolnić zamiast słuchać wyjaśnień, lecz machinalnie ot-

## *Autor pilnie poszukiwany*

25

worzył przed nią drzwi. Dostał punkt za dobre wychowanie.

Zaparkował cztery przecznice dalej, więc miał do przejścia spory kawałek. Maszerował dość szybko, starając się nie patrzeć na urodziwą panią redaktor. I co z tego? Wcześniej dobrze się jej przyjrzał i sporo zapamiętał. Miała jasną cerę typową dla osób rzadko przebywających na świeżym powietrzu, co w jego przypadku oznaczało punkty karne. Tym razem był łagodniejszy w sądach, bo Maggie nie przesadzała z makijażem, a rumieńce na policzkach sprawiały wrażenie naturalnych. Gęste, ciemnobrązowe włosy sięgały ramion. Nosiła je wsunięte za uszy, ale nie miała zwyczaju poprawiać raz po raz, żeby ani jeden kosmyk nie wymknął się stamtąd.

Nadażała za nim, ale dyszała ciężko i z trudem prowadziła rozmowę.

Mimo to był pod wrażeniem, ponieważ utrzymywała tempo, choć była od niego ponad trzydzieści centymetrów niższa. Śmiało podjęła wyzwanie, ale musiała biec, żeby za nim nadażyć.

Podobał mu się jej strój: żółta koszulka polo dyskretnie podkreślająca ładny biust i ciemnozielona spódniczka do kolan. Maggie wyglądała efektownie, lecz nie wyzywająco. Dziewczyna z klasą. Przeczucie podpowiadało mu, że będą z nią kłopoty.

- Chodzi o to, że jestem autorką przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”.

- Wiem. Ann wspomniała mi o tym.

*Jennifer Drew*

- Jest najlepszą przyjaciółką mojej mamy. Starsza siostra nosi jej imię... ale to dla nas mało ważne. Widzi pan, mój szef sprzedaje firmę Pierpontowi, który jest właścicielem wielkiego koncernu wydawniczego.
- Pierpont to ten głupek z modnym zegarkiem?
- Aha. Nowy właściciel chce zwiększyć sprzedaż moich przewodników, więc zaplanował trasę promocyjną.
- Tak się teraz robi - odparł Mark, przechodząc na drugą stronę ulicy.
- Mógłby pan trochę zwolnić? - spytała zgryźliwie.
- Tutaj? - odciął się, szerokim gestem wskazując samochody nadjeżdżające z obu stron.
- Tam. - Ruchem głowy pokazała chodnik. - Sam pan rozumie, że nie mogę jechać w trasę i promować książki - oznajmiła, przekrzykując warkot silnika skracającej ciężarówce, gdy dotarli na drugą stronę ulicy.
- Dlaczego? - spytał z zaciekawionym. Maggie dopięła swego!
- Proszę na mnie popatrzeć! - jęknęła rozpaczliwie. Usłyszał z przyjemnością.

Bardzo przyjemny widok. Naturalne brwi, spiczasty podbródek, twarz w kształcie serca, śliczna cera. Maggie Sanders nie była klasyczną pięknoscia, ale miała w sobie to coś. Mark zawsze lubił filigranowe panny o ładnych buziach, ale tym razem postanowił zachować dystans, bo przeczuwał, że wpakuje się w kłopoty.

### ***Autor pilnie poszukiwany 27***

- Czy ja wyglądam na przewodniczkę, która jest za pan brat z dziką przyrodą?

Mark bez słowa wzruszył ramionami. Gdyby chciała uczestniczyć w trudniejszych jego wyprawach, pewnie by odmówił.

- Czy uwierzyłby pan, że te ręce trzymały maczetę podczas marszu przez dżunglę albo obdzierały ze skóry upolowaną wiewiórkę, żeby ugotować z niej gulasz? - Skrzywiła się i wyciągnęła przed siebie wypielegnowane łapki. - Czy brzmi to prawdopodobnie, gdy mówię, że stoi przed panem M. S. Stevens we własnej osobie?

- Napisała pani te książki, prawda? Zbiła go z tropu, więc się zirytował.

- Tak. Przeprowadziłam kwerendę w bibliotekach i w Internecie, a potem sprawdziłam wszystko, rozmawiając z ekspertami. Teoria to moja specjalność.

- Aha.

- Niech się pan tak nie mądrzy. Jestem dobrą pisarką i nie wciskam kitu. Wszystkie szczegóły omówiłam ze specjalistami.

Ruszył do samochodu, ale chwyciła go za ramię. Musiał zatrzymać się albo brutalnie wyrwać je z uścisku. Zarumieniła się, gdy spojrzał wymownie na jej zaciśniętą dłoń.

- Do czego pani zmierza? Naprawdę muszę już jechać.

- Ci ludzie czekający w holu to w większości studenci szkoły aktorskiej. Pan Granville życzy sobie, żebym wynajęła kogoś do roli autora. Ta

*Jennifer Drew*

osoba będzie zamiast mnie uczestniczyć w trasie promocyjnej organizowanej przez nowego właściciela.

- Aha.

- Pan znowu to samo! Mój szef wbił sobie do głowy, że pana wynajęłam. Co gorsza, Peter Pierpont uważa, że pan to M. S. Stevens, chociaż ja napisałam przewodniki.

- Niech pani odkręci wszystko i sama jedzie w trasę. Pani nowy szef będzie podpisywał listę płac. Wkrótce odkryje, kto ukrył się pod wiadomym pseudonimem.

- Nie mogę jechać - odparła, spuszczać oczy.

- Dlaczego?

- Nie chcę! Przerażają mnie publiczne wystąpienia. Boję się mikrofonu. Podpisując książki, czułabym się jak idiotka. To nie dla mnie. Chciałabym zatrudnić pana jako swego zastępcę.

Wybuchnął śmiechem i natychmiast tego pożałował. Mówiła serio, więc powinien z należytą powagą traktować jej ofertę, bo inaczej zacznie ronić łzy.

- Pan idealnie pasuje do tej roli - przekonywała. - Jakie są pańskie plany na lato? Szykują się jakieś wyprawy w dzikie ostępy?

- Nie. Chwilowo wychodzę z branży. Sprawy rodzinne.

- O, pan jest żonaty? - spytała.

- Nic z tych rzeczy. A pani ma męża? - Nie wiedzieć czemu bardzo go to interesowało.

- Nie, ale...

### ***Autor pilnie poszukiwany 29***

- W takim razie jako kobieta bez zobowiązań sama może pani jechać w trasę. Wcale nie jestem pani potrzebny.

- Moje książki przynoszą wydawnictwu spory dochód. Honorarium byłoby wysokie.

- A konkretnie? - zapytał odruchowo. Pieniądze nie były dla niego najważniejsze, ale

w tym wypadku... Ewentualnie mógłby się nad tym zastanowić.

Chwileczkę, co mu chodzi po głowie?

- Nie! - powiedział bardziej do siebie niż do niej. Jak mógłby włóczyć się po kraju, udając autora cudzej książki? Sam pomysł był idiotyczny.

- Jeśli pan się nie zgodzi, Pierpont zapewne nie sfinalizuje transakcji, a wtedy zmarnowana zostanie jedyna szansa, żeby firma przetrwała, gdy pan Granville przejdzie na emeryturę. Mój szef ma już swoje lata.

Wydawnictwo to jego dzieło życia i największy sukces. Nie może zniknąć z rynku!

Westchnął głęboko i zajrzał jej w oczy. Żadnych łez. Punkt dla niej.

Maggie w końcu wymieniła kwotę, a Mark osłupiał.

- Poważnie? Czego pani żąda za tę sumę? Duszy, ciała, siedmiu lat całkowitego posłuszeństwa?

- Ależ skąd! - zachichotała. Pewnie jej ulżyło, bo zmiękł.

- Przemyślę pani ofertę - mruknął niechętnie i poszedł dalej.

- Ile czasu to panu zajmie? - zapytała, nie dając za wygraną.

- Proszę czekać, aż podejmę decyzję.



**30**

***Jennifer Drew***

- Zdaży pan do jutra?

Trudna przeciwniczka. Tego się nie spodziewał.

- Proszę nie naciskać - rzucił ostrzegawczym tonem.

- Mogłabym jutro do pana zadzwonić?

- Mój numer: 555-2626

- Nie zapomnę - obiecała z uśmiechem, wręczając mu swoją wizytówkę.

- Nie ma pani innego wyjścia.

Odszedł, nie oglądając się, chociaż czuł na sobie jej wzrok.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Babciu, już jestem! - zawołał Mark, wchodząc do domu Cory Sully, stojącego samotnie w środku lasu.

Starsza pani najczęściej zostawiała drzwi otwarte, ale miała Sabę, podstarzałą suczkę collie, która przenikliwym szczekaniem sygnalizowała każdą wizytę, doskonale zastępując dzwonek.

- Hej, pamiętasz mnie, Saba?! - zawołał, podsuwając jej rękę pod nos. Suczka obwąchała mu palce, a następnie polizała je.

Pogłaskał wąski łebek. Saba przez cały dzień biegała po lesie, lecz myła się starannie niczym kot, więc gęsta sierść była idealnie czysta.

- Pamięta cię. Jakżeby mogła zapomnieć? - powiedziała gderliwym tonem Gora, wchodząc do sie-

*Jennifer Drew*

ni przecinającej dom. - Jak na psa, jest starsza ode mnie, lecz nadal bystra. Ja też nie narzekam. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

Babcia nigdy nie lubiła uścisków i całusów, ale Mark podszedł bliżej i cmoknął ją w pomarszczony, ogorzały policzek.

- Jak twój nadgarstek? - zapytał, choć był świadomy, że nie będzie z tego zadowolona. Chciał to mieć za sobą.

- Nic takiego. Doktor Ross założył gips. Nie uwierzył, że będę przez trzy tygodnie nosiła tę jego szynę. Można ją w każdej chwili zdjąć. Nie ufa mi, stary drań. Ciekawe, czemu jego ojciec musiał przejść na emeryturę, chociaż miał zaledwie siedemdziesiąt jeden lat. Mniejsza z tym. Jesteś głodny? - zapytała. - Zaraz będzie obiad. Upiekłam babkę ziemniaczaną. Dlatego w całym domu tak pachnie przyprawami! Wypieki Cory Sully miały wyjątkowy posmak, bo używała pieca opalanego drewnem.

- Umieram z głodu. Jak zrobiłaś ciasto jedną ręką?

- Złamałam tylko nadgarstek. Nie rób ze mnie inwalidki! - odburknęła. Mark chciał nakryć do stołu, ale przegoniła go z kuchni, wymachując drewnianą łyżką. Gdy jako mały chłopiec spędzał u niej wakacje, w podobnych sytuacjach obawiał się, że naprawdę oberwie.

Wyszedł na werandę i usiadł na krześle z litego drewna, nadzwyczaj wygodnym jak wszystkie sprzęty zrobione przez jego dziadka. Pan Sully robił

## *Autor pilnie poszukiwany*

33

meble nie tylko do domu, lecz także na zamówienie. Chętnie brał je w komis pewien kupiec z Pitts-burgha. Problem w tym, że dziadek Marka zbyt długo cyzelował swoje meble, więc mimo wysokich cen i sporego popytu nigdy się na nich nie dorobił.

Cora Sully postawiła na stole tacę z domowym chlebem, miseczkę konfitur z czerwonej borówki, wazę pachnącego rosołu i babkę ziemniaczaną. Wyglądała jak leśny elf ubrany w spłowiałe dżinsy i bordowy sweter. Pokroiła chleb, przytrzymując bochenek łokciem. Siwe włosy miała zaplecione w długi warkocz. Na trójkątnej, drobnej twarzy dominował wielki nos, a odstające uszy przywodziły na myśl ciekawskiego nietoperza o spiczastej mordce. Cora nie była urodziwa, ale Markowi zawsze wydawała się najpiękniejsza na świecie.

- Ten skunks Oliver Bronson znowu mnie nachodzi - powiedziała, stawiając przed Markiem talerz rosołu. - Chce zagarnąć moją ziemię i zbudować tu luksusowe domiska dla mieszczuchów. Nazywa ich miłośnikami natury - dodała z pogardą. - Po moim trupie! Wyczyszczę dziadkową strzelbę i tak go postraszę, że narobi w gacie.

- Pogadam z nim - obiecał Mark, odgryzając kęs wyjątkowo smacznego razowca. - Babuniu, uwielbiam twój chleb - jęknął z zachwytem.

- Upiekłam ci kilka bochenków. Zabierzesz je, gdy będziesz wyjeżdżał. Babcia nie była głupia i słusznie podejrzewała, że przyjechał, aby się nią opiekować.

- Chyba zostanę na dłużej.

*Jennifer Drew*

- Co z twoją pracą? - spytała podejrzliwie.

- Firma padła.

Zwinęli się i ślad po nich zaginął, nim zapłacili mu za ostatni spływ rzeką Kolorado, ale nie zamierzał informować o tym babci. Gdyby zdecydował się na budowę przyzwoitego domu, byłby spłukany. Mimo woli pomyślał o ofercie Maggie. Do diabła, nie mógł przecież dla forsy udawać autora poczytnych książek! Mniejsza o wysokość honorarium.

- Zastanawiam się, czy nie zbudować domu na działce, którą zostawił mi dziadek - powiedział, zanurzając łyżkę w rosole, który na całym świecie nie miał sobie równych.

- Po co?

- Babciu, stuknęła mi trzydziestka. Najwyższy czas mieć własny kąt i mieszkać jak człowiek między wyprawami.

Usiadła po drugiej stronie stołu i wydeła usta, zastanawiając się nad jego słowami.

- To brzmi sensownie.

- Pojadę do miasta i zapytam w składzie materiałów budowlanych, ile by kosztowało drewno. Wybierzesz się ze mną?

Doskonale wiedział, że taka przejażdżka nie jest dla jego babci żadną atrakcją, ale chciał jej dać do zrozumienia, że całkiem poważnie myśli o budowie domu.

- Nie zamierzam się stąd ruszać. Za stara jestem na jeżdżenie do miasta.

- Jak się sprawuje telefon komórkowy?

## *Autor pilnie poszukiwany*

35

Ojciec Marka zmusił matkę do przyjęcia tego prezentu, gdy skończyła siedemdziesiąt pięć lat. Telefon był wprawdzie powodem ciągłych sprzeczek, ale gdy Cora spadła z dachu, umożliwił jej natychmiastowe wezwanie pomocy.

- Cholerny wynalazek. Ten skunks Bronson wydzwaniania do mnie co miesiąc.

- Pogadam z nim - zapewnił powtórnie Mark, choć zdawał sobie sprawę, że największym zagrożeniem dla jej niezależności jest przesadna troskliwość najbliższej rodziny.

Ojciec Marka, który po przejściu na emeryturę łączył hobby z zarobkowaniem, sprzedając jachty, namawiał matkę, żeby przeniosła się do niego na Florydę. Todd, brat Marka i wzięty prawnik, także zachęcał babcię do przeprowadzki, głównie dlatego, że koło łowieckie, do którego należał, chciało kupić jej ziemię i urządzać tam ekskluzywne polowania. Szwagierka Cory, która nie rozumiała, jak Charles, jej brat, mógł przez tyle lat tkwić w leśnej głuszy, sugerowała, żeby na stare lata zamieszkały razem w mieście. Tylko Mark rozumiał, dlaczego babcia nie chce opuścić domu, który budowała z mężem własnymi rękami.

- Gdybyś nie miała komórki, jak byś do mnie dzwoniła? - przekonywał babcię do zdobyczy techniki.

Starsza pani odczuwała taką potrzebę średnio raz na rok.

- Byłam zdumiona, że nie włączysz się akurat po Nowej Zelandii albo innych zakazanych

*Jennifer Drew*

miejscach - odparła pochylona nad talerzem z niewielką ilością rosołu. Cała rodzina powtarzała zgodnie, że za mało je i owo twierdzenie nie było bezpodstawne.

- W tym roku nie mam w planie zagranicznych wypraw. Pamiętasz? Zawsze lubiłem tu przyjeżdżać. Nikt inny poza wami nie pozwoliłby mi zjechać na rowerze z wysokiej góry.

- Straszny był z ciebie rozrabiaka - narzekała babcia, ale uśmiech dowodził, że uwielbia wnuka nawet za młodzieńcze wybryki.

- Gdyby nie ty i dziadek, wyrósłbym na mięczaka.

- Ależ skąd! Zawsze lubiłeś wyzwania i chętnie przebywałeś na świeżym powietrzu. Masz to w genach, choć twój tata wdał się chyba w Billa, mojego stryjecznego dziadka, który mieszkał nad swoim sklepem, więc zdarzało mu się przez cały rok nie opuścić budynku.

- Babciu, nie gniewaj się, że pytam - zaczął ostrożnie Mark. - Starczyło ci forsy na leczenie? Zapłaciłaś wszystkie rachunki?

- Mam przecież ubezpieczenie.

- Pokryło wszystkie wydatki?

- Prawie. - Cora wstała i głośno odstawiła talerz, choć prawie nie tknęła rosołu.

- Tata kupi ci dodatkowe ubezpieczenie, jeśli mu na to pozwolisz.

- Nie ma sensu wyrzucać pieniędzy w błoto. W ubiegłym miesiącu sprzedałam dywanik za siedemdziesiąt pięć dolarów. Ludzie jak głupi płacą

*Autor pilnie poszukiwany*

37

teraz krocie za rzeczy, które mogliby zrobić sami, gdyby nie byli tacy leniwi. No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki nim sama płacę swoje rachunki.

Mark postanowił skontaktować się z doktorem Rossem i bez porozumienia z ojcem uregulować wszystkie należności. Lepiej trzymać język za zębami, bo inaczej babcia będzie zmuszona wysłuchać kolejnej tyrady wszechwiedzącego syna. Liczył się z tym, że zostanie wytargany za uszy, jeśli babcia odkryje, że wtrącił się w jej sprawy. Trudno jest pomagać osobie, która chce być samodzielna i samowystarczalna.

Uwielbiał swój żywot koczownika żyjącego z niebezpiecznych wypraw, ale babcia nie mogła mieszkać tu nadal całkiem sama, więc musiał się do niej dostosować. Pora stawić czoło kolejnemu wyzwaniu.

Sięgnął do kieszeni po wizytówkę Maggie Sanders i wystukał numer Domu Wydawniczego Granville.

Magie poprawiła włosy, nerwowo podciągnęła obcisłe spodnie w kolorze limonki i wygładziła sweterek tej samej barwy. Rayanne twierdziła, że w tym stroju niezła z niej laska, ale Maggie żałowała teraz, że nie ma na sobie klasycznego garnituru, a na głowie siwej peruki. Przez te wątpliwości dotyczące stroju czuła się wyciśnięta jak cytryna... a raczej jak limonka. Co jej strzeliło do głowy, żeby na ważne spotkanie ubrać się na zielono? Może



*Jennifer Drew*

dlatego, że to kolor nadziei? Pewnie łudziła się, że olśniony neonową zielenią Mark Sully da się namówić i od razu podpisze umowę.

Umówiła się z nim na obiad w ulubionej kafeterii. Czas mijał, a jego nie było. Spóźniał się. Stali klienci sympatycznej właścicielki kończyli posiłek i wychodzili. I dobrze, bo jeśli oporny kontrahent raczy się wreszcie zjawić, nie będzie problemu ze znalezieniem wolnego stolika.

- Kochanie, zarezerwowałam dla pani stolik w rogu sali - zagadnęła właścicielka imieniem Deanna. - Chce pani tam usiąść?

- Dzięki. Czekam na... - Omal nie powiedziała, że wypatruje znajomego. - Na kontrahenta. Mamy negocjować warunki umowy - dodała pośpiesznie.

- Trzymam dla pani ten stolik - zapewniła Deanna. W jej lokalu stali klienci mieli rozmaite przywileje, a Maggie należała do ich grona.

Umierała z głodu. Rano była tak zdenerwowana dzisiejszym spotkaniem, że nie zdołała nic przełknąć. Łakomie spoglądała na stojący w szklanej gablocie kawałek ciasta cytrynowego z kremem i owocami. Ślinka ciekła jej do ust na samą myśl o pysznościach serwowanych przez Deannę.

To jej dało do myślenia. Przez żołądek... do rozumu. Mark Sully będzie jej gościem. Trzeba tak długo karmić go miejscowymi specjałami, aż spuści z tonu i przyjmie jej propozycję. Musiała skorumpować faceta. Na szczęście pan Granville dał jej do dyspozycji spore fundusze, więc idealny kandydat do roli wziętego pisarza mógł się obżerać do woli.

### ***Autor pilnie poszukiwany 39***

Byle tylko przyszedł! Ledwie o tym pomyślała, stanął w drzwiach, a jej serce zaczęło nagle kołatać w sposób wielce podejrzany.

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwił się. - Utknąłem w korku.

Nie sądziłem, że wczesnym popołudniem jest taki ruch.

Podeszli do stolika. Mark odczekał, aż Maggie usiądzie, a potem zajął miejsce w wyściełanym narożniku. Deanna natychmiast wręczyła im menu i oznajmiła, że zostaną obsłużeni w pierwszej kolejności.

- Proszę zamawiać wszystko, na co ma pan ochotę - powiedziała Maggie.

- Jesteśmy tutaj na koszt pana Granville'a.

Ale to Maggie ureguluje rachunek...

Mark zerknął na menu, a następnie przez kilka chwil przyglądał się jej tak natrętnie, że odwróciła wzrok, udając, że tego nie widzi. Czyżby miała do czynienia z reliktem przeszłości? Może to jaskiniowiec, który dostaje drgawek, kiedy płaci za niego kobieta?

- Mają tu świetne zrazy - doradziła, spoglądając mu w oczy, błękitne jak niebo w pogodny letni dzień.

Nie ogolił się rano, więc miał na policzkach cień zarostu, który dodawał mu męskiego uroku. Maggie zawsze uważała, że mocno zarysowany podbródek świadczy o sile charakteru. Mark Sully bez wątpienia był człowiekiem stanowczym, co nie ułatwiało negocjacji, choć potwierdzało jej prywatne opinie na temat ludzkich charakterów oraz

*Jennifer Drew*

fizjonomii. Przyglądała się ukradkiem pociągłej twarzy i gładkim policzkom rozmówcy. Włosy miał potargane, nierównomiernie rozjaśnione palącym słońcem. Kilka jasnych kosmyków opadało mu na czoło.

O Boże, spraw, żeby ten uparciuch przyjął naszą ofertę, pomyślała zdesperowana.

- Czy pani słyszała, co mówiłem? - spytał zirytowany Mark.

- Proszę wybaczyć. Zastanawiałam się, co zamówić.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się kpiąco. Podeszedł do nich młodziutki, pogodny kelner

w rozciągniętym T-shircie. Mark zamówił gril-lowaną rybę i warzywa zapiekane z czosnkiem, a Maggie jednego zrazika i pół porcji ziemniaków.

- I cóż, panie Sully... - zagadnęła przyjaźnie, chcąc przejść do interesów

- Jestem Mark. Lepiej mówmy sobie po imieniu, Maggie.

- Zgoda. Mam tutaj niezwykle korzystny projekt kontraktu. - Sięgnęła do wielkiej płóciennej torby i wyjęła plik dokumentów

- Kiedy jechałem do wydawnictwa, spodziewałem się zobaczyć kobietę podobną do Ann Cartwright, a nie taką delikatną osóbkę jak ty.

Delikatną? Mark Sully przekona się wkrótce, że Maggie Sanders potrafi być nieustraszona i twarda jak skała!

- Omówmy po kolei wszystkie istotne punkty

### ***Autor pilnie poszukiwany 41***

- zaczęła rzeczowo. - Po pierwsze, czy chcesz, żeby reprezentował cię agent?

- Po co?

Aż się wzdrygnęła pod jego karcącym spojrzeniem.

- Ten kontrakt może ci na dłuższą metę przynieść spory dochód.

Rozumiem, że twój adwokat doradza, abyś negocjował bez pośredników.

- Chyba powinienem ci uświadomić, że nie interesują mnie długoterminowe zobowiązania.

- Jestem tego świadoma. Upoważniono mnie do podpisania rocznego kontraktu. Nowy właściciel zdecyduje, czy będzie chciał go przedłużyć.

- Mam przez cały rok udawać, że jestem tobą?

Czuła, jak narasta w nim niechęć. Trzeba omówić rzecz od podstaw, bo lada chwila dojdzie do zerwania negocjacji.

- Ależ skąd! Będziesz tylko występować jako M. S. Stevens, przewodnik i specjalista od turystyki ekstremalnej, co nie powinno być dla ciebie trudne, bo zajmujesz się tym zawodowo, a ja tylko opisuję takie wyprawy.

Będziesz wiedział z góry, ile spotkań przypada na cały rok. Zwykle odbywają się w weekendy. Chcesz się zapoznać z tym projektem?

Ostrożnie podsunęła mu kontrakt. Przeczytał go pospiesznie, zachowując kamienną twarz. Nie miała pojęcia, czy to dobrze, czy źle.

- Postawmy sprawę jasno - odezwał się w końcu, spoglądając na paragraf określający zasady płatności. - Dostanę tyle forsy, jeśli karnie pojedę tam,

*Jennifer Drew*

gdzie wyśle mnie wydawnictwo. W kontrakcie zostanie jednoznacznie określone, ile ma być tych podróży. Robota lekka, łatwa i przyjemna, a pieniądze... Sporo tego.

Maggie także była zdania, że pan Granville okazał się wyjątkowo szczodry.

- Dolicz niewielki procent od ceny każdego sprzedanego egzemplarza. Większość spotkań autorskich planujemy na wschodnim wybrzeżu. Pracujemy nad harmonogramem. W przerwach między nimi jesteś wolny i możesz robić, co ci się podoba.

- Cholera! Wkurza mnie to wszystko! - Zareagował tak gwałtownie, że straciła nadzieję. Czyżby oczekiwał wyższego honorarium?

- To bardzo korzystna oferta... - zaczęła rzeczowo.

- Nazbyt korzystna! - przerwał bezceremonialnie. - Byłbym głupcem, gdybym ją odrzucił.

Ukradkiem odetchnęła z ulgą, prawie nie zwracając uwagi na kelnera, który właśnie stawiał przed nimi ogromne talerze. Była tak zdenerwowana, że wątpiła, czy zdoła przełknąć choćby kęs.

- Zgadzasz się? - spytała słabym głosem.

- Muszę to jeszcze przemyśleć.

- Zauważyłeś paragraf, w którym zobowiązujesz się pomóc mi w zbieraniu materiału do następnej książki? Dostaniesz za to dodatkowe wynagrodzenie płatne od każdej przepracowanej godziny.

- Wiem, czytałem.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby pomóc mi trochę w pisaniu następnej książki?

- Mów jaśniej.

## *Autor pilnie poszukiwany*

43

Zabrał się do jedzenia z taką miną, jakby perspektywa odgrywania roli wziętego autora oraz funkcja konsultanta była dla niego równie przyjemna jak wizyta u dentysty.

- Opowiesz mi o swoich przygodach i doświadczeniach, a ja opiszę je w następnym przewodniku. Chcę się od ciebie nauczyć wszystkiego, co zechcesz mi przekazać.

- Wszystkiego? - powtórzył z kpiącą miną. - Naprawdę? Jak blisko mamy współpracować?

Za dużo sobie pozwalała! Żałowała teraz, że podjęła się z nim negocjować. Szef sam powinien się tym zająć. W ustach Sully'ego każde słowo stawało się dwuznaczne i brzmiało jak wyzwanie. I te jego spojrzenia! Wielu facetów rozbiera dziewczyny wzrokiem, ale tylko przy nim miała ochotę rzeczywiście wyskoczyć z ciuchów.

- Wszystko jest zapisane w kontrakcie - odparła ze złością, bardziej zirytowana swoją reakcją niż jego słowami.

- Przeczytam go powtórnie i dam ci znać.

- Świetnie. Mam nadzieję, że wkrótce się do mnie odezwiesz.

Tak, pomyślała z wściekłością, trzymaj mnie w zawieszaniu, łobuzie!

Przecież wiesz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko o tobie myśleć.

- Zapewne.

- Jutro? - Nie zaszkodzi go przyszpilić.

- Czekaj cierpliwie, aż podejmę decyzję. - Wytarł usta dużą papierową serwetką.

- Zrozum, to dla nas bardzo ważne. Trzeba jak

*Jennifer Drew*

najszybciej opracować plan spotkań autorskich i zgrać wszystkie szczegóły. - Odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na jego usta.

- Sama się tym zajmujesz?

- Będę nadzorować pracę zespołu. - Nie wiedziała jeszcze, jakie przypadną jej obowiązki, gdy Pierpont przejmie wydawnictwo, ale nie zamierzała mówić o tym Markowi.

- Pojedziesz w trasę?

- Jeszcze nie wiadomo. Pracowników jest u nas niewielu, a roboty mnóstwo.

- Jeśli zgodzę się, żebyś mnie rzuciła molom książkowym na pożarcie, spodziewam się, że dotrzymasz mi towarzystwa.

- Nie sądzę, żeby takie były intencje pana Gran-ville'a.

Sama z pewnością nie zamierzała włączyć się z nim po kraju.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zadzwoniła komórka Marka, który uśmiechnął się przepraszająco i odebrał.

- Mark Sully, słucham.

Milczał przez chwilę, słuchając uważnie.

- Szkoda nerwów. Zajmę się tym w drodze do domu. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał. Masz na to moje słowo.

Natychmiast przerwał połączenie.

- Najważniejsza kobieta mojego życia - oznajmił, uśmiechając się łobuzersko. - Dzięki za obiad. Zadzwonię.

Wziął ze sobą korzystny kontrakt i opuścił jadłodajnię, nie oglądając się ani razu.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

- Czy ten facet podpisał już kontrakt? - zapytał pan Granville, stając w drzwiach gabinetu Maggie.

Był piątkowy poranek. Wiekowy szef bardziej niż kiedykolwiek przypominał dziś dziewiętnastowiecznego angielskiego kamerdynera. Starannie utrzymana siwa broda dotykała sztywnego kołnierzyka białej koszuli ozdobionego dyskretnym węzłem ciemnego krawata. Pan Granville miał na sobie grafitowy garnitur w dyskretne prążki, a w kieszonce kamizelki złoty zegarek z dewizką.

- Przykro mi, jeszcze tego nie zrobił - odparła Maggie przepraszającym tonem, choć nie poczuwała się do winy. Jej szef sam narobił zamieszania, przez pomyłkę biorąc Marka za kogoś innego.

- Proszę mu powiedzieć, żeby się pospieszył.



*Jennifer Drew*

Od jego spotkania z Pierpontem minęło dobre kilka dni. - Trzeba uświadomić temu uroczemu młodzieńcowi, że nie ma na co czekać. Niech go pani bardziej przycisnie - doradził szef, zamykając drzwi jej gabinetu.

Łatwo powiedzieć! Maggie nie mogła skontaktować się z Markiem, choć wielokrotnie dzwoniła do niego. Może wyłączył komórkę? Nie miała jego adresu. Gdyby nie pilny telefon od tej jego pani, zapewne podczas roboczego obiadu udałoby się od razu podpisać dokumenty. Niestety, przez tamtą żołą Maggie została na lodzie. Na samą myśl o tym robiła się zła, rozzalona i... zazdrosna.

Chwileczkę! Mark Sally nie był w jej typie. Gdyby chciała poderwać faceta, z pewnością nie wybrałaby przerośniętego harcerzyka, który zamiast poważnie myśleć o życiu urządził marsze na orientację dla podobnych sobie idiotów, którym marzy się kontakt z dziką przyrodą. Usiadła przed komputerem i położyła dłonie na klawiaturze. Była mistrzynią świata w szukaniu informacji, więc jeśli się postara, znajdzie Marka Sully'ego i nawiąże z nim kontakt.

Godzinę później wpatrywała się w ekran przygnębiona i osowiała. Wszystkie tropy wiodły donikąd. Pracodawcy Marka zwinęli interes i zwiali, starannie zacierając za sobą ślady. Rozpaczliwe poszukiwanie Marka Sally'ego doprowadziło ją do punktu wyjścia.

Nagle przypomniała sobie o Ann Cartwright, która najwyraźniej była z nim na tyle zaprzyjaźniona, że mogła go prosić o przysługę. Może wie,

### ***Autor pilnie poszukiwany 47***

gdzie go szukać? Niestety, w bazie danych nie było jej numeru. Maggie daremnie próbowała uzyskać go w informacji. Był zastrzeżony.

Nie dodzwoniła się do rodziców, którzy po przejściu na emeryturę kupili samochód z mieszkalną naczepą i włączyli się po całym kraju. Mieli wprawdzie komórki, ale je wyłączali albo zapominali naładować baterie. Gdzie znaleźć namiary Ann? Maggie postanowiła zadzwonić do Laurie, swojej młodszej siostry, która nadal mieszkała w rodzinnym domu w Beaumont w Wirginii Zachodniej. Pisała romanse, organizowała aukcje dobroczynne, a w wolnych chwilach zajmowała się tresurą psów. Maggie podśmiewała się z siostrzyczki, wyższej o dziesięć centymetrów z okładem, a duchem młodszej ze dwadzieścia lat. Chętnie wypytywała Laurie, jak posuwa się proces odnajdywania samej siebie, żeby potem kpić dobrotliwie z wywodów smarkuli.

Jej telefon obudził Laurie.

- Odbiło ci? Wiesz, że moja muza jest sową i sprowadza twórczą wenę tylko w nocy - oburzyła się zaspana Laurie. - Rany boskie, która godzina? Dochodzi południe! Jak można budzić mnie o tej porze!

- Przestań się pieklić, śpiąca królowo. Mam do ciebie prośbę. Chodzi o maleńką przysługę - tłumaczyła pogodnie Maggie.

- Tylko nie mów, że mam coś wysłać pocztą! Dwa lata temu Maggie chciała odzyskać pozostawiony w domu płaszcz, więc poprosiła siostrę,

*Jennifer Drew*

żeby nadała paczkę. Laurie do dziś nie ochłonęła po traumatycznym przeżyciu, jakim było dla niej szukanie pudła, pakowanie zapomnianego ciucha, oklejanie kartonu taśmą, adresowanie oraz transport paczki do urzędu pocztowego.

- Sprawa jest prosta - zapewniła Maggie uspokajającym tonem. Potrzebny mi numer telefonu Ann Cartwright. Jest zastrzeżony, ale wiem, że mama wpisała go do zielonego notesu, który leży w lewej górnej szufladzie jej biurka.

- Na pewno wzięła notes ze sobą. Niepotrzebnie zawracasz mi głowę - jęknęła Laurie, która po przebudzeniu zawsze była ponura, marudna i nieskora do pomocy.

- Moim zdaniem został w biurku - przekonywała cierpliwie Maggie, która знаła młodszą siostrę jak zły szeląg i umiała z nią postępować. Laurie była kochana, ale miała swoje humory.

- No dobra, już idę.

Żeby nie tracić czasu, Maggie sprawdziła pocztę elektroniczną, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Laurie potrzebowała kilku minut, żeby doczłapać do matczynego biurka.

- Mam! - zabrzmiał w słuchawce jej głos. Była całkiem rozbudzona, wprost tryumfująca. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co chcesz dzwonić do Ann. Ona mnie przeraża.

- Nie mów głupstw. Masz dwadzieścia pięć lat, najwyższy czas pozbyć się tych idiotycznych fobii. Ann nie ma dzieci, więc próbuje nam czasami matkować, ale szybko ją to nudzi. Daj mi jej numer.

### ***Autor pilnie poszukiwany 49***

Minęło jeszcze dziesięć minut, nim Laurie znalazła odpowiednią stronę w notesie. Poplotkowały trochę o rodzinie i Maggie odłożyła słuchawkę. Mogła wreszcie zadzwonić do Ann. Miała szczęście, bo zapalona podróżniczka była w domu.

- Miło cię słyszeć, Maggie! - zawołała. - Tym razem nie szczędziłam ci komplementów. Zamierzam ją opublikować na stronie internetowej naszego klubu podróżników.

Maggie wołała się nie przyznawać, że jeszcze nie zajrzała do recenzji. Gdyby Ann o tym usłyszała, natychmiast odszukałaby wydruk i odczytała wszystko przez telefon.

- Dzwonię, bo...

- Twoja rada dotycząca węży oraz ich ukąszeń strasznie mnie rozbawiła. - Ann wybuchęła gromkim śmiechem. - Pamiętasz, jak zobaczyłaś na podwórku małego wężyka? Potem cały miesiąc bałaś się wychodzić z domu!

- Miałam pięć lat! - oburzyła się Maggie. - A rada jest potwierdzona. Pytałam wojskowych lekarzy i sanitariuszy.

Dość tych pogaduszek, skarciła się w duchu. Przejdź wreszcie do rzeczy.

- Ann, chodzi o tego faceta, którego do mnie przysłałaś...

- Przystojniak, co? Gdybym była trochę młodsza, wiele bym dała, żeby wślizgnąć się do jego śpiwora.

- Ann, możesz mi dać jego namiary?

- Mogę, ale nie wiem, czy powinnam. Tego

*Jennifer Drew*

chłopaka trudno będzie udomowić. Nie ustatkuje się przed kolejnym zlodowaceniem, które nawiasem mówiąc, nastąpi chyba wcześniej, niż oczekiwano, choć tyle się mówi o efekcie cieplarnianym. Zdaniem uczonych mamy do czynienia z dwiema sprzecznymi tendencjami. I tak źle, i tak niedobrze - oznajmiła z satysfakcją Ann. Uwielbiała przepowiadać katastrofy i kataklizmy.

- Pan Sully zostawił coś w wydawnictwie. Chcę mu to odesłać. Daj mi jego adres. Albo numer telefonu stacjonarnego. Zadzwoń, żeby przyjechał po zgubę.

- Co zostawił?

Dociekliwość Ann sprawiała, że nie opłacało się jej okłamywać.

- Kopertę - rzuciła od niechcienia Maggie, świadoma, że nie umie kłamać, więc nie powinna tego robić.

- Jest do niego zaadresowana?

- Nie. To zwykła brązowa koperta.

- Otwórz ją. Sprawdź, czy to ważne - radziła Ann.

- Chyba żartujesz. Nie mogę! - Mówiła prawdę. Nie było przecież żadnej koperty.

- Zgoda. Dam ci namiary Marka, ale muszę ich poszukać. Na pewno mam adres, bo wysyłałam pocztą zdjęcia z naszej pierwszej wspólnej wyprawy. Numer telefonu też się znajdzie. Poczekaj moment!

Odłożyła słuchawkę, nim Maggie zdążyła zaproponować, że później zadzwoni. Po dwudziestu

### ***Autor pilnie poszukiwany 51***

minutach otrzymała potrzebne informacje, ale nie zdążyła zatelefonować, ponieważ była umówiona na obiad z autorką książki o urządzaniu ogrodowych sadzawek i oczek wodnych. Spędziła dwie przemiłe godziny z czarującą, pełną wdzięku damą rodem z Południa, która u siebie w domu nosiła kapelusik ze słomki oraz białe rękawiczki i na co dzień zasiadała do obiadu w jadalni.

Piętnaście po trzeciej pan Granville ponownie zajrzał do jej gabinetu.

- Nasz M. S. Stevens podpisał już kontrakt? - zapytał.

- Nie zdążyłam się z nim skontaktować, ale na sto procent mamy książkę o sadzawkach ogrodowych.

- Dobrze, dobrze, ale Mark Sully jest naszym priorytetem. Trasa promocyjna musi się udać, żeby Pierpont podpisał umowę kupna-sprzedaży - przypomniał i wyszedł.

Maggie wstała, zamknęła za nim drzwi i wystukała otrzymany od Ann numer Marka. Telefon zadzwonił kilka razy, nim jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

- Nie sprzedam! Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoją forszę, głupku!

- wrzasnęła nieznajoma.

- Nie wiem... może to pomyłka. Czy jest pan Sully? - zapytała niepewnie Maggie.

- Pan Sully? To dobry numer. - Kobieta wybuchnęła śmiechem. Maggie próbowała na podstawie głosu ocenić jej wiek. Lekko licząc pięćdziesiątka.

- Zastałam go?

*Jennifer Drew*

- Nie.

- Wie pani, kiedy wróci?

- Jak zgłodnieje. Tak myślę. A pani kto? Znajoma?

- Aha, od niedawna.

- Mark łatwo zawiera znajomości. Od dziecka taki był. Jako mały chłopak każdego potrafił sobie urobić. Wszyscy garnęli się do niego. Nadal tak jest.

Maggie z niepokojem pomyślała, że i jej przyjdzie garnąć się do niego. Lepiej unikać takich poufałości.

- Mogę zostawić wiadomość?

- Jasne. Wszystko przekażę. Mów śmiało, moje dziecko. Jestem babcią Marka.

Może ta starsza pani jest kobietą jego życia? Gzy to ona dzwoniła podczas obiadu?

- Proszę pani, nazywam się Maggie Sanders...

- Po co te ceregiele, dziecinko? Jestem Córa Sully. Mówmy sobie po imieniu.

- Byłabym Markowi bardzo wdzięczna, gdyby zechciał do mnie zadzwonić. Podyktuję swój numer...

- A po co? Tyle z tym zachodu. Same kłopoty. Kłopoty to moja specjalność, pomyślała Maggie, zwłaszcza odkąd na horyzoncie pojawił się Mark.

- Naprawdę powinnam z nim porozmawiać - przekonywała zdesperowana. Była na skraju rozpacz.

- To przyjedź na kolację.

- Słucham? - Została zaproszona, ale nie zamierzała się narzucać. To szalony pomysł, żeby jechać do obcych ludzi na kolację.

*Autor pilnie poszukiwany*

53

- Bądź na szóstą... Obiecałam Markowi gulasz z sarniny.

Jak to z sarniny? Mam jeść dziczyznę? - pomyślała zbita z tropu. W jej świecie nie robiło się gulaszu z jelonka Bambi!

- Nie wiem, gdzie pani mieszka.

- Masz pod ręką mapę stanu Pensylwania?

- Tak, ale moim zdaniem...

- Dobra, zapisz sobie wszystkie namiary. Trochę to skomplikowane, bo droga wije się zygzakiem między wzgórzami jak pijany wąż boa.

Gady piją? Maggie miała w głowie lekki zamęt, ale posłusznie wzięła ołówek i na wszelki wypadek zrobiła notatki. Kto wie? Może się przydadzą?

- No to do zobaczenia. - Gora Sully odłożyła słuchawkę.

Maggie zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, żeby pojechać do niej na kolację. Ale czy miała inne wyjście? Nie zanosilo się na to, żeby Mark wkroczył do jej gabinetu, gotowy podpisać wszystkie dokumenty.

Potrzebował chyba dodatkowej zachęty.

Jechać czy nie jechać? Maggie postanowiła odwiedzić Córę i Marka w ich leśnej samotni. Modliła się w duchu, żeby nie złapać gumy.

Droga była okropna: wąska, kręta, biegnąca zakosami po górskim zboczu. Maggie umierała ze strachu, gdy inne auta mijały ją, ścinając zakręty. Dzięki wskazówkom Cory szczęśliwie nie zablądziła, a kiedy po ostatnim zakręcie dotarła do celu, odniosła wrażenie, że znajduje się w innym świecie. Zaparkowała przed staromodnym wiejskim



*Jennifer Drew*

domem podobnym do rycin z historycznego albumu.

Zabrakło jej odwagi. Niepewnie wysiadła z samochodu, zastanawiając się, czy wejść do środka. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich stara kobieta z ręką na temblaku.

- Wejdz i czuj się jak u siebie w domu! - zawołała i skinęła na Maggie, która weszła po schodach na werandę. Starsza pani przepuściła ją w drzwiach i uśmiechnęła się tak promiennie, że trudna droga nagle poszła w niepamięć.

- Dziękuję za zaproszenie. To bardzo miłe z pani strony.

- Już zapomniałaś, jak mam na imię? Nie lubię tych ceregieli.

Cora zaprowadziła Maggie do staromodnego salonu z taką kurtuazją, jakby odwiedziła ją prawdziwa księżniczka.

- Jakie ładne kolory! - powiedziała Maggie, zachwycona ciepłą barwą ścian z sosnowego drewna i piaskowymi odcieniami wyplatanych dywaników oraz haftowanych poduszek.

- Sama robię farbki do wełny - powiedziała Cora. Stwierdziła fakt, nie dopominając się o komplementy. - Gdzie poznałaś mojego wnuka, Marka? Jako uczestniczka niebezpiecznej wyprawy?

- Nie, nie! Nie lubię takich rozrywek. Znajoma mojej matki poprosiła go, żeby wpadł do mojego biura i oddał mi przesyłkę. Gdzie on jest?

- Wkrótce się zjawi. Usiądź wygodnie. Muszę pomieszać gulasz.

*Autor pilnie poszukiwany*

55

- Mogę w czymś pomóc?

Przez moment Cora sprawiała wrażenie, jakby poczuła się urażona tą uwagą.

- Sama daję sobie radę - oznajmiła. - Ten cholerny temblak to głupstwo. Nie daj się zwieść. Potrafię zrobić wszystko, choć z naprawą dachu miewam problemy.

- Jeśli znowu wleziesz na dach, spętam cię jak konia i odstawię do taty na Florydę - wtrącił z udawaną surowością Mark, stając w drzwiach.

Popatrzył na gościa. - Nie wiedziałem, że mamy towarzystwo.

Maggie poznała po minie, że nie jest zachwycony jej wizytą.

- Twoja babcia mnie zaprosiła, więc...

- Aha. To było do przewidzenia.

Mówił cicho, czoło miał zmarszczone. W przeciwieństwie do serdecznej babci przywitał ją bardzo chłodno.

- Dlaczego twoja przyjaciółka nie miałyby zjeść z nami kolacji? - powiedziała Cora, z jawną ciekawością obserwując ich bladoniebieskimi oczyma.

- Panna Sanders nie jest moją przyjaciółką - oznajmił takim tonem, że Maggie powinna się pożegnać, wsiąść do auta i odjechać. Skoro tak działała mu na nerwy, jak skłonić go do podpisania kontraktu?

- Zaraz nakryję do stołu - mruknęła Cora. Było oczywiste, że bardziej niż jedzenie ciekawi ją sprzeczka dwojga młodych. Prychnęła z oburzeniem i podreptała w głąb pomieszczenia, do otwartej kuchni.

*Jennifer Drew*

- Nie przywozisz nigdy znajomych do starej babci... - narzekała Cora.
  - Moja babcia jest najważniejsza, więc powinna o tym pamiętać, gdy znów przyjdzie jej ochota zabawić się w swatkę - odciął się Mark.
- Przekomarzali się do siebie, więc Maggie odzyskała względny spokój, lecz nadal wahała się czy wrócić do auta i jechać do domu, czy zostać dłużej i cierpliwie przekonywać Marka do podpisania kontraktu. No proszę! Czyżby Cora próbowała wyswatać ukochanego wnuka? To by oznaczało, że Mark nie ma nikogo na stałe. Oczywiście dla Maggie to bez znaczenia, ponieważ wcale nie była nim zainteresowana. Przyjechała tu załatwić sprawę. Na tym padole nie brak atrakcyjnych blondynów o melodyjnym głosie przyprowadzającym dziewczyny o miły dreszcz.
- Chciałam zobaczyć się z Markiem, bo mam dla niego pracę - oznajmiła, bo wydawało jej się, że winna jest córce wyjaśnienie.
- Starsza pani podniosła głowę znad dużego żółtego garnka, w którym mieszała drewnianą łyżką.
- Jaką? - spytała.
  - To posada konsultanta w wydawnictwie, gdzie jestem zatrudniona.
  - Po co wam konsultant? - Cora rozważała jej słowa, a Mark coraz bardziej pochmurniał.
  - Wydajemy przewodniki z opisem ekstremalnych wypraw w nieznane. Potrzebna nam fachowa opinia o ich treści.

*Autor pilnie poszukiwany*

57

- Moje zdanie w tej materii w ogóle cię nie interesuje! Chcesz mnie kupić!  
Mam być tylko na pokaz!

Łyżka upuszczona przez Córeę wpadła do gulaszu. Zaintrygowana staruszka podeszła do Marka, który stał przed Maggie na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając dłonie w pięści.

- Co wy kombinujecie? - zapytała z taką miną, jakby miała rozdzielić dwoje uprzykrzonych bachorów.

Maggie zrobiło się wstyd. Uznała, że nie może stąd odjechać, póki nie wyjaśni, dlaczego tak jej zależy na spotkaniu z Markiem. Ubiegł ją i burknął opryskliwie:

- Panna Sanders wzięła się do opisywania trudnych szlaków turystycznych i ekstremalnych wypraw, chociaż nie ma zielonego pojęcia, jak one wyglądają. Dla niej wielkim wysiłkiem jest przejście do samochodu.

Jego słowa, niesprawiedliwe, choć zgodne z prawdą, dotknęły Maggie do żywego. Zerwała się na równe nogi i spiorunowała go wzrokiem.

- Ona chce mnie...

- To mój wydawca chciałby, żebyś dla niego pracował!

Mark westchnął ciężko.

- Proponują, żebym udawał autora przewodników. Mam wziąć udział w trasie promocyjnej, podpisywać te cholerne książki...

- Licz się ze słowami, młody człowieku. Nie życzę sobie, żebyś się tak wyrażał w mojej obecności - skarciła go babcia.

*Jennifer Drew*

- Dobrze płacimy, znacznie więcej niż za niań-czenie bogatych mieszcuchów, którym zachciało się mocnych wrażeń - odparła śmiało Maggie. Podejrzewała, że Mark odmówi dla zasady, nie bacząc na jej argumenty.
- Naprawdę można sporo zarobić na tym udawaniu? - wypytywała Cora, zainteresowana jej wyjaśnieniami o wiele bardziej niż Mark. Zachichotała uradowana, a Maggie jej wtórowała. Śmiały się obie do rozpuku, aż usłyszały pukanie do drzwi.
- Cześć, sąsiadko! - zawołał jakiś mężczyzna. Zirytowana Cora aż podskoczyła ze złości i wrzasnęła na całe gardło.
- Wynoś się stąd, Bronson! - Odwróciła się do Marka. - Dlaczego tu przylazł? Miałeś z nim pogadać.
- Dwa razy byłem w biurze, raz w domu, ale na próżno. Trudno go złapać. Gość bez zaproszenia wszedł do salonu. Maggie ze zdumieniem patrzyła na skrzywioną gniewnie twarz Cory. Miała nadzieję, że staruszka nigdy się na nią tak nie rozzłości.
- Słuchaj uważnie, Oliver - powiedział Mark rzeczowo i dobitnie. - Moja babcia nie ma zamiaru sprzedawać swojej ziemi. Jeśli kiedykolwiek zmieni zdanie, nie omieszka cię o tym powiadomić. Będziesz miał prawo pierwokupu, o ile teraz dasz jej spokój. Zostaw nas samych, jeśli łaska, bo muszę przedyskutować ważny kontrakt z panną Sanders, która pracuje dla Domu Wydawniczego Granville.

*Autor pilnie poszukiwany*

**59**

- Ruchem głowy wskazał Maggie. - Bądź tak dobry i wyjdź.

- Miło mi panią poznać. - Oliver Bronson wyciągnął spoconą dłoń, którą Maggie niechętnie uścisnęła. - Wszystko rozumiem - ciągnął Bronson.

- Wybaczcie, że się wam naprzykrzałem. Inwestorzy wiercą mi dziurę w brzuchu, ponieważ chcieliby tutaj budować. Ale jak nie, to nie. Mówi się trudno. No to zmykam.

- I nie wracaj, bo mam strzelbę męża. Nie zawaham się jej użyć - ostrzegła Cora.

Mark zmarszczył brwi. Co go podkusiło, żeby przy Oliverze wspomnieć o kontrakcie?

Maggie z niepokojem popatrzyła na jego zachmurzoną twarz. Taka mina to zły omen dla negocjacji, pomyślała.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Mark uważnie obserwował nieoczekiwanego gościa. Kawałki sarniny ukradkiem odsunięte na bok... Sprytnie. Cholera, dlaczego ta Maggie jest taka śliczna? Niesforne kosmyki brązowych włosów wystawały zza uszu, choć raz po raz wsuwała je na miejsce. Oczy miały kolor gorzkiej czekolady, a naturalnie różowe usta nie potrzebowały żadnej szminki. Na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Włożyła dziś obcisłe beżowe spodnie i top z czarnego jedwabiu. Niewielki dekolot ukazywał jasną skórę między piersiami. Ramiona były odsłonięte i nietknięte opalenizną. Była piękna urodą cieplarnianego kwiatu; z pewnością nie w jego typie. Szkoda, że taka z niej ślicznotka. Z brzydulą łatwiej dałby sobie radę.

## *Autor pilnie poszukiwany*

61

- Jak ci smakuje gulasz? - Zastanawiał się, czy jest wegetarianką.
- Pyszny. - Z udawanym zapałem gryzła marchewkę.
- Mięso zostawiasz na później?

Postępował z nią podle, lecz miał powód. Przyjechała tutaj, żeby przewrócić jego życie do góry nogami. Złościła go ta myśl, choć potrzebował oferowanej przez nią posady. Dzięki honorarium mógłby bez trudu pomóc babci i zbudować dom. Mimo wszystko wzdragał się przed tą maskaradą. Nie miał ochoty udawać jak mierny aktorzyzna i podszywać się pod kogoś innego.

- Nie jadam dziczyzny - odparła uprzejmie Maggie.

Gdyby wziął ją w obroty, szybko zmieniałaby zdanie. Wystarczy sześć tygodni z dala od cywilizacji, noclegi pod namiotem oraz wikt tylko i wyłącznie od matki natury, żeby pojęła, jaką naiwnością było pisanie przewodników po najtrudniejszych szlakach turystycznych bez znajomości rzeczy, jedynie na podstawie wiadomości z książek oraz Internetu.

- Domyślam się, że sama nie próbowałaś nigdy alternatywnych źródeł białka, które opisujesz w swoich książkach: dżdżownic, świerszczy - zagadnął kpiąco.
- Skądże! Zrozum, autor nie musi na własnej skórze doświadczać wszystkiego, co opisuje. Ludzie piszą o Marsie, choć nigdy tam nie byli.
- Zjedz kawałek mięsa - upierał się Mark.



*Jennifer Drew*

- Proszę?

- Jeśli chcesz, żebym podpisał kontrakt, musisz spróbować dziczyzny.

Babcia wróciła do stołu z dokładką dla Marka. Postawiła przed nim miseczkę z białej kamionki.

- Niektórzy ludzie nie jadają mięsa - przypomniała.

- Jesteś wegetarianką? - zapytał, spoglądając na Maggie.

- Nie, ale...

- Spróbuj sarniny.

Namawiał ją do jedzenia niczym upartego dzieciaka. Chciał, żeby się wymówiła, bo miałby wówczas pretekst do odmowy i zerwania negocjacji w sprawie kontraktu. Babcia zyskałaby powód do kpin. Gdy ktoś pochopnie marnował sposobność, na przykład do uczciwego zarobku, mawiała, że zachował twarz, ale walnął się własną pięścią.

- Dobrze, spróbuję.

Była wściekła, ale nabrała łyżką kawałek mięsa z krążkiem duszonej cebuli. Już miał powiedzieć, że to jest pyszne, ale oburzona babcia spiorunowała go spojrzeniem, więc ugryzł się w język.

Maggie energicznie poruszała szczękami, ale podejrzewał, że tylko udaje, a kawałek sarniny połknęła w całości.

- Zjadłam! - oznajmiła tryumfalnie.

- I bardzo dobrze. Zasłużyłaś na deser. Zakończyli posiłek musem jabłkowym domowej

roboty pachnącym korzennymi przyprawami.

- Chętnie pomogę zmywać naczynia, ale potem

*Autor pilnie poszukiwany*

63

muszę już jechać - powiedziała Maggie. - Wolałabym dotrzeć do domu przed zmierzchem.

- Słusznie. O szarej godzinie niedźwiedzie wyłazą na żer - drwił Mark, układając w głowie sprytny plan.

- Pogadajcie sobie - zdecydowała babcia. - Nie potrzebuję pomocy.

Maggie zaprotestowała, ale szybko dała za wygraną. Mało prawdopodobne, żeby babunia zdzieliła ją drewnianą łychą, gdyby weszła do kuchni, pomyślał Mark, ale dobrze się stało, że obie panie nie tłoczą się w kuchni, bo mogłoby dojść do krótkiego spięcia. Cora Sully nie tolerowała intruzów na swoim terytorium.

- Chodźmy na werandę - zaproponował Mark.

Maggie podziękowała Córce za kolację i pospieszyła za nim, zabierając torebkę, żeby potem nie tracić czasu, gdy zdecyduje, że pora jechać. Mark uparł się, że zatrzyma ją tu dłużej choćby po to, by udowodnić, że nie można go kupić, ot tak. Do zmierzchu pozostało jeszcze półtorej godziny, więc Maggie raczej nie zabłądzi na górskiej drodze, o ile nie ma zadatków na totalną idiotkę. Z drugiej strony jednak wiedział z doświadczenia, że istnieją ludzie, którzy nie powinni wyściubiać nosa ze swego podwórka. Jeśli Maggie do nich należy, byłoby lepiej, gdyby nie udzielała rad turystom, którym marzą się wielkie wyzwania.

- Ładnie tu - zagadnęła, próbując wciągnąć go do rozmowy.

Nie uszło jego uwagi, że co kilka minut spogląda na zegarek.

*Jennifer Drew*

- Mało kto wie, że w odległości siedemdziesięciu paru kilometrów od Pittsburgha można zobaczyć takie widoki - odparł.

Chętnie omówiłby do końca warunki kontraktu, ale ciekawiło go, w jaki sposób Maggie zacznie rozmowę na ten temat. Jakimi argumentami spróbuje go przekonać, żeby podpisał umowę. Miał dość bezsensownych pogaduszek, więc odetchnął z ulgą, gdy w końcu zmieniła temat.

- Wracając do naszej trasy promocyjnej...

- Jaka jest marszruta?

- Mamy wstępny zarys. Na razie wiemy, że spotkania autorskie odbędą się w Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonie.

- Sama wszystko planujesz? - Oparł się o kolumnkę podtrzymującą dach werandy i patrzył na Maggie spod zmrużonych powiek.

- Nadzoruję układanie harmonogramu. Szczegółami zajmuje się sekretarka pana Granville'a.

- Mam wątpliwości, czy teraz mogę zostawić babcię samą.

Maggie ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jak złamała rękę?

- Spadła stamtąd. - Wskazał palcem dach werandy. - Próbowała wymienić oblużowaną dachówkę. Miała szczęście, że nie skrzyła karku.

- Zapewne - odparła bez przekonania.

- Ty również pojedziesz w trasę? - zapytał.

- Trudno powiedzieć. Decyzja jeszcze nie zapadła. Podróże nie należą do moich ulubionych zajęć.

## *Autor pilnie poszukiwany*

65

- Dlaczego?

- Jestem pechowcem. Kiedy ruszam w drogę, natychmiast zaczynają się kłopoty: burze, powodzie, wypadki, choroby, alergie, ukąszenia owadów... Mogłabym ciągnąć tę listę w nieskończoność.

- Nie wierzę w pecha. - Trochę koloryzował, bo podejrzewał, że Maggie istotnie potrafi sprowadzać kłopoty... albo przynosić szczęście. - Jeśli zdecyduję się ruszyć w trasę, musisz jechać ze mną.

Nie powiedział tego z rozmysłem, ale uwaga była sensowna. Wrobiła go, a zatem powinna dotrzymać mu towarzystwa. Nie miał pojęcia, jak wyglądają spotkania autorskie i podpisywanie książek. Nie był też aktorem. Ktoś powinien mu pomóc w budowaniu postaci M. S. Stevensa. Z drugiej strony jednak przez rok takich występów zarobi tyle samo, co w turystycznej branży. Z przyjemnością myślał, że razem jeździliby po kraju, lecz nadal zżymał się na konieczność podjęcia takiej pracy.

- Nie sądzę, żeby trasa promocyjna wymagała mojej obecności.

- Później zastanowimy się nad tym. Chodź, pokażę ci, gdzie wybuduję dom.

- Naprawdę nie mam czasu.

- Zdążysz wrócić bezpiecznie. Gdyby zrobiło się ciemno, pojedę przodem i doprowadzę cię do autostrady - obiecał.

Chwytał ją za rękę i, nie słuchając wymówek, pociągnął za sobą. Zbiegli po schodach werandy. Na szczęście miała na nogach zwykłe tenisówki.

## 66 Jennifer Drew

Zapewne nie potknęłyby się, idąc o własnych siłach, lecz wołał na wszelki wypadek mocno ścisnąć jej dłoń.

- Puść mnie! - zawołała oburzona.

- Dobra, trzymaj się tylko mojego ramienia. Podłoże jest nierówne. Łatwo o wypadek. Nie dam rady opiekować się dwiema inwalidkami.

- Twoja babcia mimo złamanego nadgarstka świetnie sobie radzi.

- Jasne, o ile nie próbuje wszystkiego robić samodzielnie.

Saba ruszyła za nimi. Mark pozwolił jej wysforować się naprzód. Biegła z nosem przy ziemi, szukając tropów. To była jej ulubiona rozrywka.

Wśród ludzi i zwierząt są asekuranci oraz miłośnicy ryzyka.

- Są tu kleszcze? - zapytała Maggie, gdy szli wąską ścieżką. Tak mocno ścisnęła ramię Marka, że wbiła mu paznokcie w skórę.

- Nie martw się. Na ścieżce ich nie ma. Siedzą na drzewach i wypatrują żywicieli. Potem spadają na nich jak bomby.

- Żartujesz!

- Ty jesteś specjalistką od nieprzetartych szlaków. Nie wiesz, jak jest naprawdę?

Prychnęła ze złością i puściła jego ramię. Zerknął na czerwone ślady po ostrych paznokciach i chwycił jej dłoń.

- No dobra. Trochę przesadzam. Saba jest naszą przewodniczką, więc jedyne realne zagrożenie stanowią dla nas niedźwiedzie.

*Autor pilnie poszukiwany*

67

- Niedźwiedzie! Wiesz co? Naprawdę powinnam wracać.

- Nie przyjadę do twego biura, żeby podpisać kontrakt. Strata czasu.

Oczywiście rano możesz tu wpaść z papierami. Wybieram się jutro do składu materiałów budowlanych, ale jeśli wyjedziesz przed siódmą, na pewno mnie zastaniesz.

- Naprawdę chcesz się budować niedaleko babci?

- Tak. Dziadek zapisał mi ładną działkę. Mam pretekst, żeby zamieszkać blisko niej. Tata chce, żeby wszystko sprzedała. Jego zdaniem powinna przenieść się na Florydę, ale to nie dla niej.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale ścieżka biegnąca pod wysokimi drzewami niewyraźnie majaczyła w głębokim cieniu. Maggie potknęła się o wystający korzeń i opadła na jedno kolano. Zakląła paskudnie, bo na spodniach została brzydka plama. Mark pomógł jej wstać, a potem kucnął i starannie otrzepał zabrudzoną tkaninę.

- Przestań! Sama dam sobie radę! - piekliła się Maggie. - Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Zabawne, wydawało mi się, że oczekujesz mego wsparcia. Dlatego przyjechałaś do babci.

- Nie sądziłam, że będziesz mnie wodził po manowcach.

- Dobra. Możesz wracać. Tylko uważaj na rozwidleniu dróg. Kieruj się w prawo, nie w lewo. Jeśli dojdiesz do strumyka, będziesz wiedziała, że zablądziłaś. No, ale przynajmniej w teorii jesteś specjalistką od wypraw w leśną głuszę.

## 68 *Jennifer Drew*

- Odprowadź mnie natychmiast!

- Idź sama. Ja dziś nie wracam do domu. Czytam pilnie twoje przewodniki. Bardzo mi się spodobał ten fragment, w którym opisujesz życie wielkiej puszczy. Autorka biega za stadem wilków, wypatruje niedźwiedzi...

- Nie zmyślam! Wszystko, co znajdę w Internecie, konsultuję ze specjalistami. Dlatego jesteś mi potrzebny. Tobie czytelnicy uwierzą.

- Aha! Jednak nie poradzisz sobie beze mnie. W takim razie musisz obejrzeć moją działkę.

Ruszyła przodem, mamrocąc pod nosem niewyraźnie. Ścieżka biegła teraz stromo w górę. Przy dość uciążliwym podejściu Mark pomógł Maggie, popychając ją mocno i dotykając sprężystych pośladków.

- Przestań! - Sięgnęła za siebie i odepchnęła jego dłoń.

- Rusz się. Już niedaleko.

Jedyną odpowiedzią był przeciągły jęk. Maggie przyspieszyła kroku i weszła na niewielki płaskowyż. Zbliżył się i objął ją ramieniem. Nie zwróciła na to uwagi.

- Tu jest... - Dyszała ciężko. - Pięknie.

Kochał to miejsce, z którego roztaczał się wspaniały widok na górzystą okolicę i piękne lasy niezniszczone działalnością człowieka.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcesz mieć tutaj swój dom. Ale co z wodą, prądem, ogrzewaniem i wszelkimi wygodami?

Mark wybuchnął śmiechem.

*Autor pilnie poszukiwany*

69

- Zdziwisz się, jeśli ci powiem, że można się obyć bez tych udogodnień.
  - Woda jest niezbędna. Bez ogrzewania zimą zamarzniesz na śmierć.
  - Wodę zamierzam nosić ze strumienia, a z czasem doprowadzę ją rurami do samego domu. Ogrzewanie też będzie. Początkowo myślałem o kominku, ale dowiedziałem się, że jeden ze znajomych ma w garażu żeliwną kuchnię w dobrym stanie, więc postanowiłem ją kupić i wykorzystać do ogrzewania oraz gotowania. Koleś zarobi, a ja będę mieć problem z głowy.
  - Chcesz tu zamieszkać?
  - Owszem. To będzie moja baza wypadowa. Dawniej wynajmowałem mieszkanie, ale to przeszłość. Wszystkie rzeczy na razie trzymam u babci, ale nie ma mowy, żebym u niej mieszkał. Oboje jesteśmy samotnikami.
  - Ale to straszne odludzie! - mruknęła Maggie. Czubkiem buta rozgarniała kamyki.
  - Ziemia jest okropnie kamienista, więc fundamenty będą płytkie, ale z czasem wybuduję sobie piwniczkę. Wszystko zależy od tego, ile czasu będę tu spędzać.
  - Rozumiem, dlaczego lubisz to miejsce. Jest... nieskalane.
  - Poczekaj do zachodu słońca.
- Objął ją ramieniem i wskazał czerwony krąg, który schodził coraz niżej i wkrótce miał zniknąć za jednym z pagórków.
- Która godzina? - Maggie nerwowo spojrzała



*Jennifer Drew*

na zegarek. Odkąd wyszli z domu, raz po raz na niego zerkąła. - Muszę wracać.

- A ja nie. Zamierzam dziś wieczorem rozbić obóz. Przyłącz się do mnie. Zobacysz, jak wspaniale patrzy się tu w gwiazdy.

- Nie mogę! Na mnie już pora. Mam obowiązki.

- Jutro sobota. Nie idziesz do wydawnictwa. Po prostu inaczej zorganizujesz sobie pracę.

- Nie w tym rzecz! Jak mamy tu nocować bez sprzętu, odpowiedniego ubrania?

- Tchórz cię obleciał? Czego się boisz? Z mojej strony nic ci nie grozi.

- Naturalnie, ale nie wzięłam nawet szczoteczki do zębów.

- Jutro rano pożyczysz od babci. Wszystkiego ma w bród. Robi ogromne zapasy, bo nie znosi jeździć do miasta po zakupy. Na domiar złego kiedy mnie nie ma w okolicy, musi wśród sąsiadów poszukać usłużnego kierowcy gotowego podwieźć ją w obie strony.

- Rozumiem, ale i tak nie mogę tu zostać na noc! Mark słyszał przerażenie w jej głosie. Lada

chwila wpadnie w panikę! Często miał do czynienia z wystraszonymi turystami i świetnie dawał sobie z nimi radę, więc nie zamierzał rezygnować. Miał nadzieję, że autorka przewodników z serii „Wyprawa w nieznane” dziś przekona się wreszcie, o czym pisze.

- Mam tu namiot. Rozstawię go i zamkniemy się od środka. Nie ma powodu do obaw.

- Nie będę z tobą spać!

## *Autor pilnie poszukiwany*

71

- A czy ja coś takiego sugeruję? Są dwa śpiwory. Każde z nas będzie spać w swoim. Obiecuję, że nie zakradnę się w nocy do twojego. Możesz mi wierzyć. Przecież żyję z tego, że nocuję w namiocie z grupą obcych ludzi, którzy mi zaufali.
- Dlaczego tak ci zależy, żebym dziś tu nocowała? - spytała ze złością.
- Wymagasz ode mnie wejścia w środowisko, które jest mi obce. Mam na myśli wydawnictwa, księgarnie, wielkomiejskie ulice, co wymaga sporej odwagi. Chcę sprawdzić, czy podejmiesz wyzwanie i choć na krótko wyjdiesz ze swojego kokonu.
- Twoja praca i ta dzisiejsza eskapada to dwie zupełnie różne sprawy. Nie muszę ci niczego udowadniać.
- Nie wywozłem cię na bezludną wyspę! Harcerze biwakują niekiedy w miejscach bardziej oddalonych od cywilizacji. My jesteśmy w komfortowej sytuacji. Wszystko, czego nam potrzeba, możemy wziąć od babci.
- Jesteś szalony! Całkiem ci odbiło? Nie będę z tobą nocować!
- Jak chcesz. W takim razie nie podpiszę kontraktu.
- To jest szantaż!
- Ależ skąd! Gram w otwarte karty. Mam udawać autora napisanych przez ciebie książek o życiu w leśnej dziczy, tak? Sama mówisz, że jedynie teoria to twoja specjalność, więc przyda się odrobina praktyki. W tej dziedzinie nie masz żadnych doświadczeń. Niech M. S. Stevnes udowodni, że

**Jennifer Drew**

nie jest mięczakiem. Ciekawe, czy odważy się przy bezchmurnej pogodzie przespać noc pod gołym niebem.

- Podsumujmy. Jeśli prześpię się z tobą w namiocie, podpiszesz kontrakt.

- Gniew i złość ścisnęły jej gardło, więc mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

- Raz jeszcze powtarzam, że o spaniu ze mną nie ma mowy. Nie jestem kretynek ani napalonym nastolatkiem. Gdybym chciał cię uwieść, zrobiłbym to w luksusowym hotelu, na miękkim łożu z baldachimem.

- Wybierz sobie z głowy takie głupie myśli. O żadnym uwodzeniu mowy być nie może! Po co mi taki zadufany w sobie, arogancki...

- W takim razie wszystko już wyjaśniliśmy. Każde z nas ma własny śpiwór. Jeśli wytrwasz do rana, podpiszę kontrakt. Twoja odmowa to natychmiastowe zerwanie negocjacji.

- Jesteś odrażający!

- Nie musisz się cieszyć z tej wyprawy. Udowodnij mi tylko, że nie jesteś zupełną oferwą. - Mark wzruszył ramionami.

- Ja ci dam oferwę! Licz się ze słowami! Nie szczędziła mu gorzkich słów, ale pozwolił jej

się wygadać, ponieważ oboje wiedzieli, że dzisiejszej nocy będą dzielić namiot. Mark przekonał się, że Maggie jest okropną złośnicą.

Bezpieczniej czułby się, dzieląc namiot z leśnym rysiakiem, ale jednego był pewny: dziś przenocują na jego polanie.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

To był koszmar. Maggie łudziła się nadzieją, że lada chwila obudzi się w swoim panińskim łóżku, na poduszce obleczonej w powłoczkę haftowaną dawno temu przez jej babcie.

Gdy po decydującej rozmowie Mark poszedł do swojej skrytki po namiot i resztę sprzętu, miała nadzieję, że bezpański pies pogryzł wszystko. A może polne myszy harcowały w kryjówce? Była niemal pewna, że zobaczy strzępy materiału i połamane narzędzia. Zwierzęta nie przejmują się prawem własności. Oby pogryzły wszystko jak leci! Niestety, dzicy sąsiedzi Marka uszanowali jego rzeczy. Namiot rozłożył się łatwo niczym parasolka.

- Obiecane, dotrzymane - powiedział z zado-

*Jennifer Drew*

wolaniem. - W środku zmieszczą się dwa śpiwory. Będzie sucho i miło. Odsunął zamek błyskawiczny mocujący klapę namiotu i gestem zaprosił Maggie na inspekcję. Wsunęła głowę pod niską kopułkę, nie mogąc uwierzyć, że zgodziła się nocować w takim maleństwie.

- Podłoga z nylonu, okienka z tiulową przesłoną zapewniają wentylację. Miło i przytulnie jak we własnym domu.

- Jasne. Dla myszki albo krasnoludka. Człowiekowi trochę tu ciasno, a dwoje ludzi to już tłum - mruknęła ponuro.

Saba obejrzała namiot, a potem obwąchała go w środku i na zewnątrz. Ogon podniesiony do góry oznaczał, że oględziny wypadły zadowolająco.

- Będzie z nami spała? - spytała z nadzieją Maggie.

- Nie. Kiedy znudzi ją ta wyprawa, pobiegnie do domu.

- Jak się tutaj dostała? Nie widziałam jej na ścieżce, kiedy się wspinaliśmy.

- Woli biec lasem. Tam nie jest tak stromo.

- Hej, Saba! Sabunia! - Maggie zawołała suczkę, żeby ją pogłaskać.

Wkrótce dokazywały razem jak szalone. Mark zebrał sprzęt i wziął się do urządzania namiotu.

- Zwykle podczas rozbijania obozu stosuje się podział pracy. Każdy ma swoje zadanie - oznajmił uszczypliwie.

- To nie był mój pomysł. Zachciało ci się obozowiska, to się męcz.

*Autor pilnie poszukiwany*

75

- Leniom wrzucamy kamyki do pionierek albo wiążemy ciuchy na mocne supły - ostrzegł Mark.
- Szczęściara ze mnie. Nie noszę pionierek, a wszystkie ciuchy mam na sobie.
- Moja flanelowa koszula przyda ci się, gdy wieczorem pochłodnieje. Maggie nie była zadowolona z męczącej wyprawy, ale musiała przyznać, że zachód słońca w górach przeszedł jej najsmielsze oczekiwania. Nad horyzontem zasnutym różowymi i pomarańczowymi smugami wisiało ogromne czerwone słońce. Gdy ramię przy ramieniu stali wpatrzni w ten niezwykle widok, opuściła ich wzajemna niechęć, a powrócił wewnętrzny spokój.
- Co teraz będziemy robić? - zapytała Maggie, gdy szarość zmierzchu pochłonęła barwy.
- Wykopię niewielki dołek i rozpalę małe ognisko. Nazbierałem za dnia trochę chrustu.
- Po co nam ognisko? Jest ciepło.
- A co będziemy robić? Chcesz iść spać? Przysięgła sobie, że nie zmruży oka, póki nie znajdzie się w swoim własnym łóżku, ale nie zamierzała o tym mówić Markowi.
- Nie, jeszcze za wcześnie.
- W przewodnikach wspomniałaś o podróżnikach siadających przy obozowym ognisku.
- Dobra. Fajny pomysł. Zbiorę więcej chrustu. Niebo przybrało kolor ciemnego granatu: Gwiazdy lśniły jak diamenty. Usiedli ramię przy ramieniu obok strzelającego iskrami ogniska.
- Patrz, ile gwiazd. Widać ich coraz więcej.

*Jennifer Drew*

- Mark zniżył głos do zmysłowego szeptu. - Co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

- Będziemy opowiadać historie. Najlepiej przerażające. Jak w dzieciństwie na szkolnych wycieczkach - zdecydowała Maggie.

- Dobra. Ja zaczynam - zapalił się Mark. - Dawno, dawno temu Sid i Amy mieli dość towarzystwa i chcieli spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

- Co to za jedni?

- Bardzo sympatyczna para. Młodzi, zakochani... Ej, pani redaktor, proszę nie poprawiać mojej opowieści.

- Przepraszam. Chcę tylko jak najwięcej wiedzieć o bohaterach.

- Słuchaj dalej. Sid i Amy pojechali autem za miasto i zaparkowali w gęstym lesie.

- Jakie to miasto?

- Oliver w stanie Ohio. Zjechali z wyboistej drogi i zaparkowali w miejscu, gdzie często przyjeżdżały takie parki.

- Aha. Chcieli się poprzytulać!

- Tak! - W głosie Marka dała się słyszeć nutka zniecierpliwienia.

- Dzięki. Ciekawią mnie wszystkie szczegóły. Mark wrzucił do ognia kilka gałązek. Buchnął

płomień i w jego świetle Maggie ujrzała jego minę. Jasno i wyraźnie dał jej do rozumienia, że ma się zamknąć i słuchać uważnie.

- Sid włączył radio i znalazł nastrojową muzykę. Warto było. Wkrótce zdjął Amy bieliznę i już...

- Eeee tam! Miał być horror, a ty mi opowiadasz

### ***Autor pilnie poszukiwany 77***

taniego pornosa. Nie ma się czego bać! - Maggie odsunęła się od Marka, wmawiając sobie, że było jej niewygodnie, gdy siedzieli przytuleni.

- Cierpliwości! Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Zaraz będzie strasznie! Nagle muzyka ucichła i spiker przeczytał komunikat. Seryjny morderca uciekł z więziennego transportu. Dwaj policjanci konwojowali go do pewnej instytucji, gdzie miał pozostać do końca życia. Rzucił się na nich, obezwładnił i straszliwie okaleczył. Ich stan jest krytyczny, walczą o życie w szpitalu. Przestępca zbiegł.

- Jechał do więzienia o zaostrozonym rygorze?

- Nie, do domu wariatów.

- To określenie wyszło z użycia.

- Ale mi się podoba. Sid i Amy byli już bardzo blisko... sama wiesz czego, więc po prostu wyłączyli radio i dalej robili swoje, nie przejmując się wiadomością.

Ogień przygasł, a Mark zniżył głos do szeptu.

- Nagle usłyszeli, że coś skrobie o dach auta. Początkowo nie zwracali uwagi na ten odgłos. To mogła być gałąź poruszana wiatrem lub nawet dzikie zwierzątko hasające po masce samochodu. Amy i Sid byli młodzi, zakochani w sobie. Sid od pół roku starał się o względy Amy.

- Słuchaj, to naprawę żaden horror! Taka sobie bajeczka.

- Nagle skrobanie rozległo się głośniejsze. Sid chciał wysiąść i sprawdzić, co się dzieje, ale wystraszona Amy mu nie pozwoliła.



*Jennifer Drew*

- Na jej miejscu zrobiłabym to samo. Moim zdaniem wybrali sobie fatalne miejsce na swoje... tete-a-tete.

- Amy nie chciała, żeby Sid wyszedł z auta, a on z kolei był wściekły, że musiał przerwać... sama wiesz co. Upewnił się tylko, czy drzwi i okna są zamknięte, i chciał dokończyć, co zaczął, ale Amy była zbyt wystraszona.

- Dlaczego w takich opowieściach to kobieta jest zawsze bardziej strachliwa?

- Nagle usłyszeli przenikliwy metaliczny dźwięk, jakby ktoś próbował łomem podważyć drzwi od strony pasażera. Sid nie wytrzymał nerwowo, uruchomił silnik i na wstecznym biegu popędził wąską leśną drogą aż do miejsca, gdzie można było zawrócić.

- No i proszę! Być może uniknęli najgorszego.

- Owszem, ale wieczór był stracony. Sid czuł się podle, bo uległ panice i zwiął wystraszony. Odwiózł Amy do domu, wysiadł i obszedł auto, żeby otworzyć jej drzwi.

- No! Przynajmniej jedna zaleta. Okazał się dżentelmenem - wtrąciła Maggie.

- Nagle z przerażeniem spostrzegł żelazny hak wsunięty pod drzwi auta. To seryjny morderca próbował się włamać.

- Nazywał się kapitan Hook - ciągnęła drwiąco Maggie. - Problem w tym, że dziś nie ma prawdziwych piratów, a seryjni mordercy nie noszą żelaznych protez w kształcie haka.

Maggie uważała się za dość odważną. Trzeba

*Autor pilnie poszukiwany*

79

było czegoś więcej niż podrzędny horror, żeby ją przestraszyć.

- Dobra. Skoro jesteś taka mądra, opowiedz lepszą historię.

- Nie wiem, czy potrafię. Tylko raz byłam na letnim obozie. Nie znam takich opowieści. Gdzie miałam się ich nauczyć, skoro potem już nigdzie nie wyjeżdżałam? Wiesz co? Chodźmy spać. Wejdę pierwsza do namiotu i szybko przygotuję się do snu.

- A ja będę stać na straży - odparł żartobliwie. Maggie spostrzegła, że nie ma Saby. Mądra

psinka. Od uroków leśnego obozowiska wolała miękkie poślanie w domu Córy."

Maggie szybko zdjęła obcisłe spodnie i skarpetki, narzuciła flanelową koszulę Marka i wślizgnęła się do śpiwora.

Głupia była tamta opowiastka. Same bzdury: morderca z żelaznym hakiem, napalony bohater, no i wystraszona panna, goła jak święty turecki.

- Mogę wejść? - Mark stał u wejścia do namiotu.

Zgasił ognisko i w obozie pociemniało. Na tle granatowego nieba widziała tylko jego sylwetkę. Niski, głęboki głos wywoływał przyjemny dreszcz. Maggie z przerażeniem myślała, że ten jasnowłosy macho położy się zaraz obok niej w namiocie o wymiarach psiej budy.

- Chwileczkę...

Drżącymi rękami manipulowała przy suwaku śpiwora. Gdy była już przykryta po samą szyję, zaprosiła Marka do namiotu.

*Jennifer Drew*

- Wygodnie ci? - zapytał.
- Tak, bardzo - skłamała, choć przez śpiwór, karimatę i nylonową podłogę namiotu czuła każdy kamyk, patyk i korzeń.
- Pięknych snów.
- Stawiam raczej na koszmary.
- Mam nadzieję, że jesteś skowronkiem.
- Raczej sową.

Długo leżała bez ruchu. W starannie zapiętym śpiworze było jej okropnie gorąco. Wierciła się, próbując bezszelestnie odsunąć zamek błyskawiczny. Po kilku próbach wreszcie się udało. Odetchnęła z ulgą i położyła się na boku, wsłuchana w leśne odgłosy. Wokół namiotu trwała ożywiona krzątania. Rozmaite żyjątka zamiast spać prowadziły nocne życie.

Współczuła nocnym myśliwym, a zarazem biadała nad ich głupotą. Jak mają złapać ofiarę, skoro tak hałasują? Trudno, same są sobie winne.

Rozpoznała granie świerszcza powtarzającego swoją melodię. Ciekawe, co tak skrobie obok namiotu. Paskudny dźwięk. Nie miała ochoty spotkać się z osobnikiem, który go wydaje.

Chwileczkę! Właściwie co to za skrobanie?

Dobry Boże! Czy warto dla zwykłego kontraktu narażać się na ogromne niebezpieczeństwo?

Podciągnęła kolana pod brodę i leżała, nasłuchując. Nie wymyśliła sobie tego dźwięku. Wciąż go słyszała.

Nagle znieruchomiała ze strachu. Przesłonięte gazą okienko namiotu było odsłonięte. Czyżby ktoś przy nim manipulował? Przez chwilę łudziła się, że

### ***Autor pilnie poszukiwany 81***

to złudzenie optyczne. Niestety. Co gorsza, ciche, uporczywe skrobanie nie dawało jej spokoju.

- Dlaczego się tak wierzisz? - mruknął zaspany Mark. - Jeśli mam czuwać, powinnaś mnie jakoś zabawiać.

- Coś słyszałam.

- Bzdura! Nic złego się nie dzieje.

Odwrócił się do niej plecami. Mimo woli podziwiała szerokie ramiona.

Pachniał bardzo przyjemnie: słońcem, latem i sianem.

- Mark, mówię serio. Coś tu skrobie. Nie słyszysz?

- O Boże! - Jęknął przeciągle: - Teraz rozumiesz, co się dzieje, gdy ludzie przed zaśnięciem opowiadają sobie straszne historie.

- Nie zmyślałaś. To się zdarzyło naprawdę, co?

- Ależ skąd! Mnóstwo takich historyjek krąży po mieście.

- Nieważne. Coś słyszę i to nie są żadne omamy.

- Może wiatr kołysze gałęzią - odparł bez przekonania sennym głosem.

- Gdzieś już to słyszałam. Lepiej wstań i sprawdź. To nie ja wpadłam na pomysł, żeby tu nocować.

- To bezpieczne miejsce. Nocowałem tu z bratem, kiedy miałem dwanaście lat.

Maggie ukłękła. Miała wielką ochotę potrząsnąć nim i wytargać za uszy.

- O, znowu! Słyszałaś?

- Wokół jest mnóstwo drzew, krzewów oraz

*Jennifer Drew*

zwierząt. My im nie szkodzimy i one zostawiają nas w spokoju. Jesteśmy bezpieczni. - Ostatnie słowa zabrzmiały ciszej, bo Mark przetoczył się na brzuch i przytulił głowę do poduszki.

- Przynajmniej wystaw głowę na zewnątrz i nadstaw uszu - nie dawała za wygraną.

Jęcząc i postępując, podczołgał się do wejścia, odsunął zamek błyskawiczny i wyjrzał na zewnątrz.

- Nic tam nie ma - zapewnił.

- Kłamiesz. Musiałeś coś słyszeć.

- Nie dasz mi spokoju, aż włożę buty i obejdę obozowisko.

- Aha - potwierdziła z chmurną miną, zakładając ramiona na piersi.

- Jeśli ustąpię, położysz się i dasz mi spać?

- Oczywiście - zapewniła.

Nagła inspekcja nie potwierdziła jej obaw. Maggie nie dowierzała Markowi, więc łąziła za nim krok w krok.

- A nie mówiłem, że wszystko jest w porządku? Czy teraz mogłabyś łaskawie wleźć do śpiwora i trochę pospać? Masz jeszcze jakieś problemy?

Chętnie poskarżyłaby się na twarde podłoże i okropną ciasnotę. Było jej za gorąco i okropnie się denerwowała, ale nie chciała, żeby Mark uznał ją za przewrażliwioną królową na ziarnku grochu.

- Nie chcę ci przeszkadzać - odparła cicho.

- No nie wiem... W każdym razie nie mam teraz ochoty rozmawiać.

- Wracamy do namiotu i kładziemy się spać. Leżała bezsennie w śpiworze, gapiąc się na

*Autor pilnie poszukiwany*

83

granatową kopułę namiotu. Była pewna, że do świtu nie zmruży oka. Pan Granville powinien ją po rękach całować. Dla niego zносиła ten koszmar. Zacisnęła powieki. Trzeba przeczekać do rana.

Gdy otworzyła oczy, kopułę namiotu rozświetlał słoneczny blask. Nie mogła uwierzyć, że zasnęła. Kiedy? Jak? Czy podejrżane skrzypienie i trzaski rozległy się znowu? Wyciągnęła rękę i dotknęła sąsiedniego pośłania.

Mark odszedł! Zostawił ją. Była zbyt zmęczona, żeby rozpaczać. Nagle poczuła miłą woń. Las pachniał kawą. Oprzytomniała wreszcie. Był ranek. Skończyła się koszmarna noc.

- Za parę minut zapraszam na śniadanie - powiedział Mark, wsuwając głowę do namiotu. Nagle zdała sobie sprawę, że siedzi na śpiworze w jego koszuli zwiniętej w talii.

- Nie gap się!

- I tak wszystko widziałem. Świetna pupa, niezłe nogi.

- Nogi są fantastyczne! Chyba wiem, jak wyglądam.

- No pewnie! Żartowałem! Mam nadzieję, że jesteś głodna, bo harowałem jak niewolnik, żeby śniadanko było pierwsza klasa. Zaparzyłem kawę.

- Czuję zapach bekonu.

- Jest gotowy. Usmażyłem też naleśniki z syropem klonowym zrobionym przez moją babcię. Jeśli musisz iść na stronę, to migiem.

Wskazał jej właściwy kierunek. Latrynka była

*Jennifer Drew*

prosta, ale funkcjonalna. Umycie rąk i twarzy w lodowatej wodzie strumienia ostatecznie ją rozbudziło.

Wskoczyła do namiotu i naciągnęła spodnie, a potem usiadła przy małym ognisku i wdychała rozkoszne zapachy.

- Dawno wstałeś? - zapytała.

Kawa pita z metalowego kubka bardzo jej smakowała.

- Pamiętaj, że praca w obozowisku to mój zawód. Śniadanie dla dwojga robię w mgnieniu oka. Nie wiem, czy zauważyłaś, że wczoraj miałem ze sobą plecak, a tutaj jest kilka kryjówek ze sprzętem i podstawowymi wiktuałami.

- Wczoraj w nocy naprawdę słyszałam podejrzaną dźwięki.

- Ja również, ale zapewniam cię, że to były naturalne odgłosy.

Podał jej metalowy talerz, ostrzegając, żeby nie stawiała go na kolanach, bo wszystko jest gorące. Rzuciła się na proste potrawy, jakby umierała z głodu. Jadła palcami, bo plastikowe sztucce okazały się nieporęczne.

Mark usiadł po drugiej stronie i uważnie ją obserwował.

- Jestem wściekła, że użyłeś szantażu, chcąc mnie tu zatrzymać, ale warto było się pomęczyć, bo to najlepsze śniadanie, jakie w życiu jadłam.

Z łakomstwa pochłonęła drugi naleśnik.

- Dotrzymałaś słowa, więc po powrocie do domu babci podpiszę kontrakt

- obiecał, gdy kończyła śniadanie.

*Autor pilnie poszukiwany*

85

- Zostało jeszcze trochę kawy?

Mark parzył ją w biało-niebieskim emaliowanym dzbanku. Widywała takie jedynie w antykwariatach.

- Owszem. Daj kubek. Pewnie się cieszysz, że lada chwila stąd znikamy.

- Zjesz tamten plasterek bekonu?

- Częstuj się - odparł z uśmiechem.

- Pomogę ci zwinąć obóz - oznajmiła, skubiąc chrupiący plasterek. -  
Potem wracamy do twojej babci i podpisujemy kontrakt.

- Taki mam zamiar - odparł.

- Świetnie.

Maggie zebrała z patelni skrawki bekonu i zjadła je ze smakiem. W swoich przewodnikach całkiem słusznie napisała, że wypoczynek na świeżym powietrzu wzmacnia apetyt.



## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Babcia zmierzyła Marka badawczym spojrzeniem. Maggie odjechała niespełna godzinę temu, a jednak nie padło ani jedno słowo na jej temat. Gdy babcia patrzyła w milczeniu jasnoniebieskimi oczyma, można się było spodziewać poważnych kłopotów.

- Podpisałem kontrakt - oznajmił bez emocji.  
- Bardzo jej na tym zależało. Po to przyjechała. Babcia nadal milczała. Dobrze znał jej metody.

Nie odezwie się, póki on w złości czegoś nie palnie. Problem w tym, że dawno przestał być chłopcem i nie szukał zwady.

- Nie wrócę na obiad - oznajmił, zbierając się do wyjścia.  
- Co ma nocleg na płaskowyżu do tej roboty?  
- spytała z ociąganiem Córa.

*Autor pilnie poszukiwany*

87

- To dość skomplikowane.

Skoro potrzebuje informacji, niech je z niego wyciągnie.

- Mów śmiało. Wszystko zrozumie. Nie jestem dementywną staruszką. Oho, sprawa jest poważna, skoro babcia sięgnęła po najcięższą amunicję. Ilekroć wspominała o swoim wieku lub chorobach, chciała postawić na swoim.

- Daleko ci do takiego stanu, kochanie. - Podszedł bliżej i ucałował zmarszczone brwi.

- Śliczna dziewczyna - powiedziała babcia. Nie zwróciła uwagi na całusa, ale trzymała się tematu.

- Miastowa panna. Po raz pierwszy w życiu nocowała pod gołym niebem.

- Spędziłaś z nią noc w małym namiocie. Czyżby zamierzała wpoić mu na nowo surowe

zasady moralne? Był po trzydziestce. Powinna liczyć się z tym, że sypiał z kobietami i nadal zamierza to robić. Dlaczego tak się troszczyła o

Maggie Sanders?

- Spaliśmy w jednym namiocie i nic poza tym.

- Nie to leży mi na sercu - zachnęła się gwałtownie.

- Powinnaś się troszczyć przede wszystkim o siebie i nie robić głupstw, kiedy mnie nie będzie. Jeśli masz coś do przeniesienia albo naprawienia, nie szarżuj, tylko poczekaj, aż wrócę.

- Maggie jest śliczna i potrafi się zachować. Kiedy zakazałam jej wchodzić do kuchni, usłuchała. Ma sporo oleju w głowie. Przydałaby ci się taką kobieta. Umiałaby tobą mądrze pokierować.

*Jennifer Drew*

- Wrócę po południu - powiedział Mark, udając, że tego nie słyszy. Wybierał się do składu materiałów budowlanych. - Przestań się o mnie martwić. Sam o siebie zadbam. Żadna kobieta nie musi się mną opiekować.

Babcia była niezadowolona i chętnie natarłaby mu uszu, ale w samą porę wymknął się z domu.

Przez dwa najbliższe dni lało jak z cebra. Mark studiował plany swego domu i czekał na telefon od przedstawicieli Domu Wydawniczego Granville. Powinien się wkrótce dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się pierwsze spotkanie autorskie.

Trzeciego dnia wypogodziło się nareszcie. Dzień był słoneczny, wręcz upalny. Mark od rana pracował na płaskowyżu, szykując fundamenty pod swój nowy dom. Następnego dnia spodziewał się pierwszej dostawy materiałów budowlanych. Na płaskowyż wiodła stara leśna droga, okrężna, ale wygodna. Tamtędy miały być przywiezione. Gdy przyszedł do babci na obiad, był zgrzany, spocony i uradowany. Po raz pierwszy samodzielnie budował dom, ale nie miał z tym problemów. Na pewno sobie poradzi. Dziadek był świetnym cieślą i nauczył go wszystkiego, co umiał.

Babcia czekała na ganku.

- Dzwonili z pracy. To nie była Maggie - oznajmiła trochę zawiedziona. - Zapisałam numer telefonu.

Mark nie miał zamiaru odzywać się natychmiast do ludzi z wydawnictwa, ale babcia uparcie milczała podczas obiadu. Bez słowa zjedli rosół oraz

*Autor pilnie poszukiwany*

89

kurczaka z warzywami i świeży razowy chleb. Mark westchnął ciężko. Zanim Maggie pojechała do domu, podpisał ten cholerny kontrakt, więc powinien zadzwonić i sprawdzić, czego chcą.

Telefon odebrała panna Mason, sekretarka pana Granville'a. Po głosie poznał, że ma swoje lata. Była chyba niewiele młodsza od jego babci, ale znacznie bardziej nadęta.

- Pański harmonogram jest gotowy. Ma pan faks? Zaraz go panu wyślę.

- Niestety, nie. Proszę zrobić wydruk i przesłać mi go pocztą.

- Może priorytetem? Czasu jest niewiele. Zwykły list idzie kilka dni.

Po co ten pośpiech? Mark nie lubił, żeby go popędzano.

- Sam odbieram pocztę w urzędzie. Tu nikt jej nie dostarczy. Kiedy jestem wam potrzebny? - zapytał.

- Pańska trasa promocyjna zaczyna się pojutrze. Zrobiliśmy już wszystkie niezbędne rezerwacje.

- Maggie jedzie ze mną, prawda?

- Niestety, nie. Zdecydowaliśmy inaczej. Panna Sanders ma obecnie za dużo obowiązków. Będzie panu towarzyszyć jej redakcyjna asystentka, panna Jordan.

- Kto to jest?

- Rayanne Jordan. Przed awansem była zwykłą sekretarką. - W głosie panny Manson dał się słyszeć ton niezadowolenia.

- Blondynka z kolczykiem w brwiach? - zapytał Mark.

*Jennifer Drew*

- Tak. Wracając do harmonogramu... Mam go panu przeczytać?
  - Nie, dziękuję. Niech mnie pani przełączy do Maggie.
  - Panna Sanders pracuje dziś w domu. - Sekretarkę pana Granville'a wyraźnie zirytowało jego żądanie.
  - W takim razie poproszę o jej domowy numer telefonu.
  - Przykro mi, ale nie zostałam upoważniona do podawania takich informacji.
  - Jest Granville? Chcę z nim mówić.
  - Pan Granville wyjechał w interesach. Do wieczora będzie nieuchwytny.
  - W takim razie kto tam dziś u was pracuje?
  - Łączę z panną Jordan.
- Mark jęknął, przypominając sobie ekscentryczną sekretarkę. Natknął się na nią w wydawnictwie, gdy przyjechał oddać Maggie kopertę. Ubrana na czarno dziewczyna miała lekko obrzmiałą twarz. Jeśli Maggie uważa, że wyśle go w trasę z tą dziwaczną smarkulą, to się grubo myli. Obiecała, że z nim pojedzie i musi dotrzymać słowa. Szkoda, że nie zastrzegł sobie tego w kontrakcie, ale sądził, że sprawa jest oczywista, a ustne umowy obowiązują.
- Widzę, że jesteś mocno zdenerwowany - powiedziała Cora, gdy odłożył słuchawkę.
  - Jutro przywiozą materiały budowlane, a ja pojutrze zaczynam trasę promocyjną.
  - Podpisałeś kontrakt, więc musisz jechać - odparła bez odrobiny współczucia.

*Autor pilnie poszukiwany*

91

- Jadę wkrótce do Pittsburgha. Nie wiem, o której wrócę. Zadzwoń do ciebie.

Wykąpał się, bo od rana ciężko pracował, robiąc wykop pod fundamenty, więc był spocony i brudny. Zawsze gdy jechał do miasta, używał dobrej wody toaletowej. Te wszystkie zabiegi nie miały nic wspólnego z faktem, że postanowił zobaczyć się z Maggie.

- Muszę przyznać, że ładnie pachniesz mruknęła babcia. - Jedziesz do Pittsburgha? Maggie tam pracuje i mieszka, prawda?

Był za stary, żeby kobieta, niezależnie od wieku albo stopnia pokrewieństwa, wyciągała z niego podstępnie, jakie ma plany na cały dzień.

Maggie zdecydowała się popracować w domu, żeby uniknąć spotkania z panem Granville 'em, który namawiał ją usilnie, żeby pojechała z Markiem w trasę promocyjną. Nie miała na to ochoty, bo wiedziała, że to igranie z ogniem. Namówiła go w końcu, żeby zamiast niej pojechała redakcyjna asystentka, ale szef znany był z tego, że zmieniał decyzję w zależności od swego widzimisie.

Maggie wpadła na pomysł, żeby Rayanne awansowała. Towarzysząca temu podwyżka była wprawdzie minimalna, a nowy zakres obowiązków obejmował także czynności sekretarki. Ponieważ pan Granville nie zamierzał teraz nikogo zatrudnić, więc i po zmianie właściciela pozycja Rayanne będzie wyższa, ale po awansie zaliczała się do pracowników merytorycznych; a nie biurowych.

*Jennifer Drew*

Poza tym jako młodszy redaktor będzie właściwą towarzyszką podróży dla poczytnego pisarza. Na pewno się dogadają. Rayanne była pogodna i towarzyska. Dla niej taki wyjazd to pestka.

Maggie po raz trzeci czytała ten sam paragraf, gdy usłyszała dzwonek telefonu. I bardzo dobrze! Zasłużyła na krótką przerwę.

- Cześć, tu młodszy redaktor Rayanne Jordan. -Asystentka Maggie uwielbiała tytuły. Marzyła, by poślubić hrabiego lub barona.

- Co się dzieje? Jesteś w pracy?

- Tak. Możemy spokojnie rozmawiać. Siedzę w twoim biurze. Drzwi są zamknięte.

- Dlaczego?

- Gargulec kazał mi przekazać informację.

Sekretarka pana Granville'a wymagała od młodszych wiekiem i stanowiskiem pracowników wydawnictwa hołdów i wyraźnych oznak szacunku. Niepokorna Rayanne od razu wymyśliła dla niej przezwisko. Do wyniosłej dziwaczki doskonale pasowała nazwa średniowiecznych maszkaronów wieńczących dachy gotyckich katedr. Maggie pokochała Rayanne jak siostrę, ale cieszyła się, że fazę totalnego zauroczenia średniowieczem i gotykiem mają już za sobą, bo co za dużo, to niezdrowo. W szczytowym momencie i Rayanne wyglądała jak bohaterka powieści fantasy z elementami horroru obficie podlanego mediewistycznym sosem. Ciekawe, jak Markowi będzie się współpracować z redakcyjną królową potępieńców.

- Dobrze nowiny? - zapytała. - Jeśli tak, mów

*Autor pilnie poszukiwany*

93

natychmiast, ale jeżeli chcesz mnie zasmucić, nie będę tego słuchać.

- Dzwonił pan Sully. Domagał się twojego adresu i numeru telefonu.

Gargulec z nim gadał.

- Pan Sully, rzecz jasna, nic nie wskórał. - Maggie bała się, że drżenie głosu zdradzi jej nerwowość.

- Tak się składa, że mu dałam twoje namiary.

- Jak mogłaś! To nie licuje z godnością młodszego redaktora!

- Przekonał mnie, że musi się z tobą pilnie skontaktować. Tłumaczył, że prędzej czy później dostanie od kogoś te namiary, więc nie powinnam utrudniać mu życia. Jego argumenty trafiły mi do przekonania. Wybacz, Maggie. Facet ma gadane. Każda dziewczyna poszłaby za nim...

- Nieważne. Chcesz powiedzieć, że zamierza tu przyjść?

- Tak sędzę.

- Od dziś wydłuża się o dwie godziny czas pracy młodszych redaktorów. W piątek wieczorem mają dłużej siedzieć w wydawnictwie.

- Proszę używać liczby pojedynczej. Szefowa ma na razie tylko jedno popychadło. To był żart, prawda?

- Zobaczymy. Powiem ci, kiedy będzie wiadomo, czy Mark tu przylezie, czy nie.

Odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, ile czasu zajmie mu droga do jej mieszkania. Gdyby jechał prosto z siedziby wydawnictwa, przy sprzyjających warunkach dotarłby tutaj w kwadrans, ale na pewno utknie w korkach. Miała dość czasu, żeby opuścić mieszkanie, zanim się tu zjawi.



*Jennifer Drew*

Chwyciła torebkę i nagle znieruchomiła, bo uświadomiła sobie, że robi głupstwo. Mark Sully nie budził w niej obaw. I co z tego, że niezobowiązująco złożyła mu pewne obietnice? Sugerowała, że będzie mu towarzyszyć podczas trasy promocyjnej, ale w kontrakcie nie ma o tym ani słowa. Poza tym Mark szantażem wymusił na niej obietnicę. Przez niego musiała spać w namiocie.

Została uprzedzona o wizycie, ale gdy usłyszała głośnie stukanie do drzwi, wzdrygnęła się przerażona. To na pewno on. Nie ma wątpliwości. Kto inny pukałby zamiast nacisnąć dzwonek?

Rozejrzała się po salonie utrzymanym w barwach jesieni. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że całe mieszkanie tworzy otwartą przestrzeń. Nie miała się gdzie schować przed natrętnym współpracownikiem. Mógł ją obserwować do woli, ponieważ nie miała zasłon, a beżowe rolety były podniesione.

Pukanie rozległo się znowu.

Chwileczkę! Była tu jedna doskonała kryjówka. Garderoba miała solidne drzwi. Trzeba się zaszyć...

- Wiem, że tam jesteś, Maggie. Widziałem na parkingu twój samochód. Dość tego! Żadnych kryjówek. Dziś wieczorem nie zmrużyłaby oka, gdyby nie załatwiła sprawy od razu. Otworzyła szeroko drzwi i z ponurą miną popatrzyła na intruza.

- Skąd wiesz, gdzie parkuję? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Nie mam pojęcia. Blefowałem, jak widać

*Autor pilnie poszukiwany*

**95**

skutecznie. Przyszło mi do głowy, że tamta dziwna pannica uprzedzi cię o mojej wizycie. Obawiałem się, że poszukasz sobie kryjówki, aby uniknąć spotkania.

Zarumieniła się, ale nie zamierzała przyznać, że trafił w dziesiątkę. Bez słowa odsunęła się na bok i wpuściła go do środka. Nie będą przecież klócić się w progu.

- Chciałbym zapytać, dlaczego wycofałaś się z umowy - powiedział, zakładając ramiona na piersi. Czarny T-shirt podkreślał muskulaturę torsu i ramion. - Przecież obiecałaś, że będziesz mi towarzyszyć, kiedy zaczniesz się ten promocyjny cyrk.

- Nie przesadzaj! Przecież to śmiesznie. Przyjeżdżasz do księgarni, rozdajesz autografy, uśmiechasz się szeroko do czytelników. Prosta sprawa.

- Żadnego gadania?

- Kilka słów dla radia i telewizji. Ewentualnie głośne czytanie książki.

Rayanne da ci kilka arkuszy z typowymi pytaniami i odpowiedziami.

Łatwiej sobie z nimi poradzisz, bo jesteś stary praktyk. Znasz to wszystko z autopsji.

- Już mówiłem, że w waszym planie jest pewien słaby punkt.

- Jaki? - spytała ostrożnie.

- Obiecałaś ze mną jechać.

- Tak. Zanim mnie zmusiłeś do nocowania w namiocie. Tamten szantaż przesądził o mojej decyzji.

- Tak ci się tylko wydaje!

## 96 *Jennifer Drew*

- Zmusiłeś mnie, żebym ryzykowała życie...
  - Na płaskowyżu jest bezpiecznie. Ludzie spacerujący w ciemnościach narażają się na większe zagrożenie niż my podczas tamtego biwaku. Zapewne miał rację, ale Maggie wolałaby dotknąć ogromnego włochatego pająka, niż przyznać Markowi rację.
  - Uwierzyłem ci na słowo - nie dawał za wygraną. - Ujmę to w ten sposób: jedziesz ze mną albo wychodzę z gry.
  - Podpisałeś kontrakt. Nasi adwokaci...
  - Proszę bardzo, podaj mnie do sądu.
  - Pewnie, że to zrobię! Zostaniesz oskarżony o niedotrzymanie warunków kontraktu.
  - Skarbie, w tym sporze nie byłabyś stroną. Umowa w ogóle o tobie nie wspomina. Poza tym nie sądzę, żeby Granville chciał wikłać swoje wydawnictwo w taki proces. Przecież chodzi o mistyfikację i próbę oszukania czytelników. Po takiej aferze miałyby ogromne problemy ze sprzedażą firmy.
- I kto to mówi? Maggie nie poznawała Marka Sully'ego. Zamiast przeciągać sylaby i mówić krótkimi urywanymi zdaniami perorował jak nowojorski prawnik. Nagle zdała sobie sprawę, że stoi nieruchomo i gapi się na niego z otwartymi ustami. Zamknęła je natychmiast.
- Pakuj się - rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Rozejrzał się i wszedł na schody.
  - A ty dokąd?! - zawołała, biegnąc za nim i stukając obcasami.

*Autor pilnie poszukiwany*

97

Nim go dogoniła, buszował już w garderobie.

- Przestań, Mark, nie masz prawa...

- Zabierz to. - Rzucił jej ulubioną małą czarną.

- Zostaw tę sukienkę. Jest zbyt elegancka do codziennego użytku.

- Bestsellerowy pisarz taki jak M. S. Stevens pokazuje się z eleganckimi kobietami. O, ładny ciuch. Zabieramy.

Dorzucił do niewielkiego stosu rzeczy spódniczkę z czarnej skóry.

Maggie kupiła ją przed rokiem na wyprzedaży i może ze dwa razy miała na sobie, bo nie mogła się pozbyć zbędnych pięciu kilogramów. Dopiero wtedy dobrze by w niej wyglądała.

- Gdzie twoja walizka? Nieważne, sam znajdę. Wyciągnął spod łóżka granatową torbę na kółkach. Postawił ją przy łóżku i wrócił do garderoby.

- Za dużo czerni. Potrzebujemy weselszych kolorów. Czerwony garnitur jest w porządku. Bierzemy. - Odsunął na długość ramienia marynarkę i spodnie w przezroczystych plastikowych torbach.

- To wełna! Takie rzeczy nosi się w grudniu. Dlatego wiszą w torbach.

- A co myślisz o tym? - Zdjął z wieszaka krótką białą kamizelkę. - Będzie świetna do skórzanej spódniczki. Wystarczy, że pokażesz kawałek odsłoniętego brzucha i faceci zaczną szturmować stoisko z przewodnikami, starając się wkupić w twoje łaski. Każdy będzie marzył, żeby taka fajna dziewczyna zaprosiła go do swego namiotu.

- Jesteś okropny! Zaraz złożę rezygnację i nie

*Jennifer Drew*

będę musiała nigdzie z tobą jechać. - Odwróciła się do niego plecami.

- Nie mogę wyruszyć bez ciebie - powiedział cicho.

Podszedł bliżej, objął ją od tyłu i wtulił twarz w ciemne włosy.

- Ślicznie pachniesz - powiedział głosem słodkim jak miód.

- Nie jestem ci potrzebna. Musisz jechać sam. Próbowała wysunąć się z jego objęć, ale trzymał

ją mocno. Po plecach przebiegł jej miły dreszcz, a kolana uginały się niebezpiecznie.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Boję się. Musisz podtrzymać mnie na duchu - szepnął.

- Proszę?

Wyrwała się w końcu z jego ramion.

- Nie przesłyszałaś się. Zrozum, nie jestem sławnym człowiekiem.

Wolałbym mocować się z niedźwiedziem niż opowiadać czytelnikom, o co chodzi w przewodnikach. W twoim świecie czuję się bardzo zagubiony, a to lęk.

- Przecież ty się nikogo nie boisz!

- Powiedziałem ci prawdę.

- Rayanne potrafi...

- To postrzelona smarkula. Wątpię, żeby przeczytała choć jedną z twoich książek. Maggie, ty decydujesz. Jeśli nie przyjedziesz na lotnisko, nie wsiądę do samolotu. - Podszedł do drzwi sypialni i nagle znów się odwrócił. - Jesteś mi potrzebna.

*Autor pilnie poszukiwany*

**99**

Uśmiechnął się nieśmiało, jakby zakłopotany tym wyznaniem. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby podbiec i pocieszyć go. Powinien wiedzieć, że go rozumie, że będzie mu służyć radą i we wszystkim pomoże. Nim zrobiła krok w jego stronę, już wyszedł.

Odkrycie nieznanymi dotąd cech Sully'ego było dla niej prawdziwym wstrząsem. Już wiedziała, że pojedzie, ale z niepokojem myślała o dniach, które mieli spędzić we dwoje.

Co by się stało, gdyby zakochała się w Marku? Nie pasowali do siebie. Jego świat był dla niej nie do przyjęcia, a on czułby się osamotniony w jej rzeczywistości. Trochę się w tym pogubiła. Nie tylko Mark miał powody do obaw.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

- Ale kurnik! Muszę przyznać, że czego innego się spodziewałem - wymamrotał Mark.

Maggie z trudem za nim nadążała, gdy szli w stronę niezależnej księgarni Emporium, jednej z najlepszych w Filadelfii.

- Sprzedają tu dużo moich... to znaczy pańskich przewodników, drogi panie Stevens.

- W głowie się nie mieści - mruknął zirytowany. - Nie pojmuję, czemu przebrałaś się za właścicielkę zakładu pogrzebowego.

- Sam wrzuciłeś mi do walizki czarne ciuchy.

- Nie przypominam sobie, żebym wyjmował z garderoby takie rzeczy.

Maggie gotowa była przyznać, że jej czarny garnitur jest przesadnie konserwatywny, co pod

### ***Autor pilnie poszukiwany 101***

kreślała dodatkowo biała koszulowa bluzka w męskim stylu, zapięta pod samą szyję.

Celowo ubrała się w ten sposób, bo nie chciała rzucać się w oczy.

Głównym bohaterem spotkania miał być Mark. Wyglądał świetnie w granatowych spodniach, nowiutkich albo starannie odprasowanych.

Bładoniebieska koszula podkreślała intensywny błękit jego oczu. Górne guziki pozostały rozpięte, dyskretnie ukazując jasne włosy porastające

tors. Zamiast ulubionych pionierek włożył markowe hiszpańskie mokasyny. Skarpetki dobrał starannie do butów i spodni. Krótko mówiąc, wyglądał jak mężczyzna z klasą.

- Szkoda, że nie poszedłem do fryzjera. Powinienem się ostrzec.

Z jego tonu wywnioskowała, że jest zdenerwowany. Chyba mówił prawdę, kiedy oznajmił, że boi się spotkań z czytelnikami, choć kiedy o tym wspomniał, sądziła, że ją nabiera.

- Twoja fryzura pasuje do wyobrażeń pana Granville'a na temat naszego bestsellerowego autora. Nie możesz być zanadto wymuskany. Wyglądasz świetnie - zapewniła.

Budynek, w którym mieściła się księgarnia, z zewnątrz wyglądał niepozornie, ale wewnątrz porażało rozmachem. Regały z książkami stały gęsto na trzech poziomach, między którymi dla wygody nabywców kursowała winda.

- Dzień dobry, kochani - przywitał ich za progiem młodzian w swetrze z białej bawełny, wypłowiałych spodniach z brązowego sztruksu



## 102 *Jennifer Drew*

i czarnych butach w szpic. Nosił małą bródkę oraz złoty kolczyk w uchu.

- Jesteśmy umówieni - odparła Maggie. - To M. S. Stevens, a ja nazywam się Maggie Sanders i jestem jego asystentką.

- Ach tak, nasz autor. - Młodzian skinął Markowi głową. - Nazywam się Gordon Petrus. - Podał jej spoconą, bezwładną dłoń. W pierwszym odruchu omal nie wytarła ręki o spodnie. - Wskażę panu stolik-oznajmił Gordon, prowadząc ich przez labirynt regałów. - Gościmy dziś także Amandę Riddle. Słyszeliście o niej, prawda?

- Naturalnie - skłamała Maggie, nie chcąc przyznać się do niewiedzy.

- A ja nie - burknął ponuro Mark.

Jak zwykle nie zamierzał nikomu schlebiać. Nawet grając rolę wziętego autora, musiał pozostać sobą.

- Napisała cudowną książkę pod tytułem „Duchy Filadelfii”.

Amanda, wychudzona jak charcica kobieta w średnim wieku z burzą siwych loków, siedziała już przy swoim stoliku. Gordon przedstawił jej Marka i Maggie.

- M. S.? - uśmiechnęła się do rzekomego kolegi po piórze. - To inicjały, a jak brzmią imiona?

Mark wydawał się lekko zdezorientowany.

- Mark Steven - wtrąciła pośpiesznie Maggie, zła na siebie, bo nie potrafiła wymyślić na poczekaniu nic oryginalnego.

- Jakże to urocze! - zachwyciła się Amanda. - Mark Steven Stevens!

### ***Autor pilnie poszukiwany 103***

Zachichotała jak nastolatka. Maggie nie potrafiła określić jej wieku. Siwe włosy pasowały do pięćdziesięciolatki, ale cera była gładka, młodzieńcza, bez jednej zmarszczki. Może Amanda zawdzięczała ją świetnemu chirurgowi plastycznemu. Albo wcześniej osiwiła.

Na składanych krzeselkach zasiadła spora grupa czytelników czekających na spotkanie autorskie. Niektórzy ustawili się w kolejce po autografy. Do Marka podeszła kobieta w średnim wieku ubrana w luźne zielonożółte szorty i białą koszulkę. Wodziła spojrzeniem od przewodnika do autora.

- Doświadczył pan wszystkiego, co jest tutaj opisane? - zapytała.
- Raczej tak - odparł z łobuzerskim uśmiechem.
- Ale nie są to wyłącznie moje przeżycia. Zwykle towarzyszy mi grupa sympatycznych turystów.
- Może pan zadedykować tę książkę Lorraine?
- zapytała rozpromieniona kobieta.
- Z przyjemnością - powiedział, obdarzając ją najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

Maggie obserwowała go uważnie. No i gdzie ten lęk przed czytelnikami oraz niechęć do publicznych wystąpień? Jak to się ma do zapewnień Marka, że jest mu potrzebna, bo sam sobie nie poradzi?

- Za pięć minut zaczynamy głośną lekturę - poinformował Gordon. - Kto z państwa czyta pierwszy? - zwrócił się do autorów.

Mark popatrzył na stojącą po prawej stronie Maggie. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, niewątpliwie padłaby trupem. Odwróciła wzrok

## 104 *Jennifer Drew*

i z zacięciem przeglądała poradniki dotyczące makramy oraz innych robótek ręcznych.

- Panie mają pierwszeństwo - rzucił skwapliwie.

- Och nie! - jęknęła Amanda. - Wolałabym, żeby pan czytał pierwszy. Muszę zebrać myśli i nawiązać kontakt z duchami tego budynku. Dopiero wtedy zacznę czytać.

Mark zostawił na moment łowców autografów i podszedł do Maggie z taką miną, jakby chciał ją udusić, więc cofnęła się i poradziła, uprzedzając jego pytanie:

- Zaczynaj od strony osiemdziesiątej siódmej. Masz tam opis górskiego spływu kajakowego. Szlak zaczyna się w Ohio i biegnie...

- Wiem którą. Chciałbym zapytać, dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że mam dziś czytać na głos.

Gdy do niej przyjechał, był tak zdenerwowany, że wolała nie mówić mu wszystkiego od razu, a potem jakoś się zgadało.

- Przepraszam - szepnęła skruszona. Czyelnicy poganiani przez Gordona zajmowali

miejsca, czekając na głośną lekturę. Księgarz przyniósł więcej składanych krzesełek. Pomagała mu wysoka i wiotka blondynka wpatrzona w Marka jak w obraz. Żadna z pań nie była odporna na jego urok. Większość klientek, które jeszcze przed chwilą snuły się wśród regałów, siedziała teraz na krzesłach, a gdy zabrakło miejsc siedzących, stawały pod regałami. Uradowany Gordon puszył się i czytał na głos fikcyjną biografię poczytnego autora umieszczoną na skrzydełku obwoluty. Dręczona poczu-

### ***Autor pilnie poszukiwany 105***

ciem wina Maggie zadawała sobie pytanie, dlaczego nie pisze o robieniu na drutach albo wystroju wnętrz. W tych dziedzinach miała przynajmniej niewielkie doświadczenie.

Mark znakomicie poradził sobie z lekturą, odpowiednio modulując głos, żeby oddać nastrój poszczególnych akapitów.

Gdy skończył, Gordon wstał, uśmiechnął się do publiczności i szerokim gestem wskazał Amandę, ale nim się odezwał, ręka jednej z czytelniczek wystrzeliła w górę.

- Chce pani o coś zapytać? - zwrócił się do niej Mark.

- Naprawdę przepłynął pan kajakiem cały szlak?

- Wszystko jest opisane w książce - odparł bez przekonania. - Trasa nie należy do trudnych, ale podczas takich wypraw najważniejsza jest troska o bezpieczeństwo. Trzeba mieć na głowie mocny kask, a także odpowiedni strój no i, rzecz jasna, kamizelkę ratunkową.

- Wkłada pan coś pod nią?

Maggie była zdegustowana pytaniem zadany przez podstarzałą wielbicielkę M. S. Stevensa. Kobiecie w jej wieku nie wypada tak chichotać, pomyślała z kwaśną miną.

- To zależy, z kim płynę - odparł, mrugając porozumiewawczo.

Panie jedna przez drugą zadawały najróżniejsze pytania. Każda próbowała choćby na moment przyciągnąć jego uwagę. Chyba im odbiło, uznała Maggie nie bez irytacji. To prawda, że facet jest

## 106 *Jennifer Drew*

zabójczo przystojny, odważny, wygadany, a kiedy chce, potrafi być czarujący, ale podczas wieczoru autorskiego należy dyskutować o książce! Te napalone babki najwyraźniej zapomniały, dlaczego tutaj przyszły. Na co czekają? Że Mark rzuci im klucz do pokoju hotelowego i zaprosi szczęściarę, której uda się go złapać?

Pytaniom nie było końca. Rozentuzjasmowana Amanda zapomniała o swoich duchach i na równi z innymi czytelniczkami indagowała radośnie kolegę po piórze.

Gordon znów musiał interweniować, bo księgarnię zamykano o piątej. Wkrótce przerwał spotkanie. Audytorium Marka rozchodziło się niechętnie.

- Dziękuję, że zechciał pan u nas gościć. Bardzo udane spotkanie.

Sprzedaliśmy wszystkie przewodniki, które były w magazynie. Szkoda, że nie zamówiłem więcej, ale kto by pomyślał, że wzbudzą tak wielkie zainteresowanie - powiedział Gordon.

- Ja również jestem zdziwiony - odparł Mark. Wkrótce goście opuścili księgarnię i poszli do hotelu, gdzie wcześniej potwierdzili rezerwację i zostawili bagaże.

- Okropne baby! - wymamrotała Maggie. - Niewiele brakowało, żeby hurmem rzuciły się na ciebie.

Mark wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne - protestowała. - Wolalabym, żeby M. S. Stevensa cechowało raczej poczucie godności, ogłada, głęboka erudycja...

Zajęci rozmową zbyt długo stali na skraju chod-

### ***Autor pilnie poszukiwany 107***

nika, szykując się do przejścia na drugą stronę jezdni. Zniecierpliwieni przechodnie omijali ich z gniewnymi minami. Mark zreflektował się pierwszy i pociągnął Maggie za ramię.

- Bądź ze mną szczerza. Chciałabyś sama występować jako M. S. Stevens - powiedział oskar-życielskim tonem. - Trudno ci przyjąć do wiadomości, że cała uwaga skupia się na mnie.

- Nieprawda!

- Czyżby?

Puścił jej ramię i ujął za rękę. Gdy weszli na chodnik po drugiej stronie jezdni, spadły im na głowy pierwsze krople deszczu. Maggie dopiero teraz spostrzegła, że niebo jest szare i zasnute ciemnymi chmurami.

- Zaczyna padać!

- Spokojnie. Nie jesteśmy z cukru - odparł Mark i przyspieszył kroku, prawie biegnąc w stronę hotelu.

- Czuję się zbędna i to mnie irytuje - wyznała szczerze. Krople deszczu spływały jej po twarzy. - Nie musiałeś mnie ze sobą ciągnąć. Sam byś sobie poradził.

- Nieprawda! Ty mnie inspirujesz.

- Byłeś tak zaabsorbowany oznakami uwielbienia zachwyconej publiki, że na mnie w ogóle nie zwracałeś uwagi.

- Nieustannie wyczuwałem twoją obecność.

- Przemokniemy do nitki - zmieniła temat.

- Biegnijmy!

Padało coraz mocniej. Spodnie miała mokre do kolan, włosy przyklepione go głowy. To był ciepły,

## **108 Jennifer Drew**

przyjemny deszcz, więc śmiała się na całe gardło, gdy przeskakiwali kałuże i omijali zapobiegliwych przechodniów, którzy nie zapomnieli o parasolach. Maggie brakowało tchu, bo pędziła co sił w nogach i chichotała jak szalona.

- Już widać hotel! - zawołał, wskazując ciemnozieloną markizę hotelu Royal Point. Przed wejściem portier w bordowym uniformie miotał się na wszystkie strony, daremnie próbując złapać taksówkę.

Trzymając się za ręce, statecznym krokiem weszli pod płócienną osłonę. Po co biec, skoro i tak przemokli? Mark odgarnął mokre włosy opadające na twarz. Pod przemoczoną cienką koszulą wyraźnie rysowały się mięśnie i pociemniałe od deszczu włosy na torsie. Maggie otarła dłonią policzki i odruchowo poprawiła fryzurę, udając, że nie zwraca uwagi na wspaniałą muskulaturę.

- Fajnie było - mruknął uradowany Mark.

- Jak komu - odparła.

Za nic w świecie nie przyznałaby, że doskonale się bawiła. Tupnęła nogą i omal nie wpadła na postawnego mężczyznę, który wyszedł z hotelu, ciągnąc walizkę na kółkach, i przyłączył się do grupki pasażerów z niecierpliwością czekających na taksówkę.

- Wchodzimy. - Mark wziął ją pod rękę. - Skoro mieszkamy w ekskluzywnym hotelu, z pewnością nikt się nie odważy powiedzieć złego słowa, gdy wkroczymy do holu, ociekając wodą. Śmiało, idziemy.

Zabawa trwa. A koro już o tym mowa, dlaczego tu nocujemy? Nie ma tańszych hoteli?

### ***Autor pilnie poszukiwany 109***

Weszli do wytwornego holu w starym stylu, wykładanego ciemną boazerią. Meble pokryte były bordową tkaniną. Bez pośpiechu szli do recepcji, zostawiając na lśniącem parkiecie mokre ślady.

- Pan Granville chce, żeby trasa promocyjna zrobiła wrażenie na jego kontrahencie, więc nie oszczędza. Panna Mason wypełnia tylko polecenia szefa, więc drogi hotel nie może być jej pomysłem. Praca jest całym jej życiem. Ciekawa jestem, co ta biedaczka robi, gdy pan Granville sprzedaje wydawnictwo. Będzie zmuszona przejść na emeryturę.

Maggie poszła za Markiem do windy. Ich pokoje znajdowały się na różnych piętrach. Czy gargulec wybrał dziewiąte i jedenaste, żeby nie ucierpiało poczucie przyzwoitości? Dzielące ich piętro należało uznać za strefę bezpieczeństwa.

- Zajrzę do ciebie, gdy wyschnę - obiecał Mark i uśmiechnął się do niej, nim wysiadł z windy. - Fajnie było razem moknąć - zapewnił, nim rozdzieliły ich zamykające się drzwi.

Maggie ze spuszczoną głową mijała lustra w korytarzu. Dopiero gdy weszła do pokoju, odważyła się popatrzeć na swoje odbicie i załamała ręce. Wyglądała jak zmokła kura. Przez mokrą tkaninę białej bluzki prześwitywał koronkowy stanik. Nic dziwnego, że Mark był taki rozbawiony. Na domiar złego pod cienkim żakietem rysowały się wyraźnie sterczące sutki. Trudno się dziwić, skoro trzęsła się z zimna w mokrym ubraniu. Normalna reakcja wychłodzonego organizmu. Rzecz jasna, nie ma mowy, żeby przypisać ją erotycznej ekscytacji.



## 110 *Jennifer Drew*

Przecież to wykluczone, żeby podniecała się w obecności Marka. Nic z tych rzeczy. Doskonale pamiętała, co czuła, obserwując, jak puszył się przed kobietami schlebującymi jego próżności w czasie wieczoru autorskiego.

Zrzuciła mokre ubranie i wzięła prysznic. Długo stała pod strugami ciepłej wody. Po kąpieli zamiast przebrać się do kolacji włożyła różową nocną koszulę i ciepły bawełniany szlafrok w szerokie niebieskie pasy. Proszę bardzo, teraz Mark może dzwonić albo nawet wpaść. Już postanowiła, jak spędzi dzisiejszy wieczór.

Telefon zadzwonił po kilku minutach.

- Spotkamy się w holu? A może wolisz, żebym przyszedł po ciebie do pokoju?

Głos w słuchawce miał podobne brzmienie jak na żywo, bez pośrednictwa urządzeń technicznych. Rzadka cecha.

- Ani jedno, ani drugie.

- Sądziłem, że idziemy jeść. Widziałem tutaj pub stylizowany na angielski. Ciekawe miejsce.

- Nie, dziękuję. Idź sam.

- Powinnaś zjeść kolację.

- Zamówię coś do pokoju. Muszę jeszcze popracować. Przywiozłam maszynopis. Trzeba go pilnie zredagować.

- Pomogę ci. Zaraz tam będę.

- To nie jest dobry pomysł.

- Skoro tak uważasz...

W jego głosie słyszała ton obojętności. Ogarnięta przygnębieniem doszła do wniosku, że mu na niej

### ***Autor pilnie poszukiwany 111***

zależy. Czyżby w głębi ducha pragnęła, żeby upierał się przy swoim i siłą sforsował drzwi, byle tylko spędzić z nią ten wieczór?

Połączenie zostało przerwane, więc odłożyła słuchawkę. Po chwili telefon zadzwonił ponownie.

- Spotkajmy się w barze za kilka godzin. Nie chcę, żebyś przez cały wieczór siedziała w pokoju całkiem sama - powiedział Mark.

- Mnie to nie przeszkadza. Powinieneś być jechać w trasę z Rayanne. Byłaby dla ciebie dobrą towarzyszką, bo w przeciwieństwie do mnie uwielbia nocne życie. Nie zapominaj, że rano lecimy do Baltimore. Jutro spotykamy się w holu o siódmej.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział i natychmiast odłożył słuchawkę.

Cholerny Sully! Niech go diabli wezmą! Gdyby się z niej nie podśmiewał, gdyby nie był taki zachwycony hołdami napalonych bab...

To bez znaczenia. Podjęła decyzję i musi się jej trzymać. Z Markiem łączą ją wyłącznie sprawy zawodowe. O romansie nie ma mowy. Ten facet był zbyt niebezpieczny, żeby mogła sobie pozwolić na zacieśnienie znajomości. Żadnych kontaktów na prywatnym gruncie.

A jeśli to dowód paskudnego tchórzostwa? Może po prostu bała się oddać serce mężczyźnie przeżywającemu w rzeczywistości takie przygody, które sama tylko opisywała?

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Poprzedniego dnia Maggie ubrana w ciemny garnitur wyglądała jak własna ciotka, ale dziś Mark uznał, że jest zachwycająca, choć nie był skłonny do szafowania komplementami. Ubrała się w jasnożółtą sukienkę. Elastyczna tkanina podkreślała znakomitą figurę. Mark rozpoznał bawełnianą dzianinę, z której szyto T-shirty, ale kreacja Maggie poza materiałem nie miała nic wspólnego z banalnymi koszulkami. Ramiona były odsłonięte, dekolot intrygujący, a co najważniejsze długość mini pozwalała cieszyć oko widokiem zgrabnych nóg od połowy ud aż po szczupłe kostki.

W Baltimore wylądowali z opóźnieniem, bo w Filadelfii jeden pas startowy był zablokowany. Stała na nim maszyna, która nie mogła wystartować

### ***Autor pilnie poszukiwany 113***

z powodu awarii. Gdy w końcu dotarli do celu podróży, musieli się bardzo spieszyć, żeby zdążyć na spotkanie autorskie w kolejnej księgarni.

- Wielkie gmaszysko - oznajmił Mark, gdy wynajętym samochodem wjechali na imponujący parking obok centrum handlowego, gdzie znajdowała się księgarnia. Maggie uparcie milczała. Zapewne nadal była zła. Uparła się, że będzie prowadzić. Mark skwapliwie zgodził się na to, ponieważ nie znosił miejskiego ruchu. Trochę bładzili, choć pilotował ją z planem miasta w rękę. Gdy pomylili zjazd z autostrady, nie winiła go, ale przestała się odzywać.

A może była taka drażliwa z tego samego powodu, który wczoraj przyprawił go o bezsenność? Pokoje oddzielone piętrem podobnie jak osobne śpiwory stanowiły przykrą i niepotrzebną uciążliwość. Mark coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, że pragnie Maggie i chce z nią być. Gdy wyskoczyła z auta i pobiegła do wejścia, z trudem dotrzymywał jej kroku.

- Nie jesteśmy spóźnieni. Zdążyliśmy na czas - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Wiem, ale przedstawiciele mediów już tu są. Wczorajsze spotkanie było swoistą rozgrzewką. Po drugiej stronie ulicy znajduje się ogromne centrum turystyczne, gdzie można kupić sprzęt, odzież, krótko mówiąc wszystko, co się wiąże z wypoczynkiem. Klienci często zaglądają do najbliższej księgarni, pytając o przewodniki, więc ten dział jest szczególnie hołubiony, bo przynosi spory dochód.

## 114 *Jennifer Drew*

- O co chodzi z tymi mediami?

Gdy znaleźli się przy drzwiach, pchnęła je sama, nie czekając, aż ją wyręczy.

- Będzie telewizja.

- Mam się wygłupiać przed kamerami? Przygotowałam więcej takich niespodzianek?

- Nie sądzę.

Stanęli u wejścia do imponującej sali sprzedaży zastawionej regałami, na których czekały karnie barwne tomy.

- Popatrz! Tam stoi operator. - Maggie ruchem głowy wskazała znużonego bruneta z sumiastymi wąsami, który metodycznie sprawdzał wszystkie urządzenia gwarantujące dobrą jakość obrazu.

Do gości podeszła Dorothy Kroger, dyrektorka księgarni. Maggie, nie tłumacząc się Markowi, zniknęła na zapleczu. Mark i bez niej dałby sobie radę. Zrobił z siebie mięczaka i nerwusa, bo chciał uzyskać jej zgodę na wspólny wyjazd. Udawanie poczytnego autora, spotkania autorskie i podpisywanie książek nie stanowiły dla niego problemu. Najgorsze, że wściekał się, kiedy Maggie zniknęła mu z oczu. Była denerwująca, nie pasowała do niego, ale opanowała mu umysł. Miał powody do obaw, ponieważ ostatnio na niczym nie potrafił się skoncentrować. Wręcz obsesyjnie myślał o Maggie. Po raz pierwszy w życiu przeżywał takie zauroczenie. Zadawał sobie pytanie, co się z nim dzieje. Dlaczego uganiał się za dziewczyną, która nigdy nie zaakceptuje jego stylu życia? Nic nie będzie z tej znajomości. Wątpił, żeby mieli szansę być

### ***Autor pilnie poszukiwany 115***

parą. Maggie gardziła podróżami, nie znosiła wypoczynku na świeżym powietrzu i czuła się szczęśliwa, mając etat i pracując od dziewiątej do piątej. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to nie potrafił się uwolnić.

Podeszła do niego kierowniczką księgarni.

- Chciałabym panu kogoś przedstawić. To jest Georgia Gainsborough z lokalnej telewizji.

- Miło mi panią poznać.

Ujął dłoń mocno tapirowanej blondynki ubranej w obcisłą czerwoną sukienkę. Popatrzył na długie czerwone szpony. Ciekawe, jak szybko połamałyby się podczas jednej z jego wypraw w nieznane. Wyglądały groźnie i zdawały się ostre jak sztylety.

Przez chwilę rozmawiał z Georgią o przewodnikach i opowiadał swoje przygody. Oto czym zajmują się autorzy promujący swoje książki: gadają o głupstwach i robią sobie reklamę. Mark czuł się nieswojo, ponieważ reporterka podeszła zbyt blisko. Czuł zapach dobrych perfum, ale odnosił wrażenie, że został zepchnięty do narożnika. Potrzebował swojej sekundantki. Gdzie jest Maggie? Teraz naprawdę była mu potrzebna.

Dyrektorka wskazała miejsce za długim stołem. Leżały na nim przewodniki. Każdy klient wchodzący do księgarni musiał tamtędy przejść. Łowcy autografów natychmiast hurmem ruszyli po zdobycz. Gdy Mark na moment podniósł głowę, zobaczył Maggie. Stała w pobliżu, przekomarzając się z dwoma młodzianami. Obaj trzymali w rękach przewodniki, ale nie pchali się do stolika po autograf.

*Jennifer Drew*

- Widzę, że czwarty tom już macie - zagadnęła Maggie.  
- Poprzednie też. Są świetne. Korzystamy z nich, planując wyprawy. Mark, który ukradkiem nadstawiał ucha i bezwstydnie podsłuchiwał, był szczerze zadowolony, że ktoś używa przewodników zgodnie z przeznaczeniem zamiast traktować je jako przyjemną lek-turkę na zimowe wieczory.

Siedząca przy stole dziennikarka pochyliła się ku Markowi. Ich twarze dzieliło niespełna dziesięć centymetrów.

- Ależ pan musi być silny, żeby walczyć z nurtem i falami. Wiosłowanie to trudny sport.

Obiecał sobie, że jeśli blond babsko dotknie jego bicepsa, zrezygnuje z udziału w tej farsie i opuści księgarnię. Facet nie może się tak poniżyć tylko dla pieniędzy.

A dla miłości?

Pod wpływem niepokojącej myśli zaczął się nagle podpisywać się jako M. S. Stevens literami o połowę większymi niż poprzednio. Skarcił się za nieuwagę i rozumniej składał autografy, żeby przez niedbalstwo nie użyć swego nazwiska.

Blond dziennikarka pochyliła się w jego stronę, śmiało prezentując wspaniały dekolt.

- Odniósł pan dzisiaj wspaniały sukces - zagadnęła.

- Przesada. Sprzedałem tylko kilka książek.

- Może porozmawiamy przy kolacji? Trzeba się

### ***Autor pilnie poszukiwany 117***

zastanowić nad przyczynami pańskiego ogromnego powodzenia - szczebiotała przymilnie Georgia.

- Obawiam się, że wieczorem mamy ważne spotkanie - przerwała Maggie, która skończyła rozmowę z dwoma młodzianami i podeszła do stołu.

- Moja menedżerka - powiedział Mark i natychmiast zaczął się denerwować, bo użył niewłaściwego określenia. Chodziło mu przecież o agentkę. Zresztą kto by się w tym wszystkim od razu połapał?

- Pisarze mają swoich menedżerów? - spytała zdziwiona dziennikarka.

- Owszem, jeśli odnoszą takie sukcesy jak pan Stevens - wyjaśniła Maggie głosem ociekającym fałszywą słodyczą, jakby nagle zapomniała, że dziennikarze są czwartą władzą zdolną utrać albo napędzać kariery.

- Proszę mi dać wizytówkę - zaproponował Georgii Mark, który właśnie sobie o tym przypomniał. - Zadzwoń do pani, jeśli uda się przełożyć spotkania.

Mrugnął do niej porozumiewawczo. Miał nadzieję, że da się ułagodzić tym gestem, a M. S. Stevens nie będzie mieć w przyszłości kłopotów z mediami.

- Czekam niecierpliwie - zapewniła i odeszła, zmysłowo kołysząc biodrami.

- Zyskałeś nową wielbicielekę - stwierdziła drwiąco Maggie.

- Doskonale. Taki jest przecież cel i sens tej promocji.



*Jennifer Drew*

- Owszem, ale nie pojmuję, dlaczego ja mam w niej uczestniczyć. Doskonale sobie radzisz bez mojej pomocy.

Napór łowców autografów chwilowo zelżał, więc Mark wstał, żeby rozprostować nogi i nacieszyć się bliskością jadowitej pseudoagentki. Dzielilo ich zalewie kilka centymetrów, a miał wrażenie, jakby stali na przeciwległych krańcach bezdennej przepaści.

- Pozory mylą - odparł z powagą. - Sama nie wiesz, ile ci zawdzięczam. Gdy jesteś w pobliżu, niestraszne mi żadne wyzwanie. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Mogę nawet udzielić wywiadu!

Maggie przyciągała go jak magnes. Co miał zrobić, żeby uwolnić się od miłosnej obsesji? Doskonale wiedział, jak chce żyć i nie godził się na niewolniczą egzystencję u boku dziewczyny, która nie podziela jego upodobania do wypraw w nieznane. Westchnął ciężko, poczuł kuszący zapach perfum i zapragnął wtulić twarz w szyję Maggie. Życie byłoby prostsze, gdyby zrezygnowała z tych zmysłowych woni.

Spotkanie z czytelnikami trwało dwie godziny. Maggie przeżywała katusze, obserwując kobiety wdzięczące się do Marka. Gdy minął czas przeznaczony na rozmowy z czytelnikami i udzielanie autografów, przeszli się po centrum handlowym, zjedli obiad i dla zabicia czasu poszli do kina.

- Fajnie ci się gadało z tymi dwoma młodziana-

### ***Autor pilnie poszukiwany 119***

mi, kiedy w pocie czoła podpisywałem książki. Co to za faceci? Koledzy z podstawówki? Rozmawialiście jak starzy znajomi.

- Tutaj ich poznałam. Naprawdę są fajni. Jeden pracuje jako ortodonta, drugi jest zatrudniony w firmie spedycyjnej, która, o ile dobrze pamiętam, zajmuje się transportem komputerów. Rozmawialiśmy o moich przewodnikach. Wszystko ich ciekawiło. Pytali o pracę pisarza. Chyba wymknęło mi się, że robiłam kwerendę.

- Chyba? - powtórzył ironicznie. - Wyciągali cię na zwierzenia?

- Ależ skąd! Byli po prostu sympatyczni. Co innego ta pirania z telewizji.

- Mnie się wydała bardzo miła - droczył się z nią Mark.

- Śmiało! Przed tobą całe popołudnie. Masz wizytówkę, zadzwoń do tej jędzy. - To była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, ale chciała udowodnić, że wcale jej na nim nie zależy.

- Nie jest w moim typie - mruknął, obrzucając Maggie znaczącym spojrzeniem. Odwróciła wzrok, żeby się przed nim nie zdradzić.

Maggie nie przewidziała, że podczas wspólnej podróży każdy temat, choć trochę bardziej interesujący niż pogoda, będzie ich doprowadzał do stanu wrzenia. Oboje walczyli z nieodpartą pokusą.

- Możesz prowadzić, jeśli chcesz - oznajmiła wspaniałomyślnie.

- Skoro sobie tego życzysz...

- Mnie jest wszystko jedno.

## 120 *Jennifer Drew*

- W porządku. Daj kluczyki.
  - Rzadko myślę zjazdy, ale w podróży prześladowuje mnie pech.
  - Nie mów bzdur. Nie wierzę w żadnego pecha.
  - Wziął kluczyki i otworzył przed nią drzwi od strony pasażera.
  - W podróży nigdy mnie nie opuszcza. Ilekroć ruszam w drogę, dzieją się rozmaite okropności.
  - Źle skreśliłaś i co z tego? Tamta pomyłka to nie złośliwość losu. Po raz pierwszy jechałaś nową trasą, być może nie byłaś dostatecznie skupiona.
  - Wręcz przeciwnie! Gdy nasza podróż dobiegnie końca, sam się przekonasz, że jestem pechowcem - ostrzegła. - Ilekroć opuszczam dom, zaraz coś się dzieje. Nawet gdy jadę do supermarketu, czekają mnie paskudne niespodzianki: ktoś uderzy wózkami albo przejedzie po palcach. Łatwo powiedzieć, że to bzdury, że zmyślam albo żartuję.
  - Uśmiechnęła się smutno, bo uświadomiła sobie, że nigdy nie sprostą oczekiwaniom Marka.
- Wybuchnął śmiechem, ale zdawał sobie sprawę, że mówiła serio. Oboje milczeli, jadąc do hotelu, w którym mieli zarezerwowany nocleg. Mark nienawidził miasta i panującego w nim ruchu, a Maggie z kolei obawiała się lasów, w których buszowały niedźwiedzie i pełzały węże.
- Naprawę musimy przejechać całe miasto, żeby dotrzeć do hotelu, gdzie mamy nocować? - narzekał Mark, prowadząc bez zapału, ale dość udatnie.
  - Według gargulca... - Nie powinna tak nazy-

*Autor pilnie poszukiwany*

121

wać sekretarki pana Granville'a, choć przezwisko nadane przez Rayanne było trafne i dość zabawne. - Panna Mason twierdzi, że to uroczy pensjonat nad samym morzem. Podobno w okolicy jest co zwiedzać: ciekawe nabrzeże, port jachtowy. Zacofana prowincja.

- Zacofana? - powtórzył. To określenie najwyraźniej nie przypadło mu do gustu.

- Jakoś dotrwamy do rana. Lepsze to niż nocleg w namiocie.

Maggie przyjemnie się rozczarowała. Pensjonat King's Row okazał się obszernym pałacem w stylu wiktoriańskim. Fasada przyciągała wzrok mnóstwem ozdobnych detali i łagodnymi pastelowymi barwami. Wystrój wnętrza stanowił dla gości całkowite zaskoczenie.

W holu królował mierny portret Edgara Allana Poe, najsłynniejszego pisarza mieszkającego w Baltimore. Pomieszczenia były mroczne, ponure, niepokojące. Długie wąskie okna sięgające niemal do podłogi spowite były aksamitnymi zasłonami. Dominowały mocne nasyczone barwy: krwista czerwień, głęboka czerń, brunatne drewno.

Ciasna winda z kutego żelaza zawiozła Maggie i Marka na drugie piętro, gdzie były tylko dwa pokoje zarezerwowane właśnie dla nich. Łazienkę mieli na dole. Właścicielka przeproszała za tę niedogodność.

Maggie była mocno zdziwiona, gdy okazało się, że między ich pokojami są drzwi, zamykane na zasuwkę i klucz. Usłyszała zgrzyt zamka. Mark

*Jennifer Drew*

zajrzał do jej pokoju. Wymownym gestem wskazał staromodny rygielek.

- Najprostsze rozwiązania gwarantują stuprocentowe bezpieczeństwo - oznajmiła kpiąco. - Nie ma to jak staromodne i solidne żelastwo.

- Wystrój wnętrz jest u ciebie jeszcze bardziej odjazdowy niż u mnie - powiedział Mark, rozglądając się uważnie.

Tapeta w srebrzyste pasy, zasłony i narzuta z czarnego aksamitu, ręcznie robione białe serwetki na zagłówku fotela, toaletce i biurczku, haftowane krzyżykami purpurowe serce nad łóżkiem, a po bokach dwie makatki z wizerunkami kruków; wypisz, wymaluj jak w horrorach Poego.

- Zajrzyj do mnie. Też jest na co popatrzeć - zachęcił Mark.

Torbę podróżną rzucił na łóżko przykryte szkarłatną aksamitną kapą. Ten sam kolor miały zasłony podwiązane czarnymi sznurami.

- Edgar Allan Poe niech sobie straszy do woli, a my poszukajmy dobrej restauracji. Pensjonat oferuje tylko śniadania. Brak tu jadalni.

Szli ulicą, trzymając się za ręce jak zakochani, choć oczywiście nic ich nie łączyło. Znaleźli knajpkę oferującą dania z ryb i owoców morza.

Maggie zamówiła zupę rybną i smażone kraby. Podjadała także wybranego przez Marka homara. Obżerała się bez opamiętania, bo miała nadzieję, że po obfitej kolacji zaśnie jak kamień, zapominając o drzwiach łączących pokoje.

Ufała Markowi, ale nie wierzyła samej sobie.

### *Autor pilnie poszukiwany 123*

Spędziła w jego towarzystwie uroczy wieczór i marzyła, żeby zamknęły się wokół niej mocne ramiona. Ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Niewiele brakowało, żeby zakochała się w Marku na śmierć i życie.

Gdyby pozwoliła tej miłości rozkwitnąć, przeżyłaby ogromny zawód, ponieważ nie była w stanie dzielić jego pasji. Za dużo włączył się po świecie: w jednym miesiącu spływ kajakowy górskimi rzekami, w następnym wspinaczka po stromych górach, potem wyprawa do tropikalnej dżungli.

- Dobranoc - powiedział Mark, gdy odprowadził ją pod same drzwi. Tak się jej przyglądał, że ledwie zdołała włożyć klucz do zamka.

- Dobranoc.

- Nie zamknę drzwi od mojej strony. No wiesz, na wypadek, gdyby duch Poego za bardzo ci się naprzykrzał.

- Przestań wygadywać takie głupstwa. Nie wierzę w duchy.

Rozeszli się do swoich pokoi. Maggie odczekała trochę w nadziei, że Mark szybko położy się spać. Zeszła do łazienki dopiero, gdy zniknęła smuga światła widoczna w szparze pod drzwiami łączącymi dwa pomieszczenia. Horyzont był czysty. Nareszcie miała względną swobodę. Łazienka okazała się ogromna jak na współczesne standardy. Prawdziwy salon kąpielowy. Stała tam duża wanna na stylizowanych nóżkach podobnych do lwich łap. Była też, zapewne od niedawna, bardzo nowoczesna kabina prysznicowa. Maggie

## **124 Jennifer Drew**

wybrała kąpiel w wannie. Dołała do wody sporą porcję olejku lawendowego i leżała w niej tak długo, aż skóra na dłoniach całkiem się pomarszczyła. Wytarta do sucha narzuciła koszulę nocną oraz ciepły szlafrok i pobiegła do swego pokoju.

Miała nadzieję, że po gorącej kąpieli szybko ogarnie ją senność, ale srodze się zawiodła. Nerwy wciąż miała napięte jak postronki. Gdyby natychmiast wskoczyła do łóżka, i tak przewracałaby się bezsennie z boku na bok. Zgasiła górne światło, a także wszystkie lampki, podeszła do okna i obserwowała rozgwieżdżone niebo nad Baltimore oraz typową dla miast delikatną poświatę. Wkrótce poczuła się zmęczona, więc postanowiła iść w końcu do łóżka, ale gdy zaciągnęła zasłonę, uderzyło ją, że w pokoju panuje całkowity mrok. Ani odrobiny światła w szparze pod drzwiami na korytarz, ani śladu czerwonych cyfr na wyświetlaczu elektronicznego zegara, który stał na nocnym stoliku. Barwne kontrolki stacjonarnego telefonu także pogasły. Awaria zasilania? Nie było prądu w całym budynku? A może tylko w tych dwu pokojach, przerobionych z dawnych służbówek, gdzie przed laty gnieździły się ubogie dziewczyny, w pocie czoła pracujące na chleb. Te biedactwa miały ciężkie życie, więc jeśli to prawda, że dusze pokutujące zostają tam, gdzie spotkała je krzywda...

Już miała wskoczyć do łóżka i naciągnąć wysoko kołdrę, gdy usłyszała cichutkie postukiwanie. W pierwszej chwili ogarnięta paniką chciała wybiec na korytarz i uciec z feralnego pokoju, lecz po

### ***Autor pilnie poszukiwany 125***

chwili zorientowała się, że pukanie dobiega od strony drzwi łączących oba pokoje.

Nim położyła się spać, zasunęła rygiel, ale nie przekręciła klucza w zamku.

- Czy to ty, Mark? - zapytała, odruchowo zniżając głos do szeptu, bo wydawało jej się, że w ciemności nie należy mówić głośno.

- Oczywiście. Wszystko w porządku?

- Tak. Dlaczego miałoby być inaczej? Myślałam, że śpisz.

- Materac jest dla mnie zbyt miękki - wyjaśnił Mark.

- Sądzisz, że powinniśmy gdzieś zadzwonić, i zgłosić, że nie mamy prądu? - spytała.

- Właściciele na pewno już się zorientowali.

- A jeśli awaria nastąpiła jedynie na tym piętrze?

- Potrzebne ci światło?

- Nie, ale radiobudzik jest na prąd. Z samego rana ruszamy do Waszyngtonu.

- Słońce wschodzi dużo wcześniej, a ja budzę się o świcie.

- Co mówiłeś? - Nie słyszała wszystkich jego słów. Miała wrażenie, że odwrócił się i zamierza wrócić do łóżka.

- Otwórz drzwi - poprosił głośno i wyraźnie.

To nie był dobry pomysł, ale postanowiła zlekceważyć wszystkie sygnały alarmowe wysyłane przez mózg. Wymacała rygiel, ale po chwili znieruchomiała z ręką na zasuwce.

Właściwie nie miała żadnego racjonalnego po-



## 126 *Jennifer Drew*

wodu, żeby wpuścić Marka do swojego pokoju, ale drżała na całym ciele, zastanawiając się, co z tego wyniknie.

- Och, kochanie - zaczął niepewnie, jakby lękał się, czy nie dostanie bury za użycie zdrobnienia. - Wydaje mi się, że w moim pokoju straszy.

- Nie żartuj! - zachichotała nerwowo.

- Mówię, jak jest. Nieustannie mam przed oczyma piękną dziewczynę.

Cały drzę, nie mogę zasnąć - szeptał zmysłowym głosem zza drzwi zamkniętych na zasuwkę.

- Wyobraźnia płata ci figle. W ciemnym, dziwnym pokoju trudno nad nią zapanować.

- Mnie się to wydaje całkiem realne - przekonywał. - Wpuścisz mnie, jeśli ci powiem, że duch Poego siedzi na moim łóżku?

- Wiem, że kłamiesz jak z nut.

Palce Maggie żyły własnym życiem. Odsunęły rygiel, choć sobie tego nie życzyła.

Cofnęła się i pozwoliła Markowi wejść do pokoju.

Nie ukrywał, że przyszedł tu, żeby ją uwieść, a ona nie zamierzała się bronić. Oboje dokonali wyboru, chociaż dopiero teraz, w ciemnym wnętrzu jak z horrorów Poego, wśród czerni i czerwieni aksamitu wreszcie to sobie uświadomili.

Mark objął Maggie i przytulił. Westchnęła zadowolona i nagle przestała się denerwować. Mimo to w głębi duszy dręczyła ją obawa, że pożałują wkrótce dzisiejszej decyzji i będą przez nią cierpieć.

### ***Autor pilnie poszukiwany 127***

Mark przycisnął usta do jej czoła, a choć pieszczoty były łagodne i czułe, nogi się pod nią ugięły. Przesunęła dłońmi po bokach Marka i uświadomiła sobie, że jest zupełnie nagi. Wstrzymała oddech.

- Co się stało? - zapytał, całując jej przymknięte powieki. W ciemnościach ledwie go widziała, toteż wołała zdać się na pamięć i wyobraźnię.

Ciepły oddech ogrzał jej szyję, gdy Mark przesunął po niej ustami.

- Och, cudownie - jęknęła mimo woli. - Nie powinniśmy... - zaczęła, obsypując pocałunkami jego policzki.

Powiedziała to dla zasady, bo tak naprawdę nie chciała, żeby ją zostawił i wrócił do swojego pokoju. Cała płonęła, dręczona pożądaniem. Uniosła ramiona, zdjęła nocną koszulę i rzuciła ją w głąb pokoju. Po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na tak śmiały gest. Mark wziął ją na ręce, zaniósł do swojego pokoju i ułożył na wielkim łóżku.

- Szkoda, że nie ma światła - mruknął, całując i głaszcząc jej piersi, brzuch i uda. Omijał sekretne miejsca, gdzie najbardziej pragnęła być dotykana.

Miała wrażenie, że lada chwila oszaleje ze szczęścia. Z entuzjazmem oddawała pocałunki i pieszczoty, zachwycała się zapachem jego skóry, głaskała policzki, szorstkie od wieczornego zarostu. Przepełniona radością i pijana rozkoszą bez powodu zaczęła chichotać, bo nie miała pojęcia, jak wyrazić narastające w niej cudowne emocje.

- Śmiejesz się ze mnie? - zapytał, raczej ubawiony niż dotknięty.

*Jennifer Drew*

- Nie! Jest mi tak dobrze, że nie wiem, jak to wyrazić.

- Zaraz coś na to poradzimy.

Wsunął dłoń między jej uda. Poczowała, że jest w niej, choć jeszcze nie całkiem. Dotykał jej tylko zamiast posiąść. Kiedy nareszcie stali się jednością i zaczęli się poruszać w jednym rytmie, jej świat eksplodował czarodziejską feerią barw.

Długo leżeli przytuleni i doskonale szczęśliwi. Dużo później, gdy niebo na wschodzie rozjaśnił pierwszy brzask, Maggie uznała, że najchętniej do końca życia zostałaby z Markiem w tym łóżku. Wkrótce pierwsze słoneczne promienie wpadły do mrocznego pokoju przez szpary w aksamitnych zasłonach.

- Trzeba jechać - powiedział, całując jej ramię i głaszcząc krągłe biodro.

- Jedź sam - mruknęła. Całkiem opadła z sił.

- Mowy nie ma.

- Nie chciałam z tobą jechać, ale teraz cieszę się, że ustąpiłam.

- Ja również. - Pocałował ją w ucho. Zrobił to specjalnie, żeby otrząsnęła się z bezwładu wywołanego rozkosznym zaspokojeniem. Przeniknął ją cudowny dreszcz. Spojrzała mu prosto w oczy i omal nie wybuchnęła płaczem, bo uświadomiła sobie, że spełniły się jej najgorsze przeczucia: była zakochana w Marku Sullym.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Maggie po raz dziesiąty i jedenasty odsłuchiwała wiadomość pozostawioną przez Marka. Wciąż nie była w stanie dojść, o co mu chodzi. Mieli gdzieś razem wyjechać. Znała tego faceta jak zły szeląg i była świadoma, że mogą znaleźć się w dowolnym punkcie ziemskiego globu albo... pojechać na frytki do najbliższego baru. Mark Sully był nieprzewidywalny. Z tymi frytkami jednak trochę przesadziła, bo oprócz lakonicznej informacji o planowanej wyprawie zostawił także listę rzeczy, które powinna ze sobą zabrać. Nie było na niej pizamy, a zatem w tej kwestii miała pełną dowolność. Na wszelki wypadek wrzuciła do walizki luźne bawełniane spodenki i spraną koszulkę. Oprócz tego miała

### **130 Jennifer Drew**

w walizce dzinsy na zmianę, dwa T-shirty, sweter, kostium kąpielowy i kosmetyczkę z przyborami toaletowymi. Mark zapowiedział, że ma się nie pokazywać bez kremu ochronnego z wysokim filtrem i środka przeciwko insektom. To pewne, że planował jakąś wyprawę. Maggie, rzecz jasna, miała złe przeczucia.

Obiecał przyjechać po nią w piątek o szóstej. Była gotowa znacznie wcześniej i siedziała jak na rozżarzonych węglach. Gdy zadzwonił do drzwi, natychmiast pobiegła otworzyć. Była uradowana jak nastolatka przed pierwszą randką.

- Dobra, Sully - przywitała go w progu. - Nie ruszę się stąd na krok, jeśli mi nie powiesz, co jest grane. Dokąd jedziemy? Co ty knujesz?

Bez słowa wziął małą walizkę, a potem delikatnie, lecz stanowczo chwycił Maggie za ramię i pociągnął za sobą. Sięgnął po klucze i starannie zamknął drzwi mieszkania. Nie chciała robić scen, więc z kwaśną miną poszła za nim do auta. Otworzył bagażnik dzipa i wrzucił jej bagaż.

- Mówiłam serio, Mark. - Założyła ramiona na piersi i stanęła na szeroko rozstawionych nogach, jakby wrosła w chodnik.

- Nie lubisz niespodzianek? Zapewniam cię, że to będzie fantastyczna wyprawa. Bardzo proszę, zaufaj mi.

- Dobra, ale jeśli chcesz, żebym znowu spała w namiocie, natychmiast wybij to sobie z głowy.

- Żadnych namiotów. - Posłusznie kiwnął głową i uśmiechnął się serdecznie.

### ***Autor pilnie poszukiwany 131***

- Jedno ci powiem: nie muszę ciebie słuchać, nie mam ochoty robić tego, co zaplanowałaś. Jadę wyłącznie po to, żeby zaspokoić własną ciekawość.

- Nie będziesz zawiedziona - odparł rozpromieniony.

Miała ochotę go wyczuwać, ale stał się dziwnie niedostępny i zdystansowany. Kto by pomyślał, że kilka dni temu kochali się namiętnie w Baltimore.

Rozmowa się rwała, więc Maggie zaczęła drzemać i w efekcie przespała całą podróż. Kiedy się obudziła, zapadał zmierzch. Jechali górskimi serpentynami. Śniły jej się takie rzeczy, że po przebudzeniu była zła, zawiedziona i niezaspokojona.

- Gdzie jesteśmy? - burknęła opryskliwie, żeby ukryć zmieszanie.

- Zbliżamy się do miejscowości Decra w Zachodniej Wirginii. Tam przenocujemy.

Wkrótce wjechał do sennego miasteczka i zaparkował przed niekształnym, przysadzistym budynkiem. Wzdłuż fasady biegła weranda, a na piętrze wąski balkon. Neonowe litery układały się w napis. Pensjonat Charlotte. Noclegi, śniadania.

- Tutaj się zatrzymamy?

- Tak. Mamy osobne pokoje.

Maggie zmierzyła go pytającym spojrzeniem, ale udał, że tego nie widzi. Herb Quinn, właściciel pensjonatu, upewnił się dwukrotnie, czy aby na pewno pan Sully życzy sobie, żeby on i jego towarzyszka podróży zamieszkali osobno. Sprawiał wrażenie, jakby nic z tego nie rozumiał.

### **132 Jennifer Drew**

- Śniadanie wydajemy od szóstej do ósmej - poinformował, mocno zbity z tropu.

Maggie zrobiła wielkie oczy, bo miała spore wątpliwości, czy o tej porze normalny człowiek jest w stanie coś przełknąć, ale Mark kiwnął tylko głową, jakby informacja była dla niego oczywista.

- Dostanę całusa na dobranoc? - zapytał przymilnie, gdy stanęli przed drzwiami wskazanych przez Herba pokoi. - Odwaliłem kawał dobrej roboty, więc chyba zasłużyłem na nagrodę.

- Nadal nie wiem, co zaplanowałaś i co ci się za to należy. Dlaczego tu przyjechaliśmy?

- Jutro się dowiesz... - Puścił do niej oko, gdy pokazała mu język. Pochylił się i pocałował ją czule, ale gdy zachęcająco rozchyliła wargi, odsunął się i cmoknął ją w czubek nosa. - Musimy rano wstać - oznajmił takim tonem, jakby to wiele wyjaśniało.

- Nie zamierzam zrywać się o świcie, żeby zjeść tu śniadanie.

- Zaufaj mi - powtórzył. - Nastaw budzik. Spotykamy się w holu o szóstej. Pocałował ją w czoło. Parodia, a nie całus! Zniknął w swoim pokoju, więc nie pozostawało jej nic innego, jak tylko iść do siebie. Zamknęła się na klucz, spoglądając z odrazą na małą walizkę, którą wniósł na górę pracownik pensjonatu. Złościła się na siebie, że przespała podróż i teraz była całkiem rozbudzona. Marzyła o nocy w ramionach Marka.

Odbiło mu czy co? Dlaczego zachowywał się dziwnie? Czemu tak się zmienił i trzymał ją na

### ***Autor pilnie poszukiwany 133***

dystans, chociaż weekend we dwoje był jego pomysłem?

- Drań! - mruknęła z wściekłością.

Usiadła na brzegu łóżka, gapiąc się bezmyślnie na splewiałe wzory pomarańczowo-żółtej tapety. I pomyśleć, że jej życie było takie proste, zanim pojawił się w nim Mark Sully.

Następnego dnia rano wyszło szydło z worka. Gdy Maggie usłyszała, jakie atrakcje przygotował dla niej Mark, omal go nie udusiła. Jej zdaniem zasługiwał na śmierć w męczarniach.

- Mam z tobą na pontonie popłynąć bystrą górską rzeką? Jak ci szaleńcy, których pokazują w telewizji? Czy ty masz dobrze w głowie? Już ci mówiłam, że prześladowuje mnie pech! Nie tylko ja ucierpię, innym też stanie się krzywda. Takie już moje zezowate szczęście. Nie popłynę!

- Dobra, jak chcesz. Czekać w pensjonacie. Wypływam na cały dzień.

- Zostawisz mnie samą, bo wolisz ryzykować życie na pontonie?

- Owszem, ale nie zapominaj, że chciałem dzielić z tobą to doświadczenie. Łudziłem się, że wcale nie jesteś takim tchórzem, jakiego udajesz. Podczas tej wycieczki trochę byś zmokła, ale miałabyś świetną zabawę.

- Wątpliwe.

- Poza tym zdobyłabyś doświadczenie potrzebne każdemu pisarzowi.

- Rozmawiam z ekspertami. To wystarczy.



### **134 Jennifer Drew**

- Jesteś oszustką. Dajesz czytelnikom do zrozumienia, że wszystko, co opisujesz, znasz z autopsji. Ściemniasz, kochanie. Wciskasz ludziom kit, a oni myślą, że jesteś bardzo odważna. Stroisz się w cudze piórka!

- Co ty wygadujesz?

- Przecież słyszałaś. Więcej ci powiem. Gdybyś odważyła się przeżyć choć część opisywanych przez siebie przygód, nie musiałabyś nikogo wynajmować, żeby udawał M. S. Stevensa, tylko sama podpisywałabyś książki i opowiadała na pytania czytelników.

- Nie jestem tchórzem. Mam tylko pecha! Zawsze tak było!

- A Filadelfia, Baltimore, Waszyngton? Nic się nie stało, prawda? Wszystko poszło jak z płatka. Powiem więcej: było cudownie! Sama widzisz, że twoja hipoteza została obalona. Daj się przekonać i zaryzykuj. Ten jeden raz!

Maggie znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Gdyby nie popłynęła, Mark utwierdziłby się w przekonaniu, że ze strachu unika konfrontacji z życiem oraz dziką przyrodą, a zarazem bez skrupułów pozwala wierzyć czytelnikom, że jest wytrawną podróżniczką. Gdyby uznał, że jego zarzuty się potwierdziły, nie chciałby z nią mieć więcej do czynienia. Wczoraj był taki obojętny... Czyżby podejrzewał ją o interesowność i chęć oszukiwania innych? Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Nie mogła bez niego żyć. Trudno, dla miłości powinna zaryzykować.

### ***Autor pilnie poszukiwany 135***

- Dobrze, popłynę. Co mam robić? - zapytała, kapitulując z ponurą miną. Dołączyli do grupy śmiałków szykujących się do spływu górską rzeką. Dwoje przewodników tłumaczyło, jak się mają zachowywać. Maggie czuła się jak przed operacją migdałków, którą przeszła jako dwunastolatka. Musiała przetrwać, więc zbierała siły i powtarzała sobie, że jakoś to będzie, choć skóra jej cierpła na samą myśl o traumatycznym doświadczeniu. Oby tylko nie przyplącała go życiem.

- Dasz sobie radę. - Mark poklepał ją po ramieniu.

Poczuła się jak bezbronna dziewczynka w obliczu życiowej katastrofy. Wszyscy uczestnicy spływu wsiedli do pontonów i chwycili za wiosła. Wczesnym popołudniem Maggie była wykończona. Od wiosłowania bolały ją ramiona, przemokła, wciąż nie mogła dojść do siebie po mocnych wrażeniach, których dostarczyło jej sforsowanie pontonem wysokiego na dwa metry wodospadu. Czuła się, jakby przepłynęła Niagarę! Złapała się na tym, że wybuchnęła radosnym śmiechem, gdy załoga gładko pokonała niebezpieczny wir. Mark raz po raz zerkał na nią przez ramię. Nie chowała do niego urazy. Zrozumiała wreszcie, dlaczego ludzie kupują jej przewodniki i w kontakcie z dziką przyrodą szukają mocnych wrażeń.

Mark był przygotowany na najgorsze. Zaryzykował

### **136 Jennifer Drew**

szaloną wyprawę, aby udowodnić Maggie, że nie trzeba kryć się przed życiowymi zagrożeniami i chować głowy w piasek. Jego zdaniem powinna czerpać pełnymi garściami z uroków tego świata. Nie miał pojęcia, czym skończy się dla nich obojga ta eskapada. Liczył się z tym, że Maggie ucieknie z krzykiem i nie będzie chciała go więcej widzieć. Podjęła wyzwanie, sprawdziła się w niebezpiecznych sytuacjach i najwyraźniej czerpała radość z pokonywania własnych lęków i słabości. Był z niej dumny i miał nadzieję, że zostanie mu wybaczony sposób, w jaki zmusił ją do uczestniczenia w górskim spływie pontonowym.

Gdy wracali do pensjonatu autobusem podstawionym przez organizatorów imprezy, policzki miała zaróżowione, a ciemne włosy potargane i nastroszone. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Fajnie było - powiedziała, gdy usiadł obok niej na podniszczonym czarnym fotelu.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Chętnie podroczyłby się z nią, przypominając, jakim była głuptasem, upierając się przy swoim zdaniu, ale znacznie bardziej pragnął kochać się z nią do utraty tchu.

- Aż trudno uwierzyć, ile radości daje taka wyprawa - szepnęła bardziej do siebie niż do niego, a potem dodała głośniejszym głosem: - Wszystko było tak, jak opisałam w książce. Wiedziałam, że mogę ufać moim źródłom i ekspertom. Chce mi się jeść. Nigdy w życiu nie byłam taka głodna - mruknęła, przytulając głowę do jego ramienia.

### ***Autor pilnie poszukiwany 137***

Zapadał zmierzch, gdy autokar zatrzymał się przed pensjonatem. Mark był trochę zmęczony, ale nie zamierzał tego wieczoru rozstawać się z Maggie. Długo całowali się przed wejściem. Burczenie w brzuchach przypomniało im, że od śniadania niewiele jedli.

Właściciel wpuścił ich do kuchni i pozwolił do woli buszować w swoich zapasach. Posileni kanapkami i młodym winem, ruszyli na górę.

Nieprędko tam dotarli, bo całowali się na schodach tak wąskich, że z trudem mieściła się na nich czule objęta para. Gdy Maggie szukała w torebce klucza, Mark wsunął jej ręce pod bluzkę i dotykał piersi. Razem weszli do pokoju. .

- Muszę na moment skoczyć do swojego pokoju - mruknął, całując ją w ucho.

- Nie puszczę cię - zapowiedziała, rozpinając mu dzinsy.

- Przypomnij mi, abym wymógł na tobie obietnicę, że z nikim nie będziesz się upijać tanim winem. Błyskawicznie uderza ci do głowy i wtedy przestajesz myśleć.

- Od razu mogę ci to obiecać.

- Trzeba się zabezpieczyć, kochanie. Zaraz wracam - mamrotał bez tchu. Odrzucił kapek, zostawiając ją w nogach łóżka, i odsunął kołdrę.

Uśmiechnięta Maggie usiadła na brzegu pościelenia i spojrzała na niego czule wielkimi piwnymi oczami. Niewiele brakowało, żeby poddał się nastrojowi chwili i nie bacząc na konsekwencje, wziął ukochaną w ramiona, ale

### **138 Jennifer Drew**

przemógł się i popędził do siebie. Był człowiekiem przezornym, więc przyjechał tu przygotowany na wszelkie ewentualności, ale wystarczyłby kolejny namiętny pocałunek, żeby zapomniał o całym świecie.

Wpadł do swego pokoju, pogrzebał w torbie podróźnej i wyciągnął bezcenny pakiecik. Kiedy przybiegł z powrotem, trzymając go w dłoni, drzwi do pokoju Maggie były zamknięte, ale ustąpiły, gdy nacisnął klamkę. Pograżona w głębokim śnie leżała zwinięta w kłębek pośrodku łóżka. Była w ubraniu, zdjęła tylko buty. Zamknął drzwi i usiadł obok niej na brzegu pościeli. Czule pogłaskał ciemne włosy i pocałował ją w policzek.

Ani drgnęła.

Wyciągnął się obok niej, co okazało się niełatwym zadaniem, ponieważ łóżko było wąskie, a Maggie leżała pośrodku. Objął ją mocno, ale mamrotała i wierciła się niespokojnie, więc musiał rozluźnić uścisk.

Zawiedziony i wciąż mocno podniecony, szeptem powtarzał jej imię, ale nie zareagowała.

Złościł się na siebie, bo powinien przewidzieć, że po wysiłku fizycznym i wielu godzinach spędzonych na świeżym powietrzu wino podziała na nią usypiająco. Powinien wcześniej o tym pomyśleć. Gdyby Maggie do kolacji piła herbatę zamiast nędznego cienkusa, teraz kochaliby się jak szaleni. No cóż, trudno... Sam był sobie winien. Musiałby teraz mocno potrząsnąć Maggie, żeby ją obudzić, a i tak byłaby pewnie nazbyt zmęczona, żeby

### ***Autor pilnie poszukiwany 139***

oddawać jego pieszczoty i pocałunki z równym zapałem jak w Baltimore. Długo leżał obok niej bez ruchu, analizując sytuację. Zabierając ją na spływ, chciał udowodnić, że i ona jest w stanie czerpać z życia pełnymi garściami, ciesząc się urokiem dzikiej przyrody. Teraz po prostu jej pragnął, ale zasnęła kamiennym snem. Uznał, że to znak od losu. Jedna udana wyprawa niewiele zmieniła. Nadal miał wątpliwości, czy oboje zdolni są do kompromisu. Jak miałyby wyglądać ich wspólne życie. Czy Maggie zechce dzielić z nim podróżnicze doświadczenia? Jak ma uczynić ją szczęśliwą, skoro jego sposób życia mimo wszystko jest dla niej nie do przyjęcia?

Nie był ponurakiem, ale uznał, że powinien na parę miesięcy skryć się w leśnej głuszy i tam zapomnieć o Maggie.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

- Wyrzekam się uroczyście mężczyzn oraz marnego czerwonego wina! - oznajmiła Maggie, gdy w poniedziałek jadła obiad z Rayanne. Była ponura i zde gustowana, ale doceniała usiłowania przyjaciółki, która próbowała ją rozweselić.

- Podsumujmy - zaproponowała mentorskim tonem Rayanne. - Bawiłaś się świetnie, polubiłaś spływy górskimi rzekami, ale i tak uważasz, że ty i Mark nie możecie być razem, mimo że zaczynasz dzielić jego pasje. Miała na sobie czerwony top i czarną spódniczkę. Była to zapowiedź, że w jej życiu kończy się epoka fascynacji gotyckim romanssem i mrozącymi krew w żyłach horrorami. Kolejne potwierdzenie stanowiła zmiana koloru szminki. Ciemną śliwkę,

### ***Autor pilnie poszukiwany 141***

czern i głęboką purpurę zastąpiła wiśniowa czerwień. Maggie podejrzewała, że mroczne barwy i klimaty stanowiły u Rayanne swoistą manifestację lęku przed utratą pracy. Względna pewność jutra wpłynęła także na kolorystykę jej ubrań.

- To by się zgadzało - odparła Maggie, obficie polewając sosem sałatkę ze szpinaku. Ze zmartwienia straciła apetyt. - Najbardziej niepokoi mnie fakt, że w pensjonacie zarezerwował osobne pokoje. Myślę, że chciał mnie podnieść na duchu i udowodnić, że mogę żyć pełnią życia, ale nie jest mną zainteresowany.

- Czy ja wiem? - mruknęła bez przekonania Rayanne, obficie polewając frytki keczupem.

- Za parę tygodni Pierpont przejmie wydawnictwo i z pewnością będzie nalegał, żeby M. S. Stevens wrócił do promowania serii przewodników. Zapowiada się kolejna trasa promocyjna, a sytuacja jest dziwna. Zadaję sobie pytanie, czy Mark znowu zażyczy sobie, żebym z nim pojechała. Na pewno nie jestem mu potrzebna. Oczywiście wyruszyłabym w jednej chwili, gdybym mogła liczyć, że wspólna podróż nas zbliży, ale szczerze mówiąc, nie wiem, na czym stoję. Moim zdaniem, Mark nie chce się wiązać z dziewczyną, której żywiołem jest miasto. To oczywiste, że się dla niego nie nadaję. Nie lubię jeździć pod namiot, wędrować z plecakiem. Ogólnie rzecz biorąc, podróże mnie nie kręcą. Wiesz? Myślę, że poszedł po rozum do głowy i dlatego już mnie nie chce. W jego życiu nie ma dla mnie miejsca - oznajmiła z ponurą determinacją.



## 142 *Jennifer Drew*

- Skąd ta pewność? Może jednak?

- Gdybym pojechała z nim promować przewodniki, będę jak piąte koło u wozu i w niczym mu nie pomogę. Ma świetny kontakt z czytelnikami, bryluje podczas spotkań autorskich, ma własny krąg zainteresowań, całkiem różny od mojego. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby właśnie teraz planował zimowy wypad na Antarktydę.

- Trochę tam zimno, ale niska temperatura dobrze wpływa na urodę. Mogłabyś z nim pojechać. Zobaczyłabyś na własne oczy polarne niedźwiedzie.

Trzeźwe rady Rayanne miały sens, ale Maggie nie przyjmowała ich do wiadomości, ponieważ była głęboko przekonana, że tylko cud mógłby uratować jej związek z Markiem albo sprawić, żeby przestała obsesyjnie tęsknić za ukochanym.

- Tu nie chodzi o mnie. Mark Sully to samotny wilk. Nie życzy sobie, żebym się przy nim kręciła i zakłócała mu spokój. Wiesz, o czym rozmawialiśmy wczoraj, kiedy wracaliśmy do domu?

Rayanne pokręciła głową.

- O pogodzie! A także o geologii na przykładzie Appalachów, ponadto o nartach i snowboardzie.

- Niezbyt romantyczne tematy, chociaż o nartach sama chętnie bym pogadała. No wiesz: modne miejsca, fajne ciuszki i gadżety. Wyobraź sobie, że szusuję po stoku w czarnym kombinezonie! Kontrast pierwsza klasa! Każdy mnie zauważy.

Maggie uśmiechnęła się z ociąganiem. Ostatnio była tak ponura, że mięśnie twarzy same układały

### ***Autor pilnie poszukiwany 143***

jej się w smętny grymas, ale wesoła i beztraska paplanina Rayanne zawsze poprawiała jej humor.

- Wiesz co? Mam pomysł! Zamiast się zamartwiać, musisz polatać ze mną po sklepach. Zaraz nabierzesz wigoru. Teraz są świetne wyprzedaże. Idziemy kupić buty. Potrzebne mi są platformy, najlepiej różowe. Idę na imprezę retro z bardzo fajnym facetem. Mam nadzieję, że coś z tego będzie. Chcę wyglądać jak hipisowskie dziecko kwiat: spodnie-dzwony, różowe platformy, obcisły top. Rewelacja! Starzy przysłali mi urodzinową kasę, więc mogę zaszaleć. To co? Idziemy?

- Dobra! - przytaknęła Maggie. - Wiesz co? Ja też kupię sobie platformy. Muszę zaszaleć. Łatwiej mi będzie nabrać dystansu do tych wszystkich kłopotów.

Obeszły wiele sklepów, nim znalazły odjazdowe buty. Rayanne kupiła różowe sandały, a Maggie spodobały się rudawe, na korkowej podeszwie, które miały prawie osiem centymetrów wysokości.

- Ekstra! - zachwycała się Rayanne. - Musisz je przymierzyć!

Nie musiała jej tego dwa razy powtarzać. Maggie sama była ciekawa, czy potrafi chodzić w takich butach. Gdy spacerowała między półkami, wpadli na nią dwaj chłopcy, którzy uznali sklep obuwniczy za świetne miejsce do zabawy w berka.

- Dlaczego rodzice nie pilnują tych smarkaczy - złościła się Rayanne. Chłopcy wykonali zwrot i popędzili prosto na Maggie, która potknęła się na śliskiej podłodze, straciła równowagę i upadła jak

## **144 Jennifer Drew**

długa. Próbowwała wstać, ale jęknęła boleśnie. Noga szybko zaczęła puchnąć. Wystraszeni chłopcy zbiegli z miejsca wypadku. Przerażony sprzedawca natychmiast zadzwonił do punktu opieki medycznej. Pojawił się sanitariusz z wózkiem inwalidzkim. Furgonetka centrum handlowego zawiozła Maggie do najbliższego szpitala. Rayanne nie odstępowała przyjaciółki. W izbie przyjęć była długa kolejka. Minęło kilka godzin, nim ofiara rozbrykanych bachorów wróciła do swego mieszkania. Wkrótce leżała na kanapie. Pod zwichniętą kostkę i obolały łokieć podłożyła poduszki. Wypożyczone ze szpitala kule leżały w zasięgu ręki. Maggie usłyszała od lekarza, że co najmniej przez czterdzieści osiem godzin powinna ograniczyć chodzenie, żeby nie forsować obolałej kostki. Wkrótce okazało się, że jej niedyspozycja wypadła bardzo nie w porę. Gdy Maggie trochę ochłonęła po nieprzyjemnych przeżyciach i wzięła mocne środki przeciwbólowe, dostrzegła mrugający sygnalizator automatycznej sekretarki.

Wiadomość zostawił jej szef, pan Granville. Pierpont, wykorzystując znajomości, sprawił, że jedna z nowojorskich stacji telewizyjnych zwróciła się do wydawnictwa z pytaniem, czy M. S. Stevens nie zechciałby możliwie szybko udzielić wywiadu. Najlepiej pojutrze. Od pana Granville'a dowiedziała się, że powinna jutro lecieć do Nowego Jorku. Maggie popatrzyła z obawą na swoją kostkę spuchniętą jak balon pod szpitalnym opatrunkiem. Zastanawiała się, jak Mark zareaguje na tę nagłą

### ***Autor pilnie poszukiwany 145***

zmianę planów Nie można wykluczyć, że odmówi udzielenia wywiadu i zerwie kontrakt... Oszołomiona środkami przeciwbólowymi Maggie była zbyt senna, żeby się tym przejmować.

Gdy następnego dnia Mark otrzymał z wydawnictwa tę samą informację, w pierwszej chwili zachnął się, ale potem obiecał polecieć. Dotrzymywał słowa, a na dodatek podpisał ten piekielny kontrakt. Nieważne, jakoś się z tym upora. Miał teraz na głowie poważniejsze problemy. Obiecał sobie, że zapomni o Maggie. Daremne wysiłki. Ciągle stawała mu przed oczami jej zarumieniona buzia ginąca pod burzą włosów. Dałby się zamknąć w klatce z małpami i podpisywałby książki, jak długo trzeba, byle tylko znów się z nią zobaczyć. I tak diabli wzięli stanowcze postanowienia. Dzwonił do niej wiele razy, ale nie podnosiła słuchawki. Wiedział, że tak będzie. Maggie zaakceptowała szalony pomysł ze spływem po górskiej rzece, ale to niczego nie zmieniło. Nadal sądziła, że nie ma dla nich przyszłości, więc unikała kontaktu.

Powinienem o niej zapomnieć, pomyślał Mark. Jedna cudowna noc i jeden dzień wśród spienionych fal niewiele zmieniły. Nadal dramatycznie różnili się od siebie, a ich światy nie miały żadnego wspólnego obszaru. A wspólna przyszłość? Nie potrafił sobie wyobrazić, że jest żonatym człowiekiem, a Maggie zapewne nie zgodziłaby się na rolę wiecznej kochanki. Mimo pozorów obyczajowej swobody była tradycjonalistką. Podejrzewał nawet,

*Jennifer Drew*

że chętnie wyszłaby za niego za mąż i założyła rodzinę.

Małżeństwo? Dzieci? Rodzina? Co go podkusiło, żeby myśleć o takich sprawach?

Nieważne... Czekala go podróż do Nowego Jorku, o której myślał z odrazą. Następnego dnia punktualnie przyjechał na lotnisko w Plttsburghu. Pocieszał się myślą, że lada chwila zobaczy Maggie i spędzi z nią trochę czasu.

Na krótko przed zakończeniem odprawy do sali odlotów wpadła sekretarka z Domu Wydawniczego Granville.

- Maggie nie może lecieć. Skręciła nogę w kostce i przez kilka dni musi zostać w domu. Dwaj smarkacze staranowali ją w centrum handlowym, bawiąc się w berka. Jestem Rayanne Jordan, młodszy redaktor i asystentka Maggie. Będę ją zastępować. Nawiasem mówiąc, pan mnie zna. Spotkaliśmy się, gdy pierwszy raz wpadł pan do nas, żeby oddać Maggie kopertę.

- Pamiętam. Nie potrzebuję niańki, Rayanne. Sam poradzę sobie w Nowym Jorku - odparł Mark, mierząc krytycznym spojrzeniem ubraną na czarno dziewczynę. Jedyne barwne akcent stanowiła wściekle zielona kamizelka.

- Nie wątpię, ale to ja mam wszystkie dokumenty i notatki związane z tym wyjazdem. Szefowa mi je przekazała. Pogadamy w samolocie.

Mark westchnął ciężko, ale ustąpił. Rayanne załatwiała formalności, więc poszukał budki telefonicznej, wrzucił kilka monet i zadzwonił do Mag-

### ***Autor pilnie poszukiwany 147***

gie. Na szczęście nie musiał zaglądać do notesu, bo jej numer znał na pamięć.

- Słyszałem, że skręciłaś nogę w kostce - powiedział, gdy odebrała. Nie miał pewności, czy naprawdę miała wypadek, czy też kłamie, bo nie chce z nim lecieć do Nowego Jorku. Była w domu, a nie w pracy, co czyniło opowieść Rayanne dość wiarygodną, chociaż w pierwszej chwili miał spore wątpliwości, gdy usłyszał o chłopaczkach bawiących się w berka wśród sklepów i stoisk centrum handlowego.

- Gdzie jesteś? - zapytała takim tonem, jakby okropnie ją wystraszył.

- Na lotnisku.

- Polecisz do Nowego Jorku, prawda?

- Nie mam wyboru. Dowiem się, jaki jest prawdziwy powód twojej nieobecności? Dlaczego zrezygnowałaś z podróży i wystawiłaś mnie do wiatru?

- Prawdziwy powód! Szkoda, że tego nie widzisz! Moja kostka przypomina spory melon. Przez parę dni mam ją trzymać w górze i prawie nie wstawać.

- Znowu dał znać o sobie twój słynny pech?

- Mówisz o nim takim tonem, jakbym była nałogową kłamczuchą i wymyślała na poczekaniu niestworzone historie.

- Nie przypominam sobie, żebym tak twierdził.

- Na to zgoda, ale jesteś nastawiony bardzo sceptycznie.

- A ty możesz mi dać słowo, że nie boisz się przebywać w moim towarzystwie?

## **148 Jennifer Drew**

- Dlaczego miałabym się bać?

- Bo uświadamiam ci, że za bardzo boisz się życia i dlatego nie czerpiesz z niego pełnymi garściami.

- O której odlatuje twój samolot? Chyba powinieneś się pośpieszyć, a nie gadać głupstwa. - Po jej głosie poznał, że jest wściekła.

- Odlatuję dopiero za godzinę.

Tak się cieszył, jadąc na lotnisko. Był pewny, że wkrótce ją zobaczy, i srodze się rozczarował.

- W takim razie życzę przyjemnej podróży.

- Wątpię, żeby była udana. Westchnął i odłożył słuchawkę.

Długo rozmawiali, a jednak nie pozbył się wątpliwości. Gdy nieopatrznie zdradził się z tym, Maggie omal nie rzuciła słuchawki. Kłamała czy mówiła prawdę? Nie potrafił tego dociec. Za mało ją znał, żeby rozstrzygnąć ten dylemat. Na domiar złego oboje czuli się teraz rozżaleni. Było mu ciężko na sercu, gdy szedł w stronę bramki, gdzie miała się odbyć kontrola osobista. Strasznie tęsknił za ukochaną. Bez niej wszystko traciło sens, a jego życie wydawało się puste.

Wyjazd do Nowego Jorku okazał się męczący, ale udany. Wywiad był wprawdzie dla Marka trudną próbą, ale rzekomy M. S. Stevens zrobił dobre wrażenie i mógł w przyszłości liczyć na dobre recenzje.

Z telewizyjnego studia natychmiast pojechali na lotnisko. Mark uparł się, żeby wracać pierwszym

### ***Autor pilnie poszukiwany 149***

samolotem. Chciał jak najszybciej zobaczyć się z Maggie. Rayanne nie protestowała.

W Pittsburghu byli o siódmej wieczorem. Mark skontaktował się z babcią, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Byłoby mu łatwiej, gdyby miał przy sobie komórkę, ale na czas swojej nieobecności zostawił ją dobremu znajomemu i najbliższemu sąsiadowi babci. Josh Tylor nie chciał mieć własnego aparatu, bo uważał, że komórka to rodzaj smyczy, ale przyjął do wiadomości argumenty Marka, któremu bardzo zależało na tym, żeby babcia miała w pobliżu bliskiego człowieka, do którego mogłaby zwrócić się o pomoc, gdyby stało się coś złego.

Po rozmowie z babcią natychmiast zadzwonił do Maggie. Zaczynał się od niej uzależniać.

- Jak się czujesz?

- Nieźle. Mam ci przesłać zwolnienie lekarskie?

- Nie kpij. Marnie ci to wychodzi.

- Widzę, że według ciebie nie mam żadnych zalet. Oferma do kwadratu.

- Przestań się złościć. Wpadnę do ciebie jutro - oznajmił, nie pytając jej o zdanie.

- Przykro mi, ale pocałujesz kłamkę. Będę w pracy. Na dwunastą Pierpont zwołał konferencję prasową, żeby oficjalnie poinformować o kupnie wydawnictwa. Muszę się pokazać w firmie. Skoro transakcja została sfinalizowana, zamierzam wreszcie powiedzieć mu, że jestem autorką przewodników. Najwyżej wywali mnie z pracy. Nieważne.



## **150 Jennifer Drew**

Znajdę inną. Przykro mi tylko, że zostaniesz bez zajęcia.

- Szczerze mówiąc, niechętnie udawałem M. S. Stevensa.

- W takim razie masz powody do radości. Nie będziesz musiał dłużej tego robić.

Oboje uznali, że wszystko zostało powiedziane i odłożyli słuchawki.

Następnego dnia Maggie przykuśtykała do wydawnictwa okropnie zdenerwowana. Odczekała, aż wyjdą dziennikarze, operatorzy i reporterzy. Dopiero wtedy podeszła do nowego szefa.

- Panie Pierpont, czy możemy chwilę porozmawiać?

- Ależ tak! - odparł jowialnie. - Zawsze mam czas dla moich podwładnych.

- Zajmę panu tylko chwilę. - Udało jej się odciągnąć szefa na bok, z dala od ciekawskich uszu. - Sprawa dotyczy przewodników.

- Doceniam pani wkład w ich wydanie. Mam nadzieję, że to początek udanej współpracy. Rozkręcimy serię i...

- Chciałam poinformować pana...

- To Maggie je pisze, a ja tylko firmuję swoim nazwiskiem - usłyszała znajomy głos.

Serce biło jej szybko i mocno, a tekst wyznania, którego nauczyła się na pamięć, natychmiast wyleciał z głowy.

- Bez niej w ogóle nie byłoby serii „Wyprawa w nieznane”. Dlatego uważam, że nazwisko autor-

*Autor pilnie poszukiwany*

151

ki powinno być odtąd umieszczane na okładce i karcie tytułowej.

- Mark, po co...

- Granville, pan o tym wiedział? - Pierpont zwrócił się do współnika, który stał za wielkim biurkiem. Był mocno zakłopotany.

- Jakże to ma znaczenie, skoro seria znakomicie się sprzedaje? - wtrącił Mark. - Maggie świetnie pisze, ale nie lubi taniego poklasku. Woli pozostać w cieniu i robić swoje, a panu się to opłaca.

- Owszem, ma pan rację - przyznał po namyśle Pierpont. - Jedno z czołowych nowojorskich wydawnictw zaproponowało mi nawet wspólną reedycję serii. Można na tym sporo zarobić.

- I bardzo dobrze. Liczy się zysk - odparł Mark. Maggie zastanawiała się, kto oprócz niej jest

świadomy, że Mark kpił sobie z Pierponta. Stawiała na pana Granville'a. Od pamiętnej konferencji prasowej minęły dwa tygodnie. Mark zamilkł. Nie dzwonił, nie odwiedzał jej... jakby się zapadł pod ziemię. Nie wiedziała, co o tym myśleć, lecz wołała mu się nie narzucać. Miał o niej bardzo złe mniemanie, ale uratował ją, gdy szczerym wyznaniem mogła narazić na szwank swoją pisarską karierę. Postanowiła czekać cierpliwie. Z konieczności będą musieli wkrótce podjąć współpracę i napisać razem kolejny przewodnik. Może wtedy uda się usunąć nieporozumienia? Nie zamierzała niczego przyspieszać. Spokojnie czekała, aż Mark się do niej odezwie. Tymczasem od-

## **152 Jennifer Drew**

wiedziała rodziców, którzy wrócili z wojaży i chwilowo przebywali w domu, oraz siostrę, która prawie go nie opuszczała, wytrwale poszukując samej siebie.

W piątek po jej powrocie do domu Mark wreszcie zadzwonił.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - sumito-wał się, ponieważ godzina była późna.

- Och nie! - uspokoiła go natychmiast, starając się nadać głosowi spokojne i przyjazne brzmienie.

- Jak się czujesz?

Głupie pytanie. Cierpiała męki, ponieważ umierała z tęsknoty.

- Świetnie - odparła krótko, żeby za dużo nie kłamać.

- Zastanawiam się, czy masz ochotę wpaść do nas na obiad...

- Do Cory?

Mile zaskoczyło ją to zaproszenie, ale nie robiła sobie wielkich nadziei.

Mark chciał, żeby odwiedziła jego babcię. Nie ma w tym krzty romantyzmu. Zwykła wizyta, nic więcej. Postanowił zapewne omówić harmonogram pracy nad nową książką i plan spotkań z czytelnikami.

- Nie jestem pewna, czy pamiętam, jak tam dojechać, a notatki mi zginęły.

- Nie przejmuj się drobiazgami. Przyjadę po ciebie koło czwartej. Zabierz trochę rzeczy. Przenocujesz u nas.

Odłożył słuchawkę, nim zdążyła zapytać, dlaczego chce zatrzymać ją na noc.

### ***Autor pilnie poszukiwany 153***

Przyjechał punktualnie. Kiedy go zobaczyła, serce biło jej tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi, ale w końcu się uspokoiło. Nie musiała brać ze sobą walizeczki. Od pewnego czasu nosiła w torbie szczoteczkę do zębów, zmianę bielizny i podstawowe kosmetyki. Na wszelki wypadek. Tłumaczyła sobie, że Mark chciał ją zatrzymać na noc, żeby nie jechać po ciemku do miasta.

Gdy dotarli na miejsce, Cora przywitała ją niczym przyjaciółkę rodziny. Tym razem ugotowała potrawkę z warzyw. Dogadzała Maggie jak córce marnotrawnej, która nareszcie zdecydowała się powrócić na łono rodziny. Jej atencja była wręcz kłopotliwa, zwłaszcza że Maggie nie rozumiała, czemu zawdzięcza owe względy.

- To jest Josh Taylor - powiedział Mark, przedstawiając jej postawnego mężczyznę w roboczym kombinezonie i z brodą, której nie powstydziliby się święty Mikołaj. - Pomaga mi budować dom, a przed laty pracował tutaj z dziadkiem.

- Nie tylko ja. Cała okolica pomogła - wtrącił starszy pan z przyjaznym uśmiechem.

Kiedy jedli, Mark rozmawiał z nią przyjaźnie. W aucie też był miły, ale jego uwagi wydawały się zdawkowe. Same ogólniki. Maggie nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Dlaczego chciał się z nią zobaczyć? I po co została tutaj zaproszona?

- Dni robią się coraz krótsze - powiedziała znacząco Cora, gdy jedli pyszne ciasto.

- Babciu... - Mark rzucił starszej pani ostrzegawcze spojrzenie.

## 154 *Jennifer Drew*

Maggie nie miała pojęcia, czy ma się cieszyć, czy martwić. Całkiem prawdopodobne, że Mark zamierza opowiedzieć babci i Joshowi o ich przyszłej współpracy przy kolejnych przewodnikach. Jeśli tak, wołała tego nie słyszeć. Smuciła się, że mężczyzna, którego kochała, chce być teraz dla niej tylko partnerem w Interesach. Z rozpaczą myślała, że on jest dla niej... wszystkim.

- Zamierzam ci jeszcze coś pokazać. Skończyłaś jeść, prawda?

Aha, czas się żegnać. Mark daje znak do odjazdu.

- Dzięki, Coro. Wszystko było pyszne. Cieszę się, że ciebie poznałam, Josh.

Chwyła torbę i poszła za Markiem, który wyszedł przed dom. Miało się już ku wieczorowi. Coraz krótsze dni przypominały o nadchodzącej zimie. Mark ujął dłoń Maggie i bez słowa ruszyli na płaskowyż.

Gdy wyszli na otwartą przestrzeń, nie wierzyła własnym oczom.

- Dom już stoi!

- Jest trochę większy, niż planowałem.

- Mark, jaki piękny! Czerwonawe drewno sekwoi idealnie pasuje do zielonego dachu. Mogę wejść do środka?

- Po to cię tutaj przyprowadziłem.

Objął ją ramieniem i z zapalem opowiadał o przebiegu budowy.

- Zatrudniłem cieśnię, bo uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do mojego dziadka nie jes-

### ***Autor pilnie poszukiwany 155***

tem urodzonym budowniczym. Mamy własny generator, więc prądu nam nie zabraknie.

Nam? Maggie wstrzymała oddech. Odniosła wrażenie, że śni i widzi pierwszą gwiazdkę mrugającą nad koronami drzew, w których szumi wiatr. Miała omamy. Pewnie dlatego, że tak bardzo pragnęła być z Markiem.

- Spieszyłem się, nie chciałem przeciągać tej budowy - tłumaczył, gdy obchodzili dom. - Josh ściągnął tu wszystkich swoich kuzynów. Pomagali za piwo, pizzę i amunicję do zimowych polowań. Myślę, że świetnie się spisali. Dom jest w porządku.

Maggie miała łzy w oczach, gdy weszli do środka i Mark pokazywał jej pokoje o seledynowych ścianach. Terakotowe podłogi utrzymane były w nieco ciemniejszym kolorze. Salon był pusty. Stały tam jedynie dwa krzesła ogrodowe z metalu i żółtozielonej plecionki.

- Jest łazienka, ciepła woda. Krótko mówiąc, dom z wygodami. Tam znajduje się sypialnia. Mamy łóżko, resztę mebli sama powinnaś wybrać. Ale nie uprzedzajmy faktów - mruknął, nieco zakłopotany.

Sypialnia była nieduża i przytulna. Stało w niej wiekowe, mosiężne, przyjemnie spatynowane łóżko przykryte nowiutką narzutą. Kwadraty zielone, żółte i czerwone tworzyły skomplikowany wzór.

- To jest dzieło twojej babci, prawda?

- Pracowała nad tą kapą dwa lata. Wszystkie kwadraty zszywała ręcznie".  
W ten sposób dała mi do zrozumienia, że już czas.

## 156 *Jennifer Drew*

- Na co? - zapytała bez tchu.

Kolana ugięły się pod nią, ale Mark objął ją i mocno przytulił, więc uniknęła upadku.

- Chciałbym, żebyś tu ze mną zamieszkała

- powiedział uroczyście.

- Żebym zamieszkała...

Nie była w stanie myśleć logicznie, więc powtarzała jego słowa.

- Nie na stałe. Zachowamy twoje mieszkanie w Pittsburghu. Nie oczekuję, że zrezygnujesz z pracy, ale Pete mówi, że pewne rzeczy możesz robić w domu i odsyłać pocztą elektroniczną. Wydawnictwo zapewni ci odpowiedni sprzęt.

- Jaki Pete?

- Pierpont. Jadę z nim na Alaskę łowić ryby. Krótka ekspedycja. Chyba rozumiesz, że od czasu do czasu muszę wyjechać. Odkąd przestałem udawać M. S. Stevensa, znów pracuję jako przewodnik. Już wiem, że każde rozstanie z tobą będzie mnie dużo kosztować, więc ucieszę się za każdym razem, gdy zechcesz mi towarzyszyć. - Uśmiechnął się i pocałował ją zachłannie. - Wyjdź za mnie, Maggie

- poprosił, tuląc ją tak mocno, że czuła bicie jego serca.

- Chcesz, żebyśmy się pobrali?! - zawołała zdumiona i uradowana.

- Postaram się wyrównać i utwardzić starą leśną drogę, która tutaj dochodzi. Dom nie będzie taką samotnią, gdy o każdej porze dnia i nocy będzie można wygodnie tu dojechać, nie rozwalając aut na wybojach.

***Autor pilnie poszukiwany 157***

- Mark, dość mam tej dokumentacji. Nie jestem inspekcją budowlaną. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała namiętnie. Poczowała smak cynamonu, wanilii... i szczęścia. Była w siódmym niebie.

- Mam rozumieć, że się zgadzasz - mruknął, wtulając twarz w jej włosy.

- Gdzie spędzimy miodowy miesiąc?

- W Tangerze, Tybecie, Timbuktu? Sama zdecyduj.

- Wolę zostać tutaj. - Wskazała łóżko. - Potem mogę iść za tobą na kraj świata. Wszędzie, gdzie zechcesz.

- Może jednak polubisz namioty?

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Już nie wierzyła, że ma w życiu pecha.

- Kocham cię, M. S. Stevens - powiedział, kładąc ją na łóżku i zasypując jej twarz słodkimi całusami.

Nie była w stanie wykrztusić słowa, ale teraz miała całe życie, żeby wyrazić bezmiar miłości, którą do niego czuła.



*Bishop Natalie*

*Ich czworo*

**Gwiazdor ekranów i topmodel Julian Ashby pragnie jednego: żeby wielbicielki dały mu wreszcie spokój. Debiutująca aktorka Dixie Kingston szuka roli, która stanowiłaby efektowny początek błyskotliwej kariery. Wspólnie układają sprytny plan. Jego skutki będą zaskakujące nie tylko dla nich...**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Przykro mi, zamykamy! - zawołała buszująca w schowku Dixie Kingston. Upychała właśnie na półce stos ozdobnych menu, gdy usłyszała odgłos kroków. Nie było mowy, żeby ktoś wszedł do lokalu o tak późnej porze.

- Wiem - usłyszała męski głos. Nocny marek mówił z brytyjskim akcentem. - Chciałem tylko zaszyć się na moment w ciemnym kącie.

Dixie wyprostowała się natychmiast. Gdzieś już słyszała ten głos. Popatrzyła na przybysza i otworzyła szeroko oczy w kolorze bursztynu. Przed nią stał Julian, ten słynny Julian, topmodel o międzynarodowej sławie: wysoki, długowłose, szeroki w barach, niebieskooki. Ikona tego roku, bożyszcze marketingu, sławny i popularny jak większość gości

## 162 *Natalie Bishop*

bywających „U Diamonda”. Ten lokal stał się ostatnio bardzo modny.

Dixie wpatrywała się w Juliana jak urzeczona.

- Mogę wejść? - zapytał z promiennym uśmiechem, doskonale zdając sobie sprawę, że jest czarujący.

Dixie przez moment była ubawiona, ale szybko przestała jej się podobać ta sytuacja. Zadufany w sobie głupek! Jak zamknięte, to zamknięte. Bolały ją nogi. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, więc nikt, nawet słynny Julian, nie miał prawa jej zatrzymać.

- Ostatni goście się wynieśli. Obsługa tego dopilnowała - odparła. - Dochodzi druga.

SuperJulian był zdumiony. Chyba nie przywykł, żeby odprawiano go z kwitkiem.

- Kwadransik? - rzucił błagalnie. - Miałem koszmary wieczór.

- No dobrze - mruknęła z ociąganiem, mile polectana, że taki sławny facet przymila się do niej, początkującej aktoreczki, utalentowanej, ale wciąż czekającej na wielką życiową szansę. Dodała szorstko: - Kwadrans i ani minuty dłużej. Gdyby ktoś z obsługi chciał cię wyprosić, powiedz, że Dixie pozwoliła ci wejść, bo wpadłeś jej w oko.

Zaprowadziła go do sali i wróciła do pracy. Usiadł przy barze i obserwował jej krzątanie. Barman uniósł brew.

- Ray pyta, czy chcesz się czegoś napić - przetłumaczyła na język zwykłych śmiertelników.

*Ich czworo 163*

- Nie, dziękuję. - Skorzystał ze sposobności, żeby podtrzymać rozmowę. - Jesteś kelnerką? - zapytał.
- Hostessą - poprawiła. - Mam większe ambicje, ale dzięki temu zajęciu regularnie płacę rachunki.
- Co chciałabyś robić?

- Grać w filmie - odparła zakłopotana. Jakie to banalne, pomyślała: hostessa marzy o karierze aktorskiej.

- Próbowałaś się zaczepić w tej branży?

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Nie wydawał się szczególnie zainteresowany jej osiągnięciami.

- Trochę grałam.

- W czym?

Skrzywiła się na myśl o debiucie w reklamie kociego żwirku. Płacili dobrze, ale nie czuła się wielką gwiazdą, gdy trzymała różową torbę z takim paskudztwem i powtarzała po raz setny: „Twój kot już wybrał. Bierz z niego przykład! Sprawa jest pilna!”

Z drugiej strony jednak żadna praca nie hańbi, a dzięki kociej reklamówce otrzymała rolę cheer-leaderki w telenoweli. To był ważny krok naprzód w jej aktorskiej karierze.

- Grałam w serialu „Rodzina Harringtonów”. Nadają go wieczorami.

- Naprawdę? - Z uznaniem pokiwał głową.

- Oglądałeś?

- Niestety nie.

164 *Natalie Biskop*

- Już tam nie grasz?

Dixie postawiła na tacy butelki po piwie i przetarła stół mokrą ścierką.

- Zrezygnowałam, bo zachciało mi się wielkiej miłości. Popełniłam błąd. Mój były chłopak jest inżynierem. Pojechałam za nim do San Jose i utknęłam wśród półprzewodników. Parę miesięcy temu wróciłam do Los Angeles.

- Zaczynasz od początku?

- Próbuję. Chciałabym wrócić na plan. - Miała dość osobistych zwierzeń, więc zmieniła temat.

- Wspomniałeś, że to był dla ciebie przykry wieczór.

Westchnął ciężko i pokiwał głową.

- Aha. Racja. No wiesz... - Długo milczał.

- Miałem randkę. Ta kobieta zapłaciła za wieczór w moim towarzystwie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Proszę? - Dixieomal się nie zakrztusiła.

- Pieniądze zostały przekazane na cele charytatywne. Dlatego się zgodziłem. Trzeba się promować, rozumiesz? Najpierw siedział z nami mój brat Hank, ale babsko nie było zadowolone, ponieważ chciało zostać ze mną sam na sam. Hank się zmył, a wtedy ja... - Wzdrygnął się i zamilkł na chwilę.

- Moja wielbicielka zrobiła się nachalna, wcześniej inne fanki dały czadu, a na domiar złego Hank kpił sobie ze mnie i twierdzi, że to strasznie zabawna historia.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za jeden wieczór? Wysoko się cenisz.

*Ich czworo 165*

- Tamta nadziana nimfomanka przez cały wieczór trzymała mnie za kolano. Bałem się, że przesunie dłoń wyżej. - Mrugnął porozumiewawczo do Dixie. - Więcej się na to nie zgodzę. Za żadne pieniądze. Dixie była ciekawa, co jeszcze zdarzyło się przed fatalną randką.

- To chyba nie było twoje najgorsze przeżycie. Dlaczego brat z ciebie kpił?

- Wciągnęła cię moja opowieść, co? Wywabiłem moją wielbicielek z restauracji najszybciej, jak się dało. Pojechaliśmy limuzyną do jej hotelu. Było ostro, ale dotarliśmy na miejsce kompletnie ubrani. W holu pożegnałem się i umknąłem do taksówki. Najchętniej wróciłbym do domu, lecz Hank mieszka u mnie, a wolałem być sam, żeby przemyśleć kilka spraw. Oprócz kolacji z babiszonem spotkała mnie przedtem inna nieprzyjemność. W czasie obiadu natknąłem się na grupę fanek. Jedna z nich niespodziewanie pocałowała mnie, kiedy wziąłem do ust spory kęs. Omal się przez nią nie udławiłem.

- Rozumiem, że czułeś się podle - odparła Dixie trochę kpiąco, a zarazem pobłażliwie. - Z drugiej strony trudno się nad tobą litować, bo masz takie powodzenie. Wystarczy na ciebie popatrzeć... - Wymownym gestem wskazała jego postać. Miał na sobie rozpiętą niebieską koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, czarne dżinsy i ciemne buty, które wyglądały na bardzo drogie. - Początkujące aktorki, które walczą o każdą rolę, nie potrafią współczuć uznanym gwiazdom.

166 *Natalie Bishop*

- Co za szczerłość!

Dixie milczała. Często słyszała podobne uwagi, niekiedy dosyć kąśliwe. Chloe, jej siostra, ostrzegęła, że zgubi ją nadmierne gadulstwo. Przyganiał kocioł garnkowi!

- Chodzisz na castingi?

- Owszem. Mam nawet agenta.

- Powinnaś skończyć dobre studium aktorskie. Mam znajomych wśród najlepszych nauczycieli. Mogę poprosić, żeby cię przyjęli pod swoje skrzydła.

- Zrobiłbyś to dla mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Owszem. - W zadumie pokiwał głową. - Umowa stoi, jeśli wyświadczysz mi pewną przysługę-

Dixie spojrzała na niego z góry.

- A konkretnie o co chodzi?

- Uspokój się, nie ma powodu do obaw - zapewnił, obronnym gestem unosząc ręce. - Musiałabyś tylko zagrać rolę.

- Jaka?

- Mojej narzeczonej - odparł po namyśle. Dixie zamarła w bezruchu z dłońmi zaciśniętymi na krawędzi baru. Po prostu osłupiała.

- Nic ci nie jest? — spytał zaniepokojony Julian.

- Dlaczego chcesz, żebym udawała twoją narzeczoną?

- Bo muszę uwolnić się od natrętnych wielbicielek, które uważają, że skoro nie mam nikogo na stałe, to jestem do wzięcia i można na mnie

*Ich czworo 167*

polować. Obecność narzeczonej ostudzi trochę ich zapał. Uznałem, że świetnie nadajesz się do tej roli.

- Gdy milczała, zastanawiając się nad jego propozycją, dodał: - W zamian za tę przysługę chętnie pomogę ci w karierze aktorskiej. Zawrzyjmy umowę - nalegał.

Wyciągnął rękę. Dixie wpatrzona w jego dłoń uznała, że nie wolno zmarnować takiej okazji. Trzeba korzystać. Mimo wątpliwości, które nie dawały jej spokoju, ujęła podaną dłoń i powiedziała zduszonym głosem:

- Zgoda.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że popełniła błąd, ale nie zwracała na to uwagi.

- Stawiam jeden warunek - zaczął ostrożnie Julian. Natychmiast wyrwała rękę, więc pokręcił głową na znak, że nie ma złych zamiarów. - Spokojnie! Nie bądź taka strachliwa. Warunek jest całkiem rozsądny. Chodzi o to, abyś nikomu, ale to nikomu nie mówiła, że nasze zaręczyny to bujda. Gdyby prawda wyszła na jaw, te okropne babska prześladowałyby mnie jeszcze bardziej niż dotychczas. Cały świat musi uwierzyć, że jesteśmy parą. Nie zdradź się przed nikim.

Dixie pomyślała o Chloe. Rodzonej siostrze też nie wolno się zwierzyć?

- Ale...

- Żadne ale! Nie mów nikomu i już - odparł z naciskiem. - Musimy być wiarygodni i przekonujący.

- Ale to jedynie gra, tak?



168 *Natalie Bishop*

- No pewnie. Trwały związek jest dla mnie równie atrakcyjny, jak obieranie kartofli dla kompanii wojska - odparł z irytacją.

Dixie wpatrywała się w niego, zdumiona nagłą zmianą swojej sytuacji. Szczęście w końcu uśmiechnęło się do niej! Julian obiecał polecić ją najlepszym nauczycielom aktorstwa, a w zamian za protekcję miała tylko udawać jego narzeczoną.

Czy to będzie trudna rola?

- Zgadzam się - powiedziała, ściskając mu dłoń i potrząsając nią energicznie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Jestem z siebie dumna - oznajmiła Chloe. Dixie zerknęła na siostrę znad wysokiego kubka pełnego gorącej bezkofeinowej kawy o smaku waniliowym, zabelonej odrobiną chudego mleka. Ostrożnie upiła łyk, uważając, żeby nie poparzyć warg.

- Dlaczego? - zapytała.

Chloe, zamiast odpowiedzieć, podsunęła jej „New York Timesa” otwartego na stronie z krzyżówką.

- Spójrz, rozszyfrowałam hasło numer pięćdziesiąt sześć. - Postukała długopisem o papier, a po chwili dodała zagadkowo: - A to przecież sobotnie wydanie.

Dixie z zasady nie rozwiązywała krzyżówek,

## 170 *Natalie Bishop*

więc udała, że nie słyszy tajemniczej uwagi. Nie próbowała także wydedukować jej znaczenia. Chloe była od niej o dziesięć lat starsza i znacznie mądrzejsza. Zapewne w swoim czasie wyjaśni po swojemu w czym rzecz. Była chodzącą encyklopedią, co doskonale tłumaczyło, dlaczego tak się z nią liczone w kancelarii prawniczej, gdzie została zatrudniona jako specjalistka od wszystkiego. Nie skończyła prawa, ale z powodu wyjątkowej erudycji miała u stóp wszystkich wziętych adwokatów. Dixie była z innej gliny. Marzyła jedynie o aktorstwie. Czułaby się najlepiej, gdyby zarabiała na życie, pracując w ulubionej dziedzinie. Nie miała wielkich wymagań. Ależ skąd! Od czasu do czasu przydałoby się jednak złapać kilka dolców. Nadal koczowała w skromnym domu siostry niedaleko Manhattan Beach i uważała się za pasożyta.

Chloe podniosła gazetę i twarz jej się rozpogodziła.

- Z tygodnia na tydzień krzyżówki stają się coraz trudniejsze. Sobotnie wydanie jest najgorsze, a ja znałam wszystkie odpowiedzi. - Szare oczy rozświetliła szczerą radość. Chloe westchnęła głęboko i zapytała: - Powiedz mi, czy może być lepiej!

Dixie utkwiała wzrok w zawartości kubka. Od wczorajszego spotkania z Julianem korciło ją, żeby zwierzyć się siostrze. Ale nie mogła. Dała słowo. Przez cały ranek myślała o tym, że wszystkich sił starając się dotrzymać słowa.

- Taki piękny dzień, a ty od rana jesteś dziwnie milcząca - zauważyła Chloe, pochylając się ku siostrze.

### *Ich czworo 171*

W ulubionej kawiarence wybrały mikroskopijny stolik przy oknie. Była sobota, więc Chloe nie musiała iść do kancelarii. Pracowała tam, odkąd Dixie sięgała pamięcią. Zatrudniła się zaraz po przedwczesnej śmierci ich matki, zmarłej na raka piersi. Od tamtej pory Chloe wzięła pod swoje skrzydła młodszą siostrę. Była dla kolegów prawników prawdziwym skarbem. Gdyby nie pilnowała, żeby wszystko szło jak należy, firma zapewne szybko by podupadła. Na szczęście szefowie rozumieli, jaki brylant im się trafił, i dobrze płacili. Chloe odłożyła dość, żeby na pierwotnym rynku nieruchomości kupić mały dom.

Dixie poczuwała się do tego, żeby zarabiać. Do tej pory ze zmiennym szczęściem próbowała się zaczepić w świecie filmu, ale dzięki umowie z Julianem otwierały się przed nią wszystkie drzwi. Chętnie zwierzyłyby się siostrze, ale Julian wymógł na niej obietnicę, że najważniejsze szczegóły zachowa w tajemnicy. Zawiedziona oparła policzek na dłoni i westchnęła.

- Masz dość pracy w restauracji? - zapytała pogodnie Chloe i niedbałym gestem dłoni dała do zrozumienia, co myśli o humorach siostry. Nie czekając na odpowiedź, dodała: - Masz dobrego agenta, biegasz na castingi. W końcu coś ci się trafi i będziesz mogła rzucić tę robotę.

- Wcale nie jest mi tam źle, choć wolałabym zarabiać więcej. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

- Chodzi o Jeffa! - niespodziewanie uznała

172 *Natalie Bishop*

Chloe. - Posłuchaj mnie. Szkoda cię dla tego technokraty. Na dobre utknął w San Jose. Wierz mi, będzie dla ciebie najlepiej, jeśli zostaniesz ze mną w Los Angeles.

- Nie chodzi o Jeffa - odparła stanowczo Dixie. - Skończyłam z nim raz na zawsze. Tylko mi nie wypominaj, że straciłam rolę w Harringtonach, bo pojechałam za nim.

- Ani mi to w głowie.

- Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. Najważniejsza jest kariera, miłość będzie odtąd na drugim miejscu - zapewniła Dixie.

- Albo i dalej. - Chloe popatrzyła na złotowłosą, kędzierzawą siostrę, podziwiając jej okrągłe piwne oczy i śliczny nosek.

- Jeff to kretyn - oznajmiła.

- No, no - mruknęła Dixie i na znak zgody uniosła kubek jak do toastu.

- Miłość jest do kitu - stwierdziła Chloe. Trochę się zagalopowałaś, siostrzyczko, pomyślała Dixie.

Do kawiarni wszedł przystojny mężczyzna. Spozregł urodziwe siostry, mrugnął do nich i podszedł do baru.

- Uwaga! Oto prawdziwy adonis. Lepiej takiemu nie ufać - mruknęła ironicznie Chloe, prychnęła i przewróciła oczyma. To było jej credo: Im atrakcyjniejsza powierzchowność, tym gorszy charakter. Kurczę blade, lepiej nie myśleć, co powie o Julianie. Dixie była poważnie zaniepokojona. Przez

### *Ich czworo 173*

sześć lat narzeczonym Chloe był charyzmatyczny i wyjątkowo przystojny adwokat z kancelarii, w której pracowała. Uczucie pięknie rozkwitło i nagle zwiędło, gdy młody człowiek przeniósł się do innej kancelarii. Pierwszego dnia poznał tam inną kobietę i miesiąc później stanął na ślubnym kobiercu. Chloe mówiła niewiele, lecz było to dla niej bolesne przeżycie. Nadal nie ufała przystojniakom. Dixie sama łapała się na tym, że chwilami podziela jej uprzedzenia, ale odsuwała od siebie złe myśli. Nie powinna przejmować lęków siostry.

Jak powiedzieć jej o Julianie?

Dobre moce chyba nad nią czuwały, bo w czasopiśmie zostawionym na stoliku spostrzegła duże zdjęcie Juliana i krótką notatkę na jego temat.

- Posłuchaj, Chloe! „Julian podpisał kolejną umowę z koncernem kosmetycznym. Nadal będzie twarzą męskich perfum o nazwie Tarzan. Pierwsza seria zmysłowych reklam uczyniła z przystojnego supermodela prawdziwą gwiazdę. Kobiety powinny uważać. Ich serca będą w niebezpieczeństwie! Na ekranach telewizorów pojawią się kolejne filmy reklamowe z udziałem Juliana. Wspaniały tors i bujna czupryna tego idola posługującego się tylko imieniem znów doprowadzą panie do spazmów zachwyty. One go kochają! To się czuje!”

- I co z tego? - zapytała Chloe, gdy Dixie odłożyła gazetę.

- Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć... - zaczęła, czując na sobie badawcze spojrzenie siostry.

- Tak?

174 *Natalie Bishop*

- Dziś wieczorem mam z nim randkę - oznajmiła. Nie mogła od razu ogłosić, że jest zaręczona. Chloe by jej nie uwierzyła.

- Ty? Z tym Julianem? - Chloe z przerażeniem spojrzała na fotografię w czasopiśmie. Wyciągnęła je spod łokcia Dixie i przyglądała się urodziwej twarzy sfotografowanej z profilu, jakby widziała ją po raz pierwszy.

- Wczoraj był w naszej restauracji i umówił się ze mną. - Dixie przygotowała się na burę, która nieuchronnie musiała nastąpić.

I nastąpiła.

- Masz randkę z Julianem? - Chloe podniosła głos.

- Ciszej - syknęła Dixie, rozglądając się nerwowo.

- Z tym supermodelem? Wychodzisz z nim dzisiaj? - Chloe nie wierzyła własnym uszom. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Właśnie to robię.

- O Boże! Tylko nie to! - Chloe pokręciła głową, jakby dając do zrozumienia, że kochliwa siostra całkiem straciła rozum. - Nie możesz się z nim pokazywać. Przecież to... koszmarny bubek!

Dixie sięgnęła po gazetę i popatrzyła na biało-czarne zdjęcie słynnego modela.

- Jest niesamowicie przystojny, bardzo męski, ma fantastyczne ciało i regularne rysy.

Chloe z uwagą obserwowała twarz siostry.

- Żartujesz, prawda?

- Kobiety uganiają się za nim. Musi się przed

*Ich czworo 175*

nimi ukrywać, bo nie dają mu spokoju. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak on to wytrzymuje.

- Moim zdaniem uwielbia być w centrum uwagi i chce, żeby go adorowały! - wybuchnęła Chloe.

Zaintrygowani goście przy sąsiednim stoliku odwrócili głowy w jej stronę.

Dixie westchnęła ciężko, dopiła kawę i wstała. Chloe nie ruszyła się z miejsca. Siedziała sztywno, jakby kij połknęła.

- Dlaczego nie powinnam się z nim umawiać?

- zapytała. - Podaj mi jeden rozsądny powód. Chloe zmrużyła oczy, co oznaczało, że musi przemyśleć sprawę. Opadła na oparcie i odgarnęła do tyłu niesforne loki. Była blondynką. Jej włosy były nie do opanowania. Daremnie od czasu do czasu próbowała coś z nimi zrobić. Siostry były do siebie podobne, lecz istniały także różnice. Oczy Chloe były szare, a Dixie - bursztynowe. Ta pierwsza miała na głowie burzę włosów, tak gęstych i kędzierzawych, że ledwie dawała sobie z nimi radę.

Chloe odchrząknęła i powiedziała mentorskim tonem:

- Podam ci trzy powody, dla których nie powinnaś spotykać się z tym Julianem. Są to zarazem trzy zasady, których przestrzegam w kontaktach z facetami. - Wysunęła palec. - Nie należy interesować się mężczyzną, którego włosy są dłuższe od twoich.

- Drugi palec został wycelowany w sufit. - Randka z facetem nieposiadającym" nazwiska to poważny błąd. - Trzeci palec dołączył do tamtej dwójki.



176 *Natalie Bishop*

- Gość odpada, gdy mięśnie na jego torsie są tak. widoczne jak twój biust. Sama widzisz. Koniec pieśni. Julian wypada z gry.

Dixie zerknęła na swój biust. Daleko jej było do Dolly Parton, ale nie miała powodów do narzekań.

- To nie mój problem. Będziesz musiała przywyknąć, że chodzę z Julianem - zapowiedziała siostrze.

Zawiesiła torebkę na ramieniu, a potem niespodziewanie strzeliła palcami. - Wspomniał, że ma brata.

Wpadłam na doskonały pomysł! Spotkajmy się we czwórkę!

Chloe właśnie dopijała czarną kawę. Zakrztusiła się i opluła stronę gazety z rozwiązana krzyżówką.

- Zobacz, co narobiłaś! - wykrztusiła z trudem i spochmurniała.

- Znowu coś przeskrobałam, tak? - Dixie uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Myśl, co chcesz. I tak nie wyjdiesz z tym Julianem.

- W tej sprawie nie masz nic do powiedzenia!

- Dixie pomachała siostrze, opuściła kawiarnię i poszła do samochodu.

Gdy zamknęła za sobą drzwi lokalu, odetchnęła z ulgą i odgarnęła włosy opadające na twarz. Skoro

Chloe tak się uprzedziła na wzmiankę o pierwszej randce, jak zareaguje, gdy usłyszy o rzekomych zaręczynach.

Przebiegł ją dreszcz. Czarno to widziała.

- Wcześniej dziś kończy, więc zabieram ją do restauracji - oznajmił Julian Hankowi z pozoru

*Ich czworo 177*

obojętnie. Bez emocji podwijał rękawy koszuli, przeglądając się w lustrze nad komodą. Widział w nim zmienioną twarz brata.

- Poznałeś ją zaledwie wczoraj - przypomniał z niedowierzaniem Hank. - Zabierasz do swojej ulubionej restauracji zwykłą hostessę od Diamon-da, choć nikogo tam nie zapraszasz, bo nie chcesz, żeby wiedziano, gdzie lubisz jadać.

- Zgadza się.

- A mimo to zamierzasz pójść tam w biały dzień i czulić się do niej na oczach innych gości? - Julian obojętnie wzruszył ramionami. Hank był poważnie zaniepokojony. Nie poznawał brata. - Chcesz, żebym z tobą pojechał? Powinienem ją poznać.

- Pewnie. - Julian uśmiechnął się przyjaźnie. - Ale zrobimy inaczej. Jedź pierwszy, trochę z nią pogadaj, żebyś wiedział, co to za dziewczyna. Jest mi to na rękę, bo mam jeszcze coś do załatwienia, a nie chcę, by myślała, że wystawiłem ją do wiatru. Tylko pamiętaj: na kolację idziemy we dwoje, więc bądź łaskaw się zmyć.

- Doskonale. I tak nie mam ochoty na wasze towarzystwo - odparł ironicznie Hank. - Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz od razu do tej swojej knajpy, a ja ci ją tam przywiozę.

- Ale to mało eleganckie - zafrasował się Julian.

- Owszem - przyznał Hank, uważnie przyglądając się bratu. - Z drugiej strony dzięki temu ukryjesz swoją nową dziewczynę przed napalonymi fankami. Trzeba dbać" o wierną publiczność, podtrzymywać jej złudzenia...

178 *Natalie Bishop*

- Dixie jest niezwykłą dziewczyną - przerwał Julian. - Nasza znajomość dopiero się zaczyna, więc nie chciałbym niczego zepsuć.

Hank oniemiał, a Julian omal nie wybuchnął śmiechem. Wcisnął głowę w ramiona, pochylił się, żeby brat nie zobaczył jego miny, i popędził do drzwi.

- Wiesz co? Jedźmy razem do Diamonda, zgoda? Mam prawo do własnego życia. Nie będę się ukrywać.

Wyraźnie zafrasowany Hank wolno poszedł za nim. Gdy zatrzymali się obok mercedesa Juliana, spytał zamyślony:

- Czy ona naprawdę jest taka fajna?

- Na sto procent. Będziesz nią zachwycony - zapewnił Julian.

Dixie miała czerwone policzki, serce jej kołatało, a w głowie czuła kompletny zamęt. Bez oporów zgodziła się na fikcyjną randkę z Julianem, ale tak ją to absorbowało, że nie potrafiła skupić się na pracy. Niewiele czasu pozostało do spotkania. Dla Dixie oczekiwanie było niezbyt radosne. Julian wcale jej nie pociągał. Traktowała go jak współnika, z którym zawarła korzystny układ. Bardziej zaciekała ją reakcja właściciela i personelu „U Diamonda” na niespodziewane wejście gwiazdora, kiedy niedawno wpadł do niej na chwilę, żeby się upewnić, czy wieczorne spotkanie jest aktualne. Wskazała miłej parze stolik w sali na piętrze przy oknie wychodzącym na Bulwar Zachodzącego

*Ich czworo 179*

Słońca. W ogródku nie było gdzie szpilki wetknąć. Zerknęła na zegarek. Westchnęła nerwowo. Jeszcze pół godziny.

Obok recepcji jakiś mężczyzna czekał niecierpliwie na wolny stolik. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i przywitała w imieniu właściciela.

- Dzień dobry, mam na imię Dixie. Witamy „U , Diamonda”.

- Jestem Hank.

Znajomy głos, niebieskie oczy... Wszystko wydawało się znajome.

- Słyszę brytyjski akcent - sondowała ostrożnie.

- A tak się starałem mówić jak rodowity Kalifor-nijczyk. - Uniósł brew.

Dixie sięgnęła po menu i zwróciła się do innych oczekujących:

- Trochę to potrwa - zapowiedziała, a potem spojrzała znowu na ostatniego z gości. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz.

- Był pan już tutaj? - zapytała.

- Aha. - Chciał coś dodać, ale spojrzał na jej piękne nogi. Dixie zaczęła się obawiać, że jej spódnica jest zbyt krótka.

Miał na sobie spodnie khaki i jedwabną wzorzystą koszulę. „U Diamonda” obowiązywał inny strój, ale ten mężczyzna w swoich luzackich ciuchach wyglądał całkiem na miejscu. Już miała zapytać, gdzie chciałby usiąść, gdy przechylił głowę na bok, uśmiechnął się i oznajmił:

- Jestem bratem Juliana. Wszystko jasne!

180 *Natalie Bishop*

- Już wiem! Hank! - zawołała. - Oczywiście. Mówił mi o tobie.
- Ciebie też wspomniał - odparł zamyślony.
- Gdzie on jest? - zapytała wpatrzona w niego jak w obraz. Wypisz, wymaluj sławny brat. Gdyby miał ciemniejsze, gęściejsze włosy, gdyby rozpiął koszulę do pasa, można by go pomylić z Julianem. Wydawał się tylko znacznie bardziej pociągający.
- Poszedł na górę. Nie było cię w recepcji, a chciał jak najszybciej się z tobą zobaczyć. Zamilkli, mierząc się wzrokiem. Dixie zastanawiała się, co Julian powiedział o niej Hankowi. Nie wiedzieć czemu policzki jej się zarumieniły.
- Pójdę go poszukać. Dobiegły ich piski i okrzyki.
- Już wiesz, gdzie jest - mruknął ubawiony Hank. - Pójdę z tobą - dodał, gdy poszła na górę. Jeszcze na schodach usłyszeli gwar podnieconych głosów. W barze na pierwszym piętrze ujrzała Juliana otoczonego wianuszkami promiennie uśmiechniętych kobiet w obcisłych i wydekoltowanych sukienkach. Wszystkie chichotały, cisnąc się do niego.
- Na widok Dixie rozpromienił się, zawołał ją po imieniu i wyciągnął muskularne ramię. Kobiety jak na komendę odwróciły głowy, robiąc mu przejście. Wszystkie jęknęły, gdy objął Dixie i cmoknął ją w usta. Zaskoczona, natychmiast zeszywniała w jego objęciach.
- Przepraszam - szepnął jej do ucha. - Mam nadzieję, że nie będziesz się na mnie gniewać za tego całusa.

*Ich czworo* 181

- Jasne - wyjąkała.

Wielbicielki były wstrząśnięte. Julian odgarnął włosy do tyłu, przez chwilę mierzył je spojrzeniem, a w końcu oznajmił:

- Miłe panie, oto moja narzeczona Dixie...

- Kingston - podzuciła, ledwie otwierając usta.

- Kingston - powtórzył, obejmując ją ramieniem i tuląc do siebie.

Kobiety przeszywały Dixie morderczymi spojrzeniami.

Na twarzy Hanka malował się wyraz zaskoczenia, lecz nic więcej nie potrafiła z niej wyczytać.

Popatrzył jej w oczy. Odetchnęła głęboko, mając nadzieję, że przynajmniej wygląda na dziewczynę radosną i pełną nadziei, bo czuła się podle.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Chloe wsunęła za ucho złotobrazowy lok i z uwagą przyglądała się Dixie, która w skupieniu smarowała masłem grzanekę. Przypominała sportowca skoncentrowanego przed decydującą próbą. Chloe najchętniej wyrwałaby jej nóż, domagając się należytej uwagi, ale terapeuta, do którego chodziła po ostatnim zerwaniu, krytykował takie zachowania i radził jej zapanować nad zniecierpliwieniem. Uważał, że pacjentka ma typową dla starszych sióstr tendencję do przejmowania kontroli nad sytuacją, co negatywnie wpływało także na jej nieliczne związki z osobnikami przeciwnej płci. Dopiero dzięki terapii Chloe zdała sobie z tego sprawę i nauczyła się panować nad złymi skłonnościami, toteż jedynie w wyobraźni wyrwała Dixie

*Ich czworo* 183

noż, cisnęła maselnicką i wydarła się na całe gardło: Co z tym Julianem? Mówże wreszcie! Nie zamierzam czekać cały dzień, aż raczysz się odezwać!

W rzeczywistości zagadnęła jedynie zdawkowo:

- No i cóż...?

- O co chodzi? - spytała Dixie z miną niewiniątka.

Chloe dziobnęła nożem swego grejpfruta, policzyła do dziesięciu i uśmiechnęła się z roztargnieniem, jakby w gruncie rzeczy życie prywatne siostry w ogóle jej nie interesowało. Nie tylko Dixie potrafiła grać.

- Jak randka?

- Świetnie.

Boże, daj mi cierpliwość, pomyślała Chloe. Schowała dłoń pod stół i zacisnęła palce, wbijając paznokcie w ciało.

- Siostrzyczko...

Dixie popatrzyła na nią i zmarszczyła brwi, jakby nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Mówiłam ci, że poznałam jego brata Hanka?

- Nic mi nie mówiłaś - przypomniała Chloe z wymuszonym uśmiechem.

- Hank pierwszy podszedł do recepcji. Julian był już w środku, ale się rozminęliśmy, więc czekając na niego, rozmawiałam z Hankiem - powiedziała zamyślona.

Dziwnie zareagowała na obecność Hanka. Przy nim równie silnie jak przy 'Cloe odczuwała wyrzuty sumienia z powodu wymyślonych zaręczyn.



184 *Natalie Bishop*

Trudno. Musiała być silna i konsekwentna. Obiecała dochować sekretu.

Zacisnęła wargi i wzięła się do smarowania masłem następnej kromki, choć nawet nie tknęła poprzedniej.

- Naprawdę zamierzasz je zjeść? - spytała Chloe, wskazując dwie grzanki. - A może robisz zapasy na czarną godzinę?

- Uważasz, że noszę zbyt krótkie spódnice? - zapytała Dixie, wyraźnie zaniepokojona, jakby nie miała ważniejszej sprawy. - Wiadomo, mini to mini, ale czy moja biała spódniczka nie jest zbyt wyzywająca?

- Dixie! - krzyknęła zniecierpliwiona Chloe.

- Nigdy więcej nie włożę jej do pracy. Wszystkie kelnerki noszą się na czarno, właściciel również. Oczywiście recepcjoniści i recepcjonistki mogą ubierać się kolorowo, żeby ładnym wyglądem przyciągać klientów, ale z białą spódniczką pożegnani się definitywnie. - Dixie energicznie odgryzła spory kawałek grzanki i poprawiła szlafrok zsuwający się z ramienia.

Był spokojny niedzielny poranek. Chloe, także w szlafroku, podejrzliwie obserwowała siostrę. Nie zamierzała dać za wygraną.

- Coś się wydarzyło, prawda?

- Nie.

- Ten Julian próbował cię obmacywać?

- Skądże! - Dixie wybuchnęła śmiechem.

- W takim razie co się dzieje? - dopytywała się Chloe.

*Ich czworo 185*

- Nasza znajomość pięknie się rozwija - oznajmiła Dixie. - Dzisiaj też się umówiliśmy.

- Proszę?

- Wiedziałam, że będziesz zła, więc nie chciałam ci mówić. - Chwyciła gazetę i nerwowo przekładała strony, szukając krzyżówki. - Mam! Popatrz! Jest chyba dwa razy dłuższa niż wczorajsza.

- Owszem. - Chloe wyrwała siostrze gazetę, złożyła ją i rzuciła na stół. - No dobra, przestań mnie zbywać. Proszę o szczegóły.

Dixie wsunęła za ucho złoty kosmyk i odgryzła następny kawałek grzanki. Unikała przenikliwego wzroku siostry. Doskonaliła się stale w sztuce aktorskiej, lecz siostra знаła ją aż nazbyt dobrze, więc można sądzić, że nie da się nabrać. Istniała poważna obawa, że mądrała przejrzy grę Dixie, której było tym trudniej, że Julian pospieszył się i oznajmił Hankowi nowinę o rzekomych zaręczynach. Dixie wzdrygnęła się na myśl, jak ten ostatni zareagował na ową wiadomość. Zrobił się nagle bardzo milczący.

Przez resztę wieczoru Dixie była nieobecna duchem. Ponura mina Hanka wystarczyła, żeby popsuć jej humor. Szybko się pożegnał, zostawiając narzeczonych sam na sam. Julian zabrał Dixie do włoskiej knajpki, gdzie podawano wyśmienite jedzenie. Nie potrafiła się cieszyć ich smakiem, bo każdy kęs rósł w ustach. Julian próbował ją rozruszać, z miernym skutkiem. W końcu musiał pstryknąć jej palcami przed oczyma, żeby zwróciła na niego uwagę.

186 *Natalie Bishop*

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Odruchowo kiwnęła głową. Jasne, wszystko w porządku. Wiadomo, trzeba korzystać z okazji. Chwyła wiatr w żagle i miała wreszcie szansę zrobić wielką karierę. Przecież obiecała sobie, że aktorstwo będzie dla niej najważniejsze. Dlaczego miałyby się zastanawiać, co myśli o niej brat Juliana?

Pamiętaj, co masz do zyskania, powtarzała sobie.

Julian w samą porę wspomniał, że przygotowuje się do nakręcenia kolejnych spotów reklamowych.

Miał wystąpić jako Tarzan i chciał wiedzieć, czy Dixie przyjmie rolę Jane.

Pochyliła się nad stolikiem i biorąc z niego przykład, wycisnęła na gładko wygolonym policzku siarczystego całusa.

- Szef studium aktorskiego spotka się z tobą jutro o drugiej. Powiedział, że przyjmie cię do swojej klasy.

Dixie oniemiała. Z trudem wykrztusiła kilka słów, dziękując mu wylewnie, ale zbył ją nonszalanckim gestem.

- Uważa cię za moją narzeczoną - dodał, jakby to było uniwersalne wyjaśnienie. Zapewne miał rację. Na razie jednak nie można powiedzieć o tym Chloe, odczuwającej żywiołową niechęć do Juliana.

- Druga randka? Nie wierzę! - perorowała zdenerwowana Chloe.

- Jest bardzo sympatyczny.

*Ich czworo 187*

- Sympatyczny? - Chloe pokręciła głową i przytknęła rękę do czoła, jakby chciała opanować gonitwę niespokojnych myśli. - Dziewczyno, co ty gadasz? Mówimy o supermodelu Julianie.

- Druga randka to nic nadzwyczajnego - wymamrotała Dixie. Gardło miała ściśnięte, jakby kawałek grzanki utknął jej w przełyku. Odniosła wrażenie, że zaraz się udusi.

- To jest randka z gwiazdorem! - awanturowała się Chloe. - Wiesz, jacy ludzie go otaczają: paparazzi, gapie, wielbicielki. I ty wśród tych wszystkich ludzi. Pójdziecie na obiad, kolację czy do kina, a tamci wszędzie będą się na was gapić. Głównie na niego. Przecież to okropne.

- Nie zapominaj, że ja też chcę być wziętą aktorką. Taka jest cena sławy. Znam realia i poradzę sobie z tym. - Dixie mrugnęła do siostry na znak, że to nie stanowi dla niej problemu. Odrobina popularności sprawi, że zostaną zauważona, więc moja kariera ruszy z miejsca. Poza tym moim zdaniem robisz z igły widły. Ślubu z nim nie biorę. To zwykła randka.

- Już druga - przypomniała z naciskiem Chloe.

- Na miłość boską! - Dixie złościła się, bo z przerażeniem uświadomiła sobie, że mądrała Chloe już zaczęła drażyć i lada chwila bez większego wysiłku odkryje całą prawdę. Szkoda, że nie można jej powiedzieć w czym rzecz, nie ujawniając zarazem, jaki jest plan Juliana. - Zrozum, siostrzyczko. Julian stał się znany na całym świecie. To prawdziwy gwiazdor. Próbuję zaistnieć w świecie

188 *Natalie Bishop*

filmu. Jeśli pokażę się z nim w modnej restauracji, przestanę być anonimowa. Od miesięcy pukam do różnych drzwi i ciągle jestem odsyłana z kwitkiem. Skoro tani rozgłos może zmienić moją sytuację... - Zawiesiła głos. Niech Chloe sama dopowie sobie ciąg dalszy.

Starsza z panien Kingston nie miała jednak ochoty na wyliczanie pożytków wynikających z popularności Juliana. W milczeniu odgryzła kawałek suchej grzanki.

- Moim zdaniem zabieganie o taką popularność to błąd. Dobrze wyjdą na tym jedynie brukowce. Już widzę tytuły: Kim jest śliczna gwiazdka towarzysząca Julianowi? Ciekawa jestem, czy posuniesz się do tego, żeby zaciągnąć go do motelu i powiadomić paparazzich, gdzie jesteście. A co, niech was sfotografują, gdy będziecie stamtąd wychodzić!

- Wiesz, chyba wezmę kąpiel - oznajmiła Dixie lodowatym tonem.

Chloe machnęła ręką na jej fochy, bo uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko.

- Aha - mruknęła ponuro. - Kąpiel to najlepszy sposób na poranną senność i ociężałość umysłu.

Wkrótce będziesz świeża i pachnąca.

- Racja. Teraz wyglądam okropnie. I ten zapach! - Dixie odwróciła się do niej plecami.

- Musisz się wystroić przed randką, co? - odparła uszczypliwie Chloe.

- Julian przyjedzie po mnie o dwunastej. Bardzo proszę, potraktuj go uprzejmie.

- On tutaj? - pisnęła Chloe zduszonym głosem

*Ich czworo 189*

i rzuciła grzanekę. Dixie pobiegła wziąć prysznic, a jej siostra jęknęła rozpaczliwie: - W moim domu? Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś? Straszny tu bałagan. Dixie! Dixie!

Zamiast odpowiedzi usłyszała szum wody i nieco przytłumiony serdeczny śmiech.

Hank trzasnął słuchawką i omal nie zrzucił aparatu telefonicznego na podłogę. Najchętniej skreśliłby Julianowi kark! Chodził po pokoju, zastanawiając się, jak dokopać bratu.

Skrzywił się z obrzydzeniem. To by dopiero była gratka dla łowców sensacji. Już widział tytuły w brukowcach: Brat słynnego Juliana traci zimną krew! Julian o krok od śmierci! Krwiożerczy brat Juliana skazany na dożywocie! Kobiety we łzach - żałoba po ulubieńcu pań! Zazdrosny brat morduje idola z powodu tajemniczej kobiety w białej minispódniczce.

Zgrzytając zębami, Hank szedł po kremowej posadzce z marmuru w stronę kanapy krytej czarną skórą. Garsoniera Juliana świetnie nadawała się na miłosne gniazdko.

Hank przez kilka chwil podsycił w sobie gniew, a potem wykonał kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Julian nie miał zwyczaju uganiać się za spódniczkami. Niewiele czasu spędzał w damskim towarzystwie, bo nie ufał dziewczynom, które zawsze czegoś od niego chciały. Tylko nieliczne budziły jego zainteresowanie.

W takim razie dlaczego tak mu zależało na Dixie?

## 190 *Natalie Bishop*

Hank z politowaniem kręcił głową, zastanawiając się nad własną głupotą. Co on sam w niej widział? Od wczorajszego wieczoru stale była obecna w jego myślach. Dlaczego zrobiła na nim piorunujące wrażenie? Przecież to zwykła dziewczyna.

Akurat! Była wyjątkowa, nieprzeciętna, śliczna, zgrabna, inteligentna. Miała przepiękny uśmiech, lśniąca blond włosy, cudowne nogi i...

Zatkał uszy rękoma i zacisnął powieki, żeby przerwać ten niebezpieczny ciąg skojarzeń. Zaręczona z Julianem? Niemożliwe! To pewnie kolejna fanka zauroczona swoim idolem. Problem w tym, że braciszek także uległ jej czarowi.

Ale wpadłem, myślał ponuro Hank. Z rozpaczą wspominał, jak czule Julian patrzył na śliczną, radosną twarzyczkę Dixie. Była zaskoczona, kiedy przedstawił ją jako swoją narzeczoną. Zarumieniła się nawet. Hank nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział zarumienioną dziewczynę.

Wysłuchał się w mocne uderzenia swego serca, które przypominały pogrzebowy werbel. Jego życie stało się nagle cmentarzyskiem niespełnionych nadziei. Uczucie spadło na niego niespodziewanie.

Było niczym grom z jasnego nieba. Strzała Amora trafiła go prosto w serce.

Wykluczone!

Zaniepokojony miotał się po pokoju. Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Było nie do pomyślenia, żeby zakochał się w dziewczynie Julia-

*Ich czworo 191*

na. Poza tym prawie nic o niej nie wiedział. Pracowała „U Diamonda”. Była zapewne łowczynią posagów. Jak większość kobiet. Tak uważał Hank.

Najchętniej pogadałby o tym z Julianem, ale ten jeszcze spał. Hank przez całą noc nie zmrużył oka. Oby tylko fachowcy szybko skończyli remont w jego mieszkaniu. Dałby wiele, żeby wrócić do siebie. : Wczoraj tkwił przed telewizorem, oglądając transmisje z zawodów sportowych. Gdy Julian wrócił do domu, natychmiast zaczął mówić o Dixie.

- Co o niej myślisz? - spytał bez żadnych wstępów.

- O kim? - Hank udawał, że nie wie, o kim mowa, ale był świadomy, że brat szybko przejrzy jego grę, więc dodał: - Chodzi o Dixie? Miła dziewczyna.

- Nic więcej nie masz o niej do powiedzenia? Hank kilkakrotnie zmienił kanał.

- Żartowałeś, mówiąc o zaręczynach, prawda? Wygląda na to, że oboje nieźle się bawicie moim kosztem.

Julian zawahał się na moment. Gdy odpowiedział, jego słowa brzmiały wykrętnie.

- Mam już dość ciągłych zakusów na moją skromną osobę. Nie chcę być dłużej zwierzyną łowną. Wypadam z gry.

- Naprawdę jesteście zaręczeni? - zapytał Hank.

Jego brat skinął głową.

- Tak szybko? Dlaczego? - Hank musiał zadać to pytanie.



192 *Natalie Bishop*

- Od lat nie spotkałem dziewczyny takiej jak Dixie - odparł bez wahania Julian.

Dobrze mówi, uznał ponuro Hank. Dixie to prawdziwy skarb.

Taki przebieg miała ich wczorajsza rozmowa. Dziś zamierzał wyliczyć kolejno wszystkie powody, dla których Julian nie powinien zaręczać się ani żenić.

Telepatia działa? Gdy składał w duchu tę obietnicę, jego brat wyszedł z sypialni do salonu zalanego słonecznym blaskiem. Miał na sobie szlafrok i uśmiechał się zagadkowo. Hank zacisnął zęby i mruknął:

- Śpiący królewicz nareszcie się obudził.

- Nie mam powodu, żeby zrywać się o świcie. Od czasu do czasu trzeba pospać dłużej - odparł Julian z nieubłaganą logiką. Popatrzył na zegarek. - Dopiero za godzinę powinienem być u Dixie.

- Wybierasz się do niej?

- Idziemy na obiad, a potem się zobaczy. Może połazimy po sklepach?

- Wspólne zakupy? - Hank nie wierzył własnym uszom.

- Trzeba poszukać obrączek. „U Tiffany'ego” są ciekawe kolekcje ślubnej biżuterii.

- „U Tiffany'ego” - powtórzył machinalnie Hank.

Julian kiwnął głową.

- Ślub we wrześniu. Go o tym sądzisz? Będziemy mieli całe lato na przygotowania.

Niewiele brakowało, żeby Hank zaczął powtarzać jak papuga: ślub, ślub...

*Ich czworo 193*

- Mówisz serio? - zapytał.

Julian popatrzył na niego, marszcząc brwi, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi młodszemu bratu, który w tym momencie odzyskał wenę i oznajmił stanowczo:

- Nie wolno ci się żenić, bo to nie pasuje do twojego wizerunku. Męski symbol seksu nie ma żony! W przeciwnym razie może pożegnać się z karierą. Pamiętaj, że ja cię stworzyłem. Mnie zawdzięczasz, że jesteś sławny.

- Czyżby? - Julian uniósł brwi.

- Przypominam jedynie, że na tym etapie kariery musisz zapomnieć o stałym związku. Przyłgnęła do ciebie opinia kawalera i donżuana, więc się tego trzymaj. I nie psuj mi roboty. - Hank nerwowo chodził po salonie. Nagle zatrzymał się i pogroził Julianowi palcem. - Powinieneś wiedzieć, że wpadłem na świetny pomysł. Urządzimy konkurs. Wielbicielka znająca najwięcej faktów z twojego życia w nagrodę spotka się z tobą sam na sam. Co o tym myślisz?

- Żadnych konkursów! Mam ich powyżej uszu! Nie zamierzam ujawniać więcej faktów ze swego życia. Skończyłem z tym, Hank! Potrzebuję spokoju. Chcę być tylko z Dixie.

- Nie ma mowy. Stracisz wszystko, co osiągnąłeś. - Hank pokręcił głową.

Julian obrzucił go badawczym spojrzeniem, jakby miał do czynienia z kretyńcem, czym mocno zirytował młodszego brata.

- Wiedziałem, że tak zareagujesz! Ale z ciebie drań! - krzyknął oburzony.

194 *Natalie Bishop*

- A jak powinienem zareagować? Co powiedzieć?

- Na przykład, że cieszysz się moim szczęściem. Hank zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak małe dziecko, ale upierając się przy swoim, pokręcił głową, opadł znów na kanapę, sięgnął po telewizyjnego pilota i zaczął bezmyślnie przerzucać kanały. Jeśli trzeba, będzie siedzieć tak do końca świata... Chyba że wcześniej Julian obieca rzucić Dixie.

Po chwili zerwał się na równe nogi i pobiegł po gazetę leżącą na podjeździe domu. Przerzucał nerwowo strony, szukając kroniki towarzyskiej. Wrócił do salonu i nadal kartkował poranny dziennik.

- Co jest? - spytał Julian, idąc do kuchni po sok pomarańczowy. Hank maszerował za nim z gazetą w dłoniach.

- Wygląda na to, że nowina o twoich zaręczynach już się rozniosła. Tu jest wywiad z pannami, które przeleciałeś.

- Ja? Przeleciałem? - oburzył się Julian. Chciał wyrwać Hankowi gazetę, ale tamten nie puścił. - Sam wiesz, że nie jestem playboyem.

- Jedna dziewczyna twierdzi, że z nią spałeś, i śmiało rozprawia o twoich atutach, głównie o rozmiarach...

Julianowi udało się nareszcie wyrwać dziennik z rąk brata.

- Torsu - dokończył Hank i wybuchnął tubalnym śmiechem.

*Ich czworo 195*

Julian popatrzył na stronę czytana przez brata, a potem wolno złożył gazetę i stanął z nim twarzą w twarz.

- Nic tu nie ma.

- Wydajesz się zawiedziony. - Hank spoważniał.

Julian zwinął gazetę w rulon i rzucił nią w Hanka.

- Będę w siódmym niebie, gdy cały świat dowie się w końcu o mnie i o Dixie - oznajmił, podchodząc do lodówki.

- Zwołasz konferencję prasową?

- Nie wykluczam takiej możliwości. - Julian wzruszył ramionami.

Zdesperowany Hank podszedł do laptopa pozostawionego w kuchni poprzedniego wieczoru i otworzył go.

- Zapiszę to. Później pogadamy o szczegółach - rzucił pogodnie. Nadal miał nadzieję, że Julian tylko żartuje i wkrótce się do tego przyzna.

Nic z tych rzeczy. Julian wypił sok pomarańczowy i pogwizdując wrócił do swojej sypialni. W drzwiach przystanął na moment.

- Dixie ma siostrę. Co powiesz na podwójną randkę?

Hank wyobraził sobie śliczną, uśmiechniętą buzię, wesołe złociste oczy, czerwoną bluzkę z ramiączkami skrzyżowanymi na zachwycających plecach, cudowne długie nogi, pomalowane paznokcie stóp i krótką białą spódniczkę. Wypisz, wymaluj... Dixie.

196 *Natalie Bishop*

- Jaka jest ta siostra? - zapytał bez entuzjazmu.

- Wkrótce się dowiem - dobiegł z sypialni głos Juliana.

Jasne, pomyślał. Chyba warto poznać tę siostrę. Co mam do stracenia?

Trzeba zdać się na zdrowy rozsądek, pomyślał z rozpaczą. Mimo to stale miał przed oczyma obraz Dixie, który nakładał się na barwne ikony programu operacyjnego komputera.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie mam ochoty na randkę. Nie jestem w nastroju - upierała się Chloe, po raz piąty odmawiając siostrze. Wykluczone, żeby dotrzymywała towarzystwa jej i Julianowi. - Wybacz, to nie wchodzi w grę.

- Zgódź się! Będzie fajnie - błagała Dixie.

Kiedy Julian zadzwonił i zaproponował, że zabierze ze sobą Hankę, natychmiast mu przyklasnęła. Miała świadomość, że ta skwapliwa zgoda źle wróży, ale pokusa była zbyt silna. Teraz nie było wyjścia: musiała przekonać Chloe, żeby się do nich przyłączyła.

Niestety, zniecierpliwiona siostra zasłoniła uszy rękoma i zaczęła śpiewać na cały głos. Po-maszerowała do sypialni, żeby się uwolnić od natrętnej Dixie. Nie pochwalą jej zaręczyn z super-

198 *Natalie Bishop*

modelem. Wyczuwała, że coś tu nie gra. Trudno powiedzieć w czym rzecz, ale była pewna, że tamci dwoje coś knują.

Z salonu dobiegło opryskliwe mamrotanie.

- Słucham?! - zawołała.

- Popęlniasz błąd.

- Słucham? - powtórzyła. Znów usłyszała gniewne pomruki.

- Nieważne! - krzyknęła po chwili obrażona Dixie. - Ale kiedy Julian tu przyjdzie, bądź dla niego miła.

- Wiesz, że mam nienaganne maniery.

- No pewnie! - odparła z przekąsem Dixie.

Julian skręcił w ulicę, której nazwę miał zapisaną na kartce. Wsiadł z auta i popatrzył na skromny, piętrowy dom, świeżo pomalowany, ze starannie utrzymanym trawnikiem. Właściciele z pewnością bardzo o niego dbali. Był znacznie mniejszy od jego obszernej i nieco chaotycznej rezydencji w Beverly Hills, ale miał swój urok.

Gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich piękna młoda kobieta, przywołał na twarz najpiękniejszy ze swoich uśmiechów.

- Dzień dobry - powiedział, wyciągając rękę na powitanie. - Jestem Julian. Przyjechałem po Dixie.

Jaki ładny dom! - dodał.

Z jawną niechęcią popatrzyła na wyciągniętą dłoń, jakby chciała uniknąć powitalnego uścisku.

Przemogła się jednak i podała rękę gościowi. Julian domyślił się, że nieznojoma jest siostrą Dixie.

### *Ich czworo 199*

Przypomniał sobie, co dotąd o niej słyszał. Nie chciała umówić się na randkę w ciemno z Hankiem. Cholera, jak ona ma na imię?

- Chloe Kingston - przedstawiła się, cofając dłoń jakby z obawy, że złapie jakąś chorobę. Miał wrażenie, że najchętniej wytarłaby rękę o spodnie. Odsunęła się, robiąc przejście, i gestem zaprosiła go do środka.

Julian był zbity z tropu. Kobiety różnie na niego reagowały, ale po raz pierwszy spotkał się z chłodnym przyjęciem. Ta dziewczyna go nie lubiła. To za mało powiedziane: prawdopodobnie zniechęciła go od pierwszego wejrzenia.

- Ten dom należy do pani? - zapytał.

- Tak - zbyła go krótko. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, o czym z nim rozmawiać, więc dodała zdawkowo: - Dixie zaraz przyjdzie. Zapraszam do salonu. Proszę usiąść.

Gdy oboje przycupnęli w fotelach, przyjrzał jej się uważnie. Kręcone włosy do ramion koloru ciemnoblonde dodawały jej dziewczęcego uroku. Julian nie potrafił określić wieku dziewczyny. Przed trzydziestką? Może trochę więcej? Szare oczy, pięknie wykrojone usta...

- Niech mi pan powie, co jest grane.

- Proszę?

- Co wy dwoje, pan i Dixie, kombinujecie? Podobno nie może się pan opędzić od kobiet. Nic dziwnego. Został pan...

- Tak? - mruknął wyczekująco.

Z uniesionymi brwiami wydała mu się czarująca.



200 *Natalie Bishop*

Rozłożyła ramiona, jakby chciała zmierzyć szerokość jego torsu.

- Hojnie wyposażony przez matkę naturę. Jak brzmi pańskie nazwisko? Czemu pan go nie używa? Nie po raz pierwszy słyszał to pytanie. Zamiast odpowiedzieć wyciągnął kartę kredytową, na której było tylko imię, i nadrabiając miną pokazał ją Chloe.

- Rozumiem - powiedziała.

- Proszę nie martwić się o Dixie. Zapewniam, że z mojej strony nic złego jej nie spotka - odparł z porozumiewawczym uśmiechem, który całkiem wytracił ją z równowagi.

Serce uderzało coraz mocniej, puls wyraźnie przyspieszył. Odchrząknęła nerwowo i obejrzała się przez ramię. Lękała się, że zaraz zrobi coś głupiego, na przykład zemdleje. To jej się czasami zdarzało.

- Pójdę po Dixie - wymamrotała. Udając, że wszystko jest w porządku, zerwała się na równe nogi i z udawaną nonszalancją poszła do holu, choć najchętniej uciekłaby na koniec świata.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Dixie, gdy jak burza wpadła do jej pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Cicho! - syknęła Chloe, kładąc palec na ustach. - Już tu jest.

- Kto? Julian?

- Tak! Twój Julian. A kogo się spodziewałaś?

- Zastanawiałam się, czy przywiózł ze sobą Hankę - odparła wykrętnie Dixie.

- Ach tak. Doskonały pomysł! Pamiętaj, że

*Ich czworo 201*

randka w ciemno mnie nie interesuje. Odmówiłam. Nie, i już. - Chloe westchnęła ciężko. - Julian przyjechał sam. Jest wyższy, niż sądziłam.

- I przystojniejszy, prawda?

- Tak. O co ci chodzi? - Chloe rzuciła jej badawcze spojrzenie.

- Sama byłam zdziwiona, że w naturze wygląda znacznie lepiej niż na ekranie. Hank także... Jest bardzo przystojny.

Chloe dotknęła rozpalonych policzków.

- Nie podoba mi się ta sytuacja. Doskonale wiesz, co sędzę o przystojniakach.

- Owszem, ale Julian i jego brat dla twego widzimisie nie zmienią się w potwory, więc machnij na to ręką i daj się uprosić - tłumaczyła Dixie, malując usta brzoskwińową szminką. - Skończyłam. Jak wyglądam?

Chloe uważnie przyjrzała się siostrze ubranej w prostą, krótką sukienkę koloru dojrzałego arbuza i sandaalki na wysokich obcasach. Prezentowała się znakomicie.

- Moim zdaniem on jest gejem - oznajmiła niespodziewanie.

- Słucham? - Dixie wybuchnęła śmiechem i nie mogła go opanować. Chichotała, aż łzy stanęły jej w oczach.

- Mówię serio - ciągnęła Chloe. - Słyszałaś, żeby związał się z jakąś dziewczyną? Pomyśl o tym.

Chętnie fotografuje się z pięknymi kobietami i nic poza tym. W jego środowisku jest mnóstwo gejów. Tak mi się przynajmniej wydaje.

202 *Natalie Bishop*

- Julian często spotyka się z kobietami. Ostatnio miał jedną aktorkę... Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. - Dixie z politowaniem spojrzała na siostrę.
  - Skąd wiesz, że to nie było na pokaz? - odcięła się Chloe.
  - Albo ta modelka! O, już wiem! Britta! - Dixie strzeliła palcami.
  - Dogadali się, żeby zwodzić wielbicieli.
  - Chloe, Julian na pewno nie jest gejem - przekonywała wytrwale Dixie, zniżając głos do szeptu.
  - Skąd wiesz? - Chloe upierała się przy swoim. Dixie popatrzyła na nią, nie kryjąc zniecierpliwienia.
  - Czy on wygląda na geja? Sama masz znajomych o innej orientacji, więc możesz to ocenić. Ja również. Wierz mi, Julian jest hetero. Jak się nad tym zastanowisz, sama przyznasz mi rację. - Zamilkła na chwilę i dodała niepewnie: - Chodź z nami, Chloe. Rozerwiesz się trochę, poznasz Hanka. We czwórkę będzie weselej.
  - Nie... - Chloe energicznie pokręciła głową, a potem zawahała się i zrobiła głupią minę.
  - No, chodź! Nie daj się prosić.
  - Zgoda - ustąpiła nagle. - Zadzwoń do mnie później. Powiesz, gdzie mamy się spotkać.
  - Świetnie! - Zadowolona Dixie uścisnęła siostrę. - No to pa! - Nie zamykając za sobą drzwi, wbiegła z sypialni do salonu, żeby przywitać się z Julianem.
- Chloe patrzyła zza firanki, obserwując, jak wy-

### *Ich czworo 203*

chodzą z domu i wsiadają do jego mercedesa. Po chwili zreflektowała się, usiadła przy stole i zaczęła rozwiązywać krzyżówkę. Gdy doszła do hasła, które brzmiało: „urodziwy mężczyzna”, zamiast napisać „przystojniak” odruchowo wpisała: „Julian”.

Julian zaprosił Dixie na wczesny obiad do modnej restauracji. Wnętrza urządzone nowocześnie i z artystycznym smakiem. Dixie zorientowała się, że jej towarzysz jest tu stałym bywalcem.

- Najwyższy czas, żeby brukowce zaczęły o nas plotkować - tłumaczył. - W tym lokalu aż się roi od gwiazd i podglądających je paparazzich. I tak ma być. To część mojego planu.

- Mogę poznać szczegóły? - zapytała Dixie, otwierając menu. - Chodzi o nasze fikcyjne zaręczyny, prawda? Dzięki, że na razie nic nie powiedziałeś mojej siostrze. Biedactwo, potrzebuje trochę czasu, żeby oswoić się z tą myślą.

- Jutro zamierzam oficjalnie podać wiadomość do prasy, więc byłoby lepiej, gdyby jak najszybciej pogodziła się z twoją decyzją.

Dixie skrzywiła się i zajrzała do menu. Nie była pewna, czy sama potrafi zaakceptować tę dziwną sytuację.

- Po zaręczynach kobiety przestaną mnie traktować jako potencjalny zdobycz - tłumaczył.

-Chciałbym, aby jak najszybciej zrozumiały, że nie szukam kochanki. Niech myślą, że dojrzałem do stałego związku.

- Czy mogę przyjąć zamówienie? - zapytał

204 *Natalie Bishop*

kelner, który niespodziewanie zmaterializował się obok ich stolika.

Dixie nie była głodna. Rano zjadła grzanekę i czuła się najedzona, a po rozmowie z Julianem całkiem straciła apetyt, więc zamówiła tylko sałatkę z kurczakiem. Julian wziął rybę w warzywach.

- Moja siostra też lubi takie jedzenie - powiedziała Dixie.

- Jest od ciebie starsza?

- Tak, o dziesięć lat, ale nie mów jej, że zdradziłam ci ten sekret.

- Mężatka? Rozwiedziona?

- Ani jedno, ani drugie.

- Ma chłopaka?

- Miała. Pocałowała swojego księcia z bajki, który okazał się oślizłą żabą.

- Aha, dziewczyna po przejściach. Hank miał podobne doświadczenie.

Dixie zamarła w bezruchu. Ręka podnosząca do ust szklankę z wodą znieruchomiła w pół drogi.

- Naprawdę?

- Był z modelką.

Smutek zwałił się na Dixie jak stutonowy głaz. Zamilkła, daremnie szukając właściwych słów. Miała pustkę w głowie. Na szczęście po chwili kelner podał rybę i sałatkę, więc zabrali się do jedzenia i cisza nie była już taka krępująca.

Wygląda na to, że obaj bracia gustują w modelkach, pomyślała Dixie. Julian spotykał się z Brittą.

Hank także znalazł sobie zapewne równie zgrabną ślicznotkę.

*Ich czworo 205*

- Obiecałam Chloe, że zadzwonię i powiem, dokąd się wybieramy - powiedziała Dixie, żeby przerwać milczenie. - Ublagałam ją w końcu, żeby z nami poszła. Hank też się przyłączy? Zgodził się na podwójną randkę?

- No proszę! Twoja siostra zmieniła zdanie? - Julian wyraźnie się ożywił.

- Owszem. Jest mocno zaniepokojona tym, że się z tobą spotykam.

- Powiedziałbym raczej, że ma obsesję na tym punkcie - odparł kpiąco i podniósł do ust kawałek gotowanej ryby. - Nadal masz ochotę chodzić po sklepach? Pomyślałem, że warto by obejrzeć obrączki.

- Po co? - wykrztusiła przerażona.

- Dla hecy. Chodźmy na Rodeo Drive. To najlepszy sposób, żeby narobić plotek. Potem zadzwonimy do twojej siostry i wpadniemy po Hanka. Będzie czekać przed budynkiem. Przeniósł się do mnie, bo w jego mieszkaniu trwa remont. Wszyscy czworo pójdziemy na kolację.

- Hank ma własne mieszkanie? Julian kiwnął głową.

- Owszem. W Santa Monica, tuż przy plaży.

Wyobraziła sobie Hanka w jedwabnej wzorzystej koszuli i szortach koloru khaki idącego boso po plaży. Z trudem przełknęła ostatni kęs sałatki.

- Dobry adres - powiedziała.

- Wpadniesz teraz do mnie na parę minut?

- Jasne. Chciałabym zobaczyć, jak mieszkasz.

- Świetnie.

206 *Natalie Bishop*

Podczas rozmowy Julian od czasu do czasu ostentacyjnie ścisnął jej dłoń. Wśród bywalczyń restauracji było kilka jego zagorzałych wielbicielek, które z uwielbieniem wpatrywały się w swego idola, a Dixie rzucały mordercze spojrzenia.

Pół godziny później wjechali na podjazd przed rezydencją Juliana. Dixie wysiadła z mercedesa i oboje ruszyli ku frontowym drzwiom. Po chwili Dixie znalazła się w elegancko urządzonej wnętrze, gdzie dominowała kremowa biel, czerń i łagodne odcienie szarości.

Hank siedział rozparty na kanapie i przeskakiwał z kanału na kanał, wpatrzony w ogromny ekran plazmowego telewizora. Prawie jak w kinie, pomyślała Dixie. Po raz pierwszy widziała taki sprzęt. Hank spostrzegł ją i nagle usiadł prosto, jakby na progu stanął bezwzględny kapral, a nie ładna dziewczyna.

- O! Cześć - mruknął.

Dixie także była zbита z tropu. Nie miała pojęcia, dlaczego tak dziwnie reaguje, kiedy go spotyka. Co to za uczucie? Nieważne! Powinna trzymać się planu Juliana i wykorzystać do maksimum wielką szansę, którą dał jej los.

- Witaj - odpowiedziała.

- Jak wspólny obiad? - zapytał Hank. Julian niespodziewanie objął ramieniem Dixie.

- Bajecznie! Po prostu sama przyjemność - oznajmił. - Moja dziewczyna jest naprawdę wyjątkowa.

Uśmiechnęła się z przymusem i popatrzyła na

*Ich czworo 207*

Hanka, który słuchał z kamienną twarzą i wydawał się dość sceptyczny. Usta miał zaciśnięte; pewnie dlatego, że jego zdaniem Julian w ogóle nie powinien się teraz wiązać.

- Czyżby? - powiedział takim tonem, że Dixie natychmiast straciła pewność siebie.

- Jej siostra zgodziła się w końcu spędzić z nami dzisiejszy wieczór. Pójdziemy do chińskiej restauracji - ciągnął Julian.

- Dlaczego zmieniła zdanie? - spytał Hank. Wyłączył telewizor, odłożył pilota i wstał, spoglądając z ukosa na Juliana. - Postanowiła świętować z wami zaręczyny?

Julian patrzył na Dixie, czekając, aż odpowie. Zarumieniła się i wyjąkała:

- Przeciwnie. Nie podoba jej się nasz pomysł.

- Ciekawe dlaczego. Trudno mi pojąć - wymamrotał Hank i podszedł nieco bliżej.

Dixie nawet z tej odległości wyczuwała jego niebezpieczny magnetyzm. Julian stał tuż obok, ale nie robił na niej większego wrażenia.

- Szybko się zdecydowaliście, prawda? - dodał.

- Owszem, ale potrzeba nam jeszcze trochę czasu, nim nowina się rozejdzie. - Odchrząknęła, bo zrobiło jej się sucho w ustach. - Szczerze mówiąc, wolelibyśmy chwilowo nie rozmawiać na ten temat. Im mniej gadania, tym lepiej.

- Jesteś zaręczona i nie chcesz o tym rozmawiać? - zdziwił się Hank.

Zaniepokoiła się, bo wzbudziła jego nieufność, więc z promiennym uśmiechem uniosła dłoń.



208 *Natalie Bishop*

- Ależ skąd! Chodzi jedynie o to, że Chloe ma pretensje.
- Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam - mruknął sarkastycznie.
- Jest niesamowita - wtrącił Julian.

Dixie poweselała, bo Julian nie przejmował się jawną niechęcią Chloe. Uśmiechnęła się do obu braci i przez chwilę wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego. Obaj świetnie się prezentowali, co natychmiast ją zirytowało.

- Nie zamierzam niepotrzebnie przeciągać na-rzeczństwa. Dzisiaj oblewamy zareczyny, ale rozmawiamy już o ślubie - wtrącił Julian, zwracając się do brata. - Mam nadzieję, że będziesz moim drużbą.

- Naturalnie - odparł Hank, spoglądając na brata jak drapieżny ptak na bezbronną ofiarę.

Dixie wstrzymała oddech. Odechciało jej się wieczornej wyprawy. Zadrżała na myśl, jak Chloe zareaguje na te wszystkie rewelacje. Niech się schowają największe wulkany świata! Należało przewidzieć taki obrót sytuacji. Czemu przestała nad nią panować?

Myśl o korzyściach wynikających z tego układu, nakazała sobie.

- Fajnie. Wieczór w chińskiej restauracji to dobry pomysł. Wszystko ustalone, możecie jechać - mruknął Hank. Nie miał ochoty na kolację z Julianem i siostrami Kingston, lecz w tej chwili nie mógł spokojnie patrzeć, jak brat obejmuje Dixie. Wolał, żeby ci dwoje zeszli mu z oczu.

*Ich czworo 209*

- Dobra. Za kilka godzin wrócimy po ciebie, a teraz powłóczymy się po sklepach.

Ach tak, mamy poszukać obrączek, przypomniała sobie Dixie. Poczula na sobie wzrok Hanka, ale nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- „Zielony Smok” - powtórzyła Chloe, mocniej ściskając telefoniczną słuchawkę. - Chyba żartujesz! Nie dacie rady zarezerwować stolika.

- Wygląda na to, że nie będzie z tym problemów - odparła Dixie. - Julian chciał, żebyśmy wszyscy spotkali się u niego i pojechali we czwórkę, ale robi się późno, więc będzie lepiej, jeśli sama dotrzesz do restauracji. Podjedź pod same drzwi, portier zaparkuje twoje auto.

- Wiesz, ile to kosztuje? Chcesz, żebym zbankrutowała?

Dixie czuła na sobie wzrok Juliana. Dzwoniła z jego komórki. Od pewnego czasu włóczyli się po Rodeo Drive, wzbudzając sensację wśród przechodniów.

- Nie powinnaś zaprzętać sobie tym głowy. Julian...

- O nie! Nie, nie i nie! Sama płacę za siebie. Ty rób, jak chcesz, ale twój chłopak nie będzie mnie sponsorować!

- Przyjedziesz? - spytała błagalnie Dixie.

- Podobno w „Zielonym Smoku” chińszczyzna jest przepyszna - odparła z wahaniem Chloe.

- Zaraz ruszamy po Hanka. Jedź do restauracji i powiedz, że jesteś umówiona z Julianem.

210 *Natalie Bishop*

- O Boże!

- On też cieszy się na to spotkanie - oznajmiła pogodnie Dixie, mocniej zaciskając palce na telefonie. - Twierdzi, że macie ze sobą wiele wspólnego. - Dobiegło ją nerwowe pochrząkiwanie. Kątem oka dostrzegła marsową minę Juliana. Zapewne próbował wydedukować, co jest grane i czemu Dixie tak dziwnie rozmawia z Chloe. Ze zdenerwowania gadała jak nakręcona. - Julian lubi zdrową kuchnię. Hank to co innego. Uwielbia frytki i hamburgery. No dobrze... Zobaczymy się za godzinę.

Chloe jęknęła, zacisnęła powieki, policzyła do dziesięciu i odparła z przekąsem:

- Chyba powinnam zapytać, jaki jest ten Hank. Dixie wyobraziła sobie jego i siostrę we dwoje.

Okropność!

Zamrugła. Długo szukała właściwych słów.

- Dixie? - usłyszała głos zniecierpliwionej Chloe.

- To ideał, prawdziwy ideał - oznajmiła i przerwała połączenie, nim Chloe zdążyła zapytać, o co jej chodzi.

Hank krążył po sypialni Juliana. Był rozdrażniony jak uwięziona w klatce pantera: spięty, zdenerwowany, nieszczęśliwy. Popatrzył w lustro nad barkiem i omal nie jęknął na widok swojego odbicia. Czarne dżinsy, rozpięta ciemna koszula. Czyżby próbował się upodobnić do Juliana?

- Brakuje tylko peruki - mruknął oburzony na samego siebie, ale nie zamierzał się przebrać.

### *Ich czworo 211*

Chyba mi odbiło, pomyślał, w pełni świadomy, że zachowuje się bardzo dziwnie, ale niezdolny tego zmienić. Dixie była pierwszą dziewczyną, dla której stracił głowę, więc czuł się zbity z tropu. Co gorsza, zaręczyła się właśnie z jego bratem!

Zamknął oczy i potarł twarz. Od dawna nie był tak zdenerwowany. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie pierwszą erotyczną fascynację. Jako trzynastolatek kochał się na zabój w Mary Langford i łąził za nią jak zakochany szczeniak, zachwycony szczupłymi łydkami oraz imponującym biustem.

Uwielbiał patrzeć, jak Mary żuje gumę. Stała się bohaterką jego fantazji. Jak się łatwo domyślić, dziewiętnastoletnia Mary miała chłopaka, prowadzącego ciężarówkę barczystego osiłka, który wściekał się z byle powodu jak Czerwona Królowa z „Alicji w krainie czarów”. Mimo wszystko Hank nie potrafił o niej zapomnieć. Tę sytuację zmieniły dopiero groźby rozwścieczonego kierowcy ciężarówki, który oznajmił ponuro, że jak dopadnie szczeniaka, z przyjemnością rozerwie go na strzępy. Hank nie miał na to ochoty, więc przestał interesować się Mary. Pozostała upragniona i niezdobyta, ale rok później urzeczywistnił swoje marzenia dotyczące płci przeciwnej i szybko zobojętniał na urok pięknych pań. Był równie przystojny, jak starszy brat, i szybko pojął, że podoba się kobietom, co mu pochlebiało. Szukając prawdziwej miłości, wiązał się na pewien czas z kolejnymi wielbicielekami, ale żadna z nich nie była tą jedną, jedyną,

212 *Natalie Bishop*

wyśnioną. Każda żądała zbyt wiele, a tymczasem jego uczucia były raczej letnie.

Jakiś czas temu odkrył, że pieniądze wabią kobiety z siłą feromonów. Kpił sobie z obleganego przez fanki Juliana, ale sam miał podobne problemy. Wzdrygał się na myśl o swoim ostatnim romansie.

Teraz również drżał. Po prostu bał się tamtej dziewczyny! Na domiar złego wszyscy uważali Brittę za dziewczynę Juliana. Była największym dziwadłem wśród znanych mu ludzi. Nadal dzwoniła do niego, ilekroć była w mieście.

Dobra. Nie powinien już o niej myśleć. Było, minęło.

Dlaczego tak się przejął, że Julian chodzi z Dixie? Na szczęście to nie jego problem.

Nadal krążył po salonie, gdy usłyszał warkot silnika. Samochód Juliana wjechał na podjazd. Hank czuł się jak złapane w pułapkę dzikie zwierzę, gdy w otwartych drzwiach stanął Julian ubrany w czarne dżinsy i koszulę odsłaniającą muskularny tors, a obok niego Dixie w dopasowanej letniej sukience amarantowego koloru. Wyglądała kusząco.

Po raz pierwszy w życiu Hank był naprawdę zazdrosny o brata.

Na widok ubranego w czerń posępnego Hanka Dixie poczuła się nieswojo. Nie mogła od niego oczu oderwać. Chyba mi rozum odjęło, pomyślała z obawą.

- Jesteś gotowy? - zapytał Julian. Zaskoczony ciemnym strojem brata dodał: - Gdzie twoja hawajska koszula?

*Ich czworo 213*

Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zamiast odpowiedzi usłyszał opryskliwe pomruki. Co to ma znaczyć? Hank był w paskudnym nastroju, co samo w sobie stanowiło ewenement. Julian miewał humory i niekiedy posepniał, ale jego młodszy brat wydawał się zwykle pogodny, a uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Gdy wszyscy troje wsiedli do auta, Hank prawie się nie odzywał. Dixie siedziała sztywno obok Juliana na przednim siedzeniu, a Hank zajął miejsce z tyłu, tuż za nią. Czuła na karku jego oddech i z wrażenia dostała gęsiej skórki.

Po dwudziestu minutach zajechali przed „Zielonego Smoka”. Gdy Julian oddawał kluczyki portierowi, który miał zaparkować auto, zjawiała się Chloe w swoim dziesięcioletnim volvo. Wysiadła, dość nieufnie zerknęła na portiera, a potem z ociąganiem podała mu kluczyki. Zmierzyła spojrzeniem Dixie, Juliana i Hanka. Podeszła do tego ostatniego i wyciągnęła rękę.

- Witaj, bracie - oznajmiła ironicznie. Rozchmurzył się nieco i odparł z uśmiechem:

- Cześć, siostró.

Chloe także poweselała, a Dixie serce ścisnęło się z żalu.

Julian jak urzeczony wpatrywał się w Chloe ubraną w obcisły czarny top i wąską spódnicę koloru khaki, która odsłaniała zgrabne nogi.

- Jesteśmy tutaj, żeby winszować szczęśliwej parze - powiedział Hank, chytrze zerkając na Dixie i Juliana.

214 *Natalie Bishop*

- Z jakiego powodu? - spytała Chloe, przechylając głowę na bok.

- Chyba coś palnąłem - zreflektował się Hank.

- Z jakiego powodu? - powtórzyła Chloe, wodząc spojrzeniem po twarzach pozostałej trójki.

Julian objął ramieniem jej siostrę, która w tym momencie była mu za to wdzięczna, bo z wrażenia ledwie trzymała się na nogach. Nie mogła wydobyć głosu, więc tylko patrzyła na Chloe wielkimi, przestraszonymi oczyma.

- Dobry Boże! - Ta ostatnia pobladła. - Mam rozumieć, że wy... - Zachwiała się, lecz Julian jednym skokiem znalazł się przy niej, obejmując ją silnym ramieniem. Kolana jej zmiękły. Wystraszona popatrzyła na niego i spytała: - Chcesz powiedzieć, że jesteście zaręczeni?

Julian popatrzył na Chloe, nie wypuszczając jej z objęć. Ledwie trzymała się na nogach. Oto scena jak z romansu! Wścibski reporter wynurzył się z tłumu i, korzystając z okazji, niespodziewanie pstryknął zdjęcie.

Chloe osunęła się w ciemność.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Pierwszy raz w życiu zemdlałam - po raz kolejny zapewniła Chloe, jakby przez wielokrotne powtarzanie chciała tę informację uczynić wiarygodniejszą. - Do tej pory omdlenia w ogóle mi się nie zdarzały.

Leżała wygodnie na kanapie obitej czerwonym aksamitem przy jednym z najlepszych stolików restauracji „Zielony Smok”. Nie miała pojęcia, jak się na niej znalazła. Czyżby Julian wziął ją na ręce i przyniósł tutaj? Nie śmiała zapytać. Czy to przez wzgląd na Juliana dostali taki dobry stolik? Pamiętała, że zanim upadła, rzucił się na pomoc i porwał ją w ramiona. Może dlatego tak go tu fetują, że bez namysłu pomógł dziewczynie będącej w potrzebie. Chloe brała także pod uwagę drugą możliwość,



216 *Natalie Bishop*

a mianowicie, że przyjmują go z honorami, ponieważ był znaną postacią. Tak czy inaczej, zapewne przez wzgląd na niego personel „Zielonego Smoka” dwoił się i troił, starając się jej ulżyć. Mimo wszystko odniosła wrażenie, że wyszła na idiotkę. Najbardziej jednak irytowała ją jawna atencja okazywana przez wszystkich Julianowi. Można by pomyśleć, że naprawdę uratował ją z poważnej opresji. Kiedy na to patrzyła, robiło jej się niedobrze... także w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, bo po niedawnym omdleniu Chloe miała nudności, ale nie przyznałaby się do tego nawet wtedy, gdyby przypiekano ją żywym ogniem.

Bardzo przejęta Dixie siedziała obok siostry, która na razie była do tego stopnia wytrącona z równowagi, że nie potrafiła logicznie myśleć.

Po chwili przypomniała sobie, dlaczego zemdląła. Mimo wewnętrznego oporu musiała to przyjąć do wiadomości.

- Naprawdę jesteście zaręczeni? - szepnęła do Dixie. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.
- Zaręczeni - powtórzył machinalnie Hank tonem świadczącym, że jest równie oszołomiony.
- To głupi żart, prawda? Chcieliście zakpić sobie z głupiej, łatwowiernej Chloe...

Dixie oblizła wargi i upiła łyk zimnej wody.

- Wcale nie żartujemy - wymamrotała.
- Czyś ty na głowę upadła?
- Chyba tak.
- Muszę się napić. Zamówcie mi coś - zażądała Chloe.

*Ich czworo 217*

- Lepiej ci zrobi szklanka wody - doradził Julian. - Albo ziołowa herbata. Zaraz przyniosę...
  - Mam ochotę na coś mocniejszego - odparła z naciskiem Chloe, nie racząc nawet spojrzeć na faceta, który był odpowiedzialny za to całe zamieszanie.
- Hank popatrzył na nią z szacunkiem.
- Przyniosę jej drinka, skoro tak się upiera - powiedział.
  - Dla mnie też - westchnęła Dixie.
  - Och, siostrzyczko... - jęknęła Chloe, kryjąc twarz w dłoniach. W tej samej chwili ich stolik otoczyła grupa rozgadanych kobiet. Jedna przez drugą domagały się od Juliana autografów. Zniecierpliwiona Chloe obrzuciła natarczywe wielbicielki Juliana karcącym spojrzeniem. To był jej ulubiony chwyt, skuteczny nawet wobec ludzi o znacznie większym tupecie niż ta banda kretynek.
- Proszę nas zostawić w spokoju i natychmiast odejść - zażądała lodowatym tonem. - Mamy poważne kłopoty i nie życzymy sobie, żeby nam przeszkadzano.
- Zdumiony Julian uniósł brwi, a jego fanki niepewnie popatrzyły po sobie. Po chwili wahania rozeszły się, rzucając Chloe wrogie spojrzenia. Tylko ona była na cenzurowanym. Innym się upiekło.
- Ten incydent zaszkodzi twojemu wizerunkowi - powiedział Hank takim tonem, jakby sprawa medialnego wizerunku brata nagle całkiem mu zobojętniała.

218 *Natalie Bishop*

- Pójdę po drinki - zaproponował Julian.

- Idę z tobą - oznajmiła Dixie, lecz Chloe mocno chwyciła ją za ramię.

- Ty z nim idź - poleciła Hankowi. - Siostry muszą pogadać.

Wzruszył ramionami i powlókł się za Julianem. Gdy zostały same, Chloe powiedziała do Dixie:

- No dobra. Tak być nie może. Dość tego. Musisz z nim zerwać natychmiast. Albo wkrótce. Inaczej wyjdę z siebie, a ty zmarnujesz sobie życie.

- Dlaczego? Nie przesadzaj!

- Wiem, że pomógł ci zapisać się na zajęcia w renomowanej szkole aktorskiej. To wspaniała nowina i prawdziwa uprzejmość z jego strony, ale prawda jest taka, że nic o nim nie wiesz!

- Chloe, wszystko się ułoży. Panuję nad sytuacją.

- Tylko nie próbuj mi wmówić, że zakochałaś się w tym bufonie.

- Trafiłaś w dziesiątkę.

- Chyba żartujesz!

- Ależ skąd! Kocham go - upierała się Dixie. Zamiast Juliana stanął jej przed oczyma Hank. I co z tego? Przypadkowa zbieżność wyobrażenia i słów.

Chloe z kamienną twarzą słuchała jej zwierzeń. Ani drgnęła, gdy Julian i Hank, niosąc kieliszki, wrócili do stolika. Przez kilka chwil siedziała nieruchomo, mierząc Dixie badawczym spojrzeniem szarych oczu, jakby chciała przeniknąć wszystkie tajemnice jej życia, a potem zniemacka tak mocno uderzyła otwartą dłonią o blat stołu, że kieliszki aż

*Ich czworo 219*

podskoczyły. Chwyciła swój i jednym haustem wypłała połowę. Ledwie przełknęła, zabrakło jej tchu.

- Ależ to czysta wódka - wykrztusiła zduszonym głosem i skrzywiła się wymownie.

- Wódka i cointreau - poprawił Hank - a do tego kropla soku z limonki.

- Zabójcza mieszanka - wymamrotała Chloe. Głos nadal miała zmieniony.

- Poprosiłaś o mocnego drinka - przypomniał Hank.

- Jak się czujesz? - wtrąciła szczerze zatroskana Dixie, a Julian pochylił się w stronę rekonwalescentki, także czekając niecierpliwie na jej odpowiedź. Obrzuciła gniewnym spojrzeniem gwiazdora wybiegów i filmów reklamowych.

- Nic mi nie będzie - oznajmiła stanowczo i znowu sięgnęła po kieliszek.

Wszyscy zamilkli. Krępującą ciszę przerwał dopiero kelner, który podszedł, żeby przyjąć zamówienia. Chloe i Julian wybrali dania wegetariańskie. Dixie poprosiła o wołowinę w sezamie, Hank także zdecydował się na tę potrawę. Po odejściu kelnera z ożywieniem monologował na tematy kulinarne i zanudzał audytorium, próbując udowodnić, że człowiek jest z natury mięsożerny. Chloe pierwsza straciła cierpliwość. Wyciągnęła z torby gazetę i ostentacyjnie zabrała się do rozwiązywania krzyżówki.

- Mów, co chcesz. I tak nie tknę tego ścierwa - mruknęła opryskliwie. - Mam do uzupełnienia

220 *Natalie Bishop*

kilkanaście haseł. Przystojniak na sześć liter. Kto to może być?

- Adonis - nieoczekiwanie podpowiedział Julian, dopijając martini.

Chloe prychnęła gniewnie, lecz po namyśle wpisała hasło. Dixie nie kryła zdumienia.

- Naprawdę jesteś dzisiaj w kiepskiej formie - powiedziała do siostry. - Ciągłe powtarzasz, że hasła mitologiczne to łatwizna.

- Myślę wolniej, bo martwię się o ciebie i dlatego źle śpię - odcięła się Chloe.

- Co tam jeszcze masz? - wtrącił wyraźnie zciekawiony Julian.

- Tylko nie to! - jęknął Hank. - Muszę przyznać, że Julian ma smykałkę do słów, a ja do liczb. Moja domena to finanse. Jeśli potrzebujesz faceta, który dobrze liczy, wybierz mnie. - Popatrzył na Dixie i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Posłuchajcie - przerwała mu Chloe. - Hasło brzmi: To nie suknia. Siedem liter.

- Płaszcz! - oznajmił tryumfalnie Hank.

- Toaleta - mruknął pobłażliwie Julian.

- Łatwizna - mamrotała zirytowana Chloe i, krzywiąc się, potarła skroń.

- Jak się czujesz? - spytał zatroskany Julian.

- Świetnie. Znakomicie - odparła z udawanym entuzjazmem.

- Dawaj następne hasło - nalegał rozochocony Julian.

Hank zorientował się, że krzyżówka go wciągnęła. Coraz bardziej nudził się w towarzystwie

*Ich czworo 221*

dwojga mózgowców rozwiązujących językowe zagadki. Westchnął, pochylił się nad stołem i zapytał Dixie:

- Zatańczysz?

- Ja? - spytała zaskoczona i podniosła wzrok.

- Tak. Chyba że Chloe chce na chwilę oderwać się od krzyżówki... - powiedział, ale tamci pochyleni nad gazetą nie zwracali na niego uwagi.

Dixie uśmiechnęła się promiennie, ukazując cudny dołeczek w policzku. Julian bez słowa odsunął się, robiąc jej przejście. Wstała i spojrzała na Hanka, który puścił ją przodem. Zawahała się, bo po raz pierwszy była w tym lokalu i nie miała pojęcia, gdzie jest parkiet. Natychmiast zorientował się, w czym rzecz, i wskazał właściwy kierunek.

Tańce odbywały się w osobnym pomieszczeniu. Kilka par kołysało się w rytm łagodnej muzyki.

- Późnym wieczorem panuje tu straszny tłok, ale teraz... - Wzruszył ramionami i rozejrzał się po parkiecie. - Jest całkiem przyjemnie.

- Często tu bywasz?

- Bywałem - odparł, krzywiąc się.

Nie chciał o tym mówić. Zbyt wiele godzin spędził tutaj w towarzystwie ślicznych modelek, które bojąc się utyć, nie zjadły nawet oliwki z martini. Britta odmawiała sobie nawet drinka.

Dixie zrobiła krok w jego stronę. Wciąż była spięta, ale nie mogła zaprzeczyć, że w ramionach Hanka czuła się znakomicie. Gdy wolno kołysali się w rytm muzyki, usiłowała tłumić radosne westchnienia.

222 *Natalie Bishop*

- Powiedz mi, Dixie... - szepnął.

- Tak?

- Dlaczego jesteś z Julianem? Chcę znać prawdę. Przecież wiem, że nie jesteście zaręczeni.

- Odsunął się nieco, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Mam pewność, że to bujda.

- Słucham?

- Jasne jak słońce, że Julian ci się nie oświadczył. To nie w jego stylu. Nie składa poważnych deklaracji, ot tak. - Strzelił palcami i nagle wytrzeźwiał, choć jeszcze przed chwilą był na lekkim rauszu. Spowaźniał i przestał się zgrywać.

- Julian się zdeklarował - odparła wymijająco Dixie.

Hank odsunął ją na odległość ramion i z powagą zajrzał w bursztynowe oczy. Opuszką palca głaskał delikatny różowy policzek, choć wiedział, że nie powinien sobie pozwalać na taką poufałość, ale pokusa okazała się zbyt silna.

- Zdradź mi, dlaczego udajesz narzeczoną mego brata.

Chloe czuła się skrepowana, bo Julian coraz bardziej przysuwał się do niej. Peszyło ją, że jest tak blisko.

Podał sześć na pięć haseł, o które pytała. Świetnie się bawił podczas wspólnego rozwiązywania krzyżówki. Poirytowana wyrwała mu gazetę i przycisnęła do piersi, a wtedy bez słowa przysunął się jeszcze bliżej i sięgnął po „New York Timesa”, mimo woli jej dotykając.

*Ich czworo 223*

- Łapy przy sobie! - warknęła. - Jeżeli ośmielisz się mnie obmacywać, zacznę krzyczeć.
- Tym go rozbroiła. Wybuchnął głośnym śmiechem. Goście przy sąsiednich stolikach tręcali się łokciami i szeptali na ich temat. Przestraszona rozglądała się wokół, nie wiedząc, gdzie oczy podziać. Przez tego głupka zrobili z siebie widowisko. Cóż za okropne upokorzenie!
- Dosyć! - syknęła, uderzając gazetą o blat. - Odsuń się natychmiast.
  - Dlaczego? Peszy cię moja bliskość? Jego oddech wicherzył jej włosy.
  - Tak - przyznała opryskliwie.
  - A mnie ani trochę.
  - Świetnie. Ciągnij te swoje idiotyczne gierki. Proszę bardzo.
- Starła się nie patrzeć na jego tors widoczny spod rozpiętej koszuli.
- Działam ci na nerwy, prawda?
- Głos miał łagodny, niemal czuły. Ponad wszelką wątpliwość niebezpieczny. Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Im mniej widać, tym lepiej. Niebezpiecznie jest spoglądać prosto w twarz takiemu supersamcowi.
- Denerwuje mnie raczej fakt, że zadajesz się z moją siostrą.
  - Nie zrobię jej krzywdy.
- Chloe wpatrywała się w jego usta. Były dość wąskie, ale bardzo męskie. Jakim prawem? To nie fair!
- Co? Co jest nie fair?



224 *Natalie Bishop*

Wypowiedziała na głos swoje myśli! Zakłopotana odwróciła wzrok i sięgnęła znowu po kieliszek.

- Myślałam o twoich... walorach zewnętrznych - odparła szczerze.

- Twoje też są miłe dla oka.

Rozbroił Chloe tonem głosu. Nagle przestał być dla niej obcym człowiekiem.

- Niebezpieczny z ciebie mężczyzna - przyznała.

- To dobrze czy źle? - zapytał, wpatrując się w nią niebieskimi oczyma.

Już miała odpowiedzieć, ale popatrzył na jej usta i znów poczuła się tak, jakby miała zemdleć.

Odwróciła się z trudem i mruknęła:

- Chyba znowu powinnam się napić.

- Wcale nie udaję - powtarzała Dixie cała w rumieńcach. Zadawała sobie pytanie, co Hank wie o ich układzie. Czy Julian go wtajemniczył w swoje plany? Może to zmowa braci? Albo próba lojalności i wiarygodności?

- Przyznaj się - nalegał z uśmiechem, który ją oczarował. - Gotów jestem uwierzyć w zaręczyny dla pozorów, ale małżeństwo z moim bratem? Mało prawdopodobne.

- Powinieneś raczej porozmawiać o tym z Julianem.

- Próbowałem. Strawiłem na to długie godziny. Miałem nadzieję, że przynajmniej ty będziesz ze mną szczerą. Śmiało! Powiedz mi, czego pragniesz. Jaki masz cel?

*Ich czworo 225*

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Trudno powiedzieć, jak to zrobiłaś, ale zdołałaś owinać sobie Juliana wokół palca. Wspomniał, że jutro masz z nim jechać do studia. Chce, żebyś zagrała w reklamie nowych perfum. Dał ci szansę, o którą biły się zawodowe aktorki. Jak ci się udało tak go oczarować? Co ty w sobie masz, czego inne nie mają?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. niesprawiedliwe, krzywdzące, nabrzmiałe dwuznacznymi aluzjami, pełne nieuzasadnionych podejrzeń.

1 okropnie denerwujące. Dixie przez dłuższą chwilę milczała, jakby jej mowę odjęło.

- Zaplanowałaś sobie, że poderwiesz super-gwiazdora, i dopięłaś swego. Postanowiłaś się nim posłużyć, żeby zrobić karierę. Nic cię nie obchodzi, że Julian mógłby naprawdę zakochać się w tobie.

- To bzdura!

- Czyżby? Wyobraź sobie, że nie jesteś pierwszą dziewczyną, która wpadła na ten pomysł, ale tylko tobie udało się zawrócić mu w głowie. Na szczęście ma mnie, a ja nie pozwolę, żeby go wykorzystywano.

Dixie nie wierzyła własnym uszom. Jak te słowa mogły wyjść z ust, które wydały jej się takie piękne!

- W jaki sposób zamierzasz się mnie pozbyć? - spytała wyzywająco.

- Coś wymyślę, i to szybko.

Ten facet wydał się zdolny do spełnienia swojej groźby. W bezsilnej złości cofnęła nogę i z całej siły kopnęła go w goleń.

226 *Natalie Bishop*

Wstrzymał oddech i zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć, a Dixie odwróciła się na pięcie, opuściła parkiet i wróciła do sali restauracyjnej. Chloe i Julian siedzieli przy stoliku, mierząc się wzrokiem jak dwa koty walczące o sporne terytorium. Dixie chwyciła torebkę i powiedziała: - Mam nadzieję, że rozwiążaliście krzyżówkę. Możemy wrócić do domu? Ja idę! - Nie czekając na odpowiedź, ruszyła ku drzwiom.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dixie odkurzała. Elektroluks ryczał, zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Może włączyła go, żeby nie krzyczeć?

Chloe weszła do salonu i stanęła w progu, zakładając ramiona na piersi. Spod zmarszczonych brwi przyglądała się Dixie, która energicznie przesuwiała szczotką odkurzacza po dywanie. Od wieczornej randki nie zamieniły ani słowa. W aucie pochmurna Dixie milczała jak zaklęta. Inni także się nie odzywali. Chloe była z tego zadowolona, bo miała własne problemy, z którymi musiała się uporać. Najpilniejszym była żywiołowa niechęć do Juliana.

- Dixie!-zawołała, przekrzykując warkot odkurzacza. Jej siostra wzdrygnęła się, słysząc wołanie.

228 *Natalie Bishop*

- Co?! - krzyknęła.

Zniecierpliwiona Chloe wyrwała wtyczkę z gniazdka, a ryk silnika z wolna ucichł.

- Od razu lepiej! - zawołała. - Co jest? Od wczoraj zachowujesz się jak najgorszy gbur. Jesteś nie do zniesienia. Co ci zrobił ten twój Julian?

- Dlaczego o tej porze paradujesz w szlafroku?

- zapytała Dixie.

- Źle się czuję, więc nie poszłam do pracy

- odparła Chloe opryskliwym tonem, ucinając dyskusję. - A co z tobą? Za niecałe dwie godziny masz spotkanie w agencji reklamowej.

- Zaraz się będę szykować. - Podniosła wtyczkę i zamierzała wcisnąć ją do kontaktu, lecz Chloe złapała ją za łokieć.

- Aha, odkurzając salon, będziesz robić się na bóstwo, tak?

- Najpierw posprzątam, a potem się wyszykuję.

- Dixie wyrwała ramię z uścisku siostry i energicznie wetknęła wtyczkę do gniazdka.

Chloe obawiała się, że strumień energii elektrycznej buchnie z gniazdka i rozniesie pokój. Bez słowa obserwowała siostrę, która po chwili wyłączyła odkurzacz, westchnęła, usiadła ciężko na kanapie i oparła łokcie na kolanach. Miała na sobie spodnie od pizamy z biało-niebieskiej flaneli. Opierając policzek na dłoni, z ponurą miną przyglądała się siostrze.

- Co on ci zrobił? - wypytywała Chloe.

- Nic. Domyślam się, że mówisz o Julianie. To jego brat, wróg kobiet, dopiekł mi do żywego.

*Ich czworo 229*

- Naprawdę? - zdziwiła się Chloe. - Hank? Co przeskrobał?

- Jego zdaniem zamierzam wyjść za Juliana dla pieniędzy, a także w celu rozkręcenia własnej kariery. Według Hanka wszystkie kobiety to chciwe oszustki i kłamliwe oportunistki.

- Tak powiedział?

- Może niedosłownie, lecz wyraźnie dał mi to do zrozumienia. Ze złości... kopnęłam go - przyznała nieco zawstydzona.

- Naprawdę?

- Tak. W goleń.

Chloe uświadomiła sobie, że kiedy wychodzili z restauracji, Hank lekko utykał.

- Nie powinnam tego robić, ale zachował się podle - dodała ponuro Dixie, a z jej oczu można było wyczytać rozżalenie i poczucie krzywdy.

- Nic mu nie będzie. Może następnym razem dwa razy pomyśli, nim zacznie wygadywać głupstwa. Ale mniejsza z tym. Mamy ważniejszy problem. Dixie, kochanie moje, nie powinnaś wiązać się z Julianem. Moim zdaniem wasze małżeństwo byłoby pomyłką.

- Chloe, mogłabyś się ode mnie odczepić? - westchnęła Dixie.

- Owszem, ale najpierw chcę usłyszeć, że ta znajomość to nic poważnego.

Dixie zamknęła się w sobie i unikała wzroku siostry.

- Ciekawe, czy ten Julian ma nazwisko - dodała z westchnieniem Chloe. - Mówię serio. Gdybyś za

230 *Natalie Bishop*

niego wyszła, nieuchronnie wyniknęłyby ta kwestia. Jak byś się wtedy nazywała: Dixie Kingston-Julian?

- Pewnie woli zachować incognito. Szczerze mówiąc, zapomniałam spytać, jak się nazywa.

- Chcesz wyjść za niego za mąż, a nie wiesz, jakie nosi nazwisko - powiedziała Chloe dobitnie i wolno.

- Jakoś się nie zgadało - zbyła ją Dixie i wskazała odkurzaczy stojący pośrodku salonu. - Później dokończę sprzątanie - obiecała niefrasobliwie.

- Dixie, jedno ci powiem. Nie będziesz z nim szczęśliwa. Kobiety za bardzo do niego lgną. Trudno ci będzie mu zaufać. Zadręczysz się, patrząc, jak wielbicielki uganiają się za nim. Na razie nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale wierz mi, rozwikłam tę zagadkę.

Dixie ruszyła ku drzwiom, puszczając jej słowa mimo uszu. Niespodziewanie odwróciła się i popatrzyła na siostrę.

- Jaką zagadkę?

- To niemożliwe, żebyś go kochała! - wybuchnęła Chloe.

- A jeśli Hank miał rację? Może jestem interesowna? - odparła niefrasobliwie Dixie, choć serce ścisnęło jej się z żalu. - Chcę posłużyć się Julianem dla swoich celów.

Chloe z niedowierzaniem popatrzyła na siostrę, jakby spostrzegła u niej drugą głowę.

- O tak! Wypisz, wymaluj moja Dixie!

- Kto wie? Ciekawe, co byś powiedziała, gdy-

*Ich czworo 231*

bym postanowiła wyjść za mąż dla pieniędzy. Może jestem z Julianem tylko dlatego, że obiecał mi ułatwić karierę aktorską. Załatwił mi spotkanie w agencji reklamowej - przypomniała. - Mam nadzieję, że zagram z nim w reklamie.

- To był pomysł Juliana, nie twój - przypomniała Chloe. - Hank załaził ci za skórę i nagadał głupstw, ale to nie oznacza, że naprawdę manipulujesz ludźmi. Wiesz najlepiej, jaki masz charakter. Nie umiesz posługiwać się innymi dla własnych celów. Jesteś zbyt prostolinijna. Ale wróćmy do tematu. Dla mnie to niemożliwe, żebyś zaręczyła się z Julianem.

Dixie zamierzała odpowiedzieć, lecz po namyśle zamknęła usta, pokręciła głową i poszła do łazienki. Po chwili rury jęknęły i rozległ się szum płynącej wody.

- O co tu chodzi? - mruknęła głośno Chloe.

- Wyglądasz okropnie - oznajmił bratu Julian, gdy jechali do agencji reklamowej. Hank prowadził, raz po raz nerwowo przeczesując włosy palcami.

- Mój wygląd nie ma znaczenia. Interesuje ich wyłącznie twoja aparycja.

Julian uniósł brew, słysząc oschły ton w jego głosie.

- Jak noga?

Hank utkwiał wzrok w przedniej szybie i autach jadących przed nimi. Z irytacją nacisnął klakson, gdy mały, niebieski samochód japońskiej produkcji zajechał mu drogę.



232 *Natalie Bishop*

- Co tak rozwścieczyło Dixie? - zapytał Julian z miną niewiniątka, choć był trochę zaniepokojony, bo Hank na co dzień był pogodny i przyjaźnie nastawiony do ludzi.
- Kopnęła mnie - wycedził przez zaciśnięte zęby młodszy z braci.
- Wiem. Powiedziałeś mi wczoraj wieczorem, ale nie mam pojęcia, dlaczego tak cię potraktowała.
- Powiedziałem kilka słów prawdy na temat waszych zaręczyn, które wydają mi się dość pochopne. Znaie się niespełna tydzień, a już była mowa o ślubie. Przyznaj się. Ona ma na ciebie haka, co? Zagroziła ci skandalem? Moment, niech zgadnę! Za dnia jesteś supermodelem, a nocą rozbierasz się za pieniądze w podrzędnych spelunkach. Dixie dowiedziała się o tym i zaczęła cię szantażować.
- Wiesz co, Hank? Masz wyjątkowo bujną fantazję.
- Dzięki za komplement
- Cieszę się, że tak to odbierasz.
- Widzę, że nie chcesz mi powiedzieć, co jest grane. - Hank westchnął ciężko. - Dobra. Nie mów. Nie rozumiem tylko, dlaczego uparłeś się, żeby zabrać Dixie na spotkanie w agencji reklamowej. Masz teraz swoje pięć minut. Jeśli chcesz je przedłużyć, powinieneś najpierw wysłuchać propozycji kontrahentów zamiast od razu przyprowadzać swoją Jane. Taka samowola robi złe wrażenie.
- Czyżby? Od kiedy tak bardzo liczysz się

*Ich czworo 233*

z opinią innych? Do tej pory kierowałeś się wyłącznie swoim widzimisię - odparował Julian. - A jeśli chodzi o tych reklamarzy, obojętne im, kto zagra Jane, więc postanowiłem zaproponować tę rolę Dixie. Jest bardzo ładna i o to chodzi, a poza tym ma w sobie coś, więc trudno obok niej przejść obojętnie. Sam wiesz,

- Co wiesz?

- Nie ściemniaj, Hank. Wczoraj niemal rozbierałeś ją wzrokiem!

- Co ty gadasz? Nieprawda! Zniecierpliwiony Julian westchnął ciężko.

- Mniejsza z tym. Chcę tylko powiedzieć, że Dixie jest idealna do roli Jane. Gdyby zdecydowanie się nie spodobała naszym specom od kampanii, na pewno o tym usłyszymy. Może ich zainteresuje, że chcę grać z narzeczoną. Moim zdaniem to dodałoby pikanterii ich kampanii reklamowej, więc przestań się martwić.

- Nie przyszło ci do głowy, że sam zakładasz sobie pętlę na szyję? - spytał zirytowany Hank. - Uważam, że po takim wybryku będziesz skończony w swojej branży.

- Co ty gadasz? - Julian zerknął na brata.

- Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, wszystkie gazety będą o tym pisały. Dobrze wiesz, jakie będą skutki, a zachowujesz się, jakbyś zupełnie się tym nie przejmował.

Julian przez chwilę walczył z pokusą, żeby wyjawić bratu swoje plany. Trzymanie go w całkowitej nieświadomości okazało się marnym pomys-

234 *Natalie Bishop*

łem. Irytował się, że Hank ma tyle zastrzeżeń wobec Dixie. Może gdyby znał prawdę, okazałby jej trochę życzliwości?

- Dlaczego nie lubisz Dixie? - zapytał wprost.

- Lubię - zachnął się Hank - tylko uważam, że to nie jest dziewczyna dla ciebie.

- W takim razie z kim powiniennem się związać? - zapytał szczerze zatroskany Julian. - Sądzisz, że odpowiednia byłaby jedna z tych natrętnych bab, które mi się narzucają?

- Skądże! Potrzebujesz mądrej kobiety obdarzonej zdrowym rozsądkiem.

Julian natychmiast pomyślał o Chloe Kingston. Wiedział, że jest starsza od Dixie, chociaż wcale na to nie wyglądała. Wczoraj wieczorem była niesforna, ale nie ulegało wątpliwości, że posiada umysł w bardzo dobrym gatunku. A także śliczną buzię i porcelanową cerę. Zapamiętał śmiałe spojrzenie szarych oczu.

- Czemu milczysz? - Hank z ciekawością zerkał na brata, gdy parkowali przed biurowcem agencji reklamowej.

- Chciałbym, żebyś zachowywał się dziś uprzejmie wobec Dixie. Wybacz jej tamtego kopniaka. Jestem pewny, że na niego zasłużyłeś.

- Ależ skąd! - obruszył się Hank. - Podczas tańca ni stąd, ni zowąd rzuciła się na mnie.

- Ni stąd, ni zowąd... - powtórzył Julian z szyderczym uśmiechem.

- Pewnie! Chyba jej odbiło - mruknął Hank. Julian zmierzył go kpiącym spojrzeniem i rozpiął pasy bezpieczeństwa.

*Ich czworo 235*

- Przypomnij mi, żebym jej powtórzył twoje słowa, kiedy przyjdzie do agencji. Zapowiada się ciekawe spotkanie.

- Grała pani tylko w serialu „Rodzina Harringtonów”? - zapytała z kwaśną miną ubrana w ciemny garnitur Sandra Flower, przedstawicielka agencji reklamowej. Sprawiała wrażenie niezadowolonej z obecności Dixie, która nerwowo oblizwała usta.

- Występowałam także w reklamach. To była cała seria.

Zaciekawiona Sandra uniosła brwi.

- Promocja kociego żwirku - wyjaśniła Dixie. Gdy Hank chrząknął znacząco, obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Znów miał na sobie hawajską koszulę i spodnie w kolorze khaki.

- Reklamę nadawały ogólnokrajowe stacje telewizyjne - wtrącił Julian.

- Mówisz o tej, w której kot goni psa? Grałaś dziewczynę, która go ratuje z kocich pazurów i przez cały czas targa ze sobą różową torbę z kocim żwirkiem, prawda?

- Masz dobrą pamięć - odparła spokojnie Dixie, nie dając się sprowokować. Z ponurą miną przyznała w duchu, że tamten filmik rzeczywiście nie był największym aktorskim wyzwaniem w jej życiu.

Przygnębiona zerknęła na Juliana, który mrugnął do niej porozumiewawczo.

- To reklama sprzed paru lat, prawda? - upewniła się Sandra, robiąc notatkę.

Dixie ponuro skinęła głową.

236 *Natalie Bishop*

- Oglądałam „Rodzinę Harringtonów”, ale pani sobie nie przypominam.

Dixie odetchnęła głęboko, starając się zachować spokój.

- Grałam cheerleaderkę, która sfalszowała wyniki badań lekarskich i musiała zmienić szkołę.

Gdy Hank znowu chrząknął, spiorunowała go wzrokiem. Miała ochotę powiedzieć, że bieganie po dżungli w skąpym stroju również nie jest zadaniem aktorskim na miarę nominacji do Oscara.

Darowała sobie tę uwagę, bo siedziała twarzą w twarz z producentką inkryminowanej reklamówki.

Ugryzła się w język.

- Serial nakręcono jakiś czas temu - przypomniała Sandra, notując pilnie.

Dixie kiwnęła głową. Jak na fatalistkę przystało, doszła do wniosku, że nic z tego nie będzie. Wokół same negatywne wibracje. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Zły omen. Bała się, że dziś po południu na pierwszych zajęciach w szkole aktorskiej Palmera Michaela też wypadnie kiepsko. Może przesadziła, mierząc siły na zamiary? Należało chyba zacząć ostrożniej.

Sandra z uwagą przyglądała się Dixie.

- Proponuję więc zdjęcia próbne. Niech kamera przyjrzy się pani. Trochę inaczej wyobrażaliśmy sobie Jane.

- A mianowicie? - wpadł jej w słowo Julian.

- Chwileczkę... - Sandra sięgnęła za siebie po jedną z gazet leżących na bocznym stoliku. Rozłożyła ją, podsuwając gościom.

*Ich czworo 237*

Niezbyt ostre, czarno-białe zdjęcie przedstawiało zemdloną Chloe chronioną mocnym ramieniem Juliana. Podpis głosił: „Naręczona pada w objęcia swego Tarzana”.

Dixie westchnęła, a Julian jak urzeczony wpatrywał się w fotkę. Siedzący po drugiej stronie stołu Hank wyciągał szyję, żeby coś zobaczyć.

- Próbne zdjęcia odbędą się pod koniec tygodnia - powiedziała Sandra. - Możecie tu przyjechać w piątek?

Julian niechętnie podniósł wzrok i spojrzała na Dixie, która skinęła głową, choć była mocno zbita z tropu.

- Dobrze. Będziemy w kontakcie.

Oszołomiona Dixie machinalnie uścisnęła dłonie pracowników agencji reklamowej i wyszła z sali konferencyjnej, a za nią Julian i Hank.

- Tego chciałeś, prawda? - powiedział cicho młodszy z braci.

Julian w milczeniu kiwnął głową. Hank popatrzył na Dixie, która uświadomiła sobie nagle, że nie czuje już niechęci do tego lekkoducha. Gdyby mogła, zaraz wspięłaby się na palce i pocałowała go w usta.

- Co powie na to Chloe? - zapytał Julian, przerywając milczenie.

O rany! - pomyślała z przerażeniem Dixie.

Samopoczucie mam fatalne, pomyślała Chloe. To nie jest śmiertelna choroba, ale po wczorajszej konfrontacji z Julianem należy mi się chwila oddechu, prawda?

238 *Natalie Bishop*

Wytarła ręcznikiem mokre włosy i sięgnęła po suszarkę. Gdy była uczesana, doszła do wniosku, że ma dość słodkiego nieróbstwa, i postanowiła iść do pracy.

Powrót do codziennej rutyny podziałał na nią kojąco. Ubrała się i wyszła. W drodze do pracy kupiła „New York Timesa”. Poniedziałkowa krzyżówka była zawsze bardzo łatwa, więc tanim kosztem można się było dowartościować. Chloe poweselała, nabrała otuchy i doszła do wniosku, że znajomość Dixie z Julianem to nic poważnego. Jej siostra nie zaręczyłaby się na drugiej randce. Jak można podejrzewać ją o taki idiotyzm! Chloe uznała, że nie ma powodów do obaw.

- Cześć, Toni - powiedziała do spotkanej w holu koleżanki.

- Cześć - pisnęła Toni, spoglądając na nią szeroko otwartymi oczyma.

Co z nią, pomyślała Chloe, wyjmując gazetę z dużej torby. Na jej biurku leżało kolorowe czasopismo. Jakiś tabloid, ale nie z tych najgorszych. Wzięła go do ręki i podeszła do ekspresu, żeby zrobić sobie kawę.

- Chloe!

Wzdrygnęła się, kompletnie zaskoczona.

- Na miłość boską! Ale mnie przestraszyłeś, Ed! - zbeształa jednego z wziętych adwokatów. - Chcesz, żebym dostała ataku serca?

- Co innego widzisz, co innego słyszysz - powiedział ni w pięć, ni w dziesięć, uśmiechając się szeroko.

- Pomylili cię z siostrą. Zamienili imiona.

*Ich czworo 239*

Przyznaj się, która z was się zaręczyła? Chcesz coś ukryć przed kolegami?

Chloe zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Zwykle mówił do rzeczy i zachowywał się, jak należy.

- Czytałaś gazety?

Sięgnęła po leżący na biurku „New York Times”, ale Ed nerwowo zamachał rękami i zawołał:

- Nie, nie, nie! Mówię o tej, którą trzymasz w ręku!

Zaciekawiona rozłożyła brukowca i na stronie tytułowej ujrzała zdjęcie, a na nim siebie i Juliana. Nogi się pod nią ugięły, więc opadła na najbliższy fotel. Zamknęła oczy i przezornie odczekała trzy sekundy, nim odważyła się znowu popatrzeć na stronę tytułową. Zdjęcie nadal tam było.

- O nie!



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Chloe, nie mogę teraz rozmawiać - tłumaczyła półgłosem Dixie, osłaniając dłonią słuchawkę, żeby inni jej nie słyszeli. - Jestem w szkole aktorskiej. Za parę minut zaczynam pierwszą lekcję.
- Wspaniale! Naprawdę tak myślę - zapewniła poirytowana Chloe. - Ale to się musi skończyć. W firmie wszyscy myślą, że chodzę z Julianem i robią ze mnie pośmiewisko. - Umilkła na chwilę, a potem dodała: - Nienawidzę ich!
- Cicho! Nie rozśmieszaj mnie!
- *Et tu, Brute, contra me?*<sup>1</sup> To nie jest zabawne.

---

<sup>1</sup> *Et tu, Brute, contra me?* - łac: I ty, Bratusie, przeciwko mnie. Słowa wypowiedziane w I wieku przed Chr. przez Gajusza Juliusza Cezara do Marka Brutusa, gdy okazało się, że ten ostatni uczestniczy w spisku przeciwko Cezarowi, swojemu dobroczyńcy.

*Ich czworo 241*

- Porozmawiamy, jak wrócę. Pa, muszę lecieć. - Dixie przerwała połączenie.

Gdy Chloe odkładała słuchawkę, do jej pokoju wpadła Toni z naręczem czasopism. Uśmiechnęła się, mrugnęła porozumiewawczo i wyszła.

To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Chloe wstała i chwyciła torebkę, zahaczając paskiem o oparcie krzesła. Zachwiała się na nogach i uderzyła kolaniem o biurko. Policzyła wolno do trzynastu (to była jej szczęśliwa liczba), zsunęła pasek torebki z oparcia, rozmasowała bolące kolano i poszła do windy

- Wychodzisz? - spytała z niewinną minką uśmiechnięta Toni.

- Mam do załatwienia kilka spraw.

- Pozdrów ode mnie Juliana! - krzyknęła za nią Toni.

Chloe podjęła rękawicę. Uśmiechnęła się promiennie do beznadziejnej recepcjonistki i oznajmiła nonszalancko:

- Julian i ja umówiliśmy się na wspólną kąpiel. Zamierzamy kochać się namiętnie przez cały wieczór i noc. To będą niezapomniane chwile. - Mrugnęła porozumiewawczo do Toni, jakby naprawdę dała się wyciągnąć na zwierzenia. - Postanowiłam wysmarować go całego roztopioną czekoladą i zlizać ją do ostatniej kropli. A potem... - Wzruszyła ramionami. - Uprzedzam, że jutro spóźnię się do pracy.

Toni wpatrywała się w nią oczyma wielkimi jak spodki.

242 *Natalie Bishop*

Koniec przedstawienia, pomyślała Chloe, wchodząc do windy. Przysięgła sobie, że porozmawia z Dixie, gdy ta wróci do domu. Najwyższy czas, żeby siostrunia wyznała prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- To ma być odkrywcze i ciekawe, Stefanie? - Palmer Michaels szydził ze studenta grającego rozbitka, który cudem ocalał z tonącego statku i na dalekiej wyspie spotkał przedstawicieli cywilizacji pozaziemskiej.

- Dzięki za dobre słowo - mruknął Stefan. Dixie bardzo mu współczuła. Odegrana przez niego etiuda była jej zdaniem dość zabawna, szczególnie gdy częstował kosmitów wyjętymi z kieszeni cukierkami. Sam jeden całkiem udatnie odgrywał wszystkie role, lecz Palmer Michaels, bardzo wymagający wobec swoich słuchaczy, uznał, że używając rekwizytu, złamał zasady.

- A teraz... - Popatrzył na listę. - Panna Kingston - rzekł z nieskazitelną dykcją. - Zagra pani orła. A nasz kochany Matt będzie jaguarem. Wlejcie w tę scenę prawdziwe życie. Niech uwierzę, że to się dzieje naprawdę.

Dixie znieruchomiała na moment. W głowie miała kompletny zamęt. Dlaczego na pierwszej lekcji przyszło jej grać ptaka? I to z Mattem, ulubieńcem wykładowcy! Miała nadzieję, że nim zostanie rzucona na głęboką wodę, przez jakiś czas jako początkująca będzie podlegała ochronie, lecz bardzo się myliła. W co ja się wpakowałam? -jęcza-

*Ich czworo 243*

ła bezgłośnie, lecz po chwili skarciła się za ten idiotyczny lament. Była przecież zawodową aktorką, więc musi sprostać wyzwaniu.

Poruszała ramionami, jakby unosiła się w powietrzu, a kochany Matt, obsadzony w roli jaguara, próbował ją schwytać. Gdy wbił pazury w jej kostkę, nie wytrzymała i krzyknęła:

- Ja fruвам, głupku. - Rozzłoszczona wyrwała nogę z jego łap. - Jestem pół kilometra nad tobą! Nie zdołasz do mnie doskoczyć.

- W takim razie kończę występ. - Kochany Matt wyprostował się, skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią z góry.

- Dzieci, dzieci! - uspokajał ich Palmer, klaszcząc w dłonie. - Pamiętajcie, że mamy interpretować rzeczywistość. Trzeba się wczuć w samego siebie, szukać w sobie granej postaci. Panno... - Ponownie spojrzał na listę. - Panno Kingston, gra pani sobą, nikiem innym.

Czyżby? Dixie zrobiła mądrą minę, jakby wzięła sobie głęboko do serca radę wykładowcy.

- I proszę nie wyzywać kolegów. To u nas zabronione.

Dixie poczuła na sobie karcące spojrzenia kolegów, którzy potakująco kiwali głowami. Palmer zwrócił się do swego pupila.

- Nasz kochany Matt świetnie zagrał dzikie zwierzę: silne, zręczne, skradające się wśród zarośli. Serdeczne dzięki.

Pozostali słuchacze uprzejmie klaskali.

- Myślałby kto! Dzikie zwierzę, silne i zręczne,

244 *Natalie Bishop*

skrada się wśród zarośli - mamrotała sarkastycznie parę godzin później, gdy „U Diamonda” wskazywała stolik na patio kolejnej parze. Jak zwykle w poniedziałek tylko część miejsc była zajęta.

Wróciła do recepcji i zadzwoniła do Chloe. Próbowała czterokrotnie, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Gdy podniosła wzrok, przez otwarte drzwi ujrzała Hanka wysiadającego z mercedesa. Wręczył portierowi kluczyki i wszedł do holu. Poruszał się z niezrównaną gracją. Niczym jaguar, silny, zręczny, skradający się wśród zarośli...

- Przychodzę z misją pokojową - oznajmił, unosząc ręce. - Musimy omówić kilka spraw.

- Gdzie Julian?

- W klubie. Albo w domu. Nie mam pojęcia. Nie wie, że tu przyszedłem. Inaczej by mnie zabił. Ale nie mam wyjścia, muszę znać odpowiedź na kilka ważnych pytań. Od niego nic się nie dowiem.

Zakuty łeb! Kretyn do kwadratu! Mam nadzieję, że ty masz więcej zdrowego rozsądku.

Przygotował się do tej rozmowy, pomyślała. Znała się na aktorskich sztuczkach. Przemyślał wcześniej te kwestie i wykuł je na pamięć.

- Będę czekać przy barze.

Kochany Matt wyglądałby przy nim jak postać z marnej kreskówki.

Chloe szybko pożałowała swoich słów. Co ją podkusiło, żeby w obecności Toni wygadywać takie głupstwa? Rozżalona na samą siebie wróciła do domu. Czerwona lampka automatycznej sek-

*Ich czworo 245*

retarki pulsowała szybko. Zapewne ktoś dzwonił i zostawił wiadomość. Chloe natychmiast ją odśluchała.

- Cześć! - rozległ się głos rozentuzjasmowanego Brandona, agenta Dixie. - Jest super, kochanie! Masz pojęcie, kto dzwonił? Producent kociego żwirku! Chce, żebyś znowu grała w ich reklamach. Kurczę! Naprawdę jesteś zaręczona? Ale jaja! Coś ty zrobiła z włosami? Dlaczego na zdjęciu są takie ciemne! Jako blondynka bardziej mi się podobasz. Cześć, mała. Odezwij się.

- Na fotce widać mnie i moje włosy - obruszyła się Chloe. Czy ten głupi Brandon nie potrafi rozróżnić jej i Dixie? Co za głupek! Przecież nie są bliźniaczkami.

Kilkanaście minut przesiedziała przy telefonie w nadziei, że Dixie się do niej odezwie. Sama nie mogła jej złapać. Siostrunia była zajęta. Kiedy czekała beczynn timer, po raz kolejny uświadomiła sobie, że sprawcą tego całego zamieszania, które nastąpiło w ich życiu, jest Julian. Co on knuje? O co mu chodzi? Należy to sprawdzić. Powinna stanąć z nim oko w oko, odbyć poważną rozmowę, zadać właściwe pytania, użyć odpowiedniego tonu. Zero agresji. Wyłącznie troska starszej siostry o szczęście i powodzenie młodszej. Tak powinna się zaprezentować.

Nie czekając, aż ogarną ją wątpliwości, pobiegła do auta i ruszyła w stronę domu Juliana. Dixie powiedziała jej wczoraj, gdzie mieszkają obaj bracia. Bez trudu dotarła na miejsce i zaparkowała na

246 *Natalie Bishop*

kamiennym podjeździe. Wsiadła z auta, podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek.

Policzę do dziesięciu i znikam, pomyślała. Gdy doszła do siedmiu, usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Odwróciła się i zobaczyła nowiutkiego bentleya. Angielska marka. Julian lubił europejskie auta.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się do niej na powitanie. Wsiadł z samochodu i podszedł bliżej. - Przyjechałaś mnie odwiedzić?

- Ja... Tak, chciałam się z tobą zobaczyć, bo... Po prostu wpadłam i już. Dixie wspomniała, że tutaj mieszkasz.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Julian ma na sobie sportowy strój. Zapewne wrócił z siłowni. Czoło miał spocone, a ubranie lekko wilgotne.

- Muszę wziąć prysznic - mruknął przepaszająco, wskazując nieświeży strój. - Możesz chwilę poczekać?

- No... Tak. Oczywiście.

Zaprowadził ją do salonu i zniknął. Po chwili usłyszała szum wody. Niesforna wyobraźnia podsunęła jej wizję nagiego mężczyzny stojącego pod ciepłym strumieniem. Cholera, dlaczego w tym pokoju jest tak gorąco, pomyślała zirytowana, gdy zakreśliło jej się w głowie.

Szum wody ucichł.

- Zaraz wracam - usłyszała głos Juliana.

- Nie spiesz się. Poczekałam! - odkrzyknęła zmienionym głosem.

Dziesięć minut później wszedł do salonu, prze-

### *Ich czworo 247*

brany w czarne dżinsy i rozpiętą do pępka ciemną koszulę z denimu. Włosy miał wciąż mokre. Podszedł do kanapy podwijając rękawy. Chloe obserwowała go uważnie, jakby zamierzała w domowym zaciszu naśladować charakterystyczne gesty i sposób chodzenia.

- O czym chciałaś porozmawiać? - spytał. Odchrząknęła nerwowo, ponieważ uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Należało przygotować się do rozmowy, spisując wcześniej pytania. Byłoby lepiej, gdyby spotkali się w jakiejś kawiarni albo restauracji. Na terytorium Juliana czuła się niepewnie.

- Nasza znajomość zaczęła się fatalnie, więc chciałaby to naprawić. Zależy mi na rzeczowej dyskusji. Chcę usłyszeć całą prawdę. Na razie nic nie mów. Mam dość kłamstw - uprzedziła jego zastrzeżenia. - Dixie też mnie zbywa. Przypuszczam, że nie pozwalasz jej na szczere zwierzenia. Postanowiłam cię przekonać, żebyś powiedział mi wreszcie, co jest grane. Nie wierzę w wasze zaręczyny. To poważna życiowa decyzja, której nie podejmuje się po kilku randkach. Zdradzisz mi wreszcie, co się dzieje? Julian z uwagą przyglądał się Chloe. Miała wyrazistą twarz, zdradzającą natychmiast wszystkie uczucia. Gra emocji była tak zajmująca, że nie potrafił od niej oderwać wzroku. Jak urzeczony wpatrywał się w Chloe. Niczego nie udawała i mówiła od razu, co myśli," nie zastanawiając się nad konsekwencjami swoich słów. Zero aktorstwa.



248 *Natalie Bishop*

Wspominając o swoich odczuciach, znajdowała potrzebne słowa i bez trudu trafiała w sedno. Szczerze troszczyła się o Dixie, a podczas rozmowy starała się nad sobą panować. Była w tym prawdziwa.

- Nie zrobię twojej siostrze żadnej krzywdy.
- Powiedz tylko, o co chodzi. Do czego ci jest potrzebna?
- Przestań się zamartwiać.

Urażona Chloe podniosła wyżej głowę.

- Liczy się tylko seks, prawda? Sypiasz z nią i nic poza tym.
- Słucham? - Julian był zaskoczony nagłą zmianą tematu.

Usiadł na kanapie naprzeciwko Chloe, która rozparła się wygodnie na sofie obitej czarną skórą i skrzyżowała ramiona, przybierając pozę osoby stanowczej i zdecydowanej.

- Moja siostra jest ci potrzebna tylko w łóżku. Jesteś erotomanem. Żadnej nie przepuścisz. Do mnie też się wczoraj dobiełaś.

Julian daremnie próbował nad sobą zapanować. W końcu poddał się i wybuchnął śmiechem.

- Nie oświadczyłbym się, gdybym widział w niej tylko kochankę. A do ciebie wcale się nie dobiełałem.
- Czyżby? - mruknęła z powątpiewaniem i uniosła brwi.
- Gdybym naprawdę chciał cię poderwać, zabrałbym się do tego inaczej.
- Lepiej nie próbuj.
- Nie zamierzam. - Zerwał się na równe nogi.

*Ich czworo 249*

- Mam rozumieć, że nie powiesz mi, o co chodzi w tej zagadce? Nadal będę zdana na swoje domysły?
- Chloe także wstała.
- Proszę! Zgaduj! - Julian szeroko rozłożył ręce.
- Moim zdaniem... to medialna zagrywka służąca zaspokojeniu twojej próżności. Dixie jest tego świadoma i zgadza się na wszystko, bo pomagasz jej zrobić karierę.
- Naprawdę sądzisz, że jestem próżny? Puściła mimo uszu tę uwagę, nie bacząc na ostrzegawczy ton w głosie Juliana. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, więc mnożyła odkrywczyste teorie i stawiała nowe hipotezy.
- Tak się składa, że dziś przestałeś jej być potrzebny. Przedstawiciel dużej firmy chce, żeby zagrała w jego reklamie. Nie musisz jej nic załatwiać. Kontrahenci sami ją znaleźli!
- Co to za firma?
- Moim zdaniem nie powinieneś się...
- Co to za firma? - powtórzył, spoglądając na nią z góry. Różnica wzrostu była spora.
- Producent kociego żwirku! - krzyknęła rozzłoszczona.

Julian natychmiast ochłonął ze złości. Pochylił się, a oczy mu pojaśniały. Wkrótce zanosił się od śmiechu.

Chloe wpatrzona w jego drżące plecy uznała, że gorzej być nie może. To był dla niej feralny dzień. Hank siedział w zacisznym kącie niedaleko baru. Stolik w pobliżu gazowego kominka oddzielono

250 *Natalie Bishop*

solidną przegrodą, więc można tu było uniknąć ciekawskich spojrzeń stałych bywalców oraz snobów, którzy chcieli tylko pokazać się w modnym lokalu.

Gdzie Dixie? Dlaczego nie przychodzi? Zniecierpliwiony Hank bębnił palcami po stole.

Doczekał się w końcu. Gdy szła w jego stronę, patrzył na nią jak w obraz i nie mógł się nasycić pięknym widokiem.

- Jestem - powiedziała, odsuwając krzesło.

- Skończyłam pracę.

- Świetnie. - Nie był w stanie wykrztusić nic więcej, lecz po chwili wziął się w garść i dodał:

- Dobrze, że nie ma Juliana, bo te piranie natychmiast rzuciłyby się na nas.

- Masz na myśli jego wielbicielki?

- Niestety tak. - Hank wzruszył ramionami.

- Stale go otaczają. Są okropnie namolne.

Do stolika podeszła kelnerka. Zdziwiła się trochę, widząc Dixie, która zamówiła sushi.

- Wczoraj jadłaś wołowinę - zdziwił się Hank, ponuro kiwając głową, jakby zawiódł się na niej.

- Uwielbiam sushi, a u nas jest naprawdę dobre.

- Może wbrew moim obawom ty i Julian jednak pasujecie do siebie - odparł nonszalanckim tonem.

- Za mało o tobie wiem. Opowiedz mi o swoim życiu.

- Co chcesz wiedzieć?

- Na przykład jak wyglądało wasze dzieciństwo. Twoje i Chloe.

Dixie nie miała ochoty na zwierzenia. Trak-

*Ich czworo 251*

towała Hanka dość podejrzliwie i nie zamierzała wtajemniczać go w swoje prywatne sprawy.

- Ojciec zostawił nas zaraz po moich narodzinach - zaczęła wbrew sobie. - Mama umarła na raka piersi, kiedy miałam dwanaście lat. Od tamtej pory wychowywała mnie Chloe. Poszła do szkoły wieczorowej, znalazła posadę w kancelarii prawniczej. Nadal tam pracuje jako asystentka. Stała się niezastąpiona. Bez niej firma przestałaby funkcjonować. Teraz próbuję odwdziaczyć się jej za wszystko, co dla mnie zrobiła. Spłacam swój dług.

Hank nie chciał tego słuchać. Opowieść Dixie nie pasowała do jego teorii, więc zinterpretował ją po swojemu.

- Wszystko jasne! Chcesz zwrócić siostrze pieniądze, które wydała na twoje wychowanie! Tak myślałem. Chodzi o kasę. Ile ci potrzeba? Dostaniesz pieniądze i zostawisz Juliana w spokoju, zgoda? Dixie omal nie udławiła się krawędzią sushi. Zasłaniając usta ręką, sięgnęła po szklankę z wodą i upiła kilka łyków, a potem stanowczym gestem odstawiła naczynie.

- Jaki melodramatyczny chwyt! Mówiłam ci, żebyś przestał zadawać mi pytania. Pogadaj z Julianem. Niech ci powie, w czym rzecz. My dwoje nie mamy już o czym rozmawiać.

- I kto tu się zachowuje jak postać z melodramatu? - Obserwując ściągniętą gniewem śliczną buzię Dixie, przezornie odsunął się z krzesłem na wypadek, gdyby zamierzała kopnąć go pod stołem. Jeden siniak wystarczy.

252 *Natalie Bishop*

- Trudno uwierzyć, że mężczyzna z taką klasą jak Julian ma brata troglodytę. Jesteś wyjątkowym tępakiem i gburem. Chciałam cię przeprosić za tamtego kopniaka, ale zmieniłam zdanie. Uważam nawet, że należy ci się drugi.

- Przestań się złościć. Nie chciałem...

- Hank! - Mocny kobiecy głos wdarł się w cichy szmer rozmów.

Dixie właśnie podnosiła się z krzesła. Los jej sprzyjał. Hank spotkał znajomą, więc miała pretekst, żeby natychmiast wyjść. Popatrzyła na wysoką dziewczynę o bajecznie długich nogach. Ponad metr osiemdziesiąt. Skąpe czarne mini, top z czarnej koronki odsłaniający boski dekolt, regularne rysy i falujące blond włosy. Britta. Supermodelka. Jedna z byłych dziewczyn Juliana.

Britta zmierzyła Dixie spojrzeniem pełnym jadu i tłumionej nienawiści.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W piątek rano Dixie otrzymała dwukartkowy scenariusz. Miała dziesięć minut, żeby nauczyć się roli, co nie było trudne, bo miała do powiedzenia tylko jedno słowo. Grała seksowną, energiczną dziewczynę z ogromnej metropolii, która porzuca wielkomięską dżunglę, żeby przenieść się do prawdziwej, tropikalnej...

No pewnie! Doskonały pomysł.

Julian grał miejskiego Tarzana, który porywa bohaterkę. Scenka nie była trudna do zagrania, lecz mimo to serce Dixie biło coraz mocniej, jakby cała jej kariera zależała od tych kilku chwil. Mimo krzepiących uśmiechów Juliana zdenerwowanie jej nie opuszczało.

Na znak reżysera westchnęła, uniosła stopę i po-

254 *Natalie Bishop*

patrzyła na obcas czółenka. Jęknęła, bo według scenariusza przylepiła się do niego zużyta guma.

- Super - mruknęła z westchnieniem i w tej samej chwili upuściła teczkę. Ze zgrozą patrzyła, jak ważne papiery wysypują się na chodnik.

Reżyser wypowiedział kilka górnolotnych słów i na plan wszedł Julian, żeby porwać zachwyconą Dixie do wilgotnej dżungli.

- Cięcie. Powtarzamy.

Zły znak. Były trzy duble. Wszyscy nabrali wody w usta. Sandra, szefowa produkcji, nie przyszła na próbne zdjęcia, co również źle wróżyło.

Julian nie krył zachwyty.

- Byłaś cudowna - szepnął i uściskał ją serdecznie.

Zadawała sobie pytanie, czy naprawdę tak uważa, czy tylko nie chce jej sprawić przykrości.

Od wczoraj miała fatalny humor. Wszystko przez tę głupią Brittę, która „U Diamonda” przysiadła się do Hanka i zaczęła tokować. Wkrótce z jej paplaniny Dixie wywnioskowała, że słynny romans z Julianem był tylko mydleniem oczu. Britta chodziła z Hankiem. Rozstali się, ale teraz najwyraźniej postanowiła go odzyskać.

Dixie nie zamierzała jej w tym przeszkadzać. Gdy wstała i ruszyła ku drzwiom, Hank pobiegł za nią. Twierdził, że nie dokończyli rozmowy, ale go wyśmiała. Od słowa do słowa znów doszło do kłótni, więc rozstali się w gniewie. Britta tryumfowała.

Podczas weekendu Chloe dała się młodszej

*Ich czworo 255*

siostrze we znaki. Milczała uparcie, a zagadnięcia odpowiadała monosylabami.

- Co się dzieje w twojej głowie? - zapytała w końcu zdesperowana Dixie.

- Nic - rzuciła ostro Chloe. - Mam w niej kompletną pustkę. Nie mogę złapać kontaktu z własnym mózgiem. Przestałam myśleć.

Poza tą żalną deklaracją Dixie nie udało się wyciągnąć z niej ani słowa poza informacją, że dzwonił Brandon. Kiedy odezwała się do niego, usłyszała, że dawny kontrahent życzy sobie, aby ponownie zagrała w reklamówce kociego żwirku.

- Czy ta propozycja ma jakiś związek z nowiną o zaręczynach? Moje akcje zwyżkują, bo jestem kobietą Juliana? - spytała kpiąco.

- No pewnie! Nie będę ci mydlić oczu. Julian to gwiazdor. Ale super! Wychodzisz za symbol seksu! Miała ochotę krzyknąć, że na razie nie planuje ślubu, ale Brandon perorował dalej, nie dopuszczając jej do głosu. Okazało się, że Heather Amherst, która przejęła po niej rolę cheerleaderki, bardzo się spodobała reżyserowi i scenarzyście, więc podpisano z nią kontrakt. Dziewczyna, którą grała, stopniowo zyskiwała na znaczeniu. I pomyśleć, że dostała rolę tylko dlatego, że Dixie, która wlała mnóstwo życia w swoją postać, postanowiła zrezygnować z występów w serialu.

- Życie jest niesprawiedliwe - oznajmiła Brandonowi i nie czekając, co na to powie, odłożyła słuchawkę.

W głębi ducha miała nadzieję, że zdjęcia próbne



256 *Natalie Bishop*

wypadły dobrze i będzie mogła partnerować Julianowi. Wolała nie wracać do reklamy kociego żwirku. Włączyła telewizor i przez dziesięć minut oglądała „Rodzinę Harringtonów”, ale gdy na ekranie pojawiła się Heather, natychmiast wyłączyła odbiornik.

Mogła grać tę postać. Sama była sobie winna.

W poniedziałek zadzwonił Julian i oznajmił, że mają oboje przyjechać do agencji reklamowej. Dixie nie oczekiwała przyjemnych nowin, ale chętnie wyrwała się z domu. Gdy czekali na Sandrę negocjującą właśnie szczegóły nowego kontraktu, rozmowa zeszła na Chloe.

- Co u niej? - spytał nonszalancko Julian.

- Jest dziwnie milcząca.

- To znaczy?

- Od kilku dni prawie się do mnie nie odzywa.

- Jest poważnie zaniepokojona, bo podaliśmy do prasy wiadomość o zaręczynach. Gdy do mnie wpadła, próbowałem ją uspokoić. Niestety, daremnie.

- Naprawdę u ciebie była? Kiedy? - spytała Dixie.

- Nie wspomniała ci o tym? Parę dni temu. Nie wierzyła, że jesteśmy zaręczeni, ale chyba udało mi się ją przekonać, że to prawda. Zresztą sam nie wiem. Może zmieni zdanie, gdy pojedziemy razem na Hawaje?

- Proszę? - Dixie nie rozumiała, o co chodzi.

- W najbliższy poniedziałek lecimy na Hawaje. Będziemy kręcić reklamę.

*Ich czworo 257*

- Chwileczkę! Nie wiadomo, czy się spodobałam. Nikt jeszcze do mnie nie dzwonił. Lecimy w poniedziałek? Na długo?

- Wiem z pewnego źródła, że dostałaś tę rolę

- zapewnił. - Na Hawajach spędzimy prawie cały tydzień.

- Nie mogę, ot tak, rzucić posady „U Diamonda”. To moja praca!

- Dixie! - Julian uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Masz nową pracę. Przecież chciałaś grać.

- Ale...

W tym momencie podeszła do nich Sandra.

- Wszystko ustalone - oznajmiła.

- Naprawdę chcecie, żebym zagrała z Julianem w reklamie? - spytała z niedowierzaniem Dixie.

- Oczywiście. Dlatego się dziś spotkaliśmy.

- Sandra popatrzyła na nią jak na idiotkę, więc Julian wtrącił pojednawczym tonem, żeby zatrzeć złe wrażenie:

- Dixie chciała się tylko upewnić, czy dostała rolę. W poniedziałek rano odlatujemy na Hawaje, prawda?

- Tak. Zarezerwuję bilety i powiadomię was, co i jak. Dixie, daj mi telefon twojego agenta.

Sandra zapisała numer Brandona i odeszła bez pożegnania.

- Zjemy razem obiad? - spytał Julian.

- Niedługo mam zajęcia w szkole aktorskiej.

- Jak ci idzie? - zainteresował się Julian.

- Gorzej niż myślałam. Palmer Michaels jest twoim dobrym znajomym, więc na pewno wiesz, że

258 *Natalie Bishop*

mocno daje się we znaki słuchaczom. Niełatwo go zadowolić.

Julian wybuchnął śmiechem.

- Hank nazywa go starym bufonem, a ja przyznaję mu rację.

- Naprawdę tak źle o nim myślisz?

- Albo i gorzej. Po przyjeździe do Los Angeles od razu stało się dla nas jasne, że szkoła aktorska Palmera jest najlepsza. Hank poszedł mnie tam zapisać, a mistrz wziął go za początkującego aktora, zaciągnął do klasy i kazał zagrać miskę płatków kukurydzianych. Świetna historia! Poproś Hanka, żeby ci ją opowiedział.

- Miskę płatków kukurydzianych? A ja myślałam, że się na mnie uwziął, bo musiałam udawać orła - oznajmiła Dixie i odetchnęła z ulgą.

- Lekcje u Palmera nie należą do najprzyjemniejszych. Jeśli za bardzo cię stresują, to je rzuć. Ja tak zrobiłam.

- Sądziłam, że przyjaźnisz się z mistrzem, a ty mu zwiąłeś! Ja nie zrezygnuję. Dzięki, że mnie tam zapisałeś - powiedziała z uśmiechem. - Wiesz co? Chodźmy na obiad. Czasu jest dosyć.

- Dobra. Jedziemy do „Bistra”. Za pół godziny z okładem ma tam być Hank...

Chloe wpadła do „Bistra” i rozejrzała się nerwowo. Miała piętnaście minut spóźnienia. Za szybą dzielącą ogródek i salę restauracyjną spostrzegła znajomą postać Hanka. Natychmiast przyłączyła się do niego.

*Ich czworo 259*

- Przepraszam za spóźnienie. Nie mogłam się wyrwać z pracy. W piątki zawsze mamy urwanie głowy.
- Nic się nie stało. Julian będzie tu najwcześniej za pół godziny. Czas nagli, a zatem do rzeczy.
- Wierzysz w to, co gazety piszą o jego zaręczynach z Dixie?
- Raczej nie - mruknęła niepewnie. - Według mnie to mało prawdopodobne. Moja siostra nie mogła zakochać się w takim bufonie. Wybacz, mówimy o twoim bracie, ale sam widzisz, że nieustannie otacza go wianuszek kobiet, a on nie robi nic, żeby zniechęcić do siebie natrętne wielbicielki.
- Taka jest cena popularności. W tym zawodzie trzeba się liczyć z widzami - tłumaczył Hank, a po chwili dodał wbrew sobie: - Moim zdaniem Julianowi naprawdę zależy na Dixie.
- E tam! On się interesuje wyłącznie sobą
- odparła napastliwym tonem.
- Złóścisz się, jakbyś była na najlepszej drodze, żeby się w nim zakochać - mruknął Hank, nie dając po sobie poznać, co naprawdę czuje.
- Proszę? - Chloe zerwała się na równe nogi.
- Wbij sobie do głowy, że twój brat nic dla mnie nie znaczy. To obrzydliwy egoista! Poza tym znakomicie się prezentuje, więc pewnie nic nie jest wart. Nawiasem mówiąc, ty również masz ten sam problem.
- Śmiało, wyładuj się na mnie i zdradź, co naprawdę czujesz! - zachęcał Hank z kpiącym uśmiechem.

260 *Natalie Bishop*

- *Źle* zrobiłam, spotykając się z tobą. Trudno liczyć na twoją pomoc. - Zirytowana Chloe pokręciła głową. - Muszę wypić coś mocniejszego, nim wrócę do kancelarii. Inaczej pęknę ze złości. No, nie wiem... O tej porze mało kto sięga po drinki.

Hank skinął na kelnera.

- Gdzieś w imperium brytyjskim na pewno jest teraz czas na drinka, więc śmiało możesz się napić - uspokoił ją żartobliwie i zamówił dwa razy cosmopolitan w dużych kieliszkach do martini. Gdy kelner wrócił z trunkami, sięgnęli po nie jednocześnie, popatrzyli na siebie z uśmiechem i wznieśli toast. Taki obrazek ukazał się oczom Dixie i Juliana, gdy weszli do „Bistra”. Chlow i Hank robili dobrą minę do złej gry, zalewając robaka, lecz z daleka sprawiali wrażenie, jakby świętowali.

Ogarnięta zazdrością Dixie miała wrażenie, że krew się w niej gotuje, ale jej zdenerwowanie było niczym w porównaniu z wściekłością, która ogarnęła Juliana, kiedy popatrzył na upojne tete-a-tete Chloe z jego bratem.

Wieczorem Dixie z ponurą miną rozglądała się po sali z miejsca, gdzie hostessy czekały na gości wchodzących do holu. Nieco wcześniej powiedziała szefowej o zmianach, które zaszły w jej zawodowym życiu.

- Będzie nam ciebie brakowało - usłyszała. Niezadowolona kierowniczką cmoknęła znacząco i pokiwała głową.

## *Ich czworo 261*

Trudno liczyć na zrozumienie i pomoc zwierzchników, pomyślała z goryczą Dixie. Od początku była tego świadoma. Kiedy dostała pracę, w głębi ducha miała nadzieję, że nie zagrzeje w niej miejsca, bo wróci do aktorstwa, lecz nie śmiała przypuszczać, że tak jej się powiedzie. Na razie była zbyt oszołomiona, żeby określić, co czuje.

Myśl o korzyściach...

Na parę godzin przed zamknięciem „U Diamonda” panował okropny zamęt. Rozgorączkowani goście tańczyli w rytm muzyki, śmiali się i głośno rozmawiali. Obserwując ich, przestała żałować, że odchodzi. Miała dość patrzenia na to pandemonium i wysłuchiwanie krytycznych uwag chimerycznych klientów.

- Chcę rozmawiać z kierownikiem! - wrzeszczał na cały głos jeden z nich. Co wieczór pojawiał się przynajmniej jeden taki pieniacz.

- Zaraz przyjdzie - oznajmiła, kłamiąc w żywe oczy, bo nie miała pojęcia, gdzie jest teraz szefowa. Cały personel lokalu dwoił się i troił, żeby sytuacja w lokalu nie wymknęła się spod kontroli. Typowy piątek „U Diamonda”.

W takiej chwili do restauracji wkroczył Hank. Podeszedł do stanowiska Dixie i odczekał chwilę, aż zwróci na niego uwagę. Pochyliła się, żeby łatwiej przekrzyczeć zgiełk, i spytała:

- Co się stało?

- Przyszedłem się napić. Chciałbym też pogadać.

- Ze mną? Na razie to się nie da zrobić. Mamy...

262 *Natalie Bishop*

pewne kłopoty. - Wskazała awanturującego się gościa, który wrzeszczał na całe gardło, wymyślając personelowi lokalu.

- Marne sushi? - zapytał kpiąco Hank, a Dixie rozchmurzyła się od razu.

- Raczej słony rachunek. Tak mi się wydaje.

- Pójdę do baru na piętrze. Kiedy skończysz, może pogadamy?

Nie miała ochoty na dyskusję o rzekomym związku z Julianem, ale kusilo ją, żeby spędzić w towarzystwie Hanka trochę czasu, więc targana sprzecznymi uczuciami kiwnęła głową i zapytała:

- Gdzie Julian?

- W domu. Ma humory.

- Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? - Hank wzruszył ramionami.

W „Bistrze” po wyjściu Chloe i brata też był dziwnie milczący.

- Hank! - Piskliwy kobiecy głos zabrzmiał donośniej od muzyki i zgiełku rozmów.

Dixie rozejrzała się i zaraz posmutniała, widząc śliczną Britte.

Przeciągły jęk Hanka utonął w ogólnym zgiełku, ale nie można było nie dostrzec miny wyrażającej skrajną irytację. Chwilowy kaprys; przejdzie mu, uznała Dixie, ponieważ Britta, nie bacząc na chmurną minę Hanka, wzięła go pod rękę i zaczęła uroczo szczebiotać. Oboje ramię przy ramieniu wchodzili po schodach.

*Ich czworo 263*

Może ukartowali przypadkowe z pozoru spotkanie, zastanawiała się ponuro Dixie.

Gdy miała wreszcie chwilę oddechu, zadzwoniła do Chloe.

- Hank tu jest - powiedziała. - Z Brittą.

- A gdzie Julian? - chciała wiedzieć Chloe. - To jej były, prawda?

- Otóż nie! - Dixie zabrakło wcześniej sposobności, żeby opowiedzieć siostrze o sekretnych romansach supermodelki, więc teraz w kilku zdaniach streściła całą historię. - Mówię ci, po prostu uwiesiła się na nim. Niedobrze się robi od takiego widoku.

Chloe odsunęła słuchawkę od ucha i popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Można by pomyśleć, że sama kochasz się w Hanku.

- Co ty! Ależ skąd! Żal mi go, bo ta Britta uczepiła się jak rzep psiego ogona. Po prostu szkoda mi biedaka - mamrotała Dixie. Wymówiła się nadmiarem pracy i przerwała połączenie.

Chloe długo siedziała bez ruchu, trzymając w dłoni słuchawkę i analizując niedawną rozmowę.

Kwadrans później jechała samochodem do restauracji „U Diamonda” i nuciła cicho. Kto wie?

Przypuśćmy, że Dixie wcale nie kocha Juliana, tylko Hanka... Uznała, że w takim wypadku powinna jednak trzymać rękę na pulsie i obserwować Brittę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„U Diamonda" panował tłok i okropny gwar, kiedy Chloe wkroczyła tam, szukając siostry. Szła przy ścianie, torując sobie drogę wśród rozgadanych bywalców czekających na wolny stolik. Po chwili przepchała się do recepcji, gdzie krępy osiłek z ogoloną głową rugał wystraszoną dziewczynę o rozbieganych oczach. Dixie tam nie było. Gdy Chloe zapytała o nią jedną z przechodzących obok kelnerek, została skierowana na piętro. Spłoszona pannica pełniła dyżur w zastępstwie.

W holu zrobił się szum i do restauracji weszła znana aktorka. Chloe natychmiast ją poznała. Ta głupia żoźła złośliwie komentowała w brukowcach zdjęcie Juliana i Chloe. Tłum oczekujących rozstał się na moment niczym biblijne fale Morza

*Ich czworo 265*

Czerwonego. Po chwili przejście się zamknęło. Na widok Chloe aktorka wyprostowała się i dumnie podniosła głowę niczym królowa srebrnego ekranu, choć w rzeczywistości była tylko jedną z wielu gwiazdek, kreowanych masowo przez wytwórnie filmowe.

- No proszę! Pracujesz tu, prawda? - Obrzuciła taksującym spojrzeniem figurę, twarz i włosy Chloe, która przyznała samokrytycznie, że gdyby chciała konkurować z tą ślicznotką, powinna natychmiast powiększyć biust, i to sporo. Nieważne. Gorzej, że nie mogła sobie przypomnieć nawet jej imienia.

- Patrycja! - krzyknęła, bo nagle doznała olśnienia.

- Owszem - przytaknęła obojętnie tamta. - A ty jesteś nową dziewczyną Juliana. Przyszłam zobaczyć na własne oczy, co z ciebie za cudo. Moim zdaniem nie ma się czym zachwycać - dodała z kpiącym uśmiechem i popatrzyła na tłum spijający słowa z jej ust. Chloe poczuła wzbierającą złość. Patrycja lekko wychyliła się naprzód, prezentując gapiom wspaniały dekolt. - Nie łudź się, mała, że zdołasz przy sobie zatrzymać mężczyznę takiego jak Julian.

Rozzłoszczona Chloe starała się nad sobą panować. Lepiej trzymać język za zębami. Kilka dni temu nagadała bzdur koleżankom z kancelarii, a potem żałowała pochopnie wypowiedzianych słów. Z drugiej strony Jednak Patrycja sama się prosiła, żeby jej utrzeć nosa.

266 *Natalie Bishop*

- Czyżby? Chyba nie wiesz, co mówisz. Nie tylko udało mi się go w sobie rozkochać, lecz także skłonić do małżeństwa.

- Dziennikarzom możesz wstawiać kit, ale ja poznałam się na twoich gierkach! Co ty wiesz o facetach? Nie masz pojęcia, jak zadowolić mężczyznę. - Patrycja obrzuciła Chloe pogardliwym wzrokiem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrzała na gapiów przysłuchujących się tej pyskówce.

- O to powinnaś raczej zapytać Juliana - odcięła się Chloe, świadoma, że dryfuje ku niebezpiecznym tematom. Wbrew swoim intencjom nie była w stanie zapobiec katastrofie. - Powiedział, że dopiero przy mnie jego życie erotyczne nabrało smaku i barw. Podczas ostatniej randki było nam cudownie. Julian mówi, że jestem wspaniałą kobietą. Mój największy walor to naturalność. Nie muszę niczego udawać ani szprycować się silikonem. - Chloe spojrzała wymownie na przepastny dekolt Patrycji, która zamruwała i zrobiła się czerwona.

Przejęci gapie zgodnie wstrzymali oddech, a Chloe poczuła, że włos jej się jeży na karku. Uwaga, niebezpieczeństwo! Ratuj się, kto może! Odwróciła głowę i zobaczyła szefową Dixie.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała herod-baba lodowatym tonem.

- Próbowałam tylko wyjaśnić sytuację - odparła Chloe z przymilnym uśmiechem.

Nie ma co, fatalnie przysłużyła się Dixie. Nagle straciła ochotę na spotkanie z siostrą, ale nie mogła teraz odejść, skoro tak narozrabiała.

*Ich czworo 267*

- Proszę opuścić nasz lokal - zażądała kierowniczka. Patrycja natychmiast się rozpromieniła,

- Za chwilę. Mam spotkanie... Kierowniczka bez słowa wskazała jej drzwi.

Pokonana Chloe z nosem spuszczonej na kwintę ruszyła do wyjścia.

- Mam niewyparzoną gębę - wymamrotała z irytacją.

Jeden z portierów usłyszał te pomruki i powiedział z uznaniem:

- I świetne nogi.

Czekając, aż sprowadzi auto, stała przed lokalem, nie wiedząc, czy śmiać się do rozpuku, czy płakać.

Hank pije na umór, jakby próbował zalać robaka, pomyślała Dixie, gdy siedzieli przy narożnym stoliku, z dala od ciekawskich gości. Musiała odejść na chwilę, bo jedna z koleżanek odwołała ją, żeby opowiedzieć o niemiłym incydencie, w którym uczestniczyła Chloe. Po namyśle Dixie machnęła na to ręką. Sama świadomość, że od jutra nie będzie pracować „U Diamonda”, przyprawiała o zawrót głowy. Dixie miała wrażenie, że z ciężkiego więzienia nareszcie wyrwała się na swobodę.

Gdy wróciła do stolika, Hank był w ponurym nastroju. Dixie uznała, że upił się na smutno.

- Cześć, przystojniaczku - powiedziała z pobłażliwym uśmiechem. - Co u ciebie?

- Nie pogadaliśmy - mruknął, sącząc kolejne piwo.

- Mam cię odwieźć do domu?

268 *Natalie Bishop*

- Nie. Pojadę taksówką.

- Naprawdę? A może jednak wolisz, żebym cię odwiozła?

Popatrzył na nią, mrużąc najpierw jedno oko, potem drugie. Kiwnął głową.

- Za dwadzieścia minut ruszamy - oznajmiła.

- Remontuję mieszkanie, więc na razie koczuję u Juliana.

- Wiem.

- Aha, już ci wspominałem. - Znowu kiwnął głową. - No dobra.

Dixie uśmieła się, gdy jechali do rezydencji na Beverly Hills. Dochodziła druga w nocy. Dom był ciemny. Żadnych świateł.

- Julian śpi? - zapytała szeptem, gdy zaparkowała na podjeździe.

- Nie. Baluje z perfumiarzami.

Robi się niebezpiecznie, pomyślała Dixie. Hank przysunął się bliżej i ujął ją za ramiona.

- Co robisz? - zapytała.

- A bo ja wiem?

- Wiesz, wiesz...

- No dobra, masz rację. Chciałbym cię pocałować.

Dixie znieruchomiała w jego objęciach.

- Chcesz udowodnić, że nie nadaję się dla Juliana?

- Ależ skąd. - Objął dłonią kark Dixie i przyciągnął ją do siebie. - To dla mnie oczywiste. Teraz nie myślę o Julianie, tylko o sobie. Chciałbym... po prostu chciałbym cię pocałować.

*Ich czworo 269*

I tak właśnie zrobił. Dixie się nie broniła. Oddała pocałunek. Gdy Hank wyczuł, że nie stawia oporu, zaczął ją całować zachłannie i namiętniej. Przymknęła oczy.

- Pragnę cię - szepnął.

- Hank, Hank... - szeptała, gdy całował jej szyję.

- Tak...

Ja też cię pragnę, pomyślała.

Przytuliła policzek do jego ramienia i zacisnęła powieki, błagając niebiosy, żeby uchroniły ją od popełnienia życiowej pomyłki. Zakochałam się, przyznała w duchu. Tracę dla niego głowę. Oddałam serce nie temu bratu, co trzeba!

Histeryczny wrzask sprawił, że Dixie wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Popędziła do sypialni Chloe, ale jej tam nie było. Wpadła do holu i popatrzyła na zegar. Szósta za parę minut. Nic dziwnego, że Dixie była mało przytomna. Z niewyspania piekły ją oczy, a powieki nie chciały się podnieść.

Chloe stała przy drzwiach wejściowych, tuląc do piersi poranną gazetę.

- Co jest? - zapytała Dixie.

- Nic - usłyszała w odpowiedzi.

- To sprawka pismaków? Znow cię obsmarowali?

- Dixie... - Chloe z rozpaczą popatrzyła na siostrę. - Kolejna wpadka.

- O czym ty mówisz?

270 *Natalie Bishop*

- Znowu nagadałam głupstw! Ona wzięła mnie za ciebie!

- Kto? - Dixie chciała zabrać siostrze gazetę, ale ta mocniej zacisnęła palce. - Aha! Patrycja Reynolds.

- Tak! Skąd wiesz?

- Jedna z dziewczyn wspomniała, że doszło wczoraj „U Diamonda” do incydentu, po którym wyproszono cię stamtąd. - Dixie ziewnęła.

- No właśnie - jęknęła zrozpaczona. - Robiła paskudne uwagi na mój temat... a raczej na twój.

Jesteśmy bardzo podobne, więc myślała, że ja to ty. Nie masz pojęcia, jaka z niej jędza.

Chloe była blada jak ściana. Wydawało się, że lada chwila zemdleje. Dixie chwyciła ją za ramię, pociągnęła w stronę kanapy i chciała posadzić wygodnie, lecz Chloe, napięta i sztywna jak kij, przycupnęła na brzeżku.

- Nie pozostałaś jej dłużna, tak? Co powiedziałaś? - wypytywała Dixie.

Chloe jęknęła Znowu i ukryła twarz w dłoniach, a potem podsunęła siostrze gazetę z ociąganiem, jakby to był pergamin z informacją o bezcennym skarbie. Dixie przebiegła wzrokiem notatkę opisującą kłótnię dwu ślicznotek, po której Dixie rzekomo wyleciała z pracy.

- Wcale mnie nie zwolnili! Sama odeszłam - sprostowała z oburzeniem.

- Kiedy twoja szefowa pokazała mi drzwi, wszyscy uznali, że zwolniła mnie... czyli ciebie.

Wszystkich zmyliło nasze podobieństwo. Stąd

*Ich czworo 271*

tyłe problemów. Powinnam była trzymać język za zębami! Dixie, strasznie mi przykro. Nie wiem, co mnie napadło. W złości gadam zwykle, co mi ślina na język przyniesie, ale po raz pierwszy w życiu tak się zapomniałam. Dawniej byłoby to nie do pomyślenia.

Dixie w milczeniu kiwnęła głową. Chloe nie kryła nigdy swoich opinii, ale też się z nimi nie afiszowała. Po chwili zapytała, spoglądając na artykuł:

- Czy Patrycja Reynolds naprawdę ma silikon? Zawsze mnie to intrygowało.

Chloe zachichotała, ale nie podniosła głowy. Po chwili zastanowienia odparła:

- Wczoraj nagadałam głupstw, ale myślę, że jeśli chodzi o biust tej zołzy, trafiłam w dziesiątkę. Czysty silikon, i to w dużych ilościach.

- I tak obeszłaś się z nią dość łagodnie. Pomyśl, jak by zareagowała, gdybyś jej odradziła noszenie broszek, bo może sobie przebić sztuczne balony, a wtedy cały silikon wypłynie - odparła Dixie z mściwą satysfakcją.

- Tak czy inaczej, twój narzeczony będzie wściekły - mruknęła skruszona Chloe.

Dixie kiwnęła głową. Powinna okazać więcej zainteresowania, ale dziś rano bardziej obchodziły ją sprawy Hanka niż Juliana. Koniec, kropka. Najgorsze, że nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

- Przez tydzień nie wstanę z łóżka - oznajmiła Chloe. - Dzięki Bogu, mamy sobotę, więc nie trzeba iść do pracy.



272 *Natalie Bishop*

- Muszę chyba uprzedzić Juliana, żeby przygotował oświadczenie dla prasy - odparła Dixie, zastanawiając się, czy Hank już wstał. Mało prawdopodobne. Było zbyt wcześnie. Co sobie pomyśli, gdy po przebudzeniu zacznie wspominać wieczorne spotkanie? Czy opadną go wątpliwości? Sumienie będzie dokuczać? Dixie tak się tym gryzła, że przez całą noc nie zmrużyła oka. A Hank? Może nic nie pamięta?

Chloe wstała z kanapy i poszła do holu.

- A ty dokąd? - zapytała Dixie.

- Przygotuję kompres na oczy i wracam do łóżka, a potem spróbuję zdobyć się na odwagę i zadzwonić do Juliana. Dam sobie parę godzin na zastanowienie, jak mu powiedzieć, że znów na-broiłam. Na pewno mnie zbeszta, a to nie będzie przyjemne.

- Ja też wracam do łóżka - mruknęła Dixie. Powód do drzemki miała inny niż siostra. Chciała, żeby przyśnił jej się Hank.

Drrrrr! Drrrrrr!

Hanka obudził natrętny dzwonek telefonu. W jego sypialni nie było aparatu, więc żeby podnieść słuchawkę, jeszcze na pół śpiąc poczłapał do holu. Dopiero tam nieco oprzytomniał. Nie zdążył, a wiadomość odebrała automatyczna sekretarka. Usłyszał głos Chloe, wyraźnie ponurej i mocno przygnębionej, która prosiła Juliana, żeby do niej zadzwonił.

Wtedy uświadomił sobie, że wczoraj całował się z Dixie.

*Ich czworo 273*

To wspomnienie podziało na niego jak kubek zimnej wody. Natychmiast oprzytomniał. Znieruchomiał na kilka chwil, przymknął oczy i powrócił myślą do wczorajszego wieczoru. Miał wrażenie, że w jego wspomnieniach jawa miesza się ze snem. Niemal czuł smak ust Dixie, jakby nadal ją całował.

Westchnął żałościwie, ziewając poszedł do salonu i ujrzał na kanapie Juliana, który sprawiał wrażenie, jakby mu było niewygodnie, ale spał jak suseł.

Hanka ogarnęło poczucie winy. Julian zaręczył się z Dixie w pośpiechu, a decyzja sprawiała wrażenie dość pochopnej, ale została podjęta i nie można jej było kwestionować.

- Hej! - zawołał Hank do Juliana, który spał jak zabity. - Hej! - Chwycił go za nogę i potrząsnął nią mocno.

Julian wymamrotał coś przez sen, odwrócił się na drugi bok, omal nie spadając z kanapy, i niechętnie otworzył oczy.

- Zasnąłem w salonie - mruknął, wyraźnie zaskoczony.

- Tylko mi nie mów, że i ty się schlałeś - odparł Hank, czując pierwsze symptomy kaca. Okropnie bolała go głowa.

- Nieważne. Najpierw nie mogłem spać, a potem się zdrzemnąłem. - Julian usiadł na kanapie i zapytał:

- Która godzina?

- Dochodzi dziesiąta.

- Zasnąłem dopiero przed piątą.

- Coś się stało? - Harik obrzucił go badawczym spojrzeniem.

274 *Natalie Bishop*

Julian westchnął, popatrzył jakoś dziwnie i wzruszył ramionami. Hank miał wrażenie, że coś mu leży na sercu, ale nie doczekał się zwierzeń.

- Nie słyszałeś telefonu. Chloe dzwoniła. Masz się do niej odezwać.

- Chloe prosiła, żebym do niej zatelefonował?

- Tak powiedziała.

Julian natychmiast odsłuchał wiadomość i mruknął:

- Głos ma ponury.

- Odezwij się do niej - poradził Hank. - Idę wziąć prysznic.

Julian skrzywił się i potarł zarost na policzku. Bardzo chciał do niej zadzwonić, pogadać i naprawdę przejął się faktem, że do niego telefonowała.

Przez chwilę zadreślał się, daremnie próbując uporządkować swoje uczucia, a potem z pamięci wystukał numer panien Kingston. Odebrała Dixie.

- Cześć - powiedziała. - Chloe poszła do sklepu po kawę i mleko, ale zaraz wróci.

- Wiesz, dlaczego do mnie dzwoniła?

Po chwili wahania odpowiedziała na jego pytanie:

- Wczoraj powiedziała kilka głupstw, a dziś można o tym przeczytać w porannej prasie. Nie sprostowała pomyłki, gdy Patrycja Reynolds wzięła ją za mnie, a potem sytuacja wymknęła się...

- Gdzie o tym piszą? - przerwał Julian. Odłożył słuchawkę i popędził na ganek, gdzie leżała poranna prasa. Natychmiast przejrzał najbardziej znienawidzone, bo plotkarskie kroniki towa-

*Ich czworo 275*

rzyskie. Po chwili już wiedział, w czym rzecz. Miał wszystko czarno na białym. Ciekawe, co na to producenci perfum „Tarzan” oraz ich spece od reklamy. Zadzwoił ponownie do Chloe. Tym razem sama odebrała telefon.

- Chcę się z tobą zobaczyć - mruknął opryskliwie.
- Ja... Marnie się czuję - odparła stłumionym głosem.
- Ja również - odparł ponuro. - Za godzinę zobaczymy się w „Bistrze”.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hank uparł się, że pojedzie z Julianem na spotkanie. W aucie obaj milczeli, pogrążeni w myślach. Hank zbierał siły, by wyznać bratu, że kocha jego narzeczoną. Zawołowane aluzje oraz zachowanie tamtych dwojga sugerowały, że nie łączy ich głębokie uczucie; raczej obustronnie korzystna umowa... Julian od pewnego czasu pilnie obserwował brata i zaczynał całkiem serio podejrzewać, że tamten kocha się w Dixie. Gdyby tak było, sytuacja ich czworga stałaby się o wiele prostsza. Julian rozczulił się, wyobrażając sobie, że jest z Chloe. Pomarzyć dobra rzecz... Z drugiej strony jednak kto wie? Nie była chyba całkiem obojętna na jego męski urok.

*Ich czworo 277*

Gdy dotarli do „Bistra”, Chloe jeszcze tam nie było. Znaleźli wolny stolik i uprzedzili kelnera, że będą mieli towarzystwo. Po chwili siedzący twarzą do drzwi Hank otworzył szeroko oczy. Julian odwrócił się i w drzwiach lokalu zobaczył Chloe, a za nią Dixie. Przyglądał im się kpiąco, gdy szły w ich stronę.

- Sprowadziłaś posiłki - mruknął do Chloe.

- Ty również - odparła rezolutnie i ruchem głowy wskazała Hanka. Była skruszona, ale nie do tego stopnia, żeby dała sobą pomiatać.

- Sama nalegałam, żeby pozwoliła mi tu przyjść - wtrąciła Dixie. - Rozumiem, że jesteś zły na nią... na nas obie - dodała pospiesznie. - Same jesteśmy sobie winne. Nie próbujemy się usprawiedliwiać, ale pamiętaj, że nie mamy pojęcia o tym, jak się żyje w wielkim świecie. Zwykle śmiertelniczki, a my się do nich zaliczamy, nie rozumiemy, czemu powinny nadstawiać drugi policzek, gdy jakaś pseudoznakomitość w przypiływie złego humoru zaczyna się na nas wyżywać.

- Co konkretnie powiedziała wczoraj Patrycja? - zapytał Hank, a Chloe streściła krótko tamtą sprzeczkę.

- Wzięła Chloe za mnie - wtrąciła niepotrzebnie Dixie i odchrząknęła nerwowo. Zrobiło jej się nieswojo, bo Julian dziwnie patrzył na jej siostrę. Był chyba na nią okropnie zły. Dixie westchnęła i błagalnie popatrzyła Hankowi w oczy, jakby prosiła o pomoc.

- Co się stało, to się nie odstanie - mruknął.

278 *Natalie Bishop*

- Dixie i Julian w poniedziałek lecą na Hawaje, więc tym się zajmijmy.
- Chciałbym porozmawiać z Chloe w cztery oczy
- powiedział Julian tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- Ach tak? - Zaniepokojona Dixie wodziła spojrzeniem po twarzach pozostałej trójki. - W takim razie znikam. Hank, jedziesz... ze mną?

Zgodził się natychmiast, miło zaskoczony takim obrotem sprawy, bo nie śmiał marzyć, że spędzi z nią trochę czasu sam na sam. Uradowany kombinował, co zrobić, żeby pobyli razem przez całe sobotnie popołudnie.

- Przyjechałam autem. Zabierzesz się ze mną? Nieświadomie podsunęła mu doskonały pomysł.
- Świetnie. - Odsunął krzesło, chwycił ją za rękę i natychmiast pomógł wstać, jakby się obawiał, że ktoś zaproponuje inne rozwiązanie. - Niech Julian odwiezie potem twoją siostrę.
- Ojej! Chwileczkę... - Chloe pokręciła głową.
- Nie daj się zastraszyć - poradził kpiąco Hank, poklepał ją po ramieniu i pociągnął Dixie ku drzwiom.
- Jesteś pewny, że nic jej nie zrobi? Chyba jest wściekły.
- Tak.
- Ale mnie pocieszyłeś!

Hank uśmiechnął się szeroko, a Dixie potknęła się i omal nie straciła równowagi. Wpadła prosto w jego otwarte ramiona.

- Znikajmy stąd. Czas się lepiej poznać - oznajmił, ciesząc się niespodziewanym darem losu.

*Ich czworo 279*

Zamknięta w ciasnym uścisku Dixie jak urzeczona wpatrywała się w jego rozradowane niebieskie oczy.

- Tak - szepnęła. Do diabła ze skrupułami. Raz się żyje!

Pamiętaj o korzyściach, o spodziewanej nagrodzie, podpowiadał głos rozsądku.

Najważniejsza nagroda to Hank, odparła w duchu, zmuszając rozum, żeby milczał. Teraz liczyło się dla niej tylko uczucie.

Chloe niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w menu. Miała zamęt w głowie, a przed oczyma raz po raz stawała jej piękna twarz i postać Juliana, choć starała się na niego nie patrzeć. Odchrząknęła, ale nie podniosła wzroku. Kątem oka spostrzegła, że uniósł głowę znad swego menu i znów się jej przygląda.

Krepująca cisza przedłużała się coraz bardziej. Gdy stała się nie do zniesienia, Chloe postanowiła ją przerwać.

- Milcząca pogarda jako metoda karania za bezmyślne mielenie ozorem? Dobrze, można i tak, ale podobno chciałeś ze mną porozmawiać.

- Owszem, tylko nie wiem, jak zacząć - odparł cicho.

Chloe odważyła się zerknąć na niego zza menu.

- Przepraszam - szepnęła.

- Słucham? - mruknął, osłaniając dłonią ucho.

- Przeprosiłam cię. Bardzo mi przykro, że nagadałam głupstw. - Uniosła głowę i rzuciła mu



280 *Natalie Bishop*

wyzywające spojrzenie. - Ale nie żałuję, że natarłam uszu tamtej idiotce, która nie zasługuje na miano prawdziwej kobiety. Silikonowa barbinka! Zachowała się podle!

- A ty zrobiłaś ze mnie superkochanka. Chloe poczuła, że się rumieni. Paliła ją szyja i policzki.

- Mam bujną wyobraźnię. Powinnam chyba pisać powieści.

- Dobry pomysł, ale zapamiętaj sobie, że takich rzeczy nie można mówić bez zastanowienia, zwłaszcza jeśli dotyczą ludzi z pierwszych stron gazet. Dziennikarze są wszędzie i tylko czekają na takie rewelacje.

- Wiem. Naprawdę bardzo mi przykro, że wczoraj się zapomniałam.

W tej samej chwili do lokalu weszło kilka dziewczyn. Natychmiast rozpoznały Juliana, podbiegły do stolika i otoczyły go ciasnym kręgiem. Był wyraźnie zniecierpliwiony, ale uśmiechał się i cierpliwie rozdawał autografy. Raz po raz zerkał na Chloe, jakby prosił bez słów, żeby pomogła mu uwolnić się od wielbicielek. Najwyraźniej życzył sobie jej interwencji!

Odchrząknęła znacząco i uśmiechnęła się do dziewczyn, które do tej pory ignorowały ją, gestem i miną dając do zrozumienia, że Julian należy do nich. Nie chciały jej w swoim fanklubie. Niech was diabli, pomyślała mściwie. Niedoczekanie wasze!

- Kręcimy właśnie nową reklamę męskich perfum „Tarzan” z Julianem w roli głównej - oznaj-

*Ich czworo* 281

miła podejrzenie słodkim głosem. - Nowy spot będzie miał premierę jesienią. Wiedziałyście o tym, moje drogie? - spytała protekcyjnym tonem i uniosła brwi. - Nie możecie tego przegapić - dodała, jakby chciała powiedzieć, że audyencja skończona.

Spłoszone wielbicielki oddaliły się niechętnie, przygryzając wargi i marszcząc brwi. Julian spojrzał przyjaźnie na Chloe i mruknął:

- Dobra jesteś. Zmyły się natychmiast.

- Już się na mnie nie gniewasz? - zapytała przymilnie.

- Kombinuję, jak przyswoić sobie twoją zdolność ustawiania ludzi do pionu.

- Nie kpij ze mnie... - Rozpromieniła się, widząc uśmiech na jego twarzy. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że to paranoja. Nie powinna ulegać czarowi takiego przystojniaka.

Do ich stolika podszedł kelner.

- Zjemy obiad? - zapytał Julian. - Ja zapraszam. Na co masz ochotę? Dla ciebie wszystko!

Ostatnie słowa, z pozoru zwyczajne, wypowiedział z naciskiem. O co mu chodziło?

Kelner przyjął zamówienie i odszedł. Julian spojrzał na Chloe i uśmiechnął się. Był świadomy, że tak najłatwiej jest mu ją rozbroić.

- Popołudnie masz wolne, prawda? Jak chciałabyś je spędzić? Dokąd pojedziemy?

Hank raz po raz zerkał na śliczne nogi siedzącej za kierownicą Dixie. Sfałdowana spódniczka

282 *Natalie Bishop*

całkiem sporo odsłaniała. Kątem oka spostrzegł nagle biały kabriolet marki BMW, który wyprzedził ich z wielką szybkością.

- Britta! - rzucił zde gustowany.

- Proszę? - Dixie spojrzała na niego z ukosa.

- Moim zdaniem postanowiła odwiedzić Juliana

- mruknął, gdy skręcili w Beverly Hills. - Zawracaj! Trzeba jej unikać jak zarazy. Zatruje nam życie!

- Dokąd pojedziemy?

- Na plażę. Zrobimy sobie piknik. Boże miłosierny, nie mogę się doczekać, kiedy ta żółta wyjedzie z Los Angeles.

W uszach Dixie jego słowa brzmiały jak muzyka. Posłuchała dobrej rady i wkrótce jechali w stronę wybrzeża.

- Unikasz Britty? Dziwne... Odniosłam wrażenie, że jej towarzystwo sprawia ci przyjemność.

- Czyżby? Nie daj się zwieść. Umiem się dobrze maskować, ale moim zdaniem Britta to prawdziwa pirania gotowa pożreć człowieka! Wampir na wysokich obcasach!

- Ale byliście zaręczeni...

- Co ty! - Hank zrobił przerażoną minę. - Nigdy w życiu. Najpierw wmawiała dziennikarzom, że jest zaręczona z Julianem. Zdementował to, co niewiele dało, bo plotki nadal krążyły. Kiedy z nudów zacząłem się z nią spotykać, było mi to na rękę, bo pismacy nie zwracali na mnie uwagi.

- Skrzywił twarz i dodał: - Niestety, Britta ubzdurała sobie, że coś nas łączy. Kiedy Julian ogłosił, że jest zaręczony z tobą, zaczęła do mnie wydzwaniać.

*Ich czworo 283*

Stała się natrętna. Chyba powinienem znaleźć sobie fajną dziewczynę i jak najczęściej się z nią pokazywać. Wtedy zrozumie, że nie ma szans. - Popatrzył na nią znacząco, ale udawała, że nie wie, o co mu chodzi.

- Wydawało mi się, że dość sceptycznie zapatrujesz się na stałe związki - zaczęła ostrożnie.

- Jak to? - Hank zmarszczył brwi.

- Twierdziłeś, że wszystkie kobiety są interesowne, a większości z nich zależy tylko na kasie.

Zmieniłeś zdanie?

Hank złapany we własne sidła udawał, że się nad tym zastanawia.

- Znalazłoby się trochę wyjątków.

- Czyżby?

- Niektóre znam osobiście. Cudowne istoty!

- W imieniu całej mojej płci dziękuję za dobre słowo - odparła z przekąsem. - Mów dalej. Przyjemnie jest słuchać takich komplementów.

- Dobra, przyznaję, że dość pochopnie krytykowałem wszystkie panie, ale na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że moje znajome to interesowne zołzy. Julian ma ten sam problem. Ty naprawdę jesteś dla nas wyjątkiem.

- Naprawdę? Nie ma mnie już na czarnej liście? Jak to się stało?

- Poznałem cię lepiej. Wiem, jaka jesteś - odparł z prostotą.

Długo milczeli, nie czując skrepowania. Wkrótce zaparkowali u wejścia na plażę i, brnąc po piasku, zeszli nad wodę.

284 *Natalie Bishop*

- Mieszkam w tamtym budynku. - Hank wskazał ładny apartamentowiec. - Julian chciał mieszkać na Beverly Hills, ale ja wolę taki widok.

- Doskonale cię rozumiem. Uwielbiam plażę - odparła z roztargnieniem, wpatrzona w rozedrgane fale Pacyfiku, od których odbijały się złociste promienie kwietniowego słońca. - Przejdziemy się? - zapytała, spoglądając na Hanka.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. A potem kupimy górę jedzenia i urządzimy sobie piknik. Zdjęli buty i, trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie po mokrym piasku.

Chloe usiadła na czarnej, obitej skórą kanapie Juliana i skrzywiła się wymownie. Nie podobał jej się wystrój wnętrza.

Późnym popołudniem dotarli do rezydencji Juliana. Wspólny obiad się przeciągnął, a potem zgodziła się do niego przyjechać, bo sądziła, że zastaną tu Dixie i Hanka. Upierał się, że na pewno tak będzie. Poszła za nim do auta. Gdy wsiedli, omal nie zemdląła z wrażenia, bo niespodziewanie pochylił się i pocałował ją w usta.

- Dzięki za spotkanie - powiedział z uśmiechem i odsunął się natychmiast. - Mam nadzieję, że od dziś będziemy przyjaciółmi.

- No.... - Daremnie próbowała odpowiedzieć sensownie. Usta miała nabrzmiące od jego pocałunku. Ekscytujące doznanie. Niezapomniane. Poprosimy o bis!

- Słucham?

*Ich czworo 285*

- Mówiłam coś?

- Mamrotałaś niewyraźnie.

Gdy próbowała uporządkować niedawne przeżycia, do salonu wszedł Julian.

- Ani śladu Dixie i Hanka. Chyba tu nie zaglądali. Przepraszam, nie pogniewasz się, jeśli załatwię kilka pilnych telefonów? Potem odwiozę cię do domu. Czego się napijesz? Może wina?

- Tak, proszę.

Kieliszek dla kurażu nie zaszkodzi.

- Ostatnio dużo piję, ale nie myśl, że jestem alkoholiczką.

- Jasne. Może jeszcze trochę?

- "Tak, proszę.

Po drugim kieliszku doznała olśnienia.

- Chcesz mnie upić?

- Tak - przyznał bez wahania.

Spojrzała mu prosto w oczy, zastanawiając się, czy nie straciła piątej klepki.

- Nieźle ci idzie - przyznała, a Julian wybuchnął śmiechem i znowu napełnił jej kieliszek. Wolno sączyła jego zawartość. Szkoda, że nie posłuchała głosu rozsądku. Zlekceważyła go pochopnie, a teraz nieuchronnie traciła kontrolę nad sytuacją. Julian był nie tylko przystojny, lecz także przemiły. Otóż to! Bardzo sympatyczny mężczyzna.

- Jak brzmi twoje nazwisko? - zapytała.

- Ashby.

- Ładne - rozculiła się i popatrzyła na niego. Siedział zbyt blisko. Ich kolana prawie się stykały.

Trzeba coś na to poradzić.

286 *Natalie Bishop*

- Próbowałam dziś rano rozwiązać krzyżówkę, ale nic z tego nie wyszło. Masz „New York Timesa”?
- Julian przyniósł gazetę. Gdy usiedli ramię przy ramieniu, odczytał pierwsze hasło.
- Uosobienie zmysłowej miłości. Pięć liter.
- Wenus - odparła natychmiast.
- Dobry trop, ale tutaj nie pasuje. - Odłożył „New York Timesa” i przesunął dłońmi po jej ramionach.
- Powinno być: Chloe.
- Nie sądzę, żeby moje imię kojarzyło się z miłością i namiętnością.
- Jestem innego zdania.
- Chyba wpadłam...
- Oboje wpadliśmy - przyznał zmienionym głosem.

Gdy pochylił się znowu, żeby ją pocałować, siedziała bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma i bijącym sercem. Żałowała, że wypila tak mało wina. W przeciwnym razie mogłaby się tłumaczyć, że to się zdarzyło w pijanym widzie...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Piknik na plaży zakończył się bajecznie kolorowym zachodem słońca. Dixie i Hank zapakowali do kosza niedojedzone kanapki i ciastka, plastikowe kieliszki do wina oraz pół butelki szampana i poszli do jego mieszkania.

- Pora na drzemkę. Za dużo wypiałś. Nie możesz teraz prowadzić - oznajmił stanowczo.

W obszernym apartamencie czuło się woń farby. Meble przykryte były folią malarską. Dixie zajrzała do kuchni i zachwyciła się blatami z granitu o barwie karmelu oraz idealnie dobraną terakotą na podłodze.

- To zasługa dekoratora wnętrz - powiedział Hank, gdy chwaliła jego gust. - Mnie zależy tylko na tym, żeby jak najszybciej tu wrócić.



288 *Natalie Bishop*

Weszli do obszernego pokoju sąsiadującego z salonem. Hank wyjął z kosza butelkę szampana, napełnił kieliszek i podał Dixie.

- Miałam się przespać, żebym mogła się za kierownicą - przypomniała.
- Po co ten pośpiech? - padła wymijająca odpowiedź.
- Sobie nie należysz? - zapytała, wznosząc kieliszek jak do toastu.
- Na dziś wystarczy. Znam swoje możliwości.
- Ziewnął i ściągnął na podłogę ciemną folię chroniącą wielkie łóżę przykryte grubą niebieską narzutą. Opadł na nie i rozłożył szeroko ramiona.
- Nie mogę się doczekać, kiedy tu wrócę. U Juliana dobrze się mieszka, ale wolałbym już wrócić na swoje śmieci. Tu jestem u siebie.
- Mam nadzieję, że wkrótce przekonam się, jak to jest mieć własne lokum. Po śmierci rodziców mieszkałam z Chloe, potem wyjechałam do San Jose, do chłopaka, za którego miałam wyjść, a teraz znów wylądowałam u Chloe.
- Chcesz się usamodzielnąć?
- Pewnie.

Kieliszek był pusty. Hank wstał z łóżka, wlał do niego resztkę szampana, a potem znowu się położył. Dixie krążyła po pokoju. Nie miała ochoty stąd wychodzić, choć czuła, że powinna. Najwyższa pora wrócić do domu. Nie miała pojęcia, dlaczego zaczęła niespodziewanie opowiadać Hankowi, dlaczego przeniosła się do San Jose i czemu wróciła do Los Angeles.

*Ich czworo 289*

- Taka jest historia moich amatorów - podsumowała opowieść. - Zatrudniłam się „U Diamonda” i myślałam, co dalej robić, aż tu nagle pojawił się Julian, no i proszę, gdzie jestem. - Próbowала strzelić palcami, lecz nic z tego nie wyszło.

- Ale nie z Julianem - odparł Hank. Dixie spojrzала przez okno na ciemniejący ocean, a potem odwróciła się do Hanka, pokręciła głową i pogroziła mu palcem.

- Nie powinnam tu przychodzić. - Po chwili namysłu dodała śmiało: - Ale miałam na to ochotę.

- Jesteś zaręczona z moim bratem.

- Ale go nie kocham.

- Wie o tym? - spytał ostrożnie.

- Tak mi się wydaje.

- Wydaje ci się?

Dixie postawiła na biurku pusty kieliszek i opadła na łóżko obok Hanka. Złote włosy otaczały śliczną buzię, piwne oczy były zamglone i uwodzicielskie. Hank czuł, że nie potrafi oprzeć się takiej pokusie.

- Chciałabym cię pocałować - wyznała szczerze, bez niepotrzebnego udawania.

Hank znieruchomiał. Niech Dixie robi, co chce. Nie zamierzał jej do niczego zmuszać. Był trochę zdziwiony, gdy w słodkim zapamiętaniu rzeczywiście przycisnęła usta do jego warg. Objął ją lekko i przytulił do siebie. Z uśmiechem obsypywała pocałunkami jego twarz.

- Jakie to przyjemne. - Roześmiała się cicho. - Od dawna tego pragnęłam.

A co z Julianem? - pomyślał zdezorientowany

290 *Natalie Bishop*

Hank. Mocne bicie serca natychmiast zagłuszyło wątpliwości kołaczące się w jego umyśle. Ostatkiem sił próbował się odsunąć. Daremnie, bo ręce samowolnie głaskały ją po plecach.

- Dixie - jęknął. - Nie mogę!

Była lekko wstawiona i nie rozumowała logicznie, więc spochmurniała, bo poczuła się odrzucona. Nie przyszło jej do głowy, że pomyślał o Julianie. Dla niej rzekomy narzeczony w ogóle się nie liczył. Nie wiedzieć czemu sądziła, że Hank powinien być tego świadomy.

- Chodzi o Britte? - spytała urażona.

- Nie!

- W takim razie co jest grane? - Piwne oczy spoglądały na niego pytająco.

Hank zapomniał o skrupułach. Niech to diabli, pomyślał, biorąc ją w ramiona i tuląc z całej siły.

Kocham cię, pomyślał, ale nie odważył się tego powiedzieć.

Kocham cię, pomyślała Dixie.

Gdy po nagłym wybuchu namiętności odpoczywali przytuleni, oboje próbowali odsunąć moment przebudzenia z cudownego snu oraz powrotu do skomplikowanej rzeczywistości.

Hank pierwszy sobie o niej przypomniał.

- Musimy powiedzieć Julianowi - szepnął. - Najszybciej, jak się da.

- Ale jeszcze nie teraz - odparła, całując go zachłannie.

Chloe zerkała na Juliana, paplając, co jej ślina na

*Ich czworo 291*

język przyniesie. Trzeba go zagadywać. Oboje powinni skupić się na krzyżówce zamiast myśleć o głupstwach. Niestety, wszystkie wysiłki spęły na niczym, a rozwiązywanie krzyżówki we dwoje nie szło wcale sprawniej niż w pojedynkę.

Chloe postanowiła napić się kawy, więc Julian posłusznie wstał z kanapy i poszedł ją zaparzyć. Gdy przyniósł napelnioną po brzegi filiżankę, ujęła ją tak niezdarnie, że wylała całą zawartość na kremowy dywan.

- O Boże! Strasznie przepraszam! - Zerwała się na równe nogi. - Daj mi szybko ścierkę zmoczoną w zimnej wodzie. Zaraz to wyczyszczę. - Zachwiała się lekko, ale Julian natychmiast ją podtrzymał.

- Nic się nie stało - powiedział.

- Przeciwnie! - Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę kuchni. Julian minął ją, zmoczył ścierkę, wrócił do salonu i z grubsza osuszył zaplamiony dywan. Zdesperowana Chloe deptała mu po piętach.

- Ja to zrobię - nalegała.

- Siadaj. - Uśmiechnął się do niej, ścierając ciemne plamy.

- Nie! Muszę...

- Usiądź - polecił stanowczo. - Nie martw się. Oddam dywan do pralni. I tak miałem to zrobić.

Chloe opadła ciężko na kanapę.

- Jestem prawdziwym utrapieniem - powiedziała zakłopotana.

A na dodatek znowu się wstawiłam, pomyślała z goryczą. Nagle zrobiło jej się słabo. Dostała mdłości.

292 *Natalie Bishop*

- Co ci jest? - zaniepokoił się Julian.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Wstała z kanapy, chwytając go za ramię, szybkim krokiem przecięła salon i podeszła do oszklonych drzwi wychodzących na taras. Julian ją wyprzedził i otworzył szeroko oba skrzydła. Stanęli u wejścia na wyłożony terakotą obszerny taras. Lekka bryza zwichrzyła niesforne loki otaczające twarz Chloe. Na niebie błyszczały gwiazdy, bo wiatr rozpędził chmury, odsłaniając niebo, które przypominało granatowy aksamit.

Chloe odetchnęła głęboko i przymknęła oczy.

- Co ja robię? - mruknęła i nagle uświadomiła sobie, że znów myśli na głos. Wzdrygnęła się, gdy Julian stanął za nią i objął ramionami szczupłą talię. Pochylił głowę i pocałował ją w szyję.

- Warto by zapytać, co ty wyprawiasz - dodała cicho, dygocąc jak w gorączce.

- Całuję cię. - Przytulił ją mocniej, obrócił wolniutko i popatrzył w szare oczy. Kolana ugięły się pod nią, więc żeby nie upaść, zacisnęła dłonie na jego ramionach.

- Nie powinieś. Wcale tego nie chcę.

- Wręcz przeciwnie.

- Jesteś pewny swego.

- Tak. - Czuła na sobie spojrzenie fascynujących niebieski oczu.

Pocałował ją w usta. Zaprotestowała głośno, bo wydawało jej się, że tak być powinno, lecz wkrótce zaniechała oporu i zatraciła się w cudownych doznaniach. Protest szybko przeszedł w jęk rozkoszy.

*Ich czworo 293*

Gdy Julian uniósł głowę, Chloe odetchnęła spazmatycznie i zawołała, ogarnięta paniką:

- Puść mnie! Nie mogę oszukiwać rodzonej siostry!

- Nie kocham Dixie.

- A jeśli... ona... kocha ciebie?

W milczeniu pokręcił głową i objął ją mocniej.

- Dixie wie, jak ze mną jest.

- Nie sądzę!

- Nie znasz realiów - tłumaczył dobitnie niskim głosem. Tak zachłannie wpatrywał się w jej usta, że odruchowo zwilżyła je koniuszkiem języka. Jęknął, zamknął oczy i pocałował ją znowu.

- Julian... - szepnęła oszołomiona, gdy odsunął się od niej.

- Chcę się z tobą kochać. Błagam, zgódź się - poprosił zmienionym głosem.

Pragnęła mu się oddać, więc kiwnęła głową na znak zgody. Julian wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Zakochałam się, pomyślała zdumiona, gdy w pośpiechu rozbierali się nawzajem. Kocham się z Julianem, powtarzała w duchu, nim porwała ją rozkosz. W tym samym momencie podniósł głowę i pocałował ją w usta, jakby usłyszał tę myśl.

Długo leżeli w milczeniu.

- Uważam, że popełniliśmy niewybaczalny błąd - powiedziała cicho. Nagle poczuła, że znów ogarnia ją pożądanie.

Julian zmarszczył brwi i bez słowa pokręcił głową.

- Nie.

294 *Natalie Bishop*

- To do mnie niepodobne.

- Do mnie też - zapewnił.

Roześmiała się z goryczą i niedowierzaniem. Julian zamknął jej usta pocałunkiem.

- Wierz mi, w tych sprawach jestem bardzo ostrożny, ale... - Umilkł w pół słowa.

- Tak?

Wstrzymała oddech, czekając na dalszy ciąg zdania.

- Chcę się z tobą kochać jeszcze raz.

Milczeli oboje, jadąc do rezydencji Juliana. Dixie wolałaby na razie nic mu nie mówić. Chciała przynajmniej przez jakiś czas zachować w sekrecie tamte cudowne chwile.

- Sam z nim porozmawiam - zaproponował Hank. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Powinien to usłyszeć ode mnie.

- Zapewniam, że sytuacja wygląda inaczej, niż myślisz. Julian naprawdę nie jest we mnie zakochany. Ja też nic do niego nie czuję.

- Ale się zaręczyliście.

- Tak. W pewnym sensie. - Dixie skrzywiła się.

Powiedzieć Hankowi prawdę? Może Julian poczuje się dotknięty, gdy ich tajemnica wyjdzie na jaw? A jeśli uzna, że zawiodła jego zaufanie? Trudno powiedzieć, jak zareaguje. Ich umowa miała ściśle określony cel, więc było całkiem prawdopodobne, że Julian oskarży ją o niedotrzymanie warunków, skoro spała z jego bratem.

Gdy zbliżali się do Beverly Hills, zwalniała stop-

*Ich czworo 295*

niowo. W żółtym tempie dowlekli się do rezydencji Juliana.

- Idę z tobą - oznajmiła.

- Moim zdaniem będzie lepiej, jeśli załatwię to sam.

- Nie ma mowy - odparła stanowczo, zatrzęsnęła drzwi auta i pobiegła za nim do frontowych drzwi.

Ledwie położyła dłoń na klamce, otworzyły się szeroko i na progu stanęła Chloe.

- Dixie!

- Chloe!

- Chloe - powtórzył Hank, przyglądając się jej uważnie. Oczy miała wielkie i zalęknione.

- Co ci jest? - spytała Dixie, chwytając ją za ramię. - To przez Juliana?

- Słucham? - Zbita z tropu Chloe chwyciła się za głowę.

- Dlaczego twój brat wyżywa się na mojej siostrze? - oburzyła się Dixie. - To niej jej wina, że Patrycja zachowała się skandalicznie. Julian powinien rozumieć takie rzeczy!

- Nie, nie, nie! - Chloe powtarzała jak katarynka, nerwowo machając rękami.

- Gdzie on jest? - zapytał Hank.

- W łóżku. - Chloe odchrząknęła nerwowo. - Tak mi się wydaje. Ja tylko... czekałam, aż przyjedziesz i zabierzesz mnie do domu.

- Naprawdę?

- Tak, tak. Powinłam wziąć taksówkę, ale... zdrzemnąłam się na kanapie i zrobiło się późno.

- Współczuję. Meble w salonie nie są wygodne



296 *Natalie Bishop*

- odparł z roztargnieniem Hank, układając sobie w głowie plan rozmowy z bratem.
  - Co? Ach tak... Zapewne masz rację - odparła roztargniona Chloe, zerkając na czarną kanapę. Nerwowo przełknęła ślinę i popatrzyła na Dixie.
  - Czy możemy jechać do domu? - spytała zmienionym głosem, więc siostra przestraszyła się nie na żarty.
  - Jak się czujesz?
  - Wspaniale. Po prostu bajecznie. Lepiej być nie może. Marzę tylko, żeby wrócić do domu i zasnąć we własnym łóżku. To co? Jedziemy?
  - Zmykajcie - mruknął Hank. Musiał ze sobą walczyć, bo miał wielką ochotę pocałować Dixie na dobranoc.
  - Żadnych rozmów dziś wieczorem. Obiecuj mi
  - zapowiedziała ostrzegawczym tonem.
  - Julian poszedł spać, więc i tak nic z tego nie będzie - odparł Hank.
- Panny Kingston pożegnały się w końcu i wyszły.
- Dokąd pojechałaś z Hankiem? - zapytała Chloe, gdy wsiadły do auta.
  - Na plażę. Łaziliśmy bez celu.
  - Wygląda na to, że wszyscy czworo zmarnowaliśmy pół dnia - uznała Chloe.
  - Owszem - przytaknęła Dixie.
- W drodze do domu obie milczały, zajęte własnymi tajemnicami, które pozostały nieujawnione.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dochodziła jedenasta. Chloe i Dixie bez większego zainteresowania oglądały telewizyjne wiadomości, a Julian i Hank kombinowali, jak by tu zadzwonić do swoich ukochanych, nie ryzykując, że odbierze niewłaściwa osoba lub że zostaną podsłuchani. Próby te nie przyniosły spodziewanych efektów, a rozmowy zakochanych trzeba było odłożyć do rana.

Noc minęła spokojnie, ale w poniedziałek o świcie, gdy horyzont na wschodzie poróżwiał, niespodziewanie rozpętało się piekło. O szóstej zadzwoniła Sandra.

- Popołudniowy lot został odwołany - poinformowała zaspanego Juliana. Sprawiała wrażenie mocno poruszonej. - Wszystko załatwiłam. Lecicie

298 *Natalie Bishop*

z Dixie o dziesiątej rano. Mam nadzieję, że jesteś spakowany.

- Nie! Cholera jasna! - Julian odrzucił kołdrę. - Nawet nie zacząłem zbierać potrzebnych rzeczy.

Dzwoniłaś do Dixie?

- Jeszcze nie, ale...

- Sam to zrobię.

Przerwał połączenie i wystukał numer obu sióstr. Odebrała Dixie, więc ogarnęło go rozczarowanie.

Wyjaśnił, co się stało i nie zważając na jej dramatyczne okrzyki, poprosił:

- Daj mi Chloe.

- Nie mogę. Bierze prysznic.

Tak wcześnie? Po chwili uświadomił sobie, że w dni powszednie chodzi się do pracy. Zapewne szykowała się do wyjścia. Przez chwilę wahał się, czy poprosić o numer telefonu kancelarii, w której była zatrudniona, ale Dixie szybko odłożyła słuchawkę, żeby nie marnować czasu. Teraz liczyła się każda minuta.

Pół godziny później w drzwiach sypialni Juliana stanął Hank. Nerwowa krzątanina brata wyrwała go ze snu.

- Co się dzieje? - spytał tłumiąc ziewanie. Julian wyjaśnił mu wszystko w kilku słowach i zapytał:

- Dlaczego nie lecisz ze mną na Hawaje?

- Bo nie jestem ci tam potrzebny - skłamał gładko Hank. Prawda była taka, że w ostatniej chwili zrezygnował z wyjazdu, bo kochał się w Dixie i dlatego wolał nie patrzeć, jak paradyje z narze-

*Ich czworo 299*

czonym. Dobrze się stało, bo teraz po prostu nie byłby w stanie znieść takiego widoku. Julian z roztargnieniem pokiwał głową.

- Dobra. To zaledwie tydzień.

Zamówił taksówkę i bez przeszkód dotarł na lotnisko. Odetchnął z ulgą, bo Dixie już tam na niego czekała.

Chloe wydzwaniała z pracy do domu, żeby sprawdzić, czy są jakieś wiadomości. Ani słowa od Juliana. Czowała się podle. Jak on mógł? Kochał się z nią tak namiętnie, a potem cisza. Nawet nie zadzwonił. Dlaczego był taki nieczuły? Wypadałoby przynajmniej zostawić kilka miłych słów.

- Jesteś kretynką do kwadratu - wyrzucała sobie. Jak mogła przespać się z narzeczonym siostry!

- Chloe? - Drzwi się uchylily i Toni wsunęła głowę do jej pokoju. - Nie mogę się w tym połapać. Z kim chodzi Julian? Na zdjęciu jesteś ty, lecz w artykule jest mowa o Dixie.

- To ona się z nim zaręczyła - ponuro odparła Chloe.

- Co ty? Przecież mówiłaś...

- Wszystko zmyśliłam. Same kłamstwa. Potrafię łągać jak z nut.

Toni spojrzała na nią z powątpiewaniem i zamknęła drzwi. Gdy Chloe została sama, ogarnęła ją przemożna chęć, żeby kupić wszystkie brukowce i przeczytać każdą plotkę o sobie, lecz na samą myśl o takiej lekturze rozboleła ją głowa, więc

### 300 *Natalie Bishop*

zrezygnowała z tego pomysłu. Miłosny kac coraz mocniej dawał jej się we znaki.

Dixie spacerowała nerwowo po obszernym pokoju. Luksusowy hotel stał nad samym morzem, a z holu wychodziło się prosto na słynną plażę Waikiki. W apartamencie czekał na nią wielki bukiet storczyków. Lot przebiegł spokojnie. Znacznie większe zamieszanie panowało na lotnisku, gdzie zaroilo się od dziennikarzy i paparazzich wypytyjących natrętnie rzekomą parę o wszelkie szczegóły przyszłego ślubu. Julian uśmiechał się szeroko i machał do nich, ale przy pierwszej sposobności umknął do czekającej przed terminalem limuzyny, ciągnąc za sobą Dixie.

Stała teraz przy oknie. Widok był tak piękny, że ze wzruszenia łzy zakreśliły jej się w oczach. Wkrótce policzki miała mokre, a powieki zaczerwienione. Dobrze wiedziała, dlaczego płacze.

Była zaręczona z Julianem, a kochała Hankę, który nie raczył się do niej odezwać.

Ja też do niego nie zadzwoniłam, ale to dlatego, że Julian mnie nie odstępował. Hank powinien znaleźć sposób, żeby ze mną pogadać. Niedawno twierdził, że stałam mu się bardzo bliska, wręcz niezbędna.

Czy te zapewnienia były jedynie cczą gadaniną?

Ciemne okulary to przydatny gadżet. Mają wiele zastosowań. Można się za nimi ukryć. Gdy oczy są czerwone, wystarczy założyć ciemne okulary i już

*Ich czworo 301*

nie widać szpetnego defektu. Dziś jednak dla Hanka najważniejsze było, żeby nie rozpoznano w nim brata słynnego Juliana. Czarne okulary zapewniły mu bezpieczne incognito podczas lotu do Honolulu. Nie miał pojęcia, co go podkusiło, żeby się tam wybrać. Miał inne plany, lecz nagle poczuł, że powinien tam być. Teraz stał w drzwiach terminalu, nie wiedząc, co dalej robić. W głębi ducha liczył na to, że niebiosy dadzą mu jakiś znak.

- Przepraszam - usłyszał opryskliwy kobiecy głos. Jakaś turystka usiłowała go minąć. Zsunął okulary na czubek nosa i zmierzył ją kpiącym spojrzeniem.

- Chloe?

- Omal nie zemdląłem, gdy zawołał ją po imieniu.

- Hank? - rzuciła niepewnie i przyjrzała mu się z uwagą.

- Co ty tutaj robisz? - zapytali jednocześnie i wybuchnęli śmiechem.

- Gdzie siedziałas? Nie widziałam cię podczas lotu.

- W klasie turystycznej.

- A ja w pierwszej. Zateśniłaś za siostrą?

- Owszem. A ty za bratem?

- Jasne.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Czy Dixie wie, że dzień po niej przyleciałaś na Hawaje? - zapytał Hank.

Mruknęła przecząco i zaczęła wypytywać, czy zawiadomił Juliana o swoim przyjeździe. Zaprzeczył ruchem głowy.

### 302 *Natalie Bishop*

- Zarezerwowałam pokój w sąsiedztwie hotelu, gdzie oboje się zatrzymali - powiedziała Chloe, zabawnie marszcząc nos. - Nie chcę mieszkać tam, gdzie oni.

- Dlaczego?

- Po prostu nie chcę i już.

- Weźmy taksówkę. Nie mam rezerwacji, więc sprawdzę, czy w twoim hotelu są wolne pokoje.

- Nie chcesz, żeby Julian cię zobaczył?

- Cholera jasna! Sam nie wiem, czego chcę - odparł, wzdychając ciężko.

- Ja również.

Gdy wsiadali do taksówki, oboje uśmiechali się szeroko. Uścisnęli sobie ręce niczym wspólnicy, którzy planują wielki skok.

Pierwszy dzień zdjęciowy dobiegł końca. Dixie przekonała się, że filmowanie w plenerze, szczególnie w tropikalnej dżungli, to prawdziwa harówka. Chimeryczny i opryskliwy Julian wszystkim zalał za skórę. Ludzie z ekipy mówili pobłaźliwie, że coś mu chyba leży na wątrobie, ale Dixie mocno dał się we znaki. O siódmej wieczorem skończyli pracę,

o dziewiątej byli w hotelu. Dixie wzięła odświeżający prysznic i założyła wzorzysty niebieski sarong. Marzył jej się wieczorny spacer po plaży. Gdy poczuła pod stopami ciepły piasek, zdjęła sandały i poszła wzdłuż brzegu. Z daleka widziała bar urządzony w wielkim namiocie rozbitym na skrawku wybrzeża należącym do sąsiedniego hotelu. Gdy weszła do środka, barman, który wyglądał na

*Ich czworo 303*

rdzennego mieszkańca Hawajów, uśmiechnął się promiennie.

- Aloha, ślicznotko. Co podać?

Nie odpowiedziała, bo w tej samej chwili spostrzegła po drugiej stronie baru znajomą postać w hawajskiej koszuli. To przecież Hank! Zaskoczona i uradowana spojrzała machinalnie na siedzącą obok niego dziewczynę.

- Chloe! - krzyknęła, wchodząc w krąg światła. Inni goście odwrócili głowy, obserwując ich z jawną ciekawością.

- Cześć, siostrzyczko! - Chloe wolno podeszła do niej, machając ręką jak szmaciana lalka. Przeciągała sylaby, jakby była mocno wstawiona. - Miałam nadzieję, że przyjdiesz tu dziś wieczorem.

- Upiłaś się - rzuciła oskarżycielskim tonem Dixie.

- *Moi?* - odparła po francusku urażona Chloe i położyła rękę na sercu. - Przysięgłam wczoraj, że nie tknę alkoholu, ale Hank namówił mnie, żebym sobie gołnęła. Wiesz? On potrafi znaleźć skuteczne argumenty.

- Aha. Wiem coś o tym - mruknęła Dixie.

- Pyszny drinio - oznajmiła Chloe. - Co w nim jest?

- Rum... i coś tam jeszcze - odparł Hank. - Napijesz się z nami, Dixie? Alkohol pomaga na smutki. Od razu chce się żyć.

Odwrócił się do barmana, a Chloe radośnie pokiwała głową. Dixie miała ochotę zdemolować bar. Tamci dwoje byli w doskonałej komitywie.



### 304 *Natalie Bishop*

- Nie chce mi się z wami pić. Najchętniej odeszłaby bez pożegnania, ale

Hank chwycił ją za rękę. Szarpnęła się i wyrwała rękę z jego uścisku.

- Nie dotykaj mnie! Idź do Britty... albo do Chloe! Mnie to obojętne. Kiedy następnym razem zechcesz pić szampana na plaży, znajdź sobie inne towarzystwo!

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Chloe.

- Dixie, z twoją siostrą nic mnie nie łączy - obruszył się Hank.

- No pewnie! - wtrąciła Chloe.

- Przez ciebie wyszłam na idiotkę - powiedziała Dixie zdławionym głosem. Miała dość upokorzeń, więc odwróciła się gwałtownie... i wpadła na wielkiego jak góra Juliana, który chwycił ją za ramiona, chroniąc przed upadkiem.

Miał za sobą fatalny dzień. Na planie filmowym zamiast przekonująco zagrać Tarzana miotał się jak nawiedzony i paprał kolejne ujęcia.

Wszystko przez Chloe. Kochał ją, zapewne od pierwszego wejrzenia. Skradła mu serce. Wystarczyło, że spojrzała chłodnymi, szarymi oczyma i rzuciła kpiącą uwagę. Działała wszystkim na nerwy, ale miała dobre serce. Cóż to za ironia losu, że poznał dziewczynę swego życia, kiedy z rozsądku zaręczył się z jej siostrą!

Po powrocie do hotelu wziął prysznic, wypił szklankę soku z ananasów, pogadał ze swoim odbiciem w lustrze i zapukał do drzwi, które oddzielały jego pokój od sypialni Dixie, żeby ją

*Ich czworo 305*

przeprosić za wszystkie problemy, których przysporzył dzisiaj na planie filmowym. Nie zastał nikogo, więc zszedł do holu, a potem dalej, na plażę. Gdy zbliżył się do baru w otwartym namiocie, niespodziewanie ujrzał Chloe. I Hanka.

Obok stała zapłakana Dixie. Chwycił ją za ramię, bo najwyraźniej zamierzała uciec.

- Co się tutaj dzieje?

- Nieważne. Puść mnie. Chcę stąd wyjść - szepnęła okropnie zdenerwowana.

- Poczekaj. - Julian westchnął głęboko. Uznał, że pora wyjaśnić sytuację. - Chciałbym wytłumaczyć wam wszystkim, dlaczego byłem ostatnio taki poirytowany. Od pewnego czasu mam poważny problem. Muszę zerwać zaręczyny - wyrzucił z siebie pośpiesznie. Dixie podniosła głowę i spojrzała na niego z jawnym niedowierzaniem. Popatrzył jej w oczy. - Wiem, że nalegałem, abyśmy je ogłosili, i dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale byłbym wobec ciebie nie w porządku, gdybym to ciągnął, bo... bo... - Popatrzył na Chloe. - Zakochałem się w twojej siostrze.

Hank i Chloe oniemieli, wpatrując się w niego z otwartymi ustami. Zerknął na zbitą z tropu Dixie.

- Mówisz serio? - wykrztusiła zduszonym głosem.

- Oczywiście. - Znow popatrzył na Chloe z ogromną czułością. Można by się zastanawiać, co w niej widzi, bo miała teraz strasznie głupią minę.

- Przepraszam, że tak nagle zmieniam umowę - usprawiedliwił się, spoglądając na Dixie prze-

306 *Natalie Bishop*

praszająco. - Jesteś fantastyczną dziewczyną i niewiele ci brakuje do absolutnej doskonałości. Znakomicie poradziłaś sobie ze swoją rolą. Byłaś świetna. Rzecz jasna, zamierzam ci nadal pomagać. Wystarczy, że powiesz, co mam zrobić, a postaram się, aby wszystko ułożyło się po twojej myśli. Dzięki mojej protekcji otworzą się przed tobą wszystkie drzwi, lecz jeśli mam być szczery, sędzę, że i tak zrobiłabyś karierę. Ludzie z naszej branży już się na tobie poznali. Masz wielki talent, więc daleko zajdziesz. Kiedyś będę się chwalić, że pomogłem ci, gdy...

- Co ty wygadujesz? - wpadł mu w słowo kompletnie zdezorientowany Hank. Stał na szeroko rozstawionych nogach, jakby szykował się do walki na pięści.

- Zaczynałaś - dokończył Julian i zmarszczył brwi. - Co jest grane? - spytał.

- Idź do diabła! - warknął Hank.

Po raz pierwszy w życiu miał wielką ochotę przyłożyć starszemu bratu i zdefasonować mu ślicznego buziaka. Jak śmiał tak haniebnie postąpić z Dixie! Biedactwo, nie zasłużyła sobie na podobne traktowanie. Hank poczuł ulgę, gdy pojął, że brat nie kocha już Dixie, a zarazem czuł nagłą potrzebę, aby do ostatniego tchu bronić jej honoru i dobrego imienia.

Dixie po jego minie poznała, na co się zanoszą.

- Hank! - krzyknęła ostrzegawczym tonem. Zapadła grobowa cisza. Chloe dopiero teraz ochłonęła po doznanym wstrząsie i doszła do siebie

*Ich czworo 307*

na tyle, aby zrozumieć, że Julian właśnie rzucił Dixie.

- Wiedziałam, że tak będzie - oznajmiła gniewnie. - Od samego początku. - Popatrzyła na Hanka. - A ty co? Chcesz mu przylać? Śmiało! Tchórz cię obleciał? - Dała mu kuksańca, odepchnęła z całej siły i stanęła twarzą w twarz z Julianem. - Ależ z ciebie egoista! Jesteś obrzydliwym zarozumiałcem, wiesz? Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że wolno ci zmieniać kobiety jak rękawiczki? Że każda przybiegnie na twoje skinienie? Dixie jest tysiąc razy więcej warta niż ty! Co ja mówię? Milion razy! Wcale się nie dziwię, że tak wyszło. Nie miałam nigdy zaufania do przystojnych facetów. Wszyscy jesteście tacy sami, choć przez moment uważałam cię za wyjątek. Myliłam się! - Zamilkła, próbując zapomnieć, że przed chwilą Julian wyznał jej miłość, co rzecz jasna nie miało teraz żadnego znaczenia.

- Chloe, posłuchaj... - Dixie dotknęła dłonią czoła.

Miała wrażenie, że głowa jej pęknie od nadmiaru faktów. Gadanina Chloe działała jej na nerwy.

Starsza siostra nagle wytrzeźwiała i mówiła teraz nadzwyczaj dobitnie, wyrzucając słowa z szybkością karabinu maszynowego.

- Więcej ci powiem - ciągnęła Chloe jak w natchnieniu. - Do kobiet należy odnosić się z szacunkiem. Nie wolno nimi pomiatać. I jeszcze jedno. Przystojny mężczyzna to kosztowna zabawka. To się nie opłaca! Za duży nacisk na wygląd

308 *Natalie Bishop*

zewnątrzny, zbyt ubogie wnętrze. Ty również jesteś do niczego - dodała, spoglądając na Hankę, który stał na rozstawionych nogach. - Na miłość boską! Zdecyduj się, człowieku! Walnij go albo przestań się wygłupiać. Szczerze mówiąc, wątpię, żebyś się na to zdobył. Śliczna buzia kochanego braciszka to cały twój kapitał.

Hank sprowokowany drwiącymi uwagami Chloe nie był w stanie dłużej panować nad złością.

- Odczep się! - warknął. - Mam do pogadania z bratem.
- Proszę bardzo. - Chloe uniosła ręce i odsunęła się na bok.
- Inaczej mówiłaś, kiedy się kochaliśmy.

Zaskoczony Hank przez moment wodził spojrzeniem po ich twarzach, ale wściekłość była silniejsza niż zaciekawienie.

Rzucił się na Juliana, a jego pięść wylądowała na szczęce brata, który upadł na piasek. Mocny kopniak dopełnił zemsty.

Julian jak przez mgłę słyszał, że wystraszone dziewczyny zaczęły nagle wrzeszczeć na Hankę. Zwinął się w kłębek, żeby przeczekać atak bólu.

- Spałaś z Julianem? - spytała Dixie, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co przed chwilą usłyszała.
- Tak wyszło... - wyjąkała Chloe.
- Naprawdę poszłaś z nim do łóżka?
- Przynajmniej wiadomo, że nie jest gejem - mruknęła Chloe i roześmiała się nerwowo.

Julian usiadł na piasku.

*Ich czworo 309*

- Kto mnie uważa za geja? - zapytał.
  - To plotki. - Chloe lekceważąco machnęła ręką.
  - Chciałaś to sprawdzić? Dlatego przespałaś się ze mną?
  - Zwariowałaś? - zachnęła się, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.
  - Muszę wiedzieć, czemu poszłaś ze mną do łóżka.
  - Dobra. Karty na stół! Pogadajmy szczerze - odezwała się nagle Dixie. - Zacznę od siebie. Spałam z Hankiem, bo go kocham.
- Tym śmiałym stwierdzeniem udało jej się zwrócić na siebie uwagę pozostałej trójki. Chloe, Julian i Hank gapili się na nią, jakby chcieli cofnąć taśmę i zobaczyć ostatnią scenę jeszcze raz i sprawdzić, czy się nie przesłyszeli. Julian wstał z trudem, kpiąco uniósł brew i wyciągnął rękę do Hanka.
- Kochałaś się z Dixie i to jest w porządku, tak? A mnie chciałaś stłuc na kwaśne jabłko, ponieważ miałem Chloe.
  - To dwie różne sprawy - mruknął Hank. Kiedy usłyszał wyznanie Dixie, zrobiło mu się ciepło na sercu. Wciąż nie mógł ochłonąć. Kochała go! Właśnie on, Hank Ashby, zdobył jej serce. Bracia długo patrzyli sobie w oczy. Na obu twarzach z wolna pojawił się uśmiech.
  - Ty draniu - powiedział do Juliana rozpromieniony Hank.
  - Sam jesteś kawał drania - odciął się jego brat i lekko uderzył go pięścią w tors.

### 310 *Natalie Bishop*

Dixie z wrażenia miała sucho w ustach. Wyznała, co czuje, ale nie była pewna, czy kocha z wzajemnością.

Chloe stała nieco z boku. Marzyła, by ziemia rozstała się i pochłonęła ją natychmiast. Nie mogła uwierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę. To chyba jakaś zwariowana komedia romantyczna.

Julian podszedł i objął ją ramieniem.

- Nie trzymaj mnie w niepewności - szepnęła, tuląc policzek do kędzierzawych włosów.

- Sama nie wiem, co powiedzieć - westchnęła.

- Że mnie kochasz. - Uniósł jej twarz i popatrzył w szare oczy. Ciepła, tropikalna noc zamknęła się wokół nich.

- Co za tupet! - szepnęła. - A jeśli powiem, że nie?

- Mów, co chcesz. I tak znam prawdę. Dixie jak urzeczona wpatrywała się w tamtych dwoje. Wcale nie była zdziwiona. Jasna sprawa; od początku mieli się ku sobie. Powinna to zauważyć. Wielką niewiadomą był dla niej stan uczuć Hanka. Z każdą sekundą wątpliwości dręczyły ją coraz bardziej! Co za męka! Ból nie do zniesienia! Hank podszedł bliżej.

- Dixie... - usłyszała jego głos.

- Wiedziałaś o nich? - wpadła mu w słowo, jakby obawiała się tego, co miał jej do powiedzenia. - Mogłam się domyślić. Chloe była ostatnio bardzo dziwna. Nie dało się z nią wytrzymać.

- Wszystko słyszałam! - oznajmiła pogodnie Chloe, zerkając na nią ponad ramieniem ukochane-

*Ich czworo 311*

go, który objął ją mocniej i przyciągnął do siebie, nie pozwalając odejść. Była w siódmym niebie. Przymknęła oczy, marząc, żeby wziął ją na ręce i zaniósł do baśniowego raju kochanków.

- A ja myślałam, że dla ciebie, siostrzyczko, najważniejsze są krzyżówki oraz inne intelektualne wyzwania - odcięła się Dixie. - I po co było tak psioczyć na przystojnych facetów? Gadałaś bzdury, tyle ci powiem.

- Zapamiętam sobie twoją tyradę - ostrzegła Chloe. Julian uciszył ją pocałunkiem.

Dixie zamilkła, obserwując ich sylwetki widoczne na tle granatowego nieba. Zbierało jej się na płacz. Nagle poczuła, że stojący z tyłu Hank obejmuje ją w talii i mocno tuli do piersi.

- Oboje wiemy, że łączy nas głębokie uczucie i dlatego postanowiliśmy się kochać, ale cieszę się, że usłyszałem od ciebie szczere wyznanie. Kocham cię, Dixie.

Wszystkie obawy rozwiały się jak poranna mgła. Hank obrócił ją i pocałował w usta. Zapomnieli o całym świecie.

- Kto twierdził, że jestem gejem? - spytał nagle Julian.

Wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem.

Cztery miesiące później cała czwórka siedziała w ulubionej kawiarni. Zaaferowana Chloe pochyliła się nad stroną „New York Timesa” i przygryzła dolną wargę. Rozwiązywała krzyżówkę z mottem, pierwszy raz opublikowaną w tej gazecie.



### 312 *Natalie Bishop*

- Nie pomagaj mi! - mruknęła do Juliana, który próbował wpisać jedno z brakujących haseł.

Hank całował szyję Dixie, nie zważając na drobne utarczki brata i jego ukochanej.

- Podobasz mi się cała, ale twoja szyjka to absolutne чудо - szepnął.

- Przestań! Ludzie patrzą.

- Mówiłam, żebyś mi nie pomagał. - Chloe rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Julianowi, który wyraźnie się niecierpliwił.

- Przecież siedzę cicho - mruknął z kpiącym uśmiechem. - Strasznie wolno ci to idzie - dodał, głaszcząc jej kolano.

- Bo mnie rozpraszasz.

Hank i Julian wymienili porozumiewawcze spojrzenia, nie zwracając uwagi na innych gości, którzy ukradkiem obserwowali dwie słynne pary.

Kiedy wyszło na jaw, kto jest z kim i dlaczego, pisały o tym wszystkie gazety. Sezon ogórkowy upłynął pod znakiem podwójnego romansu. Zakochanym parom szybko zubożyła ta dociekliwość. Wszyscy czworo traktowali zainteresowanie gapiów i dziennikarzy jako drobną uciążliwość, która nie może zmać doskonałego szczęścia.

Los im sprzyjał. Julian kontynuował z powodzeniem kampanię reklamową „Tarzana”, Dixie znów grała w serialu „Rodzina Harringtonów”. Okazało się, że widzowie zapamiętali ją z poprzednich odcinków i cieszyli się z powrotu lubianej aktorki.

Dla gwiazd ekranu oraz ich ukochanych nad-

szedł wreszcie czas wspólnego świętowania. Właśnie dlatego postanowili tego dnia zajrzeć do paru ulubionych lokali.

Dixie wyciągnęła szyję i zajrzała do krzyżówki rozwiązywanej przez siostrę.

- Masz już motto? - Po chwili namysłu dodała uradowana: - Ależ to proste! „Wyjdź za mnie”. Dobrze mówię?

- Zgadza się - odparła pobłażliwie Chloe, Ach, ci początkujący! Marzy im się łatwy sukces. - Ale to nie koniec. W pierwszym wersie brak ostatniego słowa na pięć liter. Nie mam też drugiej linijki.

- Pochyliła się nad krzyżówką, wpisując kolejne hasła. Julian rozparł się wygodnie na krześle.

- Motto brzmi: „Wyjdź za mnie, Chloe” - odpowiedział.

- Skąd wiesz? - zaperzyła się. - Nie znasz jeszcze wszystkich haseł.

Podniosła głowę i napotkała rozbawione spojrzenia pozostałej trójki.

- Co się tak na mnie gapicie? Pomazałam sobie nos długopisem? - Nagle uświadomiła sobie, kogo dotyczy motto i jaką zawiera prośbę. - O... Boże!

- westchnęła. - Ale jak...

- Julian to Julian. Ma swoje dojścia.

- Niemożliwe! - Zarumieniona pochyliła się nad krzyżówką i błyskawicznie sprawdziła hasła.

- Czekam na odpowiedź - przypomniał Julian, a jego ukochana energicznie pokiwała głową i szybko wpisała drugą część motta: „PS Dixie wychodzi za Hanka”.

314 *Natalie Bishop*

Uszczęśliwione panny Kingston popatrzyły na siebie z uśmiechem.

Wkrótce nadszedł dzień podwójnego ślubu. Przygotowania trzymano w tajemnicy, żeby wiadomość nie przeniknęła do prasy, w której i tak pełno było spekulacji dotyczących małżeńskich planów dwu par. Dziennikarze jakoś wywęszyli, kiedy ma się odbyć ceremonia, lecz daremnie usiłowali dojść, kto i gdzie udzieli ślubu.

- Nie przyjdzie im do głowy, że zamierzamy pobrać się tutaj - powiedziała Chloe, spacerując nerwowo po pokoju. Obie siostry włożyły identyczne krótkie sukienki z koronki i lnu.

- Wątpię, żeby na to wpadli - przytaknął Julian, wbrew swoim obyczajom zapięty pod samą szyję.

- Założysz się? - spytała Dixie, zerkając przez szparę między zasłonami. Po plaży snuło się kilku mężczyzn z wypchanymi torbami. - Paparazzi obserwują dom. Mają teleobiektywy.

- Wszystko się wyda, gdy przyjedzie pastor! - jęknął Hank.

- O nie! - Chloe pokręciła głową. - Przyjedzie tu incognito.

Dziesięć minut później na ulicy biegnącej wzdłuż plaży pojawił się niepozorny jegomość na rowerze. Minął facetów z torbami, skręcił w przecznicę, zatrzymał się przy skrajnym budynku i oparł rower o ścianę. Wszedł do klatki schodowej, w której znajdowało się mieszkanie Hanka, i starannie

315

zamknął za sobą ciężkie drzwi. Po chwili wkroczył do salonu, gdzie czekali nowożeńcy.

- Nasz ojczulek doskonale się prezentuje w tym stroju. - Hank uśmiechnął się do duchownego, który miał na sobie hawajską koszulę i luźne białe spodnie. Dixie zaprowadziła go do sypialni, gdzie czekało przeszmuglowane wcześniej odpowiednie ubranie.

Gdy przebrał się i wrócił do salonu, stanęły przed nim dwie pary: panny młode w bieli, z bukietami storczyków i wiankami na głowach oraz panowie w smokingach.

Dixie Kingston poślubiła Hanka Ashby'ego. Julian Ashby ożenił się z Chloe Kingston.

A potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

*Thomas Kate*

*Mąż idealny*

*Melinda Burke, młoda lekarka, jest tak zapracowana, że pilnie potrzebuje kogoś, kto zaprowadziłby porządek w jej domu. Tymczasem Jack Halloran, makler giełdowy, chce odejść z pracy i szuka nowego zajęcia. Szybko się okaże, że są dla siebie stworzeni...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy dwoje przyjaciół wychynęło nareszcie zza obłoków tiulu oraz szpaleru smokingów, serdeczne uśmiechy zniknęły z ich twarzy równie szybko, jak nadzieje ekologów, że zdrowa żywność wyprze pokarmowe śmieci.

- Zajmij się żarciem - rzuciła rudowłosa Sherry. -Ja zdobędę szampana. Spotkamy się przy naszym ulubionym stoliku.

- Tak jest. - Jack Halloran zasalutował żartobliwie, spoglądając na nią z góry, ponieważ był znacznie wyższy. Pomaszerował w stronę bufetu. Dwoje przyjaciół znających się od przedszkola poszło każde w swoją stronę, aby wypełnić misję. Każde z równą skutecznością torowało sobie drogę w zatłoczonej sali wypełnionej gośćmi. Na widok

320 *Kate Thomas*

nieznajomych przywoływali na twarz lukrowane uśmiechy. Nieco ciepłej witali znajomych z pracy.

Dziesięć minut później Jack energicznie postawił na stoliku w rogu sali dwa talerze z miniaturowymi kanapkami oraz mnóstwem wymyślnych koreczków. Opadł na krzesło stojące pod ścianą.

- Rany, to nie goście weselni tylko zwykły motłoch! Nie dałem rady dopchać się do mis z krewetkami i truskawkami. Co za ludzie! Można by pomyśleć, że od miesiący nie dojadają.

Sherry, odpowiedzialna za zdobycie szampana, podsunęła mu kieliszek na wysokiej, smukłej nóżce.

- Każdemu szajba odbija, gdy może się nażreć i napić za darmo. Oby tylko Debora zadbała, żeby nie zabrakło alkoholu.

- Będzie dobrze, staruszek. - Jack uspokoił kumpelkę, z którą przyjaźnił się od trzeciej klasy podstawówki. - Jej teść ma hurtownię napojów wysokowych.

- A więc zdrowie teścia.

Po spełnieniu toastu zapadła cisza, ponieważ oboje rzucili się na pyszne koreczki. Minęło dobre kilka minut, nim Sherry podniosła wzrok znad talerza i przyjrzała się szalejącym na parkiecie nowożeńcom.

- Wypisz, wymaluj Ginger i Fred - oznajmiła, spoglądając na przyjaciela.

- Coś taki ponury? Można by pomyśleć, że to stypa, nie wesele.

Odstraszasz ludzi.

- Wybacz. - Posepny Jack jeszcze bardziej spochmurniał. - Na przyszłość postaram się być

### *Mąż idealny 321*

weselszy. - Ironiczny ton zniechęcał do kolejnych uwag na ten temat.

Sherry rzuciła koledze ostrzegawcze spojrzenie i wstała.

- Masz ochotę na drugi kieliszek szampana? Kiwnął głową, a potem dodał półgłosem, jakby

miał nadzieję, że rosnący gwar zagłuszy jego słowa i ciężkie westchnienia:

- Najbardziej chciałbym...

Sherry machnęła ręką na szampana i natychmiast usiadła. Zerknęła na tłum gości weselnych, jakby chciała upewnić się, że nikt nie zwraca uwagi na dwoje starych kumpli, i z jawną serdecznością poklepała dłoń Jacka.

- Wiedziałam, że coś ci leży na wątrobie! Od kilku tygodni jesteś nie do życia. Gadaj wreszcie, Halloran. Czego ci potrzeba?

Po chwili wahania Jack wyrzucił z siebie straszliwą tajemnicę.

- Tego samego, co Deborze. Ślubu. Chciałbym rzucić pracę i siedzieć w domu.

- Nie mówisz poważnie! - Sherry wybałuszyła oczy. - Odbiło ci?

- Tylko nie zrozum mnie źle, staruszko - dodał. - Wcale nie marzę o dozgonnej miłości, która robi z człowieka szaleńca.

Nagrodą za jego szczerą było energiczne skinienie głową. Starzy kumple nie ufali gwałtownym porywom serca.

- Odkąd mój szwagier zmarł na raka, ciągle zastanawiam się nad swoim życiem - ciągnął Jack.



322 *Kate Thomas*

- Jak to? - Sherry była kompletnie zbita z tropu.

- Tak to. Chciałbym coś z niego mieć - odparł z irytacją. - Czuję się wypalony. Znudziła mi się harówka po dwanaście godzin na dobę. Chciałbym po południu iść do kina i częściej jeść smaczne, domowe potrawy, zamiast w kółko odgrzewać gotowe dania w mikrofali.

- Każdy ma takie pragnienia, ale to mrzonki - odparła stanowczo Sherry, jak zwykle wchodząc w rolę adwokata diabła. - Przyjmij wreszcie do wiadomości, kolego, że musimy tyrać, bo trzeba płacić te cholerne rachunki.

Jack puścił mimo uszu kąśliwą uwagę.

- Wiesz co? Chciałbym otworzyć firmę doradczą, pracować na własną rękę, samemu ustalać godziny, a przede wszystkim pomagać zwykłym ludziom, ale żeby urzeczywistnić te plany, muszę uzyskać dodatkowe uprawnienia. Część kursów już ukończyłem, ale przede mną egzaminy z przedmiotów, które nie są moją najmocniejszą stroną. Mówię o prawie kredytowym i ubezpieczeniowym. Gdybym został kurą domową, miałbym dużo czasu na naukę i na pewno zdałbym egzaminy przy pierwszym podejściu.

- No, ale.... - Sherry zająknęła się i bezradnie pokręciła głową. - Nie możesz tak po prostu ożenić się i zrezygnować z pracy.

- Niby dlaczego? - Ostre dźwięki modnych przebojów omal nie zagłuszyły jego słów.

- Bo... jesteś maklerem giełdowym!

- Debora też! - prychnął Jack. - Skoro zdecydowała się na małżeństwo i odejście z firmy, dlaczego mnie nie wolno tego zrobić?

- Bo ona w przeciwieństwie do ciebie świetnie nadaje się na niepracującą żonę. Kura domowa ma gotować i sprzątać. Co ty wiesz o gotowaniu?

- Niewiele, podobnie jak Debora.

- Fakt. Biedactwo nie potrafi nawet odgrzać pizzy. Miesiąc temu rozwaliła mikrofalę w biurowej kuchence, pamiętasz?
- Zgadza się. - Jack uniósł palec i spytał mentorskim tonem: - Skoro Dobra może siedzieć w domu, chociaż ma dwie lewe ręce, dlaczego mnie odmawia się tego prawa?
- Bo nie wyglądasz na kurę domową i już. Poza tym mało jest kobiet z klasą gotowych uwikłać się w małżeństwo z rozsądku. Dziewczyny wolą robić karierę, nie mają czasu na takie sprawy.
- Nie tracę nadziei, że znajdzie się jedna gotowa stanąć na ślubnym kobiercu - odparł z przekąsem.
- Jensen znalazł ci za skórę, prawda? - Sherry nagle zmieniła temat i dodała, nie czekając na odpowiedź: - Przenieś się do Richardsona. Jack pokręcił głową. Rzeczywiście miał szefa kretyna, ale nie w tym rzecz. Sherry Downe, jego najlepsza przyjaciółka oraz koleżanka z pracy, zachowała entuzjazm, który ożywiał ich oboje, gdy zaczęli pracować w firmie Loeb & Weinstein. Z Jackiem było inaczej. Czuł się wypalony jak Afryka Środkowa po dziesięcioletniej suszy. Każdego dnia toczył ze sobą walkę i zbierał siły, żeby udawać zainteresowanie pracą.

324 *Kate Thomas*

- Weź urlop - poradziła Sherry. - Ross i Kilmer za tydzień jadą łowić ryby w górskich strumieniach. Przyłącz się do nich.

- Nie ma mowy! - Przemknęło mu przez myśl, że po tygodniu spędzonym z korporacyjnymi maniakami opętanymi żądzą zysku wylądowałby w domu wariatów. - Wiem, czego mi trzeba: wolnego czasu na spokojne przestudiowanie wszelkich niuansów prawa kredytowego, ubezpieczeniowego i podatkowego.

Mówił szczerze. Egzaminy dające uprawnienia niezbędne do założenia firmy konsultingowej obejmowały mnóstwo zagadnień i wymagały znakomitego przygotowania. Żadne z wyzwań, które stawiano mu w czasie dziesięcioletniej kariery maklera, nie mogło się z nimi równać.

- Weź urlop. Przez dwa tygodnie opalaj się przy basenie w twoim osiedlu i zakuwaj.

- Potrzebuję więcej czasu - odparł.

Do przeczytania i opanowania miał tysiące stron, a co ważniejsze, musiał przemyśleć wiele spraw, zastanowić się nad swoją przyszłością i zdecydować, co pragnie w życiu robić. Najwyższy czas, by znaleźć takie zajęcie, które będzie go ciekawić i absorbować, a nie męczyć.

- W takim razie złóż rezygnację. Masz oszczędności, prawda?

- Na długo nie wystarczą. Poza tym... Pamiętasz naszą wspaniałą wyprawę na narty sprzed dwóch lat?

Zdziwiona Sherry kiwnęła głową.

*Mąż idealny 325*

- A pewien... drobny problem, który wyniknął drugiego dnia?

- Jasne. Miałeś bliskie spotkanie trzeciego stopnia z dużą sosną.

Zdegustowany Jack rzucił jej karcące spojrzenie.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Problem w tym, że po wypadku moja składka ubezpieczeniowa dramatycznie wzrosła. Jestem pacjentem wysokiego ryzyka.

- Dlaczego? Przecież cię poskładali, a kręgosłup ci nie dokucza. Znowu biegasz, i to na długich dystansach.

- Dla ubezpieczyciela to bez znaczenia. Zdarzył mi się poważny wypadek, więc podpadłem i już. Jako osoba samotna muszę mieć bardzo wysokie zarobki, żeby zachować korzystną polisę. W przeciwnym razie przyjdzie mi bulić straszłą kasę, a przecież muszę być zabezpieczony na wypadek, gdyby zdrowie mi się posypało, co przy naszym trybie życia jest wielce prawdopodobne. - Zirytowany przegarnął dłonią włosy. - Niech to diabli! Jeśli odejdę z firmy, nie będzie mnie stać na zapłacenie składki, a gdybym zdecydował się na zawieszenie polisy, żadne towarzystwo nie ubezpieczy mnie potem na równie korzystnych warunkach. Nie mają takiego obowiązku. Wiem, bo sprawdziłem. Po co im ryzykowny klient? Z tego wniosek, że najlepiej byłoby, gdybym za przykładem Debory dobrze się wydał, bo dzięki ślubowi zgodnie z prawem podczepiłbym się pod ubezpieczenie żony. - Jack na moment zacisnął usta.

326 *Kate Thomas*

- Debora może zwać w małżeństwo, a ja nie? Ciekawe dlaczego? Bo jestem facetem? To jawna dyskryminacja!

Sherry w geście poddania uniosła ręce do góry, wstała i obciągnęła sukienkę.

- Dobra, Halloran, wyluzuj. Znam ten ton. Mam dość twoich kazań, więc zamknij się, jeśli łaska. Idę po szampana - dodała. - Jeśli trafię na kobietę szukającą kury domowej i gotową zaakceptować w tej roli pewnego niezdare, który nie ma pojęcia o prowadzeniu domu, natychmiast dam jej twój numer.

Jack zmiotł z talerza jedyną ocalałą kanapkę.

- Trzymam cię za słowo, Sherry. - Pomachał jej wykałaczką. Tylko tyle zostało z ostatniego koreczka. - Niech mi nikt nie wmawia, że Debora lepiej ode mnie nadaje się na kurę domową. Ja przynajmniej umiem prażyć kukurydzę w mikrofalach - odciął się.

Gdy Sherry odeszła, popatrzył na tłum gości. Ile wesel zaliczyli w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Pięćdziesiąt? Sto? Dwieście?

- Mam tego dosyć - mruknął, bębniąc palcami po stole. Nie chodziło mu wyłącznie o nudne imprezy.

Skończył trzydzieści jeden lat, a czuł się jak dziewięćdziesięciolatek: znękanym życiem, kompletnie wypalony.

Od miesięcy wciąż marzył, by uciec ze świata wielkich korporacji obracających gigantycznymi funduszami. To samo pragnienie zdradzała część jego kolegów. Zorientował się, że były tylko dwie

### *Mąż idealny 327*

drogi pozwalające skutecznie wycofać się z wyścigu szczurów i uchronić się przed obłędem: założenie własnej firmy albo ślub z tak zwaną dobrą partią i rezygnacja z pracy. Uważano powszechnie, że ten drugi sposób zarezerwowany jest tylko dla pań. Dlaczego jednak Jack Halloran nie miałby pójść drugą drogą, żeby docelowo wkroczyć na tę pierwszą? Bo mężczyźni nie przystoi zajmować się domem? Jack metodycznie zbierał z talerza smaczne okruchy. Przecież to idiotyzm! Gdyby wiódł spokojny żywot niepracującej żony, za jakiś czas bez problemu zdałby wszystkie egzaminy.

Nie zamierzał odwlekać ślubu, aż dopadnie go wielka miłość. Wręcz przeciwnie: bał się jej niczym diabeł święconej wody. Ostatnio zyskał widomy dowód, że ogromne uczucie powoduje tragiczne skutki. Jego szwagier zmarł niespełna rok temu, a siostra imieniem Tess, która kochała go nad życie, nadal nie mogła się pozbierać.

Tak mocno ścisnął wykałaczkę, że pękła. Tess... Również ze względu na nią chciał zmienić styl życia, odejść z firmy i mieć więcej czasu dla siebie. Postanowił wyciągnąć owdowiałą siostrę z psychicznego dołka i skłonić ją, żeby przestała wreszcie przesiadywać w swoim mieszkaniu. Najwyższy czas przeboleć stratę. Zdawał sobie sprawę, że bez jego pomocy Tess nie przestanie nigdy rozpamiętywać przeszłości.

Jako najstarszy z rodzeństwa Halloranów i jedyny zamieszkały w Dallas miał obowiązek ratować siostrę przed cichą rozpaczą.

328 *Kate Thomas*

Znudzony Jack uparł się, żeby wcześniej opuścili przyjęcie. Wsiedli do samochodu Sherry stojącego na dużym parkingu. Właścicielka pojazdu zajęła miejsce pasażera i zdjęła pantofle. Wcześniej umówili się, że dziś prowadzi Jack.

Rozluźnił krawat i odprężył się. Podczas jazdy milczeli. Znali się tak dobrze, że rozmowa nie była konieczna, a cisza ich nie krępowała. Tylko prawdziwi przyjaciele mogą cieszyć się takimi chwilami. Sherry usiadła bokiem na fotelu.

Wpatrzony w jezdnię Jack pytająco uniósł brwi.

- Co jest?

- Chodzi... o posadę kury domowej. Mówiłeś serio?

- Tak, Sherry, choć wiem, jakie jest twoje zdanie na temat małżeństwa - westchnął. Gdyby dorastał w takiej rodzinie jak ona, byłby równie sceptyczny.

Jego zdaniem miłość także stanowiła poważne zagrożenie dla duchowej równowagi człowieka. Poza tym niezbyt go pociągała rola męża w tradycyjnej rodzinie. Facet wypruwa sobie żyły i haruje na okrągło, żeby utrzymać żonę i dzieci, których prawie nie widuje.

Natomiast żona... Ta ma zdecydowanie lepiej, zwłaszcza jeśli nie pracuje. Robotą żadną: sortowanie i czytanie poczty, zakupy i mnóstwo czasu dla siebie.

Zjechał z autostrady i skręcił w ulicę prowadzącą do osiedla Sherry.

- Jestem wykończony, staruszek. Chcę zwolnić

na jakiś czas. Prowadzenie domu z pewnością będzie o wiele mniej stresujące i znacznie przyjemniejsze niż śrubowanie wyników, żeby zadowolić tego kretyna Jensena.

- Uważasz pranie za czysty relaks? - obruszyła się Sherry. - Ścieranie kurzu ma być przyjemnością? Stary, naprawdę ci odbiło!

Jack prychnął wzgardliwie. Proste domowe zajęcia wydawały mu się uroczą zabawą w porównaniu z analizą wskaźników giełdowych i przewidywaniem notowań, ale nie oczekiwał, że Sherry przyjmie do wiadomości jego punkt widzenia. W przeciwieństwie do niego była urodzonym maklerem, a giełdę miała we krwi.

- Zapewniam, że w moim obecnym stanie ducha każde zajęcie byłoby lepsze niż ułatwianie Jugularowi Jansenowi marszu na sam szczyt - upierał się, parkując jej auto na wyznaczonym miejscu. Gdy oboje wysiedli, rzucił kluczyki właścicielce, a potem wsiadł do swego dzipa, który stał tuż obok.

- Masz ochotę pójść jutro ze mną na obiad?

- zapytał, uruchamiając silnik.

- Nie mogę - odparła, wsuwając szpilki pod pachę i szukając w torebce kluczy do mieszkania.

- O dwunastej spotykam się z nową klientką.

- W niedzielę? - Jack pokręcił głową. No, proszę! Kolejna pracoholiczka. O to mu właśnie chodziło!

- Jej ciotka od lat jest moją klientką. Właśnie dała siostrzenicy trochę akcji i kazała jej założyć fundusz celowy, wychodząc ze słusznego założenia,



że o godziwej emeryturze trzeba myśleć przed trzydziestką. Tamta dziewczyna jest strasznie zapracowana, więc tylko w niedzielę ma dla mnie trochę czasu. Obiecała wyrwać się na godzinę ze szpitala. - Sherry uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Będę o tobie pamiętać. Gdyby panna wyglądała na taką, która potrzebuje dobrej żony, czyli jak to mówisz, kury domowej, dam ci na nią namiary.

- Przepraszam... Przepraszam... Dziękuję bardzo.... - machinalnie pomrukiwała Melinda, gdy szła za wyciągniętym jak struna kelnerem. Długo kluczyli wśród niezliczonych stolików przykrytych lnianymi obrusami, idąc w stronę osłoniętych niskimi ściankami miejsc w głębi sali.

Z powodu okularów zsuniętych na koniec nosa dwoiło jej się w oczach, a kelner miał teraz sobowtóra. Jeden z gości tak niefortunnie wyciągnął rękę, że zahaczył o jej lekarski fartuch. Wyskoczyła ze szpitala tak, jak stała. Nim opanowała sytuację, puścił szew i kieszeń się odpruła.

Wszystko jest do kitu, pomyślała z rozpaczą Melinda. Straciłam kontrolę nad własnym życiem. Muszę coś z tym zrobić.

- Znajoma czeka przy stoliku w głębi sali.

- Kelner wskazał odpowiedni kierunek i odszedł.

- Pani Downe? - Melinda wyciągnęła rękę do siedzącej przy stoliku kobiety ubranej stosownie do okoliczności w elegancki kostium. Nie to, co ja, uznała posępnie. Włożyła dziś jedną z sukienek matki, bo wszystkie jej rzeczy były brudne. - Nazywam się Melinda Burke. Przepraszam za spóźnienie. Przywieźli nam trzylatka z poważnym krwotokiem, który musieliśmy natychmiast zatamować.

- Zdrowie pacjentów jest najważniejsze. Finanse mogą poczekać - odparła maklerka. Uścisnęła dłoń Melindy i wskazała wyściełaną ławę po drugiej stronie stołu. - Proszę usiąść. Mówmy sobie po imieniu. Jestem Sherry.

- A ja Melinda, choć w pracy większość kolegów zwraca się do mnie po nazwisku: Burkę. Zupełnie jakbym nie miała imienia - odparła kpiąco lekarka. Pamiętała, żeby się uśmiechnąć, gdy zajmowała miejsce przy stoliku i sięgała po oprawione w skórę menu.

- Zamówiłam obiad - uprzedziła Sherry. - Chyba nie masz nic przeciwko temu.

- Skądże. Dla mnie to samo. - Melinda zwróciła się do kelnera, który dyskretnie stanął przy stoliku. Mruknął coś w rodzaju podziękowania, zabrał menu i zniknął.

Gdy Melinda próbowała usiąść wygodniej przy stoliku, jeszcze bardziej naderwała kieszeń. Po raz kolejny ogarnął ją gniew. Cholerna złośliwość przedmiotów martwych.

Niech to wszyscy diabli! Po raz pierwszy w dorosłym życiu czuła się bezradna wobec rzeczywistości. To wystarczyło, żeby straciła poczucie bezpieczeństwa. Wystarczyło jej dwadzieścia minut, żeby zatamować u dziecka krwotok z arterii, ale nie radziła sobie z codziennością, co doprowadzało ją do szału.

Maklerka siedząca po drugiej stronie stolika podsunęła stos broszur i folderów.

- Jeśli chcesz, możemy najpierw zjeść obiad, a następnie pomówić o twoich akcjach - zaproponowała uprzejmie. - Przyniosłam do przejrzenia trochę materiałów.

Melinda czuła, że podskoczyło jej ciśnienie. Miała łzy w oczach. Nie zdołała ich powstrzymać i wkrótce spływały ciepłymi strugami.

Przyłożyła serwetkę do mokrych policzków.

- Przepraszam - wyjąkała, natychmiast przywołując się do porządku, żeby nie wyjść na idiotkę.

- Ja tylko...

- Wiem! Nienawidzisz sprawozdań finansowych - dokończyła za nią Sherry. - Doskonale to rozumiem.

- Och, nie. Z pewnością są... bardzo zajmujące

- wykrztusiła po chwili Melinda, a Sherry uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- No dobrze, przyznaję, że pewnie bym przy nich zasnęła - odparła Melinda. W tej samej chwili kelner podał przystawki i odszedł, a Melinda dodała z przekąsem: - Oczywiście gdybym znalazła trochę czasu na lekturę.

- Jesteś zbyt zajęta, żeby pomyśleć o swojej przyszłości? - Sherry patrzyła na nią, mrużąc oczy.

- Czasami brak mi czasu, żeby pójść do toalety

- odparła Melinda, odkładając serwetkę i sięgając po widelec. Była tak zmęczona i przygnębiona, że zapomniała o powściągliwości. Zwykle radziła sobie z trudnościami, postępując według uniwersal-

### *Mąż idealny 333*

nej zasady wpajanej chirurgom: Nie marudzić, tylko operować. Ostatnio jednak rzeczywistość ją przerastała. - Na szczęście koło szpitala jest całodobowy supermarket, bo inaczej nie miałabym nawet czystej bielizny - zwierzyła się z przekąsem.

- Brak mi czasu, żeby zrobić pranie. Od miesiąca daremnie próbuję się do tego zabrać. - Zrobiła efektowną pauzę i dodała takim tonem, jakby wyciągnęła asa z rękawa: - Tylko czekam, kiedy straż miejska wlepi mi mandat za skandaliczne zaniedbanie trawnika przed naszym domem! Podczas owej tyrady Sherry odłożyła widelec, oparła łokieć na blacie stolika, a policzek na dłoni. Jak urzeczona wpatrywała się w Melinę. - Mów dalej - poprosiła cicho.

Melinda zdjęła okulary zsuwające się z nosa. Od kilku tygodni nie nosiła szkieł kontaktowych. Była wiecznie niewyspana, a ich wkładanie i zdejmowanie wymagało sporo czasu i uwagi, więc szkoda jej było tych kilku minut, które mogła przeznaczyć na sen. Z naderwanej kieszeni fartucha wyjęła urzędowe pismo.

- Wczoraj wróciłam do domu przed północą. Zabrałam się wreszcie do przeglądania poczty z całego tygodnia. Znalazłam upomnienie z magistratu.

- Założyła okulary. - Piszą, że trawnik przed domem moich rodziców jest tak zaniedbany, że lada chwila będę miała kolegium. Podobno chaszcze to kompromitacja dla całego osiedla.

Sherry uniosła głowę, splotła dłonie i zapytała:

- Co to ma wspólnego z tobą? - zapytała Sherry.

334 *Kate Thomas*

- Rodzice wyjechali do Omanu, a ja u nich mieszkam. Przyrzekłam opiekować się domem i ogrodem - wyjaśniła Melinda. - Tata jest nafi-ciarzem i nadzoruje w Omanie dużą inwestycję.

- Melinda odsunęła talerz z niedojedzoną sałatką i wsunęła palce we włosy. - Daję słowo, próbowałam robić wszystko, co trzeba... Jestem chirurgiem dziecięcym. Dostałam się na staż w najlepszej klinice. Stwierdzenie, że pracujemy na najwyższych obrotach, to eufemizm. Szefem programu jest profesor Bowen, jeden z najwybitniejszych specjalistów w mojej dziedzinie. Bez reszty poświęcił się pracy i od nas oczekuje tego samego. Zawsze marzyłam, żeby pracować w tym zawodzie, więc muszę stanąć na wysokości zadania.

Melinda od dziesiątego roku życia z uporem i determinacją dążyła do wyznaczonego celu, którym była chirurgia dziecięca. Rodzina poniosła ogromną stratę, kiedy braciszek Melindy zmarł na skutek zaniedbań lekarza. Postanowiła uczynić wszystko, żeby inni nie musieli tak cierpieć. Była już bliska osiągnięcia celu.

- Domyślam się, że masz mnóstwo obowiązków

- powiedziała Sherry, przechylając głowę na bok.

- Aż nadto - przyznała Melinda z ponurą miną.

- Do niedawna wynajmowałam niewielkie mieszkanie i jakoś dawałam sobie radę, ale odkąd rodzice wręczyli mi klucze do swojego domu...

Trzysta metrów plus cholerny ogród. A na domiar złego basen. -

Zdegustowana Melinda poprawiła okulary uparcie zsuwające się z nosa. -

Rodzice zawsze popierali wszystkie moje dążenia. Chcieli, żebym została lekarzem. Do tej pory o nic mnie nie prosili. Dopiero teraz... - Znowu

miała łzy w oczach. Nie zdołała ich powstrzymać i z jawną irytacją otarła policzki wierzchem dłoni. - Czuję się, jakbym ich zawiodła, ale... po prostu nie radzę sobie z tym wszystkim!

- Mam rozumieć, że sterty brudów i brak snu to zaledwie wierzchołek góry lodowej? Co jeszcze zaniedbałaś? - zapytała Sherry, pochylając się do przodu

- Strach pomyśleć! - Melinda wysunęła dłoń i zginała palce, wyliczając swoje niedociągnięcia. - Od dwóch miesięcy nie zaglądałam do banku, więc nie mam pojęcia, co się dzieje na koncie. Rośnie stos niezapłaconych rachunków, ponieważ brak mi czasu, żeby się nimi zająć. Wodociągi z powodu braku płatności grożą zakreśnieniem kurka. Na dodatek magistrat wystąpił z pogrózkami. Potrzebuję pomocy, ale nie mam czasu skontaktować się z odpowiednimi fachowcami!

- U rodziców będziesz mieszkać tylko przez jakiś czas, prawda? - upewniła się Sherry.

- Do ich powrotu. Mają wrócić najdalej za pół roku.

Kelner ponownie zmaterializował się przy stoliku, zabrał przystawki, podał zupę i zniknął. Melinda zerknęła na talerz rosółu z makaronem.

- Oddałabym duszę za domowy obiad. A gdyby ktoś zrobił mi pranie, chybabym go ozłociła.

*Kate Thomas*

- Co z odkurzaniem? - zapytała Sherry, uśmiechając się tajemniczo. - Też masz problem?

- Pewnie! Warstwa kurzu jest tak gruba, że można na niej robić notatki. - Melinda sięgnęła po łyżkę. - Powinnam iść na kurs organizacji pracy, żeby lepiej wykorzystywać czas. Albo...

- Wiem, czego ci potrzeba - przerwała Sherry tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Kury domowej. Gospodyni. Znam faceta, który chętnie podejmie się tego zadania.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Melinda uświadomiła sobie, że gapi się na Sherry z otwartymi ustami. W głowie miała kompletny zamęt.

- Rozumiem. Potrzebna mi kura domowa - powtórzyła machinalnie. - To żart, prawda?

- Mówię poważnie - odparła Sherry z pobłażliwym uśmiechem. - Przydałaby ci się gospodarna żonka, jakby wyjęta z telewizyjnych seriali emitowanych w latach pięćdziesiątych, nie sądzisz? Pracowita, skrzętna, cicha. Współczesne dziewczyny już się na to nie piszą, a szkoda, bo dla ciebie takie rozwiązanie byłoby idealne. Kura domowa dbałaby o ciebie i twoje lokum, a ty mogłabyś spokojnie doskonalić się" w zawodzie chirurga.

- Dziewczyny się na to nie piszą, ale znasz



faceta, który chętnie zostanie... moją żoną, tak? - spytała ironicznie Melinda.

- Owszem. Przyjaźnię się z nim od trzeciej klasy podstawówki.

No, no... Kusząca propozycja, pomyślała Melinda. Szybkie i skuteczne rozwiązanie wszystkich problemów.

- Co z wynagrodzeniem? - spytała rzeczowo.

- Wystarczy, że zgodzisz się na ślub i zechcesz utrzymywać go przez kilka miesięcy. Zależy mu również na ubezpieczeniu zdrowotnym. Ma bardzo korzystną, ale kosztowną polisę. Jest maklerem giełdowym, nie zawodową gosposią. Odnosi w branży spore sukcesy, ale ma dość korporacji. Chce założyć firmę i pracować na własny rachunek, lecz w tym celu musi zdać kilka egzaminów, żeby uzyskać stosowne uprawnienia. Przez kilka miesięcy powinien skupić się na nauce. Problem w tym, że jeśli rzuci pracę, nie będzie go stać na płacenie wysokiej składki ubezpieczeniowej - tłumaczyła Sherry. -Postanowienie, żeby zostać kurą domową, ma dla niego także dodatkowe znaczenie. Będzie stanowił widome świadectwo, że w dobie równouprawnienia mężczyzna na równi z kobietą ma prawo rzucić posadę, wziąć ślub i siedzieć w domu. Tyle pojęfam z płomiennych tyrad Hallorana.

- Ach tak. Chyba mu odbiło. Nigdy bym...

- Muszę przyznać, że kiedy o tym rozmawialiśmy, zareagowałam podobnie jak ty, ale teraz widzę, że dla was obojga krótkoterminowy małżeński kontrakt byłby idealnym rozwiązaniem.

Melinda mieszała łyżką rosół. Czy tamci dwoje powariowali? Jak mogłaby wyjść za obcego faceta? A może jednak? Nie, to wykluczone. Szalony pomysł! Trzeba wrócić do rzeczywistości. Co ona tutaj robi? Powinna siedzieć w szpitalu. Miała sporo do zrobienia.

*Mąż idealny 339*

- A jeśli kogoś mam? - spytała nagle.

- Wątpię - odparła Sherry z niezłomną pewnością. - Twoja ciotka, Gertruda, opowiedziała mi

O tobie ze szczegółami. Przed naszym spotkaniem nie wiedziałam tylko tego, że podpadłaś magistratowi z powodu zaniedbanego trawnika. - Gdy Melinda upiła spory łyk wody, dodała rzeczowo: - Gertruda jest moją klientką od dziesięciu lat.

Niemożliwe! Ciotka, która za żadne skarby nie poszłaby dwa razy do tej samej fryzjerki? Musiała naprawdę ufać Sherry Dowe, doceniać jej wyczucie

i ocenę faktów, skoro tak długo się jej trzymała.

- Wracając do tego faceta, który chciałby zostać kurą domową... - zagadnęła Melinda. - Znasz go od trzeciej klasy podstawówki?

- Zgadza się - przytaknęła Sherry. - Jack Halloran jest w porządku. Nie mogłaś lepiej trafić. Niegłupi, odpowiedzialny, godny zaufania, z natury troskliwy.

Jack Halloran. Widmowy kandydat na kurę domową zyskał imię i nazwisko. Dziwna oferta nabierała kształtu, ale...

- Skoro takie z niego чудо, dlaczego nie ustawia się do niego kolejka zakochanych dziewczyn gotowych wziąć ślub?

340 *Kate Thomas*

- Jack nie szuka miłości czy choćby namiętności. Kobiety go nie interesują - odparła Sherry- Jest gejem? - zapytała domyślnie Melinda i znów łyknęła trochę wody. Erotyczne preferencje Jacka Hallorana były jej, rzecz jasna, najzupełniej obojętne. Nawet gdyby poślubiła obcego mężczyznę, z pewnością nie poszłaby z nim do łóżka, prawda?

Sherry pokręciła głową.

- Spotkaj się z nim - zaproponowała. - Potem zdecydujesz, ale zapewniam, że gdybyś wyszła za Jacka, wszystkie twoje problemy same by się rozwiązały. - Gestem wskazała monit z magistratu. - Nim urzędasy wybiorą się znów na inspekcję, trawnik przed domem rodziców będzie wyglądał jak wzorowo utrzymane pole golfowe. Będziesz także miała czyste ubrania i jadła domowe obiady.

Bardzo kusząca propozycja. Na szczęście nie musiała przecież decydować od razu. I dobrze, bo czuła się mocno zagubiona. Dopła drinka, dosyć głośno stuknęła kieliszkiem o blat i nagle uśmiechnęła się do Sherry. Ogarnięta radością miała wrażenie, że w końcu zaświtała jej słaba nadzieja.

- Ten twój kumpel naprawdę poszedłby na to? Zgodzi się przez pół roku prowadzić dom, żebym mogła dokończyć staż, a potem... odejdzie w siną dal?

Sherry długo przyglądała się Melindzie. W końcu sięgnęła po teczkę, postawiła ją na kolanach i zaczęła czegoś szukać.

### *Mąż idealny 341*

- Zapytajmy go - powiedziała, wyciągając telefon komórkowy.

Otworzyła aparat i wybrała numer.

Podminowany Jack aż podskoczył, słysząc trzask zamykanych drzwi. Jak burza wpadł do sypialni. Dobrze się stało, że dziewczyna zainteresowana osobliwą ofertą nie wpadła na pomysł, żeby wyrobić sobie o nim zdanie na podstawie wyglądu mieszkania. Co wkłada kandydat na kurę domową, gdy idzie na pierwsze spotkanie? Z pewnością nie sprane bokserki i rozciągnięty T-shirt. Jack miał je na sobie, gdy zadzwonił telefon.

Szybko wziął prysznic, ogolił się i starannie przyczesał włosy. Po chwili namysłu wybrał spodnie w kolorze khaki i zielonkawą koszulę.

Wciąż nie mógł się połapać, jak to się stało, że wyraził zgodę na spotkanie z panią doktor, która szczerze mówiąc, była chyba mocno stuknięta. Tak samo jak Tess, z którą niedawno rozmawiał przez telefon. Z ponurą miną zbiegł po schodach. Był świadomy, że jego siostra nie przeboleła jeszcze odejścia Pete'a. W głębi ducha zazdrościł tamtym dwojgu, że od samego początku byli ze sobą tak bardzo związani, ale ich serdeczna zażyłość stanowiła również argument za jego tezą, że małżeństwo należy traktować wyłącznie jak kontrakt przynoszący obu stronom wymierne korzyści.

Usatysfakcjonowany własnym rozumowaniem wszedł do dżipa i pojechał do restauracji. Nigdy się nie zakocham, pomyślał. To cholernie niebezpieczne. Po stracie najbliższych człowiek cierpi

niczym potępieniec. Żeby się o tym przekonać, wystarczy popatrzeć na Tess. Nie zamierzał wystawiać się na podobne niebezpieczeństwo. Choć skończył już trzydzieści jeden lat, dotąd żadnej dziewczynie nie udało się zawrócić mu w głowie. Zapewne był odporny na zarazki niebezpiecznej choroby zwanej miłością, mógł więc bez obaw poślubić zapracowaną panią doktor. W przeciwnym razie będzie musiał nadal tyrać na większą chwałę ambitnego Jensena.

Koszmarna perspektywa! Z dwojga złego lepiej zostać kasjerem w całodobowym supermarkecie, myślał, parkując niedaleko restauracji. Wyłączył silnik i przez chwilę siedział w aucie, nerwowo przyglądając włosy. Zastanawiał się, czego właściwie oczekuje po nim nieznajoma lekarka. Jakie będą jego obowiązki?

Nie podejrzewał, by chciała się z nim zabawiać w wiadomy sposób. Rzecz jasna, nie musiał być zakochany, żeby pójść z nią do łóżka, ale zważywszy okoliczności, byłoby to odrobinę krepujące.

- Trzymaj się, stary - mruknął, wyskakując z dzipa.

Wkroczył do restauracji, podał swoje nazwisko i ruszył za kelnerem w głąb ogromnej sali wypełnionej gośćmi.

A co będzie, jeśli nie spodoba się doktor Burkę?

Prawdziwa katastrofa! Sytuacja patowa! Miał dość tyrania dla korporacji oraz jej asów, ale musiał pracować, dopóki nie znajdzie innego źródła finansowania wysokiej składki ubezpieczeniowej. Życie w wielkim mieście było zbyt niebezpieczne, żeby można się zdać na podstawową opiekę medyczną, a Jack miał dalekosiężne plany i zamierzał jeszcze długie lata cieszyć się dobrym zdrowiem.

*Mąż idealny 343*

Gdy dotarł wreszcie do stolika pań, Sherry była sama.

- Melinda zaraz wróci. Dzwonili do niej ze szpitala. Nawet w czasie przerwy obiadowej musi być pod telefonem.

- Powiedz mi, komu bardziej odbiło: mnie czy tej nawiedzanej adeptce medycyny?

- Co u Tess? - Sherry zmieniła temat, gdy skinął na kelnera ukrytego dyskretnie za dorodnym fikusem.

- Bez zmian - mruknął z ponurą miną. - Chodzi do pracy, ale na tym koniec. Nie raczyła nawet przyjść do mnie, żeby obejrzeć film na wideo. Sherry westchnęła pobłaźliwie.

- Trudno się dziwić, jeśli poprzednim razem czekał na nią u ciebie kandydat na męża.

- Bailey to fajny facet - zachnął się Jack. Czyżby tylko on odczuwał niepokój, ponieważ siostra uparcie stroni od ludzi? - Staram się jej pomóc.

- Najwyraźniej Tess nie potrzebuje twojej pomocy. Uwaga! Nadchodzi osoba, dla której będziesz prawdziwym wybawieniem.

Przyjrzał się kobiecie w solidnych okularach à la Elvis Costello.

Kasztanowate włosy, ujęte w ciasną opaskę, sięgały do ramion. Była średniego wzrostu i wagi. Koło trzydziestki. Z powodu ciemnej wor-

344 *Kate Thomas*

kowatej sukienki o figurze nic się nie dało powiedzieć. Mniejsza z tym, takie szczegóły były teraz bez znaczenia.

Jack wstał, gdy podeszła do stolika.

- Melindo, chciałam ci przedstawić... - zaczęła Sherry.

- Nazywam się Jack Halloran - przerwał, rzucając Sherry karcące spojrzenie. Czy nie widzi, że ta biedaczka jest u kresu sił?

Nie trzeba było Herkulesa Poirot, aby spostrzec, jak bardzo znużona jest pani doktor. Ramiona skulone, kąciki ust skierowane w dół... Obronnym gestem wsunęła dłonie do kieszeni sukienki i stała bez ruchu, przyglądając się Jackowi.

- Jack, oto doktor Melinda Burkę.

- Cieszę się z naszego spotkania - powiedziała Melinda.

- Pewnie. Ja również - odparł zniecierpliwiony i poirytowany, bo nadal stała bez ruchu. - Usiądź, kobieto, bo zaraz padniesz! - oznajmił stanowczo. Nie, raczej wykrzyknął, ale tylko dlatego, że zachwiała się na nogach. Do diabła, naprawdę ktoś powinien się nią zaopiekować.

Sherry zachichotała ukradkiem, a doktor Burkę podniosła wzrok, błyskając okularami, i osunęła się na krzesło. Jej włosy sięgające ramion lśniły niczym jedwabna wstążka o barwie czekolady. Jack miał wielką ochotę ich dotknąć, ale powstrzymał się i zacisnął dłonie w pięści.

Natychmiast usiadł obok Sherry, która śmiało przerwała kłopotliwe milczenie.

*Mąż idealny 345*

- Dobrze, od czego zaczniemy? Chyba od pytań. Co chciałabyś wiedzieć?

- zwróciła się do Melindy, która nagle podniosła głowę, a wtedy okulary w masywnych oprawkach zjechały na czubek nosa.

Jack niespodziewanie zatonął spojrzeniem w szmaragdowej głębi jej oczu. Sinawe cienie stanowiły widomy dowód, że zmęczenie przeszło w stan chroniczny. Zielone oczy zasnuła mgła smutku. Jak u Tess.

Potarł dłonią policzek i sięgnął po filiżankę kawy przyniesioną przez kelnera.

Cholera jasna, pomyślał Jack, nie sposób zmusić Tess, żeby zaczęła się znowu spotykać z ludźmi, ale tej lekarce mogę pomóc. Dzięki mnie wyjdzie na prostą i jakoś przetrwa do końca stażu.

- Aha, widzę, że Halloran podjął decyzję. Doktor Burke, proszę to przyjąć do wiadomości i uznać, że ten mężczyzna już postanowił. Dostanie wikt i dach nad głową w zamian za odkurzanie i pranie?

- Wikt, dach nad głową i pełne ubezpieczenie zdrowotne - poprawił Jack. Melinda kiwnęła głową.

- Sherry wspomniała mi o... warunkach wstępnych. Ślub uprawni pana do korzystania ze wszystkich świadczeń medycznych, które przysługują mi jako stażystce, a składka będzie opłacana z mojego indywidualnego funduszu - zapewniła, poprawiając okulary.

- To ma sens - odparł po chwili Jack, gdy wszyscy w milczeniu pili kawę.



Melinda z uwagą przyglądała się Jackowi Hal-loranowi. Nie wyglądał na człowieka stworzonego na gosposię. Zbyt przystojny do tej profesji. Był wysoki; niespełna metr dziewięćdziesiąt, szczupły i bardzo smukły, ale barczysty. Płaski brzuch, wąskie biodra. Wyraziste rysy, ładnie wykrojone usta. Gęste, dobrze ostrzyżone włosy, brązowe ze złocistymi refleksami i zabawnymi wicherkami po lewej stronie, które tylko dodawały mu uroku. I te intensywnie niebieskie oczy jak z piosenki Elvisa... Melinda wyobraziła sobie, że spogląda w nie, każąc Jackowi umyć podłogę w kuchni albo zrobić pranie.

- Po namyśle dochodzę do wniosku, że potrzebna mi tylko dobra sprzątaczką, a nie współmałżonek. - Melinda niezdarnie sięgnęła po torebkę, a dwoje przyjaciół zamarło w bezruchu. No dobra, stchórzyła, ale ten szalony plan na pewno spaliliby na panewce. - Zadzwoń do odpowiedniej firmy. Niech mi kogoś znajdą. - Schowała monit z magistratu, sprawdzając jednocześnie, czy ma w kieszeni telefon komórkowy. Przesunęła się na brzeg wyściełanej kanapy. - Przepraszam, że niepotrzebnie was fatygowałam.

- O nie! - rzucił Jack, kręcąc głową. Podniósł się lekko, prostując szczupłą, ale silną postać i obszedł stół, blokując Melindzie przejście. Wyczuła lekki zapach wody kolońskiej.

- Sprzątaczką nie rozwiąże twoich problemów - oznajmił, wpatrzony w nią niczym hipnotyzer. Niepostrzeżenie przeszedł na ty. - Potrzebujesz człowieka, który załatwi za ciebie wszystkie sprawy zaniebawane z braku czasu. Mam na myśli gotowanie, mycie okien i... i tym podobne. Jestem ci niezbędny.

*Mąż idealny 347*

- Mógłbyś także płacić rachunki? - spytała z nadzieją. Jego deklaracja zabrzmiała obiecująco.

- Albo oczyścić basen?

- Jasne. Dam sobie radę z każdą robotą. Potrafię zmienić koło, przyciąć żywopłot, wkręcić żarówki.

- Niski łagodny głos hipnotyzował i budził ukryte pragnienia. - Dla ciebie wszystko. Mogę nawet przynosić ci kawę do łóżka.

Od lat marzyła o takiej przyjemności.

- Naprawdę? - zapytała. Kusząca oferta. Trudno się oprzeć. - Budzę się o piątej.

- Nic nie szkodzi - zapewnił. - Lubię rano wstawać.

- Będziecie ze sobą sypiać? - wtrąciła pospiesznie Sherry. Gdy Melinda i Jack wybałuszyli na nią oczy, obronnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce. - No co? Próbuję tylko pomóc. Takie rzeczy trzeba ustalić od razu. Melinda czekała, co powie Jack.

- Pożycia nie będzie - odparł. - To chyba jasne.

- No pewnie - przytaknęła.

- W każdym razie nie od razu - poprawił się Jack. Melinda nagłym ruchem uniosła głowę, a okulary ponownie zjechały jej na koniec nosa.

- Zawsze możemy wrócić do tematu. - Mówił znudzonym tonem, stąd wniosek, że wspomniał o tym jedynie z uprzejmości.

348 *Kate Thomas*

- A więc mamy sprawę z głowy - oznajmiła tryumfalnie Sherry.
- Chciałbym jeszcze wygłosić oświadczenie
- powiedział rzeczowo Jack. - Skoro kobieta może zostać lekarzem, zamiast siedzieć w domu, gotować i sprzątać - perorował z ogniem w oczach - to samo prawo musi przysługiwać mężczyźnie i nikt nie powinien uważać go za wariata, jeśli się na to decyduje.
- Trudno zaprzeczyć. Melinda wzruszyła ramionami i powiedziała nonszalanckim tonem:
  - Wszystko już ustaliliśmy, więc myślę, że jutro możemy załatwić formalności i jeśli się uda, wziąć ten...
  - Nie! - krzyknęli jednocześnie Sherry i Jack.
  - Nie? - Potrząsnęła głową, żeby ochłonać ze zdumienia. - Myślałam...
  - Pobierzemy się - zapewnił uspokajająco Jack. Gdy wyciągnął rękę i ujął jej dłoń, poczuła miły dreszcz. - To dobry pomysł.
- Cofnęła dłoń, bo czuła się zbита z tropu.
- W takim razie w czym problem?
- Nie ma mowy o szybkim, cichym ślubie
- oznajmiła stanowczo Sherry. Jack kiwnął głową i dodał:
  - Po pierwsze, w czasie ceremonii zamierzam powtórzyć moje oświadczenie, więc im większe audytorium, tym lepiej, a po drugie przez dziesięć lat zaliczyliśmy z Sherry mnóstwo wesel, bo zapraszali nas koledzy z pracy, których ledwie znamy. Trzeba się było wbijać w odświętne ciuchy, jeść

*Mąż idealny 349*

nieświeże kanapki, tańczyć z podpitą rodziną, kupować na prezent ohydne serwisy...

- Rozumiem - wpadła mu w słowo Melinda.
  - Chcecie się zemścić na swoich dręczycielach, tak?
  - Oczywiście. - Gdy Jack uśmiechnął się promiennie, miała wrażenie, że słońce wyjrzało zza chmur.
  - Ale ja potrzebuję... - Melinda zacisnęła usta, nim wyrwało się z nich rozpaczliwe wołanie o natychmiastową pomoc. Profesor Bowen twierdził, że ujawnianie emocji nie licuje z godnością chirurga.
  - Na przygotowanie hucznego wesela potrzeba kilku miesięcy, prawda?
  - Nie martw się - odparł Jack, ponownie biorąc ją za rękę. - Sherry i ja zorganizujemy wszystko w ekspresowym tempie.
  - Pewnie. - Jego koleżanka skinęła głową.
  - A tymczasem skosimy trawę i... Później ci powiem, w czym rzecz - dodała, chwytając pytające spojrzenie Jacka.
  - Za dwa tygodnie wszystko będzie gotowe
  - powiedział, znów nieufnie zerkając na Sherry.
  - Wytrzymaj jeszcze trochę. Oczywiście spisujemy intercyzę, żeby po rozstaniu nie było żadnych problemów.
- Melinda poczuła się dziwnie, kiedy o tym wspomniał, ale mniejsza z tym, skoro na razie zapowiada się gorąca kawa do łóżka i czysta bielizna w szufladzie.
- Zgoda. Ślub za dwa tygodnie - powiedziała.

350 *Kate Thomas*

Zasiedzieli się, omawiając szczegóły ceremonii, więc gdy kelner rzucił im znaczące spojrzenie, zwolnili stolik, usiedli przy barze i rozmawiali dalej. Gdy ustalono, ile będzie druhen, padło pytanie

O kolor ich sukien. Sherry zaproponowała brąz, który pasował do kasztanowatych włosów panny młodej.

- Szmaragdowa zieleń - sprzeciwił się Jack

i natychmiast zrobił notatkę. - To kolor oczu Melindy. Co tam jeszcze? Poczęstunek?

- Moja kuzynka Bernice jest restauratorką. Da nam spory upust - zapewniła Sherry.

Melinda nerwowo zerkała na ekranik komórki. Och, nie udawaj takiej zaaferowanej, skarciła się w duchu. Mydlisz im oczy, bo chcesz ukryć, że czujesz się odstawiona na boczny tor i nie panujesz nad sytuacją.

Nie mam głowy do takich spraw, zreflektowała się w duchu, więc powinnam się cieszyć, że nie wciągają mnie w swoje weselne plany.

Czubkiem palca odsunęła dyskretnie kieliszek szampana, którym uczcili podjęcie decyzji. Nie powinna wpadać w euforię tylko dlatego, że Halloran zauważył, jakiego koloru są jej oczy. Ważniejsze jest, czy ten przystojniak da sobie radę z prasowaniem.

- Zrobiliśmy dobry początek. - Jack wyrwał z notesu plik kartek. - Jeśli wynikną inne kwestie, Sherry i ja sami się nimi zajmiemy.

Promienny uśmiech sprawił, że Melindzie zrobiło się ciepło na sercu, choć nie był przeznaczony dla niej. Zawiedziona spojrzała nerwowo na milczący telefon. Nikt nie dzwonił. Żadnych wiadomości. Powtarzała sobie w duchu, że jej nadrzędnym celem jest ratowanie ciężko chorych dzieci, a nie zdobywanie sympatii Jacka Hallorana, który ma jej tylko pomóc wytrwać do końca na stażu u profesora Bowena, żeby mogła

## *Mąż idealny 351*

dotrzymać słowa danego sobie osiemnaście lat temu. Nie bez znaczenia jest również stan domu, do którego po kilkumiesięcznym pobycie w Omanie mają wrócić rodzice.

- Jesteś gotowa, Melindo? - usłyszała niski, łagodny głos, podniosła wzrok i spojrzała prosto w niebieskie oczy.

- Do czego? - zapytała niezbyt przytomnie.

- Do wyjścia. - Jack wstał i sięgnął po rachunek.

- Tak. Muszę wracać do szpitala.

- W przyszłym tygodniu zacznę rozglądać się za suknią - obiecała Sherry.

- Chcesz, żebyśmy razem buszowały po sklepach?

- Huczne wesele i ślub to wasz kaprys - przypomniała Melinda. - Włożę, co każesz. - O ile nie wróci mi rozsądek, pomyślała z rezygnacją. Znow ogarnęły ją wątpliwości narastające równie szybko, jak odsetki lichwiarskiego długu.

- Tylko pamiętaj, żebyś w dzień ślubu od rana miała wolne, dobra? - oznajmiła Sherry przyciszonym głosem.

- Planowałam dyżur na intensywnej terapii, ale zamienię się z kolegami - obiecała Melinda. - Czemu nalegasz? Ustaliliśmy, że ślub będzie o trzeciej.

Sherry chwyciła jej rękę i obejrzała paznokcie.

- Umówię cię z moją fryzjerką. Zrobimy też

352 *Kate Thomas*

manicure i profesjonalny makijaż. - Uśmiechnęła się szeroko, nim Melinda zdążyła się obrazić.

- Dyskretnie umalowana twarz, odpowiednia kreacja... Zobaczysz, jaką minę zrobi Jack, kiedy cię ujrzy w dniu ślubu. Nie mogę się doczekać! To będzie dla niego jak grom z jasnego nieba.

- Daj spokój, Sherry - rozległ się aksamitny baryton. - Doktor Burke jest bardzo zapracowana, więc przestań ją zanudzać. - Popatrzył na Melindę oczyma barwy kobaltu i podał jej wizytówkę.

- Zadzwoń do mnie i powiedz, kiedy znajdziesz trochę czasu, żeby załatwić urzędowe formalności.

Proste i skuteczne rozwiązanie wszelkich problemów stało się nagle wyjątkowo skomplikowane, pomyślała Melinda, odchodząc pospiesznie. Melinda stała obok Dana... Nazwisko kolegi wyleciało jej z głowy.

Asystowali profesorowi Bo-wenowi.

Dziś na pewno zadzwonię, pomyślała nerwowo. Powiem Jackowi, że przykro mi, ale przemyślałam wszystko i doszłam do wniosku...

Westchnęła. Od soboty to powtarzała, ale nie zadzwoniła do Hallorana, aby wyjaśnić, że nie może za niego wyjść, bo prawie się nie znają.

Wyłączała telefon, kiedy dzwonił. Nie z obawy, że poza małżeństwem z rozsądku na nic więcej nie powinna w życiu liczyć. Na pewno nie z powodu natrętnych snów, w których zmysłowy Jack codziennie rano przynosił jej kawę do łóżka.

Nie zadzwoniła również, gdy we wtorek albo

### *Mąż idealny 353*

w srode ktoś doprowadził do porządku trawnik. Trudno powiedzieć, kiedy ścięto trawę. Przez dwie doby nie było jej w domu, bo na polecenie Bowena czuwała przy łóżku walczącego o życie czterolatka.

- Zechce pani wrócić do rzeczywistości, doktor Burkę? A może woli pani w wyobraźni buszować po sklepach? - ostry ton Bowena kłócił się z kojącą muzyką klasyczną, płynącą z głośników sali operacyjnej.

Oto prawdziwy powód, dla którego zdecydowała się na fikcyjne małżeństwo i postanowiła zdać się na pomoc nietypowej gospodyni domowej. Główną przyczyną był ten złośliwy łysy kurdupel, którego ulubionym zajęciem było dręczenie stażystów, najchętniej kobiet.

Nakazała sobie spokój.

- Jestem obecna i ciałem, i duchem, panie profesorze - odpowiedziała szefowi.

- I bardzo dobrze, bo u mnie w sali operacyjnej nikt się nie będzie zagapiać. - Spojrzał na nią ponad chirurgiczną maską, podał skalpel i wskazał miejsce, gdzie należy ciąć.

! Śmiało wzięła narzędzie i postanowiła sobie, że i dziś zadzwoni do Jacka, ale nie po to, żeby odwołać ! ślub, lecz by ustalić, kiedy mogą pójść do urzędu i załatwić wszystkie formalności. Złośliwości profesora Bowena oznaczały, że będzie musiała jeszcze więcej pracować, a więc kura domowa stała się niezbędną.

Melinda odetchnęła głęboko, wykonała precyzyjne cięcie i wycofała się, ustępując miejsca pro-



354 *Kate Thomas*

fesorowi. Zrobiła kolejny krok w tył i lekko szturchnęła Dana.

- Mógłbyś w przyszłą sobotę wziąć za mnie dyżur na intensywnej terapii? Obiecuję, że tydzień później cię zastąpię - „Muzyka na wodzie” Haend-la zagłuszyła szept.

- Co planujesz? - zapytał Dan i po chwili namysłu kiwał głową.

- Nic szczególnego. Wychodzę za mąż - odparła nonszalancko.

- Kto dziś szyje? - Gdy jeden ze stażystów nieśmiało podniósł rękę, profesor Bowen odprawił go władcym skinieniem dłoni. - Nie, dziękuję. Niech Burke pokaże, co potrafi.

Melinda podeszła do stołu operacyjnego, wdzięczna losowi, że może się dla odmiany skupić na sprawach niezwiązanych z rychłym ślubem. Miała szczęście, bo praktykowała pod okiem wybitnego specjalisty. Mniejsza z tym, że ten kurdupel ma wdzięk i manieri zimnego drania na ciężkim kacu.

Melinda przełamała wreszcie skrupuły i zadzwoniła do Jacka.

- Mogę zająć ci kilka minut? - spytała. Oderwał wzrok od monitora pokazującego listę

notowań giełdowych i siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w blacie biurka. Miał złe przecucia, bo przez cały tydzień nie odzywała się do niego. Był niemal pewny, że postanowiła się wycofać. A on wziął jej niedawną zgodę na ślub za

*Mąż idealny 355*

dobrą monetę i z niemałą satysfakcją złożył na ręce Jensena podanie o zwolnienie!

- Co powiemy ludziom, gdy zapytają, jak się poznaliśmy? - spytała bez żadnych wstępów.

- Prawdę. Sherry nas przedstawiła. - Wzruszył ramionami.

- No jasne! - Od razu poweselała. - Kiedy załatwimy formalności?

Jack odchrząknął i wyjaśnił pospiesznie:

- Musimy iść razem do magistratu.

- Jutro koło południa? - zaproponowała.

- Zgoda. To mi odpowiada.

Wkrótce odłożył słuchawkę, powtarzając sobie w duchu, że ich związek będzie czysto platoniczny. Nie ma żadnego powodu, aby to zmieniać, chociaż zachwycał się jej zamglonymi oczyma szmaragdowej barwy, włosami koloru ciemnej czekolady i ciepłym, aksamitnym głosem.

Popatrzył wyzywająco na Jensena, który podczas telefonicznej rozmowy piorunował go spojrzeniem, i wrócił do roboty.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zniecierpliwiony Jack przestępował z nogi na nogę, bo kolejka par czekających na wydanie dokumentów koniecznych do zawarcia małżeństwa poruszała się w ślimaczym tempie. Co gorsza, ilekroć spoglądał na Melinę, przychodziły mu do głowy głupie myśli. Nic dziwnego, skoro inni kandydaci na nowożeńców czulili się do siebie, wymieniając mniej lub bardziej ukradkowe całusy oraz pieszczoty. Staraj się o tym nie myśleć, nakazał sobie w duchu. Porozmawiaj z nią!

- Dlaczego postanowiłaś zostać lekarzem? - zapytał cicho.

- No wiesz... - Melinda zawiesiła głos, uważnie dobierając słowa.

*Mąż idealny 357*

- Mów, mów - nalegał dosyć obcesowo, bo niestosowna żądza przeszła w dziecinną irytację, równie bezsensowną, ale jakby bezpieczniejszą.

- Proszę bardzo, nie krepuj się. Możesz nadal odpowiadać monosylabami. Nie jestem głupkiem, skończyłem studia z wyróżnieniem. Domyślę się, o co chodzi.

- Nie wątpię - odcięła się opryskliwie.

Jack wpatrzony w jej usta słuchał z roztargnieniem. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby ją pocałował.

- Problem w tym... - Wzruszyła ramionami.

- Trudno mi teraz mówić. - Popatrzyła w głąb korytarza. - Miałam sześć lat, kiedy umarł mój brat Harry.

Na pewno bardzo cierpiała, pomyślał i odruchowo przysunął się do niej.

- Melindo, to wielka strata. Tak mi przykro.

- Gdyby trafił na dobrego chirurga dziecięcego, pewnie by żył. - Znowu wzruszyła ramionami

i pokręciła głową, aż zafalowały kasztanowate włosy. - Dlatego postanowiłam zostać lekarzem. Po zakończeniu ostatniego stażu będę mogła samodzielnie ratować chore dzieci... oraz ich rodziny.

- A ja ci pomogę. - Jack odruchowo chwycił jej dłoń.

- Następny!

Uśmiechnął się do znudzonej urzędniczki i podszedł do biurka.

- Głowa do góry, pani doktor. Wkrótce skończą się wszystkie problemy - zapewnił, gdy wyszli

358 *Kate Thomas*

z budynku. Położył ręce na jej ramionach i poczuł emanujące z nich przyjemne ciepło. Korciło go, żeby przesunąć dłońmi po smukłym ciele, lecz oparł się pokusie.

- Obiecujesz? - spytała, uśmiechając się niespodziewanie. Zielone oczy rozbliły za grubymi szklami okularów.

Jack poczuł się... dziwnie. Miał wrażenie, że ziemia się zatrzęsła albo jej oś zmieniła kąt nachylenia.

- Tak - przyrzekł solennie. - Na sto procent odciążę cię przez najbliższe pół roku, żebyś mogła spokojnie zrobić specjalizację i zostać chirurgiem.

- Zajmiesz się domem moich rodziców, dobrze?

- spytała błagalnie po chwili namysłu i zagryzła pełne wargi. - Nie chcę, żeby wyglądał na zaniedbany. Tak wiele zawdzięczam mamie i tacie.

- Zatroszczę się i o ciebie, i o dom - obiecał stanowczo Jack i wcisnął ręce w kieszenie, chociaż miał wielką ochotę położyć je znów na ramionach Melindy. - Zobaczymy się w sobotę na ślubie, a potem ty zajmiesz się stażem, a ja prowadzeniem domu i kuciem do egzaminów. Wszystko pójdzie jak z płatka. Zobaczysz.

- Trzymam cię za słowo. - Spojrzała na zegarek.

- Muszę lecieć. - Kiedy odwróciła się, ciemne włosy zawirowały jak szybko poruszany wachlarz. - Do soboty! - zawołała na odchodnym.

Jack odprowadził ją wzrokiem, niemal obsesyjnie wpatrzony w ciemną czuprynę. Dla własnego dobra powinien przekonać Melinę, żeby ścięła włosy albo raczej ogoliła głowę.

### *Mąż idealny 359*

Przez cały tydzień pracował bez wytchnienia, a mimo to, gdy kładł się spać, miał przed oczyma zgrabną postać Melindy, czuł jej zapach, wydawało mu się, że jej dotyka, a kasztanowate włosy opadają na poduszkę.

- Aj! - Melinda krzywiła się raz po raz, gdy Sherry i Noreen upinały welon.

Po powrocie do domu Sherry umalowała Melinę, a Noreen, kuzynka panny młodej, przyglądała jej się bacznie, dorzucając własne sugestie. Poprawiły raz jeszcze suknię, która okrywała Melinę chmurą białej koronki. Ślubna suknia została wzięta z wypożyczalni. Na zmianę zapinały maleńkie guziczki przy karczku i gorsecie. Do tej pory Melinda nie miała sposobności zerknąć w lustro.

- Poczekaj, najpierw zrobimy cię na bóstwo - powtarzały cierpliwie obie dziewczyny.

Pomogły Melindzie włożyć elegancką, bogato zdobioną kreację z jedwabiu szeleszczącego przy każdym ruchu, satynowe czółenka i należący do jej matki naszyjnik z pereł sięgający brzegu obcisłego karczku. Zdawała sobie sprawę, że ślub jest na niby, a mimo to w białej sukni poczuła się wyjątkowa, piękna, kobieca. Powróciły nagle ukryte pragnienia, o których zapomniała, starając się urzeczywistnić zawodowe ambicje. Po raz pierwszy od wielu lat zadała sobie pytanie, czy w pogoni za medyczną wiedzą i osiągnięciami nie przegapiła czegoś ważnego. Poczula na sobie badawcze spojrzenie drухen.

360 *Kate Thomas*

- Och! - westchnęła Noreen, zasłaniając dłonią usta.

- Wiedziałam - oznajmiła chępliwie Sherry, odwróciła Melinę do lustra i zdjęła jej okulary w ciemnych oprawkach. - Popatrz! Oto najpiękniejsza panna młoda w całym Dallas.

Suknia ślubna bardzo zmienia kobietę, pomyślała oszołomiona Melinda. W takiej kreacji każda wyglądałaby bajecznie.

- Widziałas kwiaty? - zapytała Noreen, sięgając po kartonowe pudło przyniesione z kwiaciarni.

Melinda pokręciła głową i biały tiul zafalował wokół jej ramion i głowy niczym mglisty obłok. Noreen wyjęła efektowny bukiet z orchidei i róż ozdobiony gipsówką oraz zielonymi gałązkami i liśćmi. W tej samej chwili jej mąż wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Jesteście gotowe, dziewczyny? - spytał. Zbita z tropu Melinda uśmiechnęła się do niego.

- Owszem - przytaknęła Noreen, wręczając jej kwiaty. - Rzuć bukiet dziewczynom, kiedy pokroicie tort. - Po chwili dodała uspokajającym tonem: - Nie ma się czego bać. Wszystko pójdzie jak z płatka.

- Tylko spokojnie - tłumaczyła Sherry. - Przejdziesz przez salę, powiesz kilka słów i tanim kosztem zyskasz gosposię. Wierz mi, Jack Halloran będzie idealny. - Raz jeszcze zlustrowała spojrzeniem pannę młodą. - Idziemy?

Melinda wzięła głęboki oddech. Bez okularów niewiele widziała.

### *Mąż idealny 361*

- Dobra - mruknęła, zaciskając bukiet w dłoniach. - Miejmy to z głowy.  
- Gdy zabrzmiał marsz weselny, idź środkiem sali prosto przed siebie, aż zobaczysz facetów w smokingach - tłumaczyła półgłosem Sherry, gdy stały u wejścia do sali.

Melinda wyobraziła sobie Jacka w eleganckim stroju i z wrażenia szeroko otworzyła oczy. Nie potrzebowała okularów, żeby go dostrzec.

Usłużna wyobraźnia pomogła dopełnić obrazu: blondyn w bielutkiej koszuli i ciemnym ubraniu podkreślającym smukłą, lecz muskularną sylwetkę; urodziwa, wyrazista twarz i barczyste ramiona; gęste włosy i zabawny wicherek nad czołem; pięknie wykrojone usta; oczy o barwie kobaltowego błękitu.

Za kilka minut sędzieja pokoju zapyta ją, czy chce poślubić tego mężczyznę. Kto by nie chciał! Od lat harowała jak niewolnica, jej towarzyskie wyrobienie równało się obyciu mniszki, ale nie była idiotką i miała świadomość, że na widok takiego faceta jej uśpione estrogeny zaraz nabrały wigoru.

- W porządku, Noreen. Daj znak, kiedy ruszamy - powiedziała cicho Sherry. Obie drużny stanęły przed Melindą.

Jack poprawił mankiety i opuścił ramiona wzdłuż ciała. Starał się wyglądać na przejętego swoją rolą, głęboko wzruszonego pana młodego, ale usta same uśmiechały mu się chełpliwie, gdy przypominał sobie minę Jugulara Jensena. Ten



nudziarz nie mógł uwierzyć, że podwładny dobrowolnie rzuca posadę w renomowanej firmie, żeby siedzieć w domu i próżnować. Jack cieszył się na myśl, że od jutra będzie żył inaczej: raz na jakiś czas odkurzy mieszkanie, zapłaci rachunki, zrobi pranie, a przede wszystkim odpocznie i pouczy się do egzaminów.

- Dlaczego tak nagle zdecydowałaś się na ślub?

- zapytał Keven, jeden z jego braci. Obok stał drugi imieniem Geoff. -

Kiedy i gdzie poznałaś swoją najdroższą?

- Już ci mówiłem - odparł półgłosem Jack.

- Sherry nas sobie przedstawiła.

- Nie ściemniaj, koleś. - Keven parsknął tak głośno, że Tess odwróciła głowę i rzuciła braciom karcące spojrzenie. - Wy dwoje jeszcze w liceum przestaliście się swatać nawzajem.

- Zamknij dziób. Idzie pierwsza drużyna.

- Ładniutka - uznał szeptem jeden z Hallora-nów. - Niestety, mężatka.

Sprawdziłem.

Jack nucił cicho. Pierwsza szła Noreen, za nią Sherry. Wkrótce stały obok jego drużbów po obu stronach podium dla nowożeńców. Prawdziwy ślub i wesele, małżeństwo na niby, pomyślał rozbawiony. Po chwili powiedział sobie, że to jedyne rozsądne wyjście. Inaczej groziłoby mu cierpienie, które było teraz udziałem Tess. Uśmiechnął się do niej. W tej samej chwili zabrzmiały dobrze znane fanfary.

- Nic dziwnego, że tak cię wzięło! - mruknął z uznaniem Keven.

Geoff gwizdnał cicho i dał Jackowi kuksańca.

### *Mąż idealny 363*

- Czy ona nie ma przypadkiem siostry bliźniaczki? - zapytał.

Zakłopotany Jack zerknął na braci, a potem wraz z nimi spojrzął ku drzwiom.

Oślupiał. Poraziło go. Zapragnął porwać swoją kobietę, zwać do jaskini i wziąć ją bez ceremonii. Po chwili otrzeźwiał i w niemym zachwycie patrzył na cud boginię, której piękne kształty każdego faceta wprowadziłyby w osłupienie, przyprawiając o kompromitujące doznania.

Suknia zmienia kobietę, pomyślał, szukając wymówki. Gdy Melinda zdejmie białą kreację i włoży zwykłe ciuchy, uroda oraz magia ulotnią się jak kamfora.

Oby tak było, powtarzał sobie w duchu, obserwując piękną niczym anioł pannę młodą kroczącą lekko między rzędami krzeseł. W przeciwnym razie diabli wezmą wszelkie ustalenia małżeńskiego kontraktu, ponieważ każdy mężczyzna zdrowy na ciele i umyśle musiał pragnąć aż do bólu tej baśniowej królewny ubranej w białą suknię.

Melinda podeszła do niego i zatrzymała się z nieśmiałym uśmiechem.

Muzyka zabrzmiała głośniejsze, a potem umilkła. Jack wolno jak we śnie podał ramię narzeczonej, która prawą dłoń trzymała wielki bukiet. Gdy usiłowała przełożyć go do lewej ręki, upadł na podłogę. Oboje pochylili się jednocześnie, żeby podnieść kwiaty. Zgodnie z prawami fizyki oraz zasadami prawdopodobieństwa, które

364 *Kate Thomas*

obowiązują każdego dnia bez wyjątku, stuknęli się głowami.

Fizyczne cierpienie powinno przywieść Jacka do opamiętania, ale na swoje nieszczęście, robiąc głęboki oddech, poczuł zapach perfum Melindy. Ta woń już w czasie poprzednich spotkań mocno go oszołomiła, choć nie chciał się do tego przyznać. Oboje zapomnieli nagle, gdzie są. Nie zwracali uwagi na weselnych gości.

- Jack... - Szept narzeczonej przyprawił Jacka o zawrót głowy. -  
Przydepnąłeś mi kwiaty.

Nadal gapił się na cudne zjawisko. Muszę koniecznie ożenić się z tą piękną, myślał gorączkowo. Chcę z nią żyć. Na sto procent. Białe małżeństwo? Wykluczone!

- Jack? - Szmaragdowe oczy pociemniały. Jack wyciągnął rękę, chcąc wsunąć palce między ciemne kosmyki.

Sędzia pokoju kucnął, przyłączając się do nich.

- Proszę państwa, możemy zacząć ceremonię? - zapytał.

Jack cofnął stopę, podniósł bukiet i podał go Melindzie.

- Przepraszam - wymamrotał, pomagając jej wstać.

Unikając jego wzroku, kiwnęła głową i stanęła obok, wygładzając przydepnięte przez niego kwiaty- Drodzy państwo... - Sędzia pokoju rozpoczął ceremonię.

Jack słuchał go nieuważnie. Nie było jego zamia-

rem podkochiwać się w Melindzie ani w żadnej Innej kobiecie, lecz teraz, gdy wraz ze wszystkimi gośćmi weselnymi zobaczył, co kryło się pod workowatymi ciuchami, gotów był z wielką ochotą spełnić obowiązek małżeński.

Każ się wypchać, głupku! To jedynie układ korzystny dla obu stron, skarcił się w duchu. Przyszło mu nagle do głowy, że białe małżeństwo z Melindą Burkę nie będzie wcale takie łatwe ani zabawne, jak mu się początkowo wydawało.

Oboje powtórzyli tekst przysięgi małżeńskiej, świadomi, że za pół roku nastąpi rozwód. Włożyli sobie na palce obrączki, które Jack wybrał z pomocą Sherry.

- Ogłaszam was mężem i żoną - powiedział donośnie sędzia pokoju. -  
Może pan pocałować pannę młodą.

Jack zamierzał cmoknąć Melinę w usta, ale gdy uniosła twarz, zatonął w zamglonych, szmaragdowych oczach. Wystarczyło, że zamruwała powiekami i znów ogarnęło go pożądanie. Jęknął cicho i pocałował ją namiętnie.

Sala, budynek, a nawet planeta Ziemia nagle zniknęły, gdy dotknął wargami jej rozchylonych ust. Nie protestowała, gdy pocałował ją zachłannie. Jack cały płonął. Melinda zacisnęła palce na jego ramionach, a potem przesunęła dłońmi po karku i dotknęła włosów.

- Weź na wstrzymanie, braciszku. - Ktoś poklepał go po ramieniu.

- Geoff? - Jack zamrugął.

366 *Kate Thomas*

- Poczekaj z tym do nocy poślubnej - mruknął jego brat.

- Wiesz, stary? Rozumiemy, dlaczego tak ci spieszno - dodał Keven i mrugnął porozumiewawczo, spoglądając ponad ramieniem Geoffa.

Sędzia pokoju chrząknął znacząco.

Nowożeńców otoczył tłum składających życzenia gości. Melinda przyjmowała ciepłe słowa, kwiaty i uściski niczym automat. Miała wrażenie, że stoi z boku, obserwując tę scenę. Wkrótce przeszli do sali, gdzie odbywało się przyjęcie weselne. Zagrała muzyka, państwo młodzi wyszli na parkiet i zatańczyli, oklaskiwani przez gości.

Po kilku tańcach Melinda znużona uznała, że czas poszukać zacisznej kryjówki i odpocząć z dala od gości. Wkrótce znalazła głęboką niszę z fotelami. Usiadła w jednym z nich i patrzyła na rozbawiony tłum.

- Jaka pani śliczna - dobiegł ją z tyłu kobiecy głos. Odwróciła się natychmiast. W najdalszym kącie stał wielki fotel. Kobieta o znajomych rysach siedziała tam z podwiniętymi nogami.

- Jestem zła, że Jack przed ślubem nie przedstawił pani rodzinie, choć zawsze domagał się, żeby reszta rodzeństwa jak najszybciej przyprowadzała do domu swoich wybranków.

Niebieskie oczy, włosy ciemnoblonde...

- Jest pani siostrą Jacka, prawda?

- Tess Malloy - przedstawiła się, kiwając głową. Wyciągnęła rękę i dodała z przyjaznym uśmiechem: - Witamy w rodzinie.

Melinda czuła się niezręcznie, ukrywając prawdę, ale nie miała ochoty wyjaśniać, że ich małżeństwo jest tylko na niby.

*Mąż idealny 367*

- Brat bardzo się o panią troszczy.  
- Nie randkuję, więc jego zdaniem nazbyt długo oplakuję zmarłego męża.  
- Tess przestała się uśmiechać i westchnęła ciężko, po chwili jednak twarz jej się wypogodziła.

- Za długo? - powtórzyła Melinda, lecz natychmiast pożałowała tych słów. Rzecz jasna, Jack najlepiej znał swoją siostrę, ale... - Jeśli kogoś naprawdę kochamy, zawsze nam go brakuje, prawda?

- Owszem - przyznała Tess.

Przez moment obie milczały, nie odczuwając skrępowania, a potem Tess zapytała:

- Skąd znasz mojego brata?

- Sherry nas sobie przedstawiła - machinalnie odparła Melinda. Siostra Jacka w milczeniu czekała na szczegóły.

Teraz rozumiem, dlaczego umiejętność prowadzenia lekkiej towarzyskiej konwersacji jest taka ważna, pomyślała Melinda, gdy przydługie milczenie stało się krępujące. Zdesperowana szukała bezpiecznego dla siebie tematu. Może by tak o dolegliwościach...

- Na co chorował twój mąż? - zapytała.

- Na raka trzustki - odparła Tess.

- Trudna sprawa - mruknęła współczująco Melinda. - Często się zdarza, że choroba przebiega bezobjawowo, a potem okazuje się, że jest za późno na leczenie.

368 *Kate Thomas*

Tess kiwnęła głową.

- Po tym jak postawiono diagnozę, Peter żył tylko osiem miesięcy, ale prawie nie cierpiał. To prawdziwe błogosławieństwo.

Wzruszona Melinda wspominała własną stratę, ale zdobyła się na wymuszony uśmiech. Były przecież na weselu.

- Miałaś przynajmniej dość czasu, żeby się z nim pożegnać.

- Tess podniosła głowę i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Racja - odparła z namysłem. - Nie wszystkim to jest dane...

- Aha! Tu jesteście! - Nagle stanął przed nim Jack. Podeszedł do Tess, objął ją ramieniem i z ponurą miną spojrzał na Melinę. Wydał jej się groźny i władczy jak więzienny strażnik.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z siostrą w cztery oczy. - To nie było pytanie ani prośba. Melinda została odprawiona.

Tess to rodzina, a ja nie, pomyślała, kiwając głową. Na odchodnym odwróciła się do Tess i powiedziała:

- Cieszę się, że panią poznałam.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała natychmiast Tess.

Gdy została sam na sam z bratem, uściśnął ją serdecznie.

- Nie przejmuj się tym, co ci nagadała...

- Jack, masz ptasi mózdzek. Brak ci taktu!

- przerwała mu Tess, odsuwając jego ramię. Po tej

### *Mąż idealny 369*

osobliwej uwadze chwyciła torebkę i szal, a potem oznajmiła: - Jadę do domu.

Zrobiła parę kroków i odwróciła się. Oczy jej płonęły. Wszyscy Halloranowie słynęli z wybuchowego temperamentu.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy w małżeństwie. Oby radość bycia we dwoje uzmysłowiła ci wreszcie, dlaczego nie chcę zapomnieć o moim mężu - powiedziała i wyszła.

Jack był całkiem zbity z tropu. Nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi. Czyżby przedwczesne wdowieństwo przyprawiło ją w końcu o lekką paranoję? Długo siedział zamyślony. Wrócił do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy dostrzegł Sherry, wymownym gestem pokazującą zegarek. Aha, czas opuścić salę.

Aby na przyszłość uniknąć przykrych sytuacji, trzeba będzie wytłumaczyć Melindzie, że z Tess należy postępować bardzo ostrożnie. Przyjęcie dobiegało końca. Nowożeńcy pożegnali rodzinę i znajomych, a następnie poszli do obszernej garderoby, gdzie mieli przebrać się w codzienne ubrania. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Melinda odwrócona tyłem do świeżo poślubionego męża sięgnęła za plecy i zaczęła rozpinąć niezliczone haftki. Uporała się z dwudziestoma, odsłaniając do połowy śliczne plecy, lecz daremnie wyciągała ręce, żeby dobrać się do kolejnych.

- Nie zdołam sama zdjąć tej sukienki. Możesz mi pomóc? - zapytała przymilnie.



370 *Kate Thomas*

Czemu nie? Wiedział, że nie powinien tego robić, ale machnął ręką na skrupuły. Wolno, milimetr po milimetrze odsłaniał najpiękniejsze plecy Ameryki Północnej. Nie mógł sobie darować, że pochopnie zrezygnował z fizycznej strony małżeństwa. Na szczęście ten fatalny błąd był do naprawienia. Zamierzał nad tym popracować, ale dziś wieczorem musiał dotrzymać słowa. Mógł tylko pomarzyć o czułym sam na sam. Nie wolno ryzykować, że Melinda ucieknie z krzykiem, a jutro wniesie o unieważnienie małżeństwa.

Odwrócenie do siebie tyłem włożyli ubrania. Kilka minut później wsiedli do samochodu Jacka i pojechali do Melindy.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o Tess - zaczął ostrożnie.

- Szczęściara z niej - powiedziała cicho. Gdy uśmiechnęła się, serce waliło mu jak oszalałe. - Od razu widać, że bardzo się o nią troszczysz.

Kto by pomyślał, że z pozoru oschła pani doktor okaże się dobrym psychologiem i bez trudu przeniknie jego intencje? Nawet rodzina nie potrafiła ich docenić. Wolał o tym zamilczeć, więc zmienił temat i zaczął mówić o rozgrywkach piłkarskich. Bezpieczny temat. Każdy coś wie, a Melinda chętnie słuchała i od czasu do czasu wtrącała rzeczowe uwagi.

- To tutaj - powiedziała, ziewając ukradkiem. Wskazała staromodny, piętrowy dom, niewiele różniący się od innych budynków w tej okolicy.

Jack zaparkował w garażu, wziął z tylnego sie-

### *Mąż idealny 371*

dzenia torbę, do której zapakował najpotrzebniejsze rzeczy, i pomógł Melindzie wysiąść. Razem poszli do drzwi wejściowych. Gdy zapytała go, czy chce od razu obejrzeć swój pokój, kiwnął głową, więc poszli na górę. Przy schodach idąca przodem Melinda odwróciła głowę, a ciemne włosy zafalowały jak płynna czekolada.

- Tu jest moja sypialnia - powiedziała, otwierając pierwsze drzwi po prawej stronie. Gdy pytająco uniósł brwi, dodała pośpiesznie: - Musisz wiedzieć, gdzie przynieść poranną kawę.

- Punkt piąta. Możesz na mnie liczyć - przyrzekł, a wyobraźnia podsuwała mu zmysłową wizję: lśniące, ciemne włosy rozsypane na poduszce, cudowne krągłości stworzone do jego pieszczot, pocałunki równie namiętne jak ten, który wymienili pod koniec ceremonii ślubnej.

- Tam jest twój pokój. - Melinda wskazała drzwi w głębi korytarza i raz jeszcze ziewnęła. - Przepraszam. Kto by pomyślał, że ślub i wesele to taka męcząca impreza. Potrzebujesz czegoś?

- Mam wszystko - odparł i ostrożnie minął w ciasnym korytarzu swoją żonę. - Zobaczymy się rano.

Kiwnęła głową i poszła do pokoju.

- Jasne. Dobranoc.

Pomaszerował do wskazanej przez nią sypialni. Przekroczył próg, niosąc torbę z rzeczami. Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po pokoju, w którym miał spać przez najbliższe pół roku. Uznał, że będzie mu tutaj wygodnie: osobna łazienka, własny

372 *Kate Thomas*

telewizor, wygodne łóżko. Starczyłoby w nim miejsca dla dwojga; można się nawet poturlać.

Dosyć! Melinda wyszła za męża, bo potrzebowała skrzętnej gospoisi, a nie namiętnego kochanka.

Jack nie mógł zasnąć. Leżał w ciemności i gapił się na sufit, próbując nie myśleć o ślicznych, gładkich plecach i zachłannym pocałunku. Jutro będzie łatwiej, zapewniał samego siebie, wierząc się na pościeli. Zajęć mu nie zabraknie. Trzeba się wdrożyć do nowych obowiązków.

Dziś jednak był wdzięczny losowi, że chce jej się harować do upadłego.

Dzięki temu stał się w tym domu niezbędny, więc mógł rzucić posadę maklera. Nie miał posady, ale zachował korzystne ubezpieczenie, bo miał żonę.

Dobrze się składa, że całymi dniami nie będzie jej w domu. Jak to mówią, co z oczu, to z serca.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cholerne radio bez ostrzeżenia rozdarło się na cały regulator, wyrywając nieprzytomnego Jacka z głębokiego snu. Popatrzył na zegar. Pół do piątej! Nacisnął wyłącznik, nim Britney zaczęła drugą zwrotkę. Jensen oraz jego klienci mogą poczekać dziesięć...

Chwileczkę! Koniec z międzynarodowym rynkiem akcji. Jack był wolnym człowiekiem. Nie, raczej mężem swojej żony, której za pół godziny miał podać kawę do łóżka. W osobnej sypialni.

- Chyba mi odbiło - wymamrotał, odrzucając kołdrę. Powlókł się do łazienki. - Idiota. Kretyn. Ciemniak do kwadratu!

Wziął szybki prysznic i popatrzył na przybory do golenia zostawione na toalecie. Nie ma mowy! Golenie przed świtem jest szkodliwe dla zdrowia.

374 *Kate Thomas*

No i dobrze. Przez całe pół roku miał pełnić obowiązki kury domowej, ale to nie oznacza, że powinien wyglądać jak wymuskana gosposia z reklamy. Nie po to zwał z firmy, żeby w domowym zaciszu dbać znowu o wyimaginowany prestiż.

Na golasa wyszedł z łazienki. Włożył bieliznę, dżinsy i koszulkę polo, którą miał na sobie wczoraj wieczorem. Sięgnął po zegarek i ruszył do nowych obowiązków. Zadanie numer jeden: poranna kawa dla Melindy Burkę. Łóżko pościeli się później.

Zszedł do kuchni i spojrzął na zegar mikrofalówki. Czwarta trzydzieści dziewięć. Idealnie. Miał sporo czasu. Otworzył szafkę nad ekspresem do kawy. Pusto. Zajrzał do następnej... I do kolejnej...

O czwartej czterdzieści siedem przerwał nerwowe poszukiwania. Stał pośrodku kuchni, wodząc spojrzeniem po rzędach szafek. Znalazł talerze płaskie i głębokie, szklanki oraz wszelki sprzęt kuchenny, w tym dwa dodatkowe ekspresy.

Tylko kawy nie było. Nawet odrobiny. Ani w ziarnach, ani mielonej, ani rozpuszczalnej.

Brakowało również artykułów spożywczych. W spiżarni znalazł tylko paczkę makaronu typu kolanka, torebkę soli, trzy tubki słodziku oraz pudełko krakersów tak wiekowych, że mogłyby trafić do muzeum kultury materialnej.

W lodówce była sterta paczuszek keczupu z barów szybkiej obsługi oraz słoik musztardy. Kuchnia pracoholiczki. Jack poczuł się bezsilny. Ale wpadka!

Jęknął rozpaczliwie, a potem zacisnął zęby.

### *Mąż idealny 375*

W takich chwilach Sherry, a także jego siostra i bracia twierdzili, że jest strasznym uparciuchem. Nie ma przebaczyć! Obiecał Melindzie poranną kawę i słowa dotrzyma. O piątej rano stanie przy jej łóżku z pełnym kubkiem.

Ciekawe, jak to zrobisz, mądralo, pomyślał ironicznie.

Czas ucieka. Trzeba działać.

Popędził na górę po kluczyki i portfel. Wypadł z domu jak burza i wskoczył za kierownicę niczym komandos podczas alarmu bojowego. Miał dwanaście minut, żeby znaleźć kafejkę, dokonać transakcji i wrócić z kawą. Trzeba pojeździć trochę, licząc na łut szczęścia. Musi tu być jakiś barek serwujący śniadania na długo przed świtem.

Jechał szybko, lecz wkrótce zwolnił. Przechodnie snuli się po ulicach jak zombi. Bał się, że potrąci kogoś. Nagle w odległości kilku przecznic zauważył tęczową poświatę i natychmiast się ożywił. Wkrótce zobaczył neon. To był niewielki barek!

Zegar na desce rozdzielczej połyskiwał złowieszczo.

Za dziesięć piąta. Czas ucieka! Nie można zawieść na samym początku.

Uradowany Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu, zerkając na kolorowy neon. Z piskiem opon skręcił na parking i wyskoczył z auta. Wpadł do kafejki i "natychmiast zamówił kawę, ale postawnej barmance w luźnym brązowym swetrze, z potężnym tapirem usztywnionym co najmniej jedną puszką lakieru, wcale się nie spieszyło. Wolno poczłapała

376 *Kate Thomas*

do ekspresu stojącego przy oknie łączącym kuchnię i salę dla gości. Jack nie chciał pogarszać sytuacji, okazując widome oznaki zniecierpliwienia, więc odwrócił się do niej plecami i oparł o brzeg kontuaru. Przy stolikach widział głównie mężczyzn w mundurach i uniformach, którzy przed świtem kończyli albo zaczynali służbę: policjantów, strażaków, ochroniarzy. Siedzieli i gadali albo palili papierosy, schyleni nad opróżnionymi do czysta talerzami, na których zostały jedynie plamy tłuszczu, żółte smugi jajeczniczy albo krople syropu klonowego. Jack wzdrygnął się na myśl, co by powiedziała Melinda, gdyby wiedziała, skąd przywiózł jej kawę.

O kurczę, pomyślał zaniepokojony, bo ścienny zegar wskazywał czwartą pięćdziesiąt cztery. Melinda nigdy nie pozna całej prawdy o gorącym napoju, który wkrótce zostanie jej podany. Trzeba zatrzeć ślady, co nie będzie trudne. Każdy głupi umie przelać kawę z kubka papierowego do porcelanowego i zanieść śpiącej żonie.

Oczywiście wyobraźni ujrzał Melinę w kusej koszulce. Wczoraj wieczorem nie mógł zasnąć, dręczony tą samą wizją.

- Kawa dla ciebie, przystojniaczku.

Jack odwrócił się w chwili, gdy barmanka i rekordzistka w zużyciu lakieru do włosów postawiła na kontuarze papierowy kubek. Jedną ręką nałożyła plastikową pokrywkę, a drugą sięgnęła do kasy i z królewską powagą wybiła należność. Zanim naczynie zostało przykryte wieczkiem, Jack do-

### *Mąż idealny 377*

strzegł tłuste oka pływające po powierzchni ciemnej cieczy uchodzącej w tym lokalu za kawę.

Człowiek będący w potrzebie nie ma wyboru i bierze, co mu dają.

Ciemny płyn był gorący i zawierał kofeinę. Dzisiaj dobre i to.

- Dolar i trzydzieści dziewięć centów, skarbie - rzuciła przymilnie barmanka o niskim głosie świadczącym, że od lat wdycha dym z tanich papierosów i kuchenne opary.

Jack wyjął z portfela dwa dolary, wręczył je, uśmiechając się szeroko i sięgnął po kubek.

- Reszty nie trzeba - powiedział.

- Dzięki, przystojniaczku. - Barmanka odsunęła jego dłoń i wolniutko umieściła kubek w specjalnym koszyczku służącym do przewożenia kawy na wynos. - Miłego dnia. Wpadaj częściej.

Nim skończyła zdanie, Jack był za drzwiami ze szkła i aluminium, ale szybko zawrócił.

- Macie tu mleko w małych kartonach? - zapytał, sięgając znowu po portfel.

Barmanka, która nadal tkwiła przy kasie, potakująco kiwnęła głową.

- Pani da jedno, ale chude. - Jack miał siostrę, więc doskonale wiedział, że dziewczyny stale walczą z nadwagą. - I jeszcze to. - Wskazał półkę, na której leżały torebki płatków śniadaniowych. - Pierwsze z brzegu.

Stracił znów parę bezcennych minut, ale stał się bogatszy o pożywne artykuły spożywcze. Pomknął do auta, uruchomił silnik i ruszył z pełną szybkością. Wyjechał z parkingu i pomknął opustoszałą



378 *Kate Thomas*

ulicą, notując w pamięci, że między pobieżne odkurzenie oraz przeglądanie gazetki z programem telewizyjnym trzeba wcisnąć porządne zakupy. Jak można do tego stopnia ogołocić spiżarnię, zastanawiał się z niedowierzaniem, ścinając zakręty, aby zyskać na czasie.

Mimo wczesnej pory sprawnie analizował fakty i wyciągał wnioski. Poranna inspekcja kuchni stanowiła widomy dowód, że Melinda nie poślubiła go z litości ani dla kawału, czego się obawiał w głębi ducha. Ta konkluzja sprawiła, że poweselał. Sprawnie zaparkował auto przed domem, wpadł do kuchni, przelał kawę do wielkiego kubka w zabawne wzorki i na wszelki wypadek postawił na tacy także cukiernicę. Otworzył torebkę płatków, wsypał trochę do miseczki, chwycił karton mleka i poszperał w szufladzie, szukając łyżki. Zerknął na zegar mikrofalówki. Minuta do piątej...

Zaklął, gdy elektroniczny pisk oznajmił pełną godzinę. Niosąc tacę, wbiegł po schodach, na chwilę postawił ją na komódce, przeczesał dłonią włosy i cicho zapukał.

Cisza.

Ponownie zastukał do drzwi. Nikt się nie odezwał. Cholera jasna, trzeba wejść do środka. Wahał się przez moment. Wreszcie nacisnął klamkę i wszedł do sypialni Melindy.

Uśmiechnęła się przez sen. Była odprężona i wypoczęta, a na dodatek miała przyjemny sen. Z oddali dobiegała kojąca muzyka, a niezwykle

### *Mąż idealny 379*

przystojny mężczyzna z czułością powtarzał jej imię.

Wtuliła głowę w poduszkę, mając nadzieję, że wyśniony kochanek nadal będzie słodkimi dźwiękami pieścić jej uszy. Oby tylko jego powierzchowność dorównywała głosowi.

- Hej, Melindo - mrucał. - Czujesz ten zapach?

Przyniósł kwiaty? Cudownie. Węszyła posłusznie. Ejże! Nie czuła kwiatowej woni. To całkiem inny zapach. Otworzyła oczy.

Nie zawiodła się. Wyglądał świetnie. Jack Hal-loran z każdym spotkaniem zyskiwał na atrakcyjności. Z porannym zarostem było mu do twarzy. Choćby to wystarczyło, żeby kobiece serce biło mocniej.

- Twoja kawa. O rany! - mruknął tonem towarzyskiej konwersacji. - Zapomniałem spytać, jaką pijesz.

- Czarną, bez cukru.

- Świetnie. Jest gorzka.

Melinda zamierzała usiąść, żeby sięgnąć po gorącą kawę, ale szybko się zreflektowała. Była w nocnej koszuli. Po chwili namysłu ponownie zmieniła zdanie. Niech Jack się przyzwyczaja. To nie jest jej problem.

Wyszła za męża, żeby ułatwić sobie życie, a nie żeby je komplikować.

Nawiasem mówiąc, sypiała w skromnym T-shircie. Zero zmysłowości. A poza tym oboje byli dorośli, więc deprawacja im nie grozi, i objęła dłońmi ciepły kubek i spod przymkniętych

380 *Kate Thomas*

powiek obserwowała Jacka. Mimo sporej krótkowzroczności od razu spostrzegła, że jest znacznie przystojniejszy niż prezenterzy jej ulubionej stacji telewizyjnej, a było tam na co popatrzeć.

Oprzytomnij, dziewczyno, skarciła się w duchu. Człowiek składa się ze skóry, mięśni oraz wielu innych elementów. Czym tu się zachwycać? Lekarka całym sercem oddana medycynie nie powinna zastanawiać się nad tym, jak hojnie natura obdarowała tego faceta.

- Przyniosłem płatki śniadaniowe i mleko - powiedział, robiąc krok w tył. Oddalał się od łóżka. Zmierzał ku drzwiom. Jakby z obawy, że...

- Śniadanko! - zawołała Melinda na widok płatków i mleka, w głębi ducha kpiąc z własnej głupoty.

W jej sypialni żaden przystojny facet nie miał powodu, żeby czuć się zagrożony. Uwiedzenie nie wchodziło w grę.

Musiła jednak przyznać, że zadanie potraktował bardzo poważnie i punktualnie przyniósł jej kawę do łóżka. I przygotował śniadanie.

Dwieście procent normy!

- Uważaj, bo przywyknę do tych wygod - powiedziała z uśmiechem. Przez moment miała wrażenie, że mężczyzna, za którego wyszła dość pochopnie, rozpromienił się, słysząc tę uwagę, i popatrzył na nią z zachwytem.

- Od dawna jem śniadanie, stojąc w korku, zwykle byle jakie. Pierwszy raz od wielu miesięcy przed wyjściem z domu zjem solidny posiłek.

## *Mąż idealny 381*

Jack wcisnął ręce w kieszenie.

- Masz dla mnie specjalne zadanie na dzisiaj? - zapytał.

Wypiła łyk kawy, wyskoczyła z łóżka i pomaszerowała do łazienki.

Zapaliła światło w łazience i zmusiła się do wydania dyspozycji.

- W pralni jest trochę brudnych rzeczy. Trzeba z tym zrobić porządek.

- Jasne. Wszystko będzie uprane - odparł, nadal zmierzając ku drzwiom.

Melinda przypadkiem zerknęła w lustro. Aha, nic dziwnego, że facet zwiewa, skoro ona wygląda jak uliczny obdartus. Małe, kaprawe oczka straciły cały urok, gdy zabrakło cieni i tuszu do rzęs, hojnie nałożonego podczas robienia makijażu przed ślubem. Obszerna koszulka była sprana. Melinda przyjrzała się uważnie i doszła do wniosku, że zniszczona bawełna mocno prześwituje, więc jej właścicielka nie wyglądała tak nobliwie, jakby się wydawało.

Stała na progu łazienki w skąpym stroju i władczy tonem wydawała Jackowi polecenia. I co z tego? Tak się umówiliśmy, tłumaczyła sobie. Dobrowolnie przyjął moje warunki. Zresztą nie mam wyboru. Bez niego nie dam sobie rady.

- Mam prośbę. Czy mógłbyś najpierw wrzucić do pralki bieliznę?

- Jasne. Dobra. Zrobi się - odparł i wybiegł z jej sypialni.

Melinda zdjęła T-shirt i weszła pod prysznic. Namydając się, myślała uradowana, jak przyjemnie

będzie mieć wreszcie zapas czystej bielizny. I wskoczyć znów we własne ciuchy. I wczesnym rankiem jadać śniadania. Codziennie! Była w siódmym niebie. Do takiego wniosku doszła, wycierając się starannie frotowym ręcznikiem.

Oczywiście nie ma róży bez kolców. Trudno powiedzieć, jak ma się zachować wobec obcego mężczyzny, z którym przez pół roku będzie mieszkać pod jednym dachem. Siadać razem do posiłków? Rozmawiać przy stole o wspólnych sprawach? No nie, chyba jeszcze na to za wcześnie. Prawie się nie znali. Na szczęście dziś mogła sobie darować tego rodzaju dylematy, bo gdy odświeżona i ubrana zeszła do kuchni, spojrzała na zegar. Późno! Trzeba jechać!

- Cholera! - krzyknęła, spoglądając łakomie na talerz z kanapkami na stole. Błyskawicznie przełożyła kilka na mniejszy talerzyk. - Czas na mnie. Wezmę kanapki ze sobą i zjem w aucie. Lece, pa!

Okulary zjechały na koniec nosa, więc podwójnie widziała Jacka.

Podwojony Jack spojrzał na nią z dezaprobatą, ale zapytał tylko:

- O której będziesz w domu?

Niech to diabli! Niski, zmysłowy głos przyprawił ją o miły dreszcz. Ten facet naprawdę pieścił kobietę, w ogóle jej nie dotykając.

- Ja... Sama nie wiem - mruknęła zakłopotana jego dociekliwością, ale szybko wzięła się w garść. - Raczej nie wrócę przed dwudziestą drugą. Bardzo dobra odpowiedź: krótka, stanowcza, profesjonalna.

Jack odprowadził ją spojrzeniem. Niesamowita była ta Melinda Burkę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniła się z larwy w motyla, a dziś rano uwodzicielska syrena w ciągu niespełna dziesięciu minut stała się rzeczową i beznamietną profesjonalistką.

### *Mąż idealny 383*

Jack ziewnął i uświadomił sobie, że w osiedlowym barku powinien zamówić dwie kawy. Zastanawiał się, czy pójść gdzieś na śniadanie, żeby uczcić pierwszy dzień miłej swobody. Uśmiechnął się i w geście zwycięstwa uniósł do góry zaciśniętą pięść. Nareszcie był wolnym człowiekiem!

Chichocząc radośnie, szedł do pralni, żeby spełnić prośbę nowej szefowej. Nacisnął klamkę, ale nie mógł otworzyć drzwi. Coś je zablokowało, więc naparł ramieniem, uchylił je... i mina mu zrzędła. Przypomniawszy sobie słowa Melindy. W pralni jest trochę brudnych rzeczy... Z niedowierzaniem spoglądał na stopy ciuchów piętrzące się w niewielkim pomieszczeniu. Melinda Burkę była mistrzynią świata w dziedzinie półprawd i nieudomówień.

Mówi się trudno. Jack przysiągł sobie w duchu, że nie bacząc na trudności, dotrzyma słowa i upora się z brudami. Rzecz jasna, nie było mowy o siedzeniu przed telewizorem. Rozgarniając zwały ciuchów, utorował sobie drogę do pralki. Umiał ją obsługiwać, lecz swoje koszule i garnitury oddawał zwykle do pralni, bo tak mu było wygodniej. Znalazł w szafce proszek i odmierzył sporą porcję. Teraz trzeba wrzucić rzeczy do bębna. Popatrzył na bezładnie rzucone ciuchy i przypomniał sobie, że

384 *Kate Thomas*

dobrze gospodynie sortują rzeczy przed wielkim praniem. Ale jak? Według jakiego kryterium? Co wziąć pod uwagę: kolor, rozmiar, tkaninę? Sam prał dzinsy ze skarpetkami i nic się nie działo.

W chwili słabości chciał zadzwonić do Sherry i poprosić o radę, ale uświadomił sobie, że w kwestiach dotyczących prowadzenia domu była równie bezradna, jak on.

- Mam pomysł! - szepnął.

Gdy posortował rzeczy, wrzucił bieliznę do pralki i wrócił do kuchni, zegar mikrofalówki .wskazywał piątą czterdzieści dwa... Był niedzielny poranek. To szaleństwo. Jack postanowił dać sobie spokój z innymi zajęciami i chwilowo spocząć na laurach. Potrzebował chwili oddechu. Niech pralka robi swoje.

Profesor Bowen uwziął się na Melinę. Uznał za stosowne skarcić ją, bo przedłożyła życie prywatne nad zawodowe i wzięła wolny dzień, żeby wyjść za mąż. Podczas obchodu zadawał podchwytliwe pytania. Nie mogła się skupić, bo raz po raz stawał jej przed oczyma przystojny mąż... a raczej gosposia.

- Czy milczenie oznacza, że nie zna pani odpowiedzi? - zirytował się Bowen, gdy trochę rozkojarzona zwlekała z odpowiedzią.

- Ależ skąd, profesorze - odparła spokojnie, nie zwracając uwagi na sarkastyczny uśmiech szczwanego lisa. Skupiła się i rzeczowo podsumowała informacje dotyczące chorego.

- Dobrze - odparł profesor z pozoru uprzejmie, choć jego głos ociekał jadem. - A już się bałam, że te wszystkie romantyczne bzdury rozmiękczyły pani mózg.

### *Mąż idealny 385*

- Proszę? - rzuciła lodowatym tonem, zaciskając w dłoni telefon komórkowy, który miała w kieszeni. - Byłam nieobecna tylko przez jeden dzień, załatwiłam swoje sprawy, a teraz skupiam się w stu procentach na kwestiach dotyczących stażu.

- I dobrze, Burkę - odciął się. - Tak się składa, że od moich stażystów wymagam zaangażowania większego niż stuprocentowe i żądam bezprzykładnego oddania.

Dobra, poświęcę się pracy ciałem i duszą, pomyślała rozzłoszczona, zatracę się w niej całkowicie. Po raz kolejny gratulowała sobie, że podjęła mądrą decyzję i poślubiła mężczyznę, który pomoże jej na sześć miesięcy zapomnieć o domowych obowiązkach.

Niesamowite, jak trzygodzinna drzemka stawia człowieka na nogi, dziwił się Jack, człapiąc do kuchni. Czuł się fantastycznie i był głodny jak wilk. Ruszył prosto do lodówki, ale w samą porę przypomniał sobie, że jest pusta. Trzeba uzupełnić zapasy. Będzie musiał się tym zająć. Po raz drugi tego ranka sięgnął po kluczyki i portfel. Zakupy zrobił w supermarkecie niedaleko serwującego kawę barku, który odwiedził przed świtem.

Melinda ciężko pracowała i żyła w ciągłym stresie, więc powinna się dobrze odżywiać. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czym jest zdrowa



*Kate Thomas*

żywność. Co wybrać? Pasztety sojowe? Odżywcze napoje dla sportowców?

Próbował wydedukować, jakie są kulinarne upodobania jego pani, krążąc z wózkiem po sklepie. Zakupy okazały się trudną próbą, ale mimo obaw, że sobie nie poradzi, wybrał mięso na pieczeń, a buszując w dziale z przekąskami był już w tak dobrym nastroju, że chętnie odpowiedział na powitanie emerytowanego sąsiada Melindy, który podszedł, żeby się przywitać i przedstawić. Był wyjątkowo uczynny, więc razem ładowali siatki do bagażnika. Wiekowy sąsiad miał na imię Bob. Okazał się nieco gadatliwy.

Po powrocie do domu Jack otworzył paczkę z gotowymi pierożkami. Zjadł jednego i przypomniał sobie o praniu.

o rany, domowa robota chyba nie ma końca. Odstawił talerz i poszedł do pralni. Otworzył drzwiczki automatu i wyjął skrawek materiału. Różowa bielizna. Sama słodycz. Zaintrygowany przerzucił zawartość bębna do suszarki. Same różowości.

- Co jest? - Nabrał podejrzeń i zaczął szukać przyczyny. W końcu trafił na bluzkę z czerwonego jedwabiu. Od niej zafarbowały się inne rzeczy.

Wszystko jednolicie różowe.

Był ugotowany.

I co teraz, kretynie, skarcił się, z ponurą miną spoglądając na podejrzany szkarłat. Zerknął na metkę, ale nie znalazł żadnej zrozumiałej wskazówki.

- Prać z kolorami - przeczytał na głos.

### *Mąż idealny 387*

Co to znaczy? Jak zakwalifikować barwę kości słoniowej lub jasnoniebieski. Pamiętał, że takie odcienie miała przed praniem bielizna Melindy.

Jak ona zareaguje, gdy odkryje, że zniszczył jej bieliznę? Gdyby chodziło o niego, mruknąłby, że nie ma problemu, i byłoby po sprawie, ale kobiety są inne i bardzo przywiązują się do rzeczy.

Jack obiecał sobie, że nie pozwoli, aby wyobraźnia podsuwała mu urocze obrazki Melindy odzianej w różową bieliznę. Nawet myśl o luźnej czerwonej bluzce okrywającej jej kremową skórę groziła utratą przytomności umysłu, więc skupił się na lekturze etykiet pofarbowanych fatalaszków. Odkrył, że większości z nich nie należy wybielać. Zalecano stosowanie wybielaczy bezpiecznych dla barwników, co uznał za bełkot. Najlepiej będzie chyba uprać wszystko po raz drugi. Po dwóch godzinach wszystkie rzeczy nadal były jóżowiutkie. Z posępną miną rozwiesił je na suszarce.

Zszedł na dół i zabrał się do roboty w nadziei, że uda mu się prawidłowo wykonać przynajmniej jedną domową czynność. Z odkurzaniem na pewno sobie poradzi. Każdy głupi, nawet były makler giełdowy, potrafi odkurzać.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Melinda cichutko wślizgnęła się do domu, chociaż nie sądziła, żeby stłumione odgłosy dobiegające z kuchni obudziły jej... No właśnie. Kogo? Po prostu Jacka. Najlepiej mówić o nim po imieniu i nie dochodzić, kim dla niej jest.

Nie łudź się, Burkę, pomyślała. Z tej mąki nie będzie chleba. Wybij sobie z głowy Jacka Hallorana, bo to nie jest facet dla ciebie. Zdjęła okulary i potarła oczy.

- Wiesz, która godzina? To ma być dziesiąta? Melinda aż podskoczyła. Kto tu...

- Czy w szpitalu wyłączyli telefony? Masz komórkę. Mogłaś chociaż wysłać wiadomość.

Nie mogła liczyć na przyjazne powitanie i spokojną rozmowę o minionym dniu.

### *Mąż idealny 389*

- Wzięłaś zegarek? - wypytywał dalej Jack charakterystycznym tonem wyrażającym urazę, obawę i rozczarowanie, który przybierała często matka Melindy, odkąd ta pod koniec studiów zaczęła pracować w szpitalu. To spostrzeżenie przyprawiło ją teraz o nerwowy chichot. - Co cię tak rozśmieszyło? - spytał zaczepnie Jack, kładąc ręce na biodrach. - Spóźniłaś się prawie dwie godziny! Martwiłem się, że coś ci się stało. Założyła okulary, żeby mu się przyjrzeć. Nie do wiary! Patrzył na nią spode łba, jakby miał pretensję. Ciekawe dlaczego. Musiała znosić złośliwe docinki Bowena, ale Jack Halloran nie miał prawa robić jej wyrzutów.

- Nie rozumiem, co ci do tego, o której...

- Co mi do tego? - przerwał jej tak samo, jak to robił Bowen. Może to przywara wszystkich facetów? Interesujące zagadnienie. Gdyby nie potworne zmęczenie, chętnie zbadałaby je od razu. - Nie zapominaj, że moim obowiązkiem jest troszczyć się o ciebie - perorował Jack. Oczy jaśniały mu niebieskim płomieniem, ale to Melindzie zrobiło się gorąco. Przystojny i troskliwy. Wyjątkowa kombinacja cech. Trudno się oprzeć takiej pokusie. Właśnie dlatego po uzupełnieniu kart swoich pacjentów została dłużej w szpitalu, czuwając przy chorych jak zwykła pielęgniarka. - Bałem się, że miałaś wypadek albo zostałam napadnięta na szpitalnym parkingu, albo... - Bezradnie rozłożył ramiona, a jego postać zdawała się

390 *Kate Thomas*

przez moment wypełniać niewielką kuchnię. - Albo coś w tym rodzaju. Facet ma bujną wyobraźnię, pomyślała, starając się nie zwracać uwagi na swój przyspieszony puls. Nie patrzyła na Jacka, bo w jego obecności ogarniało ją dziwne roztargnienie.

- Masz rację. Przepraszam. - Uśmiechnęła się, wyciągając rękę do zgody.  
- To... - wzruszyła ramionami - wspólne życie jest dla mnie nowością. Odzwyczaiałam się od niego.

Nie musisz się przed nim tłumaczyć, skarciła się natychmiast i dodała ironicznie:

- Nie oczekuję, że będziesz na mnie czekać z kapciami i gorącą herbatką.

- Zgoda, ale serwowanie gorących posiłków jest moim obowiązkiem. - Jack przestał się złościć, mówił chłodno i rzeczowo, lecz pozostał równie uwodzicielski, jak przedtem. - Gdybym od dziesiątej czekał z kolacją, do tej pory żadna potrawa nie nadawałaby się do jedzenia.

Czyżby? W takim razie lepiej zamówić pizzę i o dowolnej porze odgrzać w mikrofalówce. Moment! Co on powiedział?

- Gdybyś czekał z kolacją? Jak mam to rozumieć? Czy to oznacza, że nie dostanę nic do jedzenia?

- Nie łap mnie za słówka. Mam cię wyręczać we wszystkich pracach domowych, więc będę dla ciebie gotować, ale musisz zjadać potrawy, które upichcę.

- Raz jeszcze przepraszam. Muszę przywyknąć,

## *Mąż idealny 391*

i że nie mieszkam już sama - oznajmiła i chciała pójść na górę, ale Jack zastąpił jej drogę. Był nieustępliwy jak tama przecinająca koryto rzeki, więc dodała:

- Następnym razem zadzwonię. Przestań się o mnie martwić. Nie muszę jeść kolacji. Koleżanka miała urodziny, więc zjadłam spory kawałek tortu

- wyjaśniła, starając się nie zwracać uwagi na ogarniające ją pożądanie.

To chwilowa aberracja. Pobrali się przecież, bo tak im było wygodnie.

Uczucia i pragnienia nie miały z tym nic wspólnego.

Gdy usłyszał, że opychała się ciastkami, z jawnym niezadowoleniem pokręcił głową. Zabawne wicherki nad czołem opadły mu na brwi.

- Tortu nie można uznać za solidny posiłek. To puste kalorie, Melindo -

ciągnął mentorskim tonem. - Pochłaniasz je niepotrzebnie. Kto pracuje tak ciężko jak ty, lecz marnie się odżywia, szybko traci formę. - Minał ją i podszedł do lodówki.

- Dobrze się stało, że byłem dziś w sklepie. Musiałem obrócić dwa razy.

Wziąłem kilka gotowych dań. Mogę ci coś odgrzać w mikrofalówce.

- Tyle to sama potrafię - odcięła się pogodnie, wchodząc do kuchni.

Poruszając się z gracją solisty rosyjskiego baletu, wyciągnął rękę, nie pozwalając jej przejść, więc przystanąła, bo nie chciała szarpać się z nim.

- Podam ci kolację - oznajmił cicho, lecz stanowczo. Minę miał zaciętą. -

To mój obowiązek.

- Moim zdaniem powinniśmy ustalić pewne zasady - odparła.

- Wydaje mi się, że już to zrobiliśmy - powiedział

392 *Kate Thomas*

i dodał pojednawczym tonem: - Ja tu sprzątam i gotuję.

- Ale nie musisz na mnie czekać do późna. Zrozum, mój szef, profesor Bowen, jest bez reszty oddany swojej pracy...

- Poganiacz niewolników!

- Uprzedzałam cię, że pracuję jak szalona...

- Pamiętam.

- Nie wymagam od ciebie, żebyś przez całą dobę był na nogach.

- Wiem, i dlatego przed południem zdrzemnąłem się parę godzin - wyznał z pogodnym uśmiechem, a Melindę ogarnęło miłe rozrzewnienie. - Ale później się nie leniłem - zapewnił skwapliwie. - Prawie całe popołudnie spędziłem w supermarkecie. Kupiłem mnóstwo pysznego jedzenia i wydałem prawie trzysta dolarów.

- Ile? - spytała z niedowierzaniem. Czyżby poślubiła faceta uzależnionego od zakupów?

- Dokładnie dwieście trzydzieści dziewięć dolców i siedemdziesiąt centów.

- Sądziłam, że wystarczy ci pięćdziesiąt - odpowiedziała słabym głosem.

- Rzuć okiem na paragon, a przekonasz się, że kupiłem same potrzebne rzeczy, których ci od dawna brakuje.

Melindzie zaburczało w brzuchu. Jack położył rękę na jej ramieniu, zachęcając, żeby usiadła przy stole.

- Zjesz pieczonego kurczaka?

- Jasne. - Zadowolona, że tak gładko rozstrzyg-

### *Mąż idealny 393*

nęli spór, pokiwała głową niczym maskotka umieszczana przez kierowców za tylną szybą aut. - Dobry pomysł.

Niech mu będzie, choć najchętniej poszłaby na górę i położyła się do łóżka, ale tak się przejął powinnościami, że byłby dotknięty do żywego, gdyby odmówiła zjedzenia kolacji.

Posłusznie usiadła przy stole i z przyjemnością obserwowała szykującego posiłek Jacka. Prawdziwa uczta dla oczu.

- Zauważyłaś, że kuchnia i piekarnik są zepsute? - spytał, wkładając kurczaka do mikrofal.

- Nie. - Skąd miała wiedzieć takie rzeczy?

- Dlatego nie przygotowałem normalnego obiadu - tłumaczył, nastawiając urządzenie. - Wezwałem fachowca, ale...

- W niedzielę żaden się nie pofatyguje. - Nawet ona wiedziała, że całodobowy serwis to unikat.

- Zadzwoń do firmy, która podobno działa na okrągło, ale to bujda. - Jack z ponurą miną patrzył na kurczaka obracającego się w mikrofal. - Powiedzieli, że przyślą kogoś najwcześniej we wtorek.

Melinda po raz kolejny zdała sobie sprawę, że trudno jej porozumieć się z ludźmi. Miała w tej dziedzinie spore braki. Nie wiedziała, jak dać Jackowi do zrozumienia, że drobna wpadka nie zostanie przez nią potraktowana jako karygodne uchybienie albo kataklizm zagrażający bezpieczeństwu publicznemu.

- Nie szkodzi. Przez kilka dni będziemy się raczyć gotowymi daniami - odparła pogodnie.



394 *Kate Thomas*

- Ale ja obiecałem ci domowe posiłki!

Jack naprawdę wydawał się zdruzgotany. Poczowała niewytłumaczalną chęć, by rzucić się w jego ramiona, pocieszyć... i tak dalej.

Ciekawe, jak daleko gotowa się posunąć.

Rozległ się dzwonek kuchenki mikrofalowej.

Uratowana przed samą sobą Melinda sięgnęła po torebkę i wyjęła książeczkę czekową.

- Muszę ci zwrócić pieniądze. Dwieście trzydzieści dziewięć dolarów i siedemnaście centów, prawda? Kupiłeś z tonę żarcia.

Gdy Melinda jadła kurczaka, Jack z ponurą miną planował jutrzejsze zajęcia. Przede wszystkim sprzątanie. Gruba warstwa kurzu na meblach w jadalni i salonie wyglądała jak prehistoryczna skamielina. Trzeba również zadbać o ogród. Zadrzał. Trawnik przed domem znów wymagał koszenia, wybijałe krzewy przypominały tropikalną dżunglę, a basen wypełniony był zielonkawą wodą tylko do dwóch trzecich wysokości. Ten dom jest okropnie zaniedbany, ale na pół roku masz tu dach nad głową, więc musisz o niego zadbać, pomyślał. Gdy wspomniał Melindzie, co zamierza, odparła natychmiast:

- Nie spiesz się za bardzo. Robota nie zajac, nie ucieknie. Domyślam się, że nie miałeś czasu, żeby zrobić pranie - mruknęła, pochmurniejac.

Trafiony, zatopiony! Niech to diabli!

- Owszem. Jedno.

Jack patrzył jak urzeczony, bo Melinda spojrzała na drzwi i rozpromieniła się nagle. Ciężkie okulary à la Elvis Costello i workowata sukienka nie

### *Mąż idealny 395*

mogły skryć jej urody. Rozpogodzona twarz promieniała, zielone oczy rozbłyły, a pogodny uśmiech wy dobył na jaw wszystkie atuty.

- Och, cudownie!

Jack przypomniał sobie weselnego całusa. Najchętniej poprosiłby o bis, ale najpierw musiał wyznać Melindzie, co się stało z jej bielizną.

- Powinnaś wiedzieć, że w czasie prania wystąpiły niewielkie perturbacje.

- O Boże! Automat się zepsuł, tak?

- Ależ skąd! Działa. - Jack pomyślał, że z dwojga złego wolałby awarię. - Rzeczy wyprałem i wysuszyłem. - Próbował zebrać się na odwagę. -

Problem w tym, że są... różowe.

Jack był przygotowany na to, że Melinda wybuchnie gniewem. Jej oburzenie byłoby całkiem zrozumiałe. Wcale by się nie zdziwił, gdyby ukarała go grzywną za niedbałość i wyrządzone szkody.

Wyciągnęła rękę. Kiedy dotknęła jego przedramienia, poczuł elektryzujący dreszcz.

- Mniejsza o kolor - powiedziała cicho, wprawiając go w jeszcze większe zakłopotanie. - Dzięki.

- Zawsze do usług - wykrztusił z trudem, bo stanęła mu przed oczyma Melinda w różowych skrawkach koronki oraz jedwabiu. Albo bez nich.

- Załatwiam sprawę twojego ubezpieczenia. Jutro wezmę potrzebne formularze. Możesz wpaść do szpitala około jedenastej? Wpłaciłam już za ciebie kaucję do naszej kasy chorych, więc teraz możesz się spokojnie leczyć, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jack był szczerze uradowany. Co za dziewczyna: śliczna, serdeczna i szczodra. Gdyby kiedyś zmienił zdanie i postanowił się zakochać, poszukałby panny takiej jak ona.

Usłużna pamięć podsunęła mu obraz złamanej cierpieniem siostry. Miłość oznacza cierpienie. Trzeba o tym pamiętać, skoro przez pół roku będą się bawić w dom i małżeństwo.

Gdy kuchenka i piekarnik zostaną naprawione, łatwo będzie przygotować dobrą kolację. Trzeba postarać się o markowe wino. Przy jedzeniu i szlachetnych trunkach dobrze się rozmawia. Będą mieli sposobność, żeby się lepiej poznać...

- Mam prośbę - zaczęła Melinda, spoglądając na Jacka znad okularów. - Nie czekaj na mnie więcej, zgoda?

Niechętnie kiwnął głową. Z jego prywatnych i zawodowych doświadczeń wynikało, że do celu wiedzie kilka dróg. Trzeba opracować plan B.

- Jasne - odparł. Melinda nie podniosła wzroku. Po chwili mruknął: - Dobranoc.

- Dobranoc, Jack

Nadszedł wtorek. Lenny, fachman od kuchenek i piecyków, nie raczył nawet zadzwonić. Pojawił się dopiero w czwartek, wyłącznie po to, by poinformować, że producent nie przysłał jeszcze brakującej części.

Zirytowany Jack miał na końcu języka kąśliwą uwagę, że magazyny są chyba na antypodach, ale darował sobie złośliwości. Bardzo mu zależało na tej naprawie, więc uznał, że lepiej nie zadzierać z Lennym, zwłaszcza że obdzwonił jego kolegów po fachu i przekonał się, że zbywanie klienta to powszechna przywara. Nie miał wyjścia, musiał czekać cierpliwie, aż Lenny się nad nim zlituje.

### *Mąż idealny 397*

Potwornie zmęczona Melinda wysiadła z auta i powlokła się do drzwi. W domu było zupełnie cicho. Rzuciła torebkę na kuchenny stół i opadła ciężko na jedno ze stojących przy nim krzeseł.

Byłoby przyjemnie, gdyby... Zdusiła w zarodku wizję, która prześladowała ją od dziesięciu dni: serdeczne powitanie w holu, wspólna kolacja, rozmowa we dwoje o minionym dniu, kojący dotyk rąk Jacka. Śnisz na jawie niczym nastolatka, Burkę, skarciła się bezlitośnie.

Dochodziła druga w nocy. Zmęczenie niemal zwałało z nóg. Zabieg endoskopii przeciągnął się, a Bowen nie omieszkał jej tego wytknąć i dopilnował, żeby cały oddział wiedział o niedociągnięciach pechowej stażystki.

Simons omal nie przeciął małemu pacjentowi wątroby, ale został ukarany tylko pogardliwym prychnięciem i wypowiedzianą półgębkiem złośliwą uwagą.

Spośród wszystkich podopiecznych Bowen właśnie ją upatrzył sobie na ofiarę. Na co dzień zupełnie się tym nie przejmowała, ale kiedy była głodna, zła, samotna i znużona tak jak dziś, buntowała się przeciwko takiej niesprawiedliwości.

Nigdy się nie poddawaj, nakazała sobie w duchu i słuchając własnej rady, wstała, sięgnęła do lodówki

398 *Kate Thomas*

po mrożonkę i uważnie przeczytała etykietkę, bo poprzedniej nocy zmarnowała kurczaka w warzywach, zbyt długo trzymając go w mikrofalach. Danie wysuszone na wiór nie nadawało się do jedzenia. Czekała, aż potrawa się odgrzeje, poszła do salonu, żeby popatrzeć na portret brata i utwierdzić się w przekonaniu, że warto cierpieć bez słowa skargi i w nieprzyjaznej atmosferze harować po kilkanaście godzin na dobę.

Łzy napłynęły jej do oczu i wzruszenie ścisnęło za gardło, gdy wpatrywała się w roześmianego chłopca na trójkołowym rowerku. Minęło tyle lat, lecz nadal tęskniła za Harrym. Nie mogła go wskrzesić, ale postanowiła uczynić wszystko, co w jej mocy, żeby ratować inne dzieci. Dla osiągnięcia tego celu gotowa była znosić cierpkie uwagi Bowena i wyrzec się prywatnego życia, choć to drugie ostatnimi czasy przychodziło jej z niemałym trudem.

Hej, dość narzekania, nakazała sobie.

Musiała przyznać szczerze sama przed sobą, że wystarczyło pół godzinki spędzane z Jackiem każdego ranka, żeby obudziło się w niej pożądanie. Cieszyły ją czyste ubrania i ciepłe posiłki, lecz najbardziej pragnęła jego bliskości.

Przed świtem przynosił jej do łóżka kawę, teraz o wiele lepszą niż pierwszego dnia. Tłumaczyła sobie różnicę tym, że przywykła do nowego smaku i sposobu parzenia.

### *Mąż idealny 399*

Dotrzymywał jej towarzystwa przy śniadaniu, raz próbował nawet usmażyć jajecznicę w mikrofalni, a potem był zły, bo ścięła się za szybko i była zbyt sucha. Gdy Melinda jadła poranne płatki, czekał na dyspozycje, lecz wychodził z kuchni, gdy wstawiała od stołu.

Nie odwzajemniał jej uczuć. Nic dziwnego, skoro codziennie widział istne czupiradło: potarganą dziewczynę z podkrążonymi oczyma i spierzchniętymi wargami. Sam od świtu prezentował się znakomicie. Cień zarostu na policzkach dodawał mu uroku podobnie jak luźna koszulka i bose stopy.

Usłyszała dzwonek mikrofalówki, ale nie pobiegła do kuchni. Zwykle miała wilczy apetyt, lecz dziś nie ciągnęło jej do jedzenia.

Czy są jakieś nowe kartki?

Zostawiał je pod solniczką na kuchennym stole, przylepiał do mikrofalówki, wsuwał pod magnes na lodówce, który miał kształt hamburgera. Nie były to liściki miłosne tylko konkretne pytania lub krótkie relacje z kolejnych etapów walki o naprawienie kuchenki i piekarnika, która nie doszła jeszcze do skutku.

Melinda popatrzyła na karteczki. Same starocie.

„Gdzie znaczki?”

- Na biurku w gabinecie - przeczytała własną odpowiedź na tej samej kartce.

„Nie znalazłem odkurzacza. Ratunku!”

Podawała przybliżoną lokalizację.

„Fachowiec nie przyszedł!”

A miał być we wtorek. No tak, kartka wisi tu od paru dni.

400 *Kate Thomas*

„Lenny raczył się wreszcie zjawić! Nic nie zrobił. Czeka na zamówione części zamienne!”

Jakie to żalosne! Czerpała radość z zapisków dotyczących zepsutego sprzętu gospodarstwa domowego. Oprócz tej zdawkowej korespondencji nic jej nie łączyło z Jackiem.

Powłokła się do kuchni, wyjęła z mikrofali odgrzane danie i poszła z talerzem do salonu. Gdy usiadła na kanapie, uderzyło ją, że pokój wygląda jak pomieszczenia na zdjęciach w czasopismach wnętrzarskich. Idealny porządek i ład. Fachowe pisma lekarskie ułożone równiutko na dolnej półce stolika. Finansowe skrypty, książki i notatki Jacka w schludnych stosikach obok bujanego fotela jej ojca. I tu nie było żadnej karteczki. Jack nie miał dziś ochoty do niej pisać.

Nie chciała myśleć o swoim zauroczeniu, więc łapczywie rzuciła się na jedzenie. Włączyła telewizor i zjadła kolację, oglądając film dokumentalny o zawiłościach współczesnego prawa.

Najedzona poszła na górę i przez chwilę stała u szczytu schodów, zerkając na drzwi w głębi korytarza.

Zapomnij, pomyślała. Masz czyste ciuchy i pełną lodówkę. Po co ci romans?

Zniknęła w swoim pokoju i położyła się spać.

Jack ze złością rzucił słuchawkę. Po dwudziestu minutach oczekiwania dostąpił zaszczytu krótkiej rozmowy z sekretarką Lenny'ego, która obiecała

## *Mąż idealny 401*

zapytać szefa, kiedy można będzie naprawić kuchenkę. Zajął jej to siedemnaście minut. - W przyszłym tygodniu?! - krzyknął z niedowierzaniem Jack.

Bob, stary natręt z sąsiedztwa, który wpadał na kawę i zanudzał Jacka opowieściami o drugiej wojnie światowej, przewidział, że tak będzie. Nie dowierzał zadufanym w siebie osobnikom takim jak Lenny.

Jack był zdruzgotany. Melinda przez cały następny tydzień będzie musiała jeść odgrzewaną pizzę i gotowe dania z zamrażarki.

Rola kury domowej okazała się trudniejsza, niż sądził. Wszystko szło na opak. Zwykły odkurzacz stał się narzędziem tortur. Grzbiet bolał od łażenia z kąta w kąt, wciągania ciężaru po schodach, podnoszenia dywanów i ciężkich zasłon, ratowania wciąganych przedmiotów, zwijania i wyciągania sznura.

Pranie? Niekończące się zajęcie. Stale miał co włożyć do pralki. Odkąd czytał uważnie metki i przestał wyobrazać sobie właścicielkę pranych rzeczy zrzucającą kolejne fatalaszki, pranie stało się niemal nudne.

Prawdziwe mistrzostwo osiągnął w prasowaniu i przyszywaniu guzików. Denerwowała go obojętność Melindy. W ogóle nie interesowała się tym, co robił. Po niedzielnej sprzeczce prawie nie rozmawiali. Nie wchodzili sobie w drogę. Mijali się.

Ogólnie rzecz biorąc, nie miał powodu do narzekania. Wymagano od niego jedynie porannej kawy o świcie. Potem mógł robić, co chciał. Nie powinien



402 *Kate Thomas*

marudzić, bo chociaż wzięli ślub, o miłości czy namiętności nie było mowy. A jednak chętnie spędzałby więcej czasu w towarzystwie Melindy.

Jej obecność stanowiła jednak pewne niebezpieczeństwo, o czym przekonał się dziś rano. Jak zwykle zaparzył kawę i zaniósł do sypialni. Wyszeptał imię żony. Nie otworzyła oczu, tylko uśmiechnęła się i przeciągnęła rozkosznie pod kołdrę. Sprawiała wrażenie bezbronnej i bardzo zmęczonej, ale wyglądała prześlicznie.

Machinalnie wyciągnął rękę i odgarnął włosy opadające jej na twarz, niezwykle delikatne i miękkie w dotyku. Nadal spała, więc ośmielony pochylił się i musnął ustami jej skroń. Ogarnęło go nieprzeparte pragnienie, żeby wślizgnąć się pod kołdrę i obudzić Melindę pieszczotami, ale oparł się pokusie. Włączył radio na cały regulator. Gdy w pokoju rozległo się ogłuszające wycie młodego rapera, uciekł na dół. Z uśmiechem wspominał tamto zdarzenie. Krążąc po salonie, podszedł do regałów z książkami, na których stały fotografie w ramkach. Lubił patrzeć na zdjęcia Melindy. Była ślicznym dzieckiem. Wyglądała uroczo jako dumna strojnisia w balowym kostiumie albo plażowych szortach. Najbardziej podobała mu się na trójkołowym rowerku, do którego przyczepiony był plastikowy wózek. Siedział w nim mały chłopczyk. Melinda uśmiechała się z tryumfem.

Czy pani doktor, oddana bez reszty swojej pracy, umiała jeszcze cieszyć się życiem jak mała dziew-

### *Mąż idealny 403*

czynka? Wiedział z własnego doświadczenia, że taka zdolność jest człowiekowi bardzo potrzebna. Melinda powinna zmienić priorytety, żeby ją w sobie ujawnić.

Trzeba jej w tym pomóc, wyciągnąć ze skorupy. Warto by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Melinda to zakazany owoc. Wabi urokiem nowości, lecz jeśli mu spowszednieje, niebezpieczne zauroczenie pryśnie jak bańka mydlana. Żeby to osiągnąć, należy przejść do natarcia.

Odwiedziny w szpitalu, wspólny obiad, przyjemna rozmowa. Po kilku spotkaniach Melinda przestanie go intrygować i problem z głowy. Oboje będą zadowoleni. Byle tylko jej szef nie bruździł. Tym facetem powinna się zainteresować Amnesty International. Jak można dzień po dniu trzymać stażystów w szpitalu przez kilkanaście godzin?

- Muszę coś z tym zrobić - mruknął gniewnie, oglądając nudny serial.

Tess na pewno uznałaby, że wtrąca się w nie swoje sprawy, a Sherry robiłaby ironiczne uwagi o słoniach w składzie porcelany i dobrych chęciach, którymi piekło jest wybrukowane, ale uznał, że jako mąż ma prawo ingerować w życie Melindy. Zerwał się z fotela i wyłączył telewizor.

- Po co tracić czas?! - zawołał.

Tak, musi działać. Trzeba się przewietrzyć. Szukał pretekstu, żeby wyjść z domu. Codzienne zakupy już mu nie wystarczały.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Melinda wrzuciła do kosza zużyte rękawiczki, przysłuchując się tyradzie profesora Bowena, który bezceremonialnie wytykał błędy Danowi. Gdy ruszyli w głąb korytarza, podniosła wzrok i spostrzegła przystojnego mężczyznę stojącego naprzeciwko podwójnych oszklonych drzwi i nonszalancko opartego o ścianę. Chwileczkę! Ten facet wygląda znajomo. Przecież to...

- Jack?

Podszedł bliżej, uśmiechając się promiennie! Do niej!

- Cześć, Melindo!

Bowen miał chyba chyba dookoła głowy i słuch nietoperza, bo przystanął w pół kroku, zawrócił i podszedł bliżej.

*Mąż idealny 405*

- Znajomy przyszedł w odwiedzinę? - spytał, porzucając Dana, który tchórzliwie umknął, zostawiając koleżankę na pastwę okrutnego potwora.

- Proszę nas przedstawić.

Raz koź się śmiej, pomyślała z ponurą miną i dokonała prezentacji. Z cichą satysfakcją zauważyła, że Jack jest o głowę wyższy od szefa, który na dźwięk nazwiska Halloran nadstawił uszu.

- Miło mi pana poznać - powiedział z wymuszonym uśmiechem. Od razu dało się zauważyć, że panowie nie przypadli sobie do gustu. - Jest pan od niedawna mężem doktor Burkę, prawda?

Jack kiwnął głową. Zaskoczona wizytą Melinda uparcie milczała. Kiedy zobaczyła go w szpitalu, nie wiedziała, jak się zachować. Ignorując szefa, zapytała trochę nieskładnie:

- Co... co ty tutaj robisz?

Szybko zorientowała się, że ta uwaga jest nie na miejscu. Przeklinała w duchu swój brak towarzyskiego obycia.

- Czeka na panią, doktor Burkę - odparł sarkastycznie Bowen. - Należało raczej spytać, dlaczego przyszedł.

Jack wodził spojrzeniem od Melindy do profesora.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy pójść na kolację. Zgłodniałaś?

Wiem od pielęgniarek, że operacja się przeciągnęła.

Bowen odsunął Melinę i stanął twarzą w twarz z Jackiem.

- Chirurg przebywa w sali operacyjnej tak

406 *Kate Thomas*

długo, jak trzeba. Nam się nie płaci za godzinę

- burknął opryskliwie.

Zdumiony Jack otworzył szeroko oczy. Melinda uznała pobłażliwie, że nie przywykł do takiej wrogości, i postanowiła ratować sytuację.

- Jack doskonale to rozumie - wtrąciła pojednawczym tonem. - Do niedawna pracował jako makler giełdowy, a teraz...

Niech to diabli! Zapomniała, kim chciał zostać. Coś związanego z finansami... Doradztwo?

- Teraz jestem stęsknionym mężem, który przybył, żeby ratować żonę.

- Jak to: ratować, panie Halloran? Sądzi pan, że tutaj grozi jej niebezpieczeństwo? - zachnął się profesor.

Melinda zdrętwiała. Bowen to stary drań, ale trudno odmówić mu bystrości. Na pewno domyśla się, o co chodzi. Bez namysłu objęła Jacka w pasie i przytuliła się do niego.

- Oczywiście! Mąż chce mnie uchronić przed niedożywieniem. Wie, że w pracy zapominam o posiłkach, więc przyszedł dopilnować, żebym coś zjadła. W domu sytuacja jest trudna, bo zepsuł nam się piekarnik i kuchnia. Moim zdaniem Jack przesadza, bo w mikrofalówce...

- Melinda za bardzo przejmuje się pracą

- wpadł jej w słowo Jack, miłosiernie przerywając bezładny potok słów. -

Nie powinna przesiadywać w szpitalu do późnej nocy ani zapominać o posiłkach. Gdy wraca do domu, strach na nią popatrzeć. Ledwie trzyma się...

*Mąż idealny 407*

- Jest cudowny, prawda?! - zawołała rozpromieniona Melinda, uznając, że trzeba przerwać niebezpieczną tyradę. - Bardzo się o mnie troszczy. Zdumiała ją mina Bowena, który w pierwszej chwili wydawał się zdumiony, a potem jakby... zawstydzony.

Wykluczone! Z pewnością miała halucynacje.

- Ktoś musi. Każdy głupi wie, że stan zdrowia wpływa na efektywność pracy, a wy tu nie łącacie opon, tylko ludzi.

Aha! Bowen wygląda, jakby lada chwila miał dostać zawału. Odezwij się, Burkę! Zrób coś!

- Och, przestań, kochanie. - Melinda przybrała pozę zmysłowego kociaka.

- Powiedzmy sobie szczerze, że to ty masz dość gotowych dań, kotku. Apetyt dopisuje, prawda?

- Naturalnie. - Ujął dłoń Melindy, pochylił się i pocałował ją w usta.

- Chyba i ja powinienem coś przekąsić - oznajmił piskliwym głosem Bowen w chwili, gdy zetknęły się ich wargi.

Jack podniósł głowę, lecz nadal patrzył na usta żony.

- W takim razie nie będziemy pana zatrzymywać - mruknął z roztargnieniem i uśmiechnął się tajemniczo.

Zdumiony Bowen uniósł brwi. Melinda omal nie jęknęła. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Po chwili profesor wzruszył ramionami.

- Do jutra, Burkę - powiedział i odszedł.

- Jestem zdumiony, że ten pyszałek tak szybko

408 *Kate Thomas*

zorientował się, o co chodzi - przyznał Jack, nie i wypuszczając jej z objąć. Razem poszli w głąb i korytarza oświetlonego widmowym blaskiem jarzeniówek.

Moment. Coś tu nie gra.

Ostrożnie wysunęła się z objąć Jacka i pomaszerowała dalej, próbując wziąć się w garść.

Traciła głowę. Dziś rano śniła o pocałunku: subtelnym, czułym dotknięciu skroni. Zamiast wypoczywać traciła czas na głupie mrzonki, a teraz rozkleiła się tylko dlatego, że ramię przy ramieniu szła z Jackiem szpitalnym korytarzem. I co dalej, Burkę? Rzucisz mu się na szyję? Bzdura! Jej życiowy cel był w zasięgu ręki, więc nie powinna marnować czasu na takie głupstwa. Przez tyle lat obywatela się bez rozmaitych przyjemności; to nie jest odpowiednia pora, żeby się im oddawać.

Randkowanie i zmysłowe doznania wcale jej nie obchodziły. Była ponad te kobiece słabostki.

- Wiem, że masz na coś ochotę - powiedział Jack, znów obejmując ją ramieniem. Każde jego dotknięcie wytrącało ją z równowagi i tłumiło silną wolę - Ale na co?

Gdyby miała odpowiedzieć szczerze, zamiast wyliczać ulubione potrawy wyznałaby, że pragnie męskiego dotknięcia, ciepłego uśmiechu, rozmowy o sprawach niezwiązanych z medycyną.

Popatrzyła na zegarek. Obchód będzie dopiero za pół godziny. Dlaczego nie miałyby spędzić trochę czasu z Jackiem?

- Jeśli się pospieszymy, w szpitalnej stołówce

*Mąż idealny* 409

uda się jeszcze coś zjeść. - Melinda postanowiła upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: nacieszyć się obecnością Jacka i zaspokoić głód.

- Do stołówki? Myślałem raczej o dobrej restauracji.

Gdyby mu pozwoliła, wybrałby elegancki lokal, w którym przy smacznych daniach można odpocząć po męczącym dniu.

- Wykluczone. Za pół godziny muszę wrócić na oddział - poinformowała rzeczowo i przyspieszyła kroku.

- Proszę? Wracasz do pracy? Dziś wieczorem? To mu się nie mieściło w głowie. Nie mógł

przyjąć tego do wiadomości ani pogodzić się z takim szafowaniem siłami. Melinda nie miała pojęcia, jakie bywają skutki przepracowania, ale dla niego te sprawy nie były tajemnicą.

- Kochanie... - zaczął, spoglądając prosto w zielone oczy. Postanowił użyć magicznego sformułowania, którym posługiwały się zwykle kobiety. Dla facetów takie słowa były sygnałem, że trzeba wiać.

- Kochanie, musimy porozmawiać.

- Jasne - mruknęła, przechodząc obok niego.

- Ale potem. Musimy dotrzeć do stołówki najpóźniej za trzy minuty, bo zamkną nam drzwi przed nosem. Jeśli nie zdążymy, trzeba będzie zamówić pizzę albo zadowolić się kanapkami z bufetu.

Jej argumenty trafiły Jackowi do przekonania. Miał dość takich dań.

- Dobra. Prowadź.



410 *Kate Thomas*

Zdążyli. Gdy stanęli przy kontuarze, do zamknięcia stołówki pozostała minuta i dziewiętnaście sekund. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi, pomyślał Jack, zerkając smętnie na puste pojemniki. Wybór był niewielki. Potrawy nie wyglądały apetycznie, ale trudno. Trzeba jeść, aby żyć.

Powtarzał sobie w duchu, że zaprosił Melinę na obiad nie po to, żeby się obżerać. Chciał z nią porozmawiać, lepiej ją poznać, zaprzyjaźnić się.

- To był twój groźny szef, prawda? Melinda skwitowała jego uwagę skinieniem głowy.

- Ponieważ równo wszystkimi stażystami, czy specjalnie wziął się na ciebie?

Gdy odwróciła głowę, ciemne włosy opadły na ramiona jak fala lśniącej, brunatnej czekolady.

- Profesor zachowywał się dziś całkiem przyzwoicie - tłumaczyła.

Jack słuchał jej z roztargnieniem, bo pochłoneły go inne sprawy.

Zastanawiał się, jaka jest w dotyku skóra Melindy. Co by czuł, gdyby jej dotykał?

- Zresztą nawet kiedy jest arogancki i przykry, warto się od niego uczyć.

Nie ma takiej ceny, której bym nie zapłaciła, żeby ratować ciężko chore dzieci, takie jak mój brat Harry. - Znieruchomiała i spojrzała mu prosto w oczy. - Jack, spróbuj mnie zrozumieć. Jako mała dziewczynka ciągle przenosiłam się z miejsca na miejsce. Tata jest ekspertem naftowym, więc nigdzie nie zagrzaaliśmy miejsca. Bywało, że tygodniami mieszkaliśmy w namiotach

## *Mąż idealny 411*

rozbitych gdzieś na pustkowiu w Afryce Północnej. Może dlatego mój braciszek i ja byliśmy do siebie tak bardzo przywiązani. - Popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. - Zaczął chorować na krótko przed szóstymi urodzinami. Mieszkaliśmy na wybrzeżach Alabamy. W miasteczku był tylko jeden lekarz, który postawił błędną diagnozę, więc kuracja nie dawała spodziewanych efektów.

Oczy zasły jej łzami. Jack chciał wziąć ją w ramiona i starał się pocieszyć. Wobec siostry żywił ciepłe uczucia i naprawdę chciał jej pomóc, ale Melinda wzbudziła w nim instynkt opiekuńczy. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł chronić ją przed wszelkimi troskami i cierpieniami. Pragnął, żeby zawsze cieszyła się życiem.

- Czy twoi rodzice nie wpadli na pomysł, żeby pojechać z nim do większego miasta i poradzić się innego lekarza?

- Tak, ale było już za późno. Trafili na dobrego specjalistę, który na nasze nieszczęście nie był jednak pediatrą. Dziecko to nie miniatura dorosłego człowieka. Tamten chirurg operował Harry'ego, ale... Kiedy rodzice powiedzieli, że mój brat zmarł na stole, przysięgam sobie, że tak pokieruję swoim życiem, aby służyć innym i być im użyteczną. - Melinda sięgnęła po serwetkę i otarła mokre od łez policzki. - Staram się dotrzymać słowa. Właśnie dlatego zdecydowałam się na ślub. We dwoje łatwiej borykać się z problemami codzienności. Masz mi pomóc, a nie zniechęcać do pracy teraz, gdy jestem tak blisko celu - dodała z wyrzutem i wstała od stołu.

*Kate Thomas*

Nieco skrepowana własną szczerością zamierzała wyjść natychmiast, żeby nie przeciągać tej sceny, ale nie doceniła Jacka, który miał inny pomysł na jej zakończenie. Natychmiast zerwał się na równe nogi i zastąpił jej drogę. Dzielił ich zaledwie centymetr.

- Mylisz się, Melindo - szepnął czule, kładąc dłonie na jej ramionach. - Ani mi to w głowie. Zamierzam cię wspierać, ale moim zdaniem w twoim życiu brak równowagi, więc zamierzam ją przywrócić.

Przypieczętował tę obietnicę namiętym pocałunkiem, nie przejmując się tym, że są w szpitalnej stołówce. Gdyby komórka Melindy nie zadzwoniła nagle, zakończenie tej sceny byłoby jak z filmowego serialu: naczynia zrzucone na podłogę, kochankowie w zmysłowych pozach na blacie...

Niezawodny telefon zadzwonił w samą porę, a Melinda wysunęła się z objęć Jacka i wybiegła z jadalni. Musiała wrócić na oddział.

Jack wyszedł przed budynek i stał tam przez chwilę, żeby ochłonać. Do tej pory wybierał kobiety, które chętnie szły z nim do łóżka i nie oczekiwały niczego więcej. Rozstania następowały bezboleśnie.

Znajomość z Melindą była zupełnie nowym doświadczeniem. Ta dziewczyna pociągała go z neodpartą siłą nie tylko fizycznie, lecz także duchowo. Źle się stało, że wbiła sobie do głowy, jakoby odnosił się krytycznie do jej życiowych planów. Poza tym byłoby lepiej, gdyby trzymał ręce przy sobie. Powinien ją adorować. To najpewniejsza droga do kobiecego serca.

### *Mąż idealny 413*

Dziwna sytuacja. Dawniej nie miał najmniejszej ochoty na takie konkury, a teraz robiło mu się ciepło na sercu, kiedy myślał, że ładna z nich para. Wniosek z tego, że powinni być razem. Także w łóżku.

Zapomnij o tym, nakazała sobie Melinda, pędząc na oddział intensywnej terapii. Jack miał dobre chęci, lecz trafił kulą w płot. Jego rady nie miały żadnego związku z jej życiem. A pocałunek... Musiała przyznać, że na moment straciła głowę.

Pchnęła szare metalowe drzwi i weszła do sali. Dwie pielęgniarki właśnie podawały małemu pacjentowi kroplówkę.

- Przyszła pani do tego dzieciaka operowanego przez Bowena?

- Tak. Ma na imię Brian. Co z nim?

Domyślała się, jak Jack skomentowałby tę sytuację. Zwróciłby jej uwagę, że nawet dla zwykłych pielęgniarek to pacjent profesora, który powinien osobiście pofatygować się na oddział i sprawdzić, jaki jest stan chorego zamiast wysługiwać się stażystami.

- Oddycha swobodnie. Ciśnienie krwi w normie.

- Wybudził się z narkozy? - zapytała Melinda, podchodząc do nieprzytomnego nastolatka. Sprawdziła puls. Był mocny i rytmiczny.

- Nic na to nie Wskazuje - odparła pielęgniarka. - Dostał sporą dawkę, więc nieprędko oprzytomnieje.

414 *Kate Thomas*

Melinda popatrzyła na zegar. Było po dziesiątej. Chętnie wróciłaby do domu, ale mówi się trudno. Jack słusznie wytykał jej, że za długo przesiaduje w szpitalu. Profesor wychodził znacznie wcześniej. Pewnie już śpi.

- Leo Bowen to lekarz starej daty - mruknęła jedna z pielęgniarek, Jesse Ordonez. - Dla niego pacjent nie jest człowiekiem, tylko przypadkiem.

- Aha, szef bywa przesadnie wymagający

- przytaknęła druga pielęgniarka, Mary Chan.

- Nie przyjmuje do wiadomości, że jego podwładni są zwykłymi ludźmi, że mogą potrzebować rady i pomocy. Trzeba mu o tym stale przypominać.

Siostra Ordonez wybuchnęła śmiechem.

- Ale jutro lepiej nie zawracaj mu głowy. Słyszałam, że umówił się na golfa z kilkoma neurochirurgami. Kiedy zaczynałam tu pracować, zadzwoniłam do niego z ważną informacją. Był właśnie przy dziesiątym dołku i przymierzał się do piłki. Niewiele brakowało, żebym straciła posadę. - Udając przestraszoną, wzdrygnęła się na to wspomnienie. Melinda poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Pracowała na okrągło, zarywała noce, bez reszty poświęciła się medycynie, czytała pilnie literaturę naukową, pisała wyczerpujące sprawozdania, bez słowa skargi wypełniała tony szpitalnych formularzy, czuwała przy łóżkach pacjentów... a Bowen grał w golfa!

## *Mąż idealny 415*

Jackowi należały się przeprosiny. A jej chwila wytchnienia. Jutro rano na ekspresie do kawy przyklepiona będzie karteczka z informacją, że pani doktor postanowiła się wyspać. Co mi tam, poleżę do szóstej, uznała buńczucznie.

Jack przygładził dłonią potargane włosy. Największy problem ze wstawaniem o czwartej trzydzieści polegał na tym, że jeśli człowiek chce się wygadać, nie ma do kogo otworzyć ust.

To jednak fajnie, że Melinda uznała jego argumenty i postanowiła o sobie zadbać, ale dodatkowa godzina snu nie uzdrowi jej życiowej sytuacji.

Był zbyt rozbudzony, żeby wrócić do łóżka i nazbyt senny, by oglądać telewizję. Usiadł przy kuchennym stole. Nagle wydało mu się, że słyszy pukanie do drzwi. Czyżby miał halucynacje? Może to duchy?

Ależ skąd! Naprawdę ktoś pukał.

Jack podszedł otworzyć tylne drzwi. Porannym gościem okazał się Bob, wiekowy sąsiad z przeciwka, który uśmiechnął się przepraszająco..

- Wiem, że jest zbyt wcześnie na odwiedzin, ale zobaczyłem światło w waszych oknach, więc postanowiłem... Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Wszystko w porządku. - Jack chciał zamknąć drzwi, ale na widok smutnej miny Boba zmienił zdanie i zaprosił go do środka.

- Chce pan kawy? - zapytał. Lepiej pogadać ze staruszką zamiast siedzieć samotnie i beczynn timer czekać, aż wybije szósta i trzeba będzie obudzić Melinę.

Kilka minut później pili kawę i jedli grzanki, które Jack nauczył się w końcu przygotowywać. Do niedawna palił kromki na węgiel.

416 *Kate Thomas*

- Na śniadanie uwielbiam jagodzianki - powiedział rozmarzony Bob.

- Zapamiętam - odparł z westchnieniem Jack. - Najlepsze byłyby domowe, prawda? Chętnie bym zabawił się w cukiernika, ale na razie musi pan obejść się smakiem, bo fachowiec od pieca i kuchenki wciąż mnie zwodzi.

Starszy pan nadstawił uszu i wyraźnie się ożywił.

- Mam rozumieć, że jeszcze się nie pojawił? Jack był rad, że rozmowa nabiera tempa, bo

dzięki temu przestał myśleć o Melindzie. Ze szczegółami opowiedział Benowi o Lennym.

- A nie mówiłem, że ci zarozumiali pseudo-fachowcy są do niczego? - tryumfował Bob, unosząc palec w górę. - Powinieneś, młodzieńcze, wezwać Joego Donaldsona. Pół życia przepracował w dużej firmie konserwującej sprzęt gospodarstwa domowego, a teraz dokucza mu przymusowa bezczynność, więc szuka sobie zajęcia. Na pewno nie zedrze z klienta.

Jack podsunął Bobowi leżący na stole notes i długopis.

- Joe mieszka jedną przecznicę dalej. Chętnie tu przyjdzie. Żona wypędza go z domu, żeby nie plątał się jej pod nogami. Na emeryturze człowiek nie ma lekko. Siedzi bezczynnie, a chciałby się jeszcze na coś przydać, rozumie pan.

Jack z roztargnieniem kiwnął głową. Jeśli ten Joe wbrew rekomendacji Boba nie stanie na wysokości zadania, Lenny naprawi sprzęt, o ile w końcu się zjawi.

*Mąż idealny 417*

- Zna pan jakiegoś fachowca od basenów, pomp i tym podobnych? - zapytał Jack. Odkrył już, dlaczego woda paskudnie zzieleniała, ale po fatalnych doświadczeniach z Lennym nie miał ochoty dzwonić do warsztatu.

Stary Bob radośnie kiwnął głową.

- Jasne. Gość mieszka po sąsiedzku. Nazywa się Preston St. Clair i ma własną firmę. Czyści baseny i konserwuje sprzęt. A gdyby chciał pan prześwietlić korony drzew, najlepszy byłby Charlie Rodrigues.

- Proszę mi zapisać jego numer telefonu - wtrącił Jack, dolewając Bobowi kawy.

Świetnie się składa, że na tym osiedlu mieszka tylu emerytów chętnych do wykonywania prac domowych, tylko czemu ci starszycy nie grają w golfa, nie wyruszają w podróż dookoła świata. Według reklam towarzystw ubezpieczeniowych tak właśnie powinno wyglądać beztrudne życie emeryta.

- Dobra. Jeśli przyjdą i uporają się z robotą... Ile biorą? - zapytał, niemal pewny, że nie wezmą więcej od Lenny'ego.

- A co? Musi pan rozliczyć się z żoneczką? - zapytał Bob z pocieszoną miną.

- Mojej żoneczki... to znaczy Melindy, w ogóle nie interesuje, co robię i jak sobie radzę. - Wzruszył ramionami.

- Tak powiedziała? - upewnił się, a gdy Jack kiwnął głową, dodał: - I pan jej wierzy? Świeżo po ślubie, prawda? Ależ z pana żółtodziób. Spokojna



418 *Kate Thomas*

głowa. Powiem panu, jak to z nimi jest. Mam na myśli kobietki - dodał życzliwie.

Jack kiwnął głową i zaparzył drugą kawę. Pograżyli się w rozmowie.

Starszy pan zjadł trzy grzanki, dopił kawę, powiedział swoje i wyszedł.

Jack siedział w kuchni. Poweselał wyraźnie i optymistyczniej patrzył na świat.

- O! Nie wiedziałam, że już wstałeś - usłyszał nagle zmysłowy głos Melindy.

Włosy miała związane w koński ogon, a rozchylony szlafrok z bawełny morelowego koloru odsłaniał urocze krągłości. Palce go świerzbiły, żeby ich dotknąć.

Niechętnie odwrócił wzrok i popatrzył na zegar. Minęło właśnie pół do szóstej.

- Za wcześnie, żeby wstać - odparł. Powinien ugryźć się w język, nim wymknęło mu się dwuznaczne stwierdzenie: - Wiesz, Melindo? Chyba powinniśmy iść do łóżka.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Razem? - spytała zachwycona, lecz natychmiast zreflektowała się i zmieniła zdanie.

- No nie! - odparł bez wahania, co utwierdziło ją w przekonaniu, że powiedziała głupstwo.

- Oczywiście - przytaknęła natychmiast. Miała dowód, że z nich dwojga tylko ona pragnie czegoś więcej. Na przykład małżeńskiego pożycia.

Powinna od razu przyjąć tę prawdę do wiadomości, żeby nie stracić największego dobra, jakim obdarzył ją los.

Od początku mówiła, że chce mieć czystą bieliznę i porządek w domu, a nie przystojnego, szczerze oddanego mężczyznę, przy którym jej hormony budziły się z drzemki.'

- Muszę napić się kawy - oznajmiła, podchodząc

420 *Kate Thomas*

do kuchennego blatu i sięgając po dzbanek zamiast objąć mężczyznę, w którego ramiona daremnie pragnęła się wtulić.

- Potrzebny ci wolny dzień - oznajmił Jack. Odsunął ją delikatnie i napełnił kubek gorącą kawą.

Kto wie, może to dobry pomysł, uznała po chwili zastanowienia, żeby na jakiś czas oderwać się od przyziemnej codzienności. Jest nadzieja, że po takiej eskapadzie głupie myśli o wspólnym życiu wywietrzeją jej z głowy.

- Musisz zmienić rytm, odetchnąć świeżym powietrzem - tłumaczył Jack.

- Łatwiej ci będzie potem odnaleźć się w codzienności. Ruszyło właśnie nowe centrum handlowo-rozrywkowe. Jest tam kino i kilka fajnych restauracji. Obejrzymy film i zjemy razem kolację. Co ty na to?

Melinda znieruchomiała.

- Całkiem jakbyśmy...

Mieli randkę, dokończyła w myśli. Była wstrząśnięta. Marzyła o takim wieczorze, a zarazem była świadoma, że okazałby się zapewne towarzyską katastrofą. Od lat nie randkowała, więc na pewno popełniłaby mnóstwo gaf. Nie nadawała się do takich rzeczy.

- Melindo, jesteśmy po ślubie - oznajmił pobłaźliwie Jack. Niski, ciepły głos pieścił jej uszy. - Mąż i żona mogą chodzić we dwoje, gdzie im się żywnie podoba, i nie muszą nikogo pytać o zdanie.

- Masz rację - przyznała z ociąganiem. - Rzeczywiście przydałaby mi się chwila oddechu, ale ty jesteś bardzo zajęty.

- I co z tego?

- Nie oczekuję, że zechcesz dotrzymać mi towarzystwa.

Można samej iść do kina i mieć dużo radości.

*Mąż idealny* 421

Jack wyjął z zamrażarki gotowe naleśniki, odgrzał je w mikrofalach, polał syropem klonowym i podał żonie, która natychmiast zabrała się do jedzenia. W obecności Jacka wszystko jej smakowało, ale dziś jadła bez apetytu.

- Masz ciekawsze rzeczy do robienia - dodała z pełnymi ustami.

- Na przykład?

- Czyja wiem? Spanie, naukę, pachnącą kąpiel, czekanie na fachowca...

Mrugnął do niej porozumiewawczo i natychmiast straciła wątek. O czym to... Aha, o interesujących zajęciach.

- Mam inny plan. Czy pamiętasz moją siostrę?

- Tess?

- Aha. Kiedy... Peter odszedł, zamknęła się w sobie i przestała widywać ludzi. Muszę wyciągnąć ją z domu, a ty mi w tym pomożesz, zgoda?

Jack był z siebie dumny. Niezła intryga. Giełdowe kombinacje bez wątpienia ćwiczą umysł.

- Wiem! Powiesz jej, że postawiłam ci ultimatum: dam się zaprosić do kina i restauracji tylko pod warunkiem, że twoja siostra dotrzyma nam towarzystwa. - Melinda przygryzła wargi, gdy kiwnął głową, uśmiechając się chytrze.

- Dobra. W przyszłym tygodniu zaplanuję sobie wolny dzień.

422 *Kate Thomas*

Ciekawe, czy siostra Jacka przejrzy tę grę, zastanawiała się Melinda. W końcu zna go jak zły szeląg. Jeśli połknie przynętę, też dobrze. Miło będzie zaprzyjaźnić się z nią. W końcu to rodzina, a Tess zrobiła na niej bardzo dobre wrażenie.

Melinda poszła na górę, żeby się ubrać. Włożyła czarne spodnie i lawendowy sweter, który okazał się bardziej obcisły i krótszy, niż sądziła, planując przed zaśnięciem, co dzisiaj na siebie włoży. Nie mogła opędzić się od natrętnych wizji. Przystojny mąż raz po raz stawał jej przed oczyma. Przyznała w duchu, że chce z nim sypiać.

Marzenie ściętej głowy. Równie dobrze mogłaby oczekiwać, że Leo Bowen doceni jej lekarskie umiejętności, i liczyć na jego pochwałę.

- Do diabła! Tess, błagam!

Minął ich wózek z kartonami mleka oraz dwójką wrzeszczących dzieciaków. Jack uniósł brwi, spoglądając na ich mamę, ale nie przerywał lustrowania półek.

Aha! Są! Sięgnął po sucharki z razowej mąki. Odkrył, że Melinda lubi je z masłem orzechowym, więc robił z nich kanapki na drugie śniadanie, dorzucając jabłko. Rano wkładał Melindzie paczuszkę do torby, bo inaczej kupowałyby batony w szpitalnym kiosku, z kamienną twarzą wmawiając mu potem, że jadła w pracy.

- Zlituj się, Tess. Potrzebuję twojej pomocy.

- Wykluczone! Nie dam się nabrać. Znowu coś

*Mąż idealny 423*

knujesz. To żałosne! Kolejną randkę w ciemno ze mną w roli głównej, prawda?

- Wcale nie knuję, Tess. A właściwie tak, ale moja intryga nie jest żałosna, tylko starannie przemyślana. Nie będzie randki w ciemno, tylko rodzinna wyprawa. Ty i ja sprawimy, że Melinda rozerwie się wreszcie i przestanie tak obsesyjnie myśleć o chorych narządach swoich pacjentów.

- Po co te kombinacje?

- Bo ona jest pracoholiczką.

- Nie o to mi chodzi, głupku. Czemu mnie wciągasz w te swoje machlojki?

Napięcie sięgnęło szczytu. Jak odpowiedzieć siostrze, zachowując sekret?

- Zrozum! Melinda sądzi, że ona i ja robimy to dla ciebie. - Jack westchnął. Dlaczego trzeba tak kręcić, żeby przysłużyć się innym ludziom, choć wolałoby się mówić prawdę?

- A co? Miesiąc miodowy się u was skończył?

Początku jeszcze nie było, pomyślał melancholijnie Jack, lecz wolał zachować to dla siebie i nie zwierzać się siostrze.

- Macie problemy?

- Co też ci przyszło do głowy, siostrzyczko! Uznałem, że Melinda i ja musimy zmienić otoczenie i wyjść do ludzi. Pomożesz mi czy nie?

- Zgoda - mruknęła Tess. Bez entuzjazmu. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił! - Będę twoją współpracowniczką, ale zgadzam się wyłącznie dlatego, że w przeciwnym razie zameczyłbyś biedną Melindę

swoimi pomysłami. Jak się uprzesz, gotów jesteś po trupach zmierzać do celu.

Jack był dotknięty do żywego. Po trupach do celu? To niby jego metoda? Ludzie mają pomysły! Każdemu przypną łątkę, nie bacząc na dobre intencje. Wzruszył ramionami i wrócił do zakupów. Co jeszcze? Pasta do zębów.

- Co zaplanowałeś?

Roztargniony odchrząknął, niewidzącym wzrokiem spojrzął na Tess, podnosząc głowę znad listy.

- Co? Aha. Melinda powinna więcej przebywać na świeżym powietrzu, zapomnieć o telefonicznych dyżurach, oderwać się od pracy. Możesz coś zaproponować, ale i ja mam pomysł. Żona sąsiada opowiadała, że na przedmieściach Dallas odbywa się pchli targ.

- Pchli targ?

- Albo coś w tym rodzaju.

- Wiem! Jarmark! Świetna impreza!

Skąd dziewczyny wiedzą takie rzeczy? Zadawał sobie to pytanie, szukając soku pomarańczowego z dodatkiem wapnia. Musiał porządnie odkarmić Melinę.

- Na to wygląda. I jak będzie? Pójdiesz z nami?

- Chyba warto tam zajrzeć. Kiedy się wybieracie?

- Wszystko zależy od tego, kiedy Melinda dostanie wolny dzień. Tylko mnie nie wydaj. Bardzo mi na tym zależy. - Jack prowadził podwójną grę, więc musiał się zabezpieczyć.

- O czym mówisz?

*Mąż idealny 425*

- Kiedy zobaczysz Melinę, udawaj, że nie chciałaś iść.

- To prawda. Nie muszę udawać. Uśmiechnięty Jack wrzucił do koszyka razowy

chleb z orzechami i ziarnami zbóż.

- No widzisz? Dobrze się składa. Nie będziesz musiała oszukiwać.

Ledwie Melinda podjęła decyzję, szczęście zaczęło się do niej uśmiechać. Bowen oznajmił, że wyjeżdża na trzy dni, a jeden z kolegów chętnie wziął za nią dyżur, bo miał dość rodzinnych problemów i marzył, by choć na dobę zniknąć z domu. Uradzili wspólnie, że w czwartek Melinda zrobi sobie wolne.

Jak mała dziewczynka cieszyła się na wyprawę z Jackiem. Nareszcie spędzą razem trochę czasu. W towarzystwie jego siostry. I bardzo dobrze. Melinda nie ufała sobie, ponieważ kobieca strona jej natury doszła wreszcie do głosu i odzywała się w najmniej stosownych momentach.

- Przepraszam, że znowu zawracam pani głowę - wymamrotał Jack, ramieniem przytrzymując słuchawkę i spoglądając na kartkę z przepisem - ale tu jest napisane, że ciasto należy wyrabiać, aż będzie gładkie i sprężyste.

Parę minut później odłożył słuchawkę, udając, że nie słyszy śmiechu sąsiadki ubawionej jego wysiłkami. Joe Donaldson, kumpel Boba, stanął na wysokości zadania. Kuchenka i piecyk znów



426 *Kate Thomas*

działały, więc można było gotować w domu. Jack zamierzał dziś podać Melindzie pieczeń, purce z ziemniaków oraz świeże ciasto!

Wydzwaniał do życzliwej sąsiadki z obawy, że wyjdzie zakalec. Na razie szło mu całkiem nieźle. Cieszył się także z innego powodu. Rano zadzwoniła do niego Sherry, całkiem zdesperowana, bo w jej mieszkaniu raz po raz robiło się zwarcie. Natychmiast skontaktował ją z Bobem, a ten polecił jej rzetelnego fachowca.

Jack dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że wydarzyło się coś ważnego: dzięki jego pośrednictwu bezradna klientka i szukający zajęcia emerytowany elektryk nawiązali kontakt ku zadowoleniu obu stron. Nie trzeba wytrawnego finansisty, żeby dostrzec rynkową niszę powstałą na skutek niedbalstwa obiboków jak niefrasobliwy Lenny. Należy to przemyśleć.

Nucąc cicho, zabrał się do wyrabiania ciasta. Mięso i ziemniaki udały się znakomicie. Miał nadzieję, że deser także będzie pierwsza klasa.

Nareszcie czwartek! Jack pozwolił Melindzie pospać do siódmej. Już miał pójść na górę z kubkiem czarnej kawy, gdy stanęła w drzwiach kuchni. Miała na sobie szorty odsłaniające świetne nogi i obcisły top, który podkreślał... urocze krągłości.

Właśnie nalewał sok, ale zagapił się i nie trafił do szklanki. Wycierając plamy, mamrotał coś o pilnym telefonie i sąsiedzkich zobowiązaniach. Melinda usiadła przy stole i spokojnie jadła

*Mąż idealny 427*

naleśniki z cynamonem. Zastanawiała się, czy nie powinna się przebrać. W czym ludzie chodzą na pchli targ?

Bardzo się denerwowała przed wspólną wyprawą. Gdy wsiadła z Jackiem do jego dżipa, było jeszcze gorzej. W pracy nie brakowało jej pewności siebie, ale traciła ją w obecności... męża, partnera, współnika? Nie miała pojęcia, jak go określić. Oboje milczeli w drodze do domu Tess, która czekała na ulicy i ochoczo wsiadła do auta. Sprawiała wrażenie, jakby nie zauważyła ich skrepowania, i bawiła się doskonale, wspominając zabawne wydarzenia z dzieciństwa.

Melinda z zaciekawieniem przysłuchiwała się tym opowieściom, próbując zapomnieć o nerwowej atmosferze szpitala. Patrzyła w okno, przyglądając się innym samochodom. Mijali autobusy, ciężarówki...

- Dlaczego tylu ludzi holuje łódki? - zapytała, gdy zostawili za sobą van pełen uśmiechniętych dzieciaków.

- Bo wokół miasta jest sporo jezior, pracusiu. Żeglowanie to świetny wypoczynek - odparł pobłaźliwie.

- A wędkarstwo i narty wodne? - Melinda odprężyła się wreszcie i nabrała ochoty do rozmowy.

- Moim zdaniem mieszcuchy preferują wędkowanie.

- Ale narciarzy Wodnych też nie brakuje - wtrąciła Tess.

428 *Kate Thomas*

- W dzieciństwie łowiłam ryby z tatą i bratem - rozmarzyła się Melinda.

- Mama nie wędkowała? - zapytał Jack i kiwnął głową, kiedy Tess poklepała go po ramieniu, wskazując przecznicę, w którą należało skręcić.

- Nie - odparła Melinda, wybuchając śmiechem. - Woląca zostać w domu i czytać albo haftować. Ryby najbardziej lubiła podane na talerzu przez kelnera.

Od razu pożałowała, że stała się nagle taka wylewna, bo odniosła wrażenie, że jej wspomnienia z dzieciństwa nikogo nie interesują. Po chwili zapadło kłopotliwe milczenie. Melinda nie potrafiła go przerwać i była na siebie zła. Kiedy wreszcie nabierze towarzyskiej ogłady?

- Poduszki w salonie to jej dzieło? Melinda przytaknęła ruchem głowy i znowu się

rozkręciła. Gdy Jack wjeżdżał na ogromny, ale już bardzo zatłoczony parking, nadal gawędzili przyjaźnie.

Rozmawiamy jak normalni ludzie, pomyślała uradowana. Rozpierała ją dumą jak po ważnym osiągnięciu, bo nareszcie znaleźli wspólny język, nie ograniczając się do krótkich dyspozycji dotyczących prania i naprawy sprzętu gospodarstwa domowego.

Melinda czuła się doskonale w roli zwykłej kobiety spacerującej bez pośpiechu wśród straganów i stoisk. Na pchlim targu dominowały starocie, mocno zużyte, czasem niewiadomego przeznaczenia.

*Mąż idealny 429*

- Dzięki, Jack - powiedziała zachwycona, zatrzymując się między straganem z T-shirtami i wózkiem sprzedawcy napojów.

Chciała coś dodać, ale gdy popatrzyła na Jacka, zabrakło jej słów.

Wpatrywał się w nią jak urzeczony, a potem z łagodnym, zmysłowym uśmiechem, który wyrażał więcej niż długie tyrady, przyciągnął ją bliżej.

- Tess? To naprawdę ty?

Melinda usłyszała dobiegający z tyłu męski głos. Oboje patrzyli z zaciekawieniem na wysokiego bruneta z małą dziewczynką, który podbiegł do Tess. Jack zmrużył oczy.

- Dale? Dale Reilly? Niesamowite!

Gdy Tess serdecznie objęła mężczyznę, Jack spochmurniał. Dziewczynka towarzysząca Dale'owi także miała ponurą minę.

Tess przedstawiła bruneta jako znajomego sprzed lat, z którym dawno straciła kontakt. Natychmiast zaczęła go wypytywać: gdzie mieszka i czym się zajmuje. Nieuchronnie wypłynął temat współmałżonków. Dale był rozwiedziony.

- A jak twoje sprawy? - spytał, zwracając się do Tess.

- Tess nie chce o tym rozmawiać - poinformował go Jack lodowatym tonem.

- Wręcz przeciwnie - odparła, odwracając się w jego stronę. - To ty wolałbyś, żebym przestała myśleć o przeszłości, ale ja bardzo kochałam Petera, więc nie zamierzam udawać, że nie było go w moim życiu.

430 *Kate Thomas*

- Chcę ci oszczędzić bolesnych wspomnień - odciął się Jack.  
Melinda i Dale sprawiali wrażenie zakłopotanych sprzeczką rodzeństwa.  
Dziewczynka pociągnęła Dale'a za rękaw.

- Tato! Obiecałeś!

- Dobrze, kochanie - uspokoił córkę, lecz nadal patrzył na Tess. -  
Przyrzekłem Carrie, że za pieniądze otrzymane na urodziny będzie tu  
mogła coś kupić, ale ona chce...

- Wszystkie moje koleżanki już to mają - przerwała rozżalona  
dziewczynka.

Tess czuła się trochę niepewnie i na domiar złego nie miała pojęcia, o  
czym marzy nadąsana Carrie, lecz mimo wszelkich obaw postanowiła  
wystąpić w roli mediatora. Przez cały czas uśmiechała się do Dale'a jak  
zauroczona nastolatka, która spotkała na ulicy wokalistę ulubionego  
boys-ban-du.

- Nie sądzę... - zaczął mocno rozżłoszczony Jack.

- Kochanie! - zaszcebiotała Melinda, ciągnąc go między stragany z  
obawy, że dojdzie do rękoczynów.

- Spokojnie, chciałem tylko...

Musiał przerwać w pół zdania, bo zdesperowana Melinda zamknęła mu  
usta pocałunkiem. Próbował się odsunąć, ale wzmocniła uścisk i wsunęła  
język między jego wargi. Jack natychmiast zapomniał o całym świecie.  
Teraz liczyła się dla niego tylko Melinda.

Jęknął i przejął inicjatywę. Pocałunki były coraz namiętniejsze, palce  
rozpinały guziki bluzki.

- Melindo, jesteś cudowna - szeptał, wdychając jej zapach.

- Jack?

*Mąż idealny 431*

Imiona nie są ważne. Liczy się bliskość. Mel jęknęła, więc znieruchomiał i podniósł głowę.

- Spokojnie, jesteśmy osłonięci. Nikt nas nie zobaczy - szepnęła.

- Przepraszam - wyjąkał, powoli wracając do rzeczywistości. - Poniosło mnie.

Popatrzył na rozpiętą do połowy bluzkę Melin-dy, na jej czerwone usta nabrzmiałe od pocałunków, na żyłkę pulsującą szybko u nasady szyi.

Wyluzuj stary, dobrze ci radzę. Potem oboje czulibyśmy się głupio.

Odwrócił wzrok, żeby uspokoiła się i ochłoneła po... Mniejsza o szczegóły.

Nagle uświadomił sobie, że to Melinda wciągnęła go między stragany i zaczęła całować. Co się z nimi działo? Kilka pocałunków i śmielszych pieszczot, a niewiele brakowało, żeby oboje zapomnieli się jak para nastolatków.

- Chyba to ja powinnam cię przeprosić - wymamrotała, zapięła ostatni guzik i odwróciła się w stronę alejki.

- Poczekaj! Gdzie Tess? - zapytał Jack, idąc za nią przez tłum kupujących. Był na siebie zły. Zamiast opiekować się siostrą, zostawił ją z tamtym gburem. No i proszę, natychmiast się zgubiła.

432 *Kate Thomas*

- Na pewno wkrótce do nas dołączy - uspokajała Melinda, spoglądając na niego przez ramię.

Niespodziewanie przypomniał sobie słowa Tess wypowiedziane krótko po śmierci Petera: „Miłość łagodzi ból i pomaga go znosić”.

Może to i racja, ale wymaga wielkiego zaangażowania. Trzeba się z kimś związać na lata... na całe życie, a przez to człowiek wystawia się na wielkie cierpienie, jakiego teraz doświadcza Tess.

Każdy wolałby tego uniknąć, prawda? Czyżby? Dziś wcale nie był już taki pewny swoich racji. Melinda okazała się jedyną kobietą, dla której potrafiłby z nich zrezygnować. Wspólne życie z nią było dla niego wielką pokusą.

- Umieram z głodu - powiedziała cicho, idąc wąską alejką między straganami. Wyszli na spory plac. Wkrótce dołączyła do nich Tess.

Ustały, że najpierw trzeba coś zjeść, a potem kupić pamiątki.

Wzięły się pod rękę i ruszyły przodem, a Jack dreptał za nimi, uporczywie odtwarzając w pamięci niedawną scenę miłosną. Melinda Burke sprawiła, że poczuł się supermanem. Chętnie uległby pokusie, ale najpierw musiał przemyśleć na nowo wszystkie dobre oraz bolesne konsekwencje trwałego związku i wielkiej miłości.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Melinda kupiła na pamiątkę kolczyki ze skorupki orzecha, ręcznie malowanych w bławatki i pociągniętych bezbarwnym lakierem.

Głupiutka błahostka idiotycznego jarmarku. Nic więcej.

Daremnie próbowała wmówić sobie, że ta wyprawa nie ma najmniejszego znaczenia. Starła się rozumować trzeźwo, logicznie, obiektywnie. Niestety, bez powodzenia.

W tym starciu poniosła całkowitą klęskę. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że pragnie Jacka, że o nim marzy. Jego pocałunki rozpały ją do białości.

A on? Co czuł? Czy jej pragnął? Czy mu na niej zależało? A może chodziło wyłącznie o seks? Chyba lepiej nie pytać, nie wiedzieć. Zresztą jak miała się



przekonać, czego życzy sobie jej mąż, skoro większą część doby spędzała w szpitalu?

W piątkowy wieczór, tydzień po wyprawie na pchli targ, nadal zadawała sobie te same pytania i nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wracała pamięcią do poprzedniego czwartku, siedząc wraz z innymi stażystami w sali projekcyjnej i śledząc na monitorze przebieg operacji. Bowen jak zwykle nie szczędził podopiecznym złośliwych uwag.

- A co powie na to doktor Burke? - zapytał ironicznie.

- Nic. Doktor Burke wolałaby pójść do domu i odpocząć, żeby jutro być w dobrej formie - odparła stanowczo.

- Proszę nie zapominać, że jest pani na stażu. Wspólne omawianie zabiegów ma dla procesu kształcenia chirurgów ogromne znaczenie. Trzeba się uczyć na cudzych błędach i w ten sposób zdobywać nowe doświadczenia - odparował Bowen, ale Melinda uznała, że ma dość jego demagogicznych argumentów.

'- Teoretycznie ma pan rację - przyznała - ale prawda jest taka, że my tu nie analizujemy technik chirurgicznych, tylko zgadujemy, jakie inne metody mogliby zastosować lekarze podczas tego zabiegu. Przecież to czcza gadanina. Widzimy udaną operację, którą przeprowadzili dobrzy lekarze. Podjęli słuszne decyzje, więc na tym się skupmy. Po co gdybać? I cóż z tego, że pewne rzeczy zrobiłabym inaczej? Załatali podniebienie dziewczynki, jej stan jest stabilny. Koniec, kropka.

Zapadło krępujące milczenie. Stażyści pospuszczali oczy. Nikt nie śmiał spojrzeć na Melinę.

### *Mąż idealny 435*

Banda tchórzy, pomyślała, oczekując gniewnej tyrady Bowena, który spojrzał na zegarek, odczekał chwilę długą niczym wiek i powiedział:

- Ma pani rację. Jest bardzo późno. Dobranoc państwu.

Zaskoczeni stażyści ruszyli ku drzwiom machinalnie niczym zombi, tylko znacznie szybciej. Melinda uśmiechała się, obserwując kolegów. Szła na końcu.

- Burkę, proszę zostać. Mam z panią do pomówienia - zatrzymał ją profesor.

To nie była prośba, tylko polecenie, więc odwróciła się i stanęła nieruchomo, czekając na reprimendę. Ciekawe, że Bowen odczekał, aż wszyscy wyjdą. Publiczne upokarzanie współpracowników było jego ulubioną metodą.

- Jestem świadomy, że wy stażyści bardzo ciężko pracujecie.

Nie były to ani przeprosiny, ani pytanie, więc tylko kiwnęła głową.

- Staram się nie tylko uczyć wykonywania konkretnych technik chirurgicznych, lecz także uświadomić, jak wielkiej odporności psychicznej wymaga chirurgia dziecięca. Zajmujemy się trudnymi przypadkami, więc nie liczcie na to, że będziecie hurtowo wycinać migdałki i zgarniać kasę. - Wcisnął ręce w kieszenie fartucha. - Od stażystów wymagam nie tylko umiejętności, lecz także poczucia misji. Muszą być lekarzami z powołania.

436 *Kate Thomas*

Jestem dla was bardzo surowy, bo chcę, abyście zrozumieli, że ten zawód wymaga poświęceń.

Melinda już miała wtrącić, że dzięki swoistym metodom udało mu się uświadomić wszystkim, jaka ich czeka harówka, ale ugryzła się w język z obawy, że wredny profesor nie zaliczy jej stażu.

- Mam dwóch synów. Mieszkają z moją byłą żoną - ciągnął ze wzrokiem utkwionym w lśniącem linoleum. Melinda usłyszała w jego głosie ton żalu, a nie złości. - Cała trójka uważa, że z mojej winy doszło do rozbitcia rodziny.

- Czyżby? To przecież niemożliwe.

Bowen podniósł głowę. Mięśnie twarzy mu drgnęły. Nie! To był uśmiech.

- Moim zdaniem, ich zarzuty są bezpodstawne, lecz wolę nie ryzykować, że teraz usłyszę zarzut, jakobym zniszczył wasze małżeństwo. Jest pani doskonałym chirurgiem, doktor Burke. Pracuje pani więcej od innych.

Może chciałaby pani odpocząć przez weekend? - zaproponował niespodziewanie. - W poniedziałek też proszę nie przychodzić.

Melinda osłupiała.

- Dobrze - wyjąkała słabym głosem. Była oszołomiona, ale nie głupia.

- Sam dopilnuję, żeby zmieniono grafik dyżurów - zaproponował Bowen.

- Do zobaczenia we wtorek.

Odszedł, zostawiając Melinę samą. Przez chwilę nie wierzyła własnemu szczęściu. Czy to możliwe, że los się do niej uśmiechnął?

- Ten jej Bowen i mój Jensen są siebie warci

- mruknął ponuro Jack, nakazując sobie, że zanieś Melinę do sypialni i zostawi ją tam... samą!

### *Mąż idealny 437*

Nie po raz pierwszy po powrocie ze szpitala zasnęła na kanapie.

Wieczorami była taka zmęczona, że czasami nie mogła o własnych siłach wejść po schodach i położyć się do łóżka. Spała wtedy w salonie. Dziś Jack postanowił zanieść ją na górę i ułożyć do snu. Trudno, musiała spać w ubraniu. Gdyby zaczął ją rozbierać, nie ręczyłby za siebie.

Ostrożnie wziął ją na ręce i ze słodkim ciężarem w objęciach ruszył w stronę schodów.

- Jack? - mruknęła sennie. Zmysłowy głos przyprawił go o miły dreszcz.

- Tak, to ja. - A kto miałby ją w środku nocy nieść na górę?

- Nie budź mnie - westchnęła i uśmiechnęła się.

- Dobrze. Położę cię do łóżka.

- Cudownie. Będę spała cały dzień. - Objęła go za szyję.

Marzenie ściętej głowy. To mało prawdopodobne, żeby zdecydowała się na kolejny wolny dzień, pomyślał, a głośno powiedział:

- Żartujesz, prawda?

Otworzył drzwi i pchnął je ramieniem. Przytuliła głowę do jego ramienia.

- Mówię serio - zapewniła sennym głosem.

- Mam wolny weekend. Jutro będę spać bez ograniczeń. Nie przynoś mi kawy, dobrze?

438 *Kate Thomas*

- Zgoda - przytaknął, odsuwając narzutę i kołdrę. - Wyśpij się za wszystkie czasy. - Ostrożnie ułożył Melinę na pościeli, zdjął jej buty i otulił kołdrą.

- Nie zamierzam przespać całego weekendu - oznajmiła, wtulając głowę w poduszkę - tylko jutrzejsze przedpołudnie. Potem chciałabym spędzić z tobą trochę czasu, żebyśmy się lepiej poznali. Dużo lepiej... - Zadowolona z siebie i tajemniczo uśmiechnięta przymknęła oczy i położyła się na boku, odwrócona do niego plecami.

Jack długo patrzył na otuloną kocem smukłą postać. W końcu opuścił sypialnię, zszedł na dół, usiadł przed telewizorem i obejrzał do końca film o lampartach. Miał świadomość, że w jego domowym życiu następuje ważna zmiana, ale nie mógł się nadziwić, że zachodzi tak nagle.

- Jesz płatki śniadaniowe.

Jack podniósł wzrok. Mleko kapało mu z łyżki zatrzymanej w połowie drogi do ust.

- Taaak - mruknął wyczekująco.

- Jest siódma wieczorem.

- Owszem, śpiąca królowo - przytaknął z uśmiechem, od którego zrobiło jej się ciepło na sercu. - Widzę, że z krainy snu wracasz do rzeczywistości.

Trochę zbita z tropu podeszła do ekspresu

1 naląła sobie kawy. Po pierwszym łyku rozjaśniło jej się w głowie, więc oznajmiła, stojąc plecami do niego:

*Mąż idealny 439*

- Wieczorne śniadanie? Fajny pomysł. Chętnie dotrzymam ci towarzystwa.

Odwróciła się i trafiła na stalową ścianę. Nie, to był tors Jacka.

- Ojej! - pisnęła zaskoczona. - Przepraszam. No i proszę! Stateczna pani doktor wyszła na idiotkę.

- Wybacz - mruknął spłoszony. Dzielilo ich zaledwie parę centymetrów. - Chciałem ci podać talerz i płatki. - Otworzył szafkę, wyjął kolorowe pudełko i potrząsnął, aż zagrzechotało. - Jeśli będą ci smakowały, kupię całą zgrzewkę. - Podobno są bardzo zdrowe, bo zawierają niewiele cukru i mają dużo błonnika.

Jeszcze przez chwilę paplał trzy po trzy o wartościach odżywczych, a potem otworzył pudełko, żeby wysypać płatki na talerz. Ręce mu drżały, więc żółtawe krążki poleciały na blat.

Melinda wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Nagle wybuchnęła śmiechem. Jack, który zsuwał właśnie płatki z blatu na talerz, znieruchomiał i popatrzył na nią z wyrzutem.

- Blat jest czysty - zapewnił, uprzedzając ewentualne zarzuty.

Rozbawiona Melinda zaniósła się śmiechem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że oboje są równie zakłopotani. Weekend zapowiadał się ciekawie. Miała wrażenie, że w ich wspólnym życiu nastąpi prawdziwy przełom. Przeczynała to.

- Dajmy sobie spokój z płatkami - odparła z promiennym uśmiechem. - Zamówmy pizzę.

440 *Kate Thomas*

Jack uznał, że to świetny pomysł. Zaproponował, że wyskoczy do wypożyczalni wideo po kilka filmów. Nie znał upodobań Melindy, więc przeczornie wziął po jednej kasecie z różnych gatunków, takich jak fabularyzowane sztuki walki, sensacja oraz thriller fantastycznonaukowy. Kiedy zadzwonił do siostry, żeby upewnić się, że dokonał właściwego wyboru, usłyszał kilka ironicznich uwag. Nie miała ochoty z nim rozmawiać i szybko pożegnała się, twierdząc, że czeka na ważny telefon. Była wyraźnie podekscytowana. Kto mógł dzwonić do Tess w sobotni wieczór? Trzeba będzie z nią o tym pogadać. Obiecał sobie, że zrobi to później, kiedy skończy się ten nieoczekiwany wspólny weekend.

- Wierz mi, człowiek nie jest w stanie bez żadnych obrażeń skoczyć z takiej wysokości i nie skręcić sobie karku. Po upadku z trzeciego piętra mało kto otrzepuje ubranie i odchodzi na własnych nogach - tłumaczyła z powagą Melinda, gdy kończył się ostatni film. Wyłączyła telewizor i zamilkła na chwilę, czekając, co powie Jack. Cisza niemal dzwoniła w uszach. - Uderzenie jest tak silne, że...

Popatrzyła na niego. Siedział na kanapie z głową odrzuconą do tyłu. Usta miał otwarte i cicho pochrapywał. Jest słodki, rozculiła się. Po namyśle doszła do wniosku, że gdyby dobrze się bawił w jej towarzystwie, nie zasnąłby, oglądając film. Była nudziarą. Dlatego zmogła go senność.

- Jack?

- Tak! - Wyprostował się i otworzył szeroko oczy. - Co ci się najbardziej podobało. Karate? Sensacja? Thriller? Znakomite efekty... - Ziewnął szeroko, zasłaniając usta ręką.

*Mąż idealny 441*

- Wszystkie trzy filmy były... interesujące - odparła wymijająco.
- Musisz obejrzeć kapitalny film o rosyjskiej mafii. Kilku facetów, robi interesy na tropikalnej wyspie, gdzie niedługo wybuchnie wulkan.
- Pierwsza klasa - odparł, tłumiąc ziewanie.
- Wierzę ci na słowo - odparła ironicznie. Doszła do wniosku, że Jack zasypia na stojąco, więc ulitowała się nad nim i powiedziała: - Może byś poszedł do łóżka?
- Nie wiedzieć czemu znieruchomiał.
- Chyba trochę poczytam. Wcale nie jestem senna - dodała. - Poza tym muszę zastanowić się, jak spędzę wolny czas. Całe dwa dni. O rany! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz... - Melinda przestała słuchać własnej paplaniny. Gadała jak najęta. Dopiero po chwili zorientowała się, co mówi. - Gdybyś miał fajny pomysł na wspólne spędzenie czasu, będę wdzięczna za sugestie. A więc co proponujesz? - dobiegł ją nagle własny głos.
- Jack zerwał się na równe nogi.
- O kurczę! Dopiero teraz czuję, że jestem okropnie zmęczony! - zawołał.
- Padam z nóg. Idę do łóżka... to znaczy do swego pokoju. - Trzema długimi susami dopadł drzwi i zatrzymał się przy schodach, kurczowo ściskając poręcz balustrady. - Proponuję zakupy. W centrach



442 *Kate Thomas*

handlowych zaczęły się wyprzedzać. Jutro zaszalej i spraw sobie coś ładnego. To cię odpręży.

Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie.

- Na głupie pytanie głupia odpowiedź - wymamrotała Melinda, przewijając taśmy, które rano miały zostać zwrócone do wypożyczalni. Jack się ulotnił. I bardzo dobrze. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że jej życiowym celem jest praca, a nie namiętny romans z własnym mężem, od którego nieopatrznie uzależniła się jak inne kobiety od czekoladek.

Dobra. Jutro zaszaleje w sklepach i wyda trochę pieniędzy. Dobrze zarabiała, więc mogła sobie na to pozwolić. Do centrum handlowego pójdzie piechotą. To będzie namiastka spaceru. Może znajdzie fajny kostium kąpielowy i popływa w czystym basenie rodziców?

Następnego dnia rzeczywiście poszła rano do centrum handlowego. Jack zabrał się do odkurzania. Wróciła dość szybko, przebrała się w kostium kąpielowy i teraz leżała nad basenem, tydzień temu doprowadzonym do porządku przez starego Lope-za i jego kumpla Edgara.

W nowym kostiumie wyglądała cudownie, apetycznie, rewelacyjnie. Dla Jacka była kusząca niczym dla Adama Ewa w rajskim ogrodzie. Patrzył na nią jak urzeczony, ale sama obserwacja już mu nie wystarczyła.

Szukał pretekstu, żeby pójść do swojej wy-

*Mąż idealny* 443

branki. Po namyśle przygotował drinki. W taki dzień im obojgu dobrze zrobi margarita ze słonymi przekąskami. Gdy zerkał tęsknie na posagową piękność w jednoczęściowym kostiumie, uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu myśli poważnie o związku z kobietą. Nie bawił go już seks bez miłości, bez zobowiązań.

Potrafisz, wariatko, tłumaczyła sobie Melinda, biorąc podany przez Jacka kieliszek z koktajlem. Na pewno dasz sobie radę. Zamieszała słomką pysznego drinka. Od rana czekała na taką sposobność i ćwiczyła swoją kwestię. Problem w tym, że Jack nie znał swojej roli. Od godziny smażyła się nad basenem, czekając, aż ten prachuś raczy wyjść z domu. Już miała wstać, żeby iść do niego, gdy zaproponował, że przygotuje coś do picia. Zdenerwowana upiła łyk margarity. Kiedy planowała, jak postawić na swoim, z wrażenia zrobiło jej się okropnie gorąco. Była niemal pewna, że chłodny napój wyparuje w zetknięciu z rozpalonymi ustami.

Dość zwlekania, Burkę, skarciła się ostro. Trzeba działać.

- Jack... - Litości! To mysi pisk, a nie uwodzicielski szept! — Czy mógłbyś... - Jednym haustem opróżniła kieliszek i zaterkotała jak karabin maszynowy. - Mozesznatrzećmiplecyolejkiem?

- Proszę?

Powiedz to wolniej, nakazała sobie i powtórzyła, rytmicznie wsuwając słomkę do pustego kieliszka:

444 *Kate Thomas*

- Możesz natrzeć mi plecy olejkiem?

Jack długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jasne - rzucił w końcu zduszonym głosem. Melinda szybko odstawiła kieliszek, ponieważ

bała się, że go upuści. Podała Jackowi butelkę olejku, którą przezornie umieściła w zasięgu ręki, mając nadzieję, że urzeczywistni swój plan, i położyła się na brzuchu. Omal nie zerwała się na równe nogi, gdy westchnął spazmatycznie.

Ciepłe, śliskie dłonie przesuwają się w górę i w dół po jej ramionach, plecach i nogach. Cudowne dotknięcie uspokajało, nastrajając do marzeń, a zarazem wywoływało osobliwą ekscytację.

- Melindo... - schrypnięty szept sprawił, że z krainy marzeń wróciła do rzeczywistości. - Odwróć się.

Spełniła jego prośbę i natychmiast zacisnęła dłonie na poręczach plażowego leżaka, żeby w pierwszym odruchu nie rzucić się Jackowi na szyję. Najchętniej z całej siły przyciągnęłaby go do siebie, ale...

Gdy popatrzyła mu w oczy, nabrała pewności siebie, bo po jego minie poznała, że nie miałby nic przeciwko takim pieszczotom. Głaskał jej uda, zapominając o olejku. Pochylił głowę i pocałował ją w usta. Zsunął ramiączka kostiumu. Dłonie dotknęły obnażonych piersi. Melinda miała wrażenie, że szybuje wysoko nad powierzchnią ziemi.

Jack odsunął się nagle. Twarz miał zmienioną. Rozgorączkowana Melinda pragnęła tylko jednego: żeby ją znów przytulił.

*Mąż idealny 445*

- Jesteś pewna? Naprawdę tego pragniesz? Ja...  
nie chcę cię do niczego zmuszać - tłumaczył.

I Co to znaczy, zastanawiała się nieufnie. Czy  
naprawdę chodzi o moje dobre samopoczucie, czy też wcale, mu na mnie  
nie zależy?

Mniejsza z tym, odpowiedziała samej sobie. Jakkolwiek się sprawy mają,  
lepiej trochę zwolnić. Poprawiła ramiączka i czekając, aż oddech i puls  
się uspokoją, popatrzyła na Jacka. Oczywiście miał zamknięte, a palce wsunięte  
we włosy.

- Cześć, Halloran! Jesteś tam?

Znad żywopłotu wyjrzał siwowłosy mężczyzna o pomarszczonej twarzy.

- Witaj, Melindo. Nie wiedziałem, że zostałeś dzisiaj w domu.

Bob i Jack od niedawna mówili sobie po imieniu. Byli prawdziwymi  
kumplami. Starszy pan, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do  
sąsiada:

- Znalazłem decyzję o przyznaniu emerytury, która ci była potrzebna -  
oznajmił radośnie, wymachując kartką papieru. - Chcesz zobaczyć?

Jack rzucił Melindzie przepaszające, bezradne spojrzenie i odkrzyknął:

- Jasne. Czemu nie?

Melinda podniosła się z leżaka i na drżących nogach ruszyła do domu.  
Szła wolno, jakby była mocno wstawiona i nie chciała się do tego  
przyznać.

- Pogadaj z Bobem! - zawołała do Jacka. - Ja tymczasem... - Wezmę  
zimny prysznic, pomyślała ironicznie, ale nie mogła tego powiedzieć na  
głos. - Zrobię obiad.

446 *Kate Thomas*

- Nie! - Zerwał się na równe nogi, obiegł basen, powiedział sąsiadowi, że wpadnie do niego później, i ruszył w jej stronę, wołając: - Lepiej chodźmy do knajpy. Lubisz kuchnię meksykańską? Zjemy coś pysznego, wypijemy...

Melinda zmarszczyła brwi. Dlaczego nie chciał, żeby dla niego gotowała? Nie miał zaufania do jej kulinarnych umiejętności?

Ta myśl ją zmroziła, ale dobry nastrój powrócił, gdy usiedli przy stoliku, zamówili dania i zaczęli rozmawiać: swobodnie, szczerze, bez skrepowania. Przez trzy godziny usta im się nie zamykały. Doszła do wniosku, że stół łączy i łagodzi konflikty.

Dobra zapowiedź na przyszłość. Przed nimi jeszcze dużo posiłków... na przykład jutrzejsze śniadanie.

W poniedziałek stanowiący przedłużenie weekendu Jack, drapiąc się po głowie, wszedł do kuchni. O rany! Dochodziła dziewiąta. Totalna degrengolada! I pomyśleć, że przedwczoraj musiał parzyć kawę przed świtem. Chwileczkę, co tu tak śmierdzi?

Zaspany Jack oprzytomniał, szeroko otworzył oczy i przetarł je z niedowierzaniem. Ktoś pochylał się nad blatem, obejmując ramieniem toster, a drugą ręką grzebiąc nożem w jego wnętrzu.

Znajoma sylwetka.

- Melinda?

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Oczy miała

## *Maż idealny 447*

rozbiegane, jakby coś przeskrobała. Najwyraźniej zależało jej na tym, żeby nie widział toster, bo

, prostując się, usiłowała schować go za siebie. Wydawała się przygnębiona. Do diabła! Nie chciał, żeby się martwiła, więc podbiegł, żeby ją pocieszyć.

- Co się stało, kochanie? - spytał, zabierając jej nóż.

Nadal nie miał pojęcia, co tak cuchnie, lecz już wiedział, że źródłem koszmarnego odoru jest toster.

- Coś tam utknęło? - zajrzał do środka. Przewody grzewcze oblepiała żółtawa maź, która

spląnęła również na dno obu komór. Jak można nie wiedzieć, że do toster, wkłada się tylko suche kromki?

- Chciałam przygotować grzanki z serem - oznajmiła wyniośle. Nie miał pojęcia, jak mimo drżenia warg zdołała przybrać ton pełen godności.

Najwyraźniej zbierało jej się na płacz. - Próbowałam zrobić ci śniadanie i przyszło mi do głowy...

- Nie płacz. - Jack rzucił toster na kuchenny blat i objął ją mocno. -

Przestań rozpaczać - uspokajał. - i tak nie jestem wielkim amatorem grzanek z serem. Poza tym robienie śniadania to moja działka. Nikt nie oczekuje, że w wolny dzień będziesz gospodynią.

Rozgrzał patelnię, rzucił na nią boczek, wyregulował płomień palnika i gdy tłuszcz powoli wytapiał się z plastrów, skoczył do piekarni po słodkie bułeczki z cynamonem.

*Kate Thomas*

Gdy Melinda zeszła na dół po kąpieli, skórę miała zaróżowioną. Mokre włosy lśniły jak ciemny jedwab.

Jack uznał, że nie ma na co czekać. Podbiegł do schodów, chwycił ją w objęcia, gdy była na trzecim stopniu, uniósł wysoko i przyciągnął do siebie.

Ledwie dotknęła stopami podłogi, w całym domu rozdzwoniły się telefony, jakby wszystkie złe moce sprzysięgły się przeciwko Jackowi.

- Ja odbiorę - powiedziała, wysuwając się z jego objęć.

Nie ma mowy, pomyślał.

- Zostaw to mnie. - Podszedł do najbliższego aparatu. Dziś nie będzie ich dla nikogo.

- Dom państwa Burke, słucham — mruknął opryskliwie, patrząc jej w oczy.

- Człowieku, dajże mi ją do telefonu! - krzyknął zirytowany mężczyzna.

To Bowen, domyślił się natychmiast. - Albo nie! Proszę jej przekazać wiadomość. Jeden z lekarzy, zupełny kretyn, pojechał na narty i złamał nogę w kostce. Jeśli Burke chce zamiast niego asystować podczas operacji przeszczepiania wątroby, musi tu być za siedemnaście minut.

Połączenie zostało przerwane.

Jack natychmiast przekazał nowinę i nie tracąc czasu, przygotował kanapki z razowego chleba oraz pieczonego indyka. Wrzucił je do foliowej torebki z kilkoma marchewkami i kartonem mleka.

- Masz - powiedział zrezygnowanym tonem i podał śniadanie Melindzie, która była już gotowa

*Mąż idealny 449*

do wyjścia. - Zjedź w aucie. Do zobaczenia w bliżej nieokreślonej przyszłości.

- Muszę jechać - powiedziała cicho. - I chcę. To niesłychanie ciekawy przypadek. Postaraj się zrozumieć...

Naburmuszony Jack wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w drzwiach lodówki.

Melinda dotknęła ręką jego twarzy i delikatnie zmusiła, żeby na nią popatrzył.

- Ale chciałabym też zostać - szepnęła, uśmiechając się do niego czule. - Z tobą - dodała i wybiegła z domu.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Poniedziałek okazał się nagle zwyczajnym dniem, więc Jack wrócił do zajęć domowych. Włożył ciuchy do pralki i załadował zmywarę. Przez cały czas myślał o tym, czego dowiedział się podczas weekendu, tak niespodziewanie skróconego z winy profesora Bowena.

Marzyło mu się wspólne życie z Melindą. Już nie chciał się z nią rozstać po sześciu miesiącach. Na przyszłość wolałby także być z nią w innej roli, nie jako kura domowa czy gosposia na stałe. Pragnął również, żeby postanowiła z nim zostać nie dlatego, że ktoś jej musi pracować albo sprzątać. Zależało mu, żeby się nią opiekować i pomagać we wszystkim. Chciał ułatwić jej życie i każdy dzień uczynić przyjemniejszym. W zamian oczeki-

wał głębokiego uczucia, a nie chłodnej wdzięczności.

i Czy to miłość? Zapewne.

### *Mąż idealny 451*

Poraziła go ta myśl. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większe było jego osłupienie. Kiedy decydował się na białe małżeństwo i wzajemnie korzystną umowę, nie przewidział, że zakocha się we wspólniczce i chlebobawczyni. Z drugiej strony jednak propozycja ożenku była dla niego wielkim zaskoczeniem. Od niedawna sądził, że korzysta tylko ze sposobności, aby na pół roku wygodnie się urządzić.

Teraz... musiał dokonać wyboru. Mógł wrócić do dawnej nonszalancji wobec uczuć lub całkowicie zmienić poglądy w tej materii, a następnie przekonać Melinę, że trafił jej się wyjątkowy mężczyzna, więc na pewno nie popełni błędu, jeśli w nim ulokuje swoje uczucia oraz nadzieje na szczęśliwą przyszłość.

Zerknął na zegarek. Emerytowani fachowcy będą tu za dwadzieścia minut, więc trzeba wrzucić drożdżówki do mikrofal i przygotować umowy.

Gdy stary Bob szybko i skutecznie usunął przyczynę zwarcia, zachwycona Sherry zaczęła opowiadać na prawo i lewo, że Jack ma dojście do wspaniałych majstrów, którzy znają się na swojej robocie i nie zdzierają z klienta. Od tamtej pory dom rodziców Melindy stał się prawdziwą skrzynką kontaktową. Emerycy cieszyli się z dodatkowego zarobku. Proponowali zawsze Jackowi procent od dochodu, ale odmawiał.

452 *Kate Thomas*

Gdy poranna odprawa dobiegła końca, rozwiesił pranie, podgotował kolację i pojechał zapłacić rachunki. Uporał się z codziennymi zajęciami i wrócił do nauki. Pod wpływem nagłego impulsu włączył komputer i przez internet zapisał się na pierwszy z serii egzaminów, które musiał zdać, żeby zostać doradcą finansowym. Wybrał najwcześniejszy, lipcowy termin. Na razie Melinda w zamian za prowadzenie domu chętnie go utrzymywała, ale był pewny, że na dłuższą metę interesuje ją związek partnerski oraz sprawiedliwy podział obowiązków.

Minęło wiele godzin, nim Melinda, wciąż zafascynowana umiejętnościami zespołu lekarzy oraz złożonością ludzkiego organizmu, weszła do kuchni. Nikogo tam nie zastała.

Dziwne. Zapadał zmrok. Dżip Jacka stał przed domem. Weszła do pustego salonu. Zajrzała do innych pomieszczeń na dole. Nikogo. Jack miał pewnie własne plany na wieczór. Ktoś po niego przyjechał. W takich sytuacjach zostawia się kartkę.

Sama przed sobą udawała, że nie jest zawiedziona, zbita z tropu, wściekła ani przygnębiona. Ogarnęło ją tylko... znużenie.

Opamiętaj się, Burkę.

Dobra rada. A zarazem irytująca. Melinda z ponurą miną poczłapała na górę. Cholera jasna! Uroiła sobie, że dziś wieczorem rozmówi się z Jackiem, a potem nigdy już nie będzie spać sama w wielkim...

### *Mąż idealny 453*

Znieruchomiała z ręką na klamce. Co to za dźwięk? Dobiegał z pokoju Jacka. Szybko i cicho niczym doświadczony komandos przebiegła korytarz. Przytknęła ucho do drzwi, zza których dobiegały przeciągłe jęki. I szum wody. Może to Jack śpiewa, a raczej niemiłosiernie fałszuje pod prysznicem?

Głucha na argumenty zdrowego rozsądku, niewiele myśląc, pchnęła drzwi, wślizgnęła się do pokoju, ominęła stosik ubrań rzuconych niedbale na podłogę i weszła do łazienki. W tej samej chwili ustało wycie oraz szum wody. Gdy zafalowała energicznie szarpnięta zasłona prysznicowa, Melinda zdejmowała bawełnianą bluzkę.

- Cześć - powiedziała, siląc się na spokój, chociaż była zakłopotana. - Właśnie miałam się do ciebie przyłączyć.

Jack chwycił zasłonę i okrył się nią, lecz miała dość czasu, żeby przyjrzeć mu się dokładnie.

- Melindo... - wykrztusił i z trudem przełknął ślinę. Szafirowe oczy pociemniały. Minęło trochę czasu, nim dokończył zdanie. - Jestem mokry.

- Nie szkodzi - odparła tajemniczo i podeszła do niego.

Cudownie było kochać się z nią. Okazała się spełnieniem wszystkich jego tęsknot, uświadomionych i tajemnych. Z powodu ich skomplikowanej sytuacji zapewne sam nie odważyłby się wziąć jej w ramiona, ale ośmieliła go pieścizotami i pocałunkami. Byłby kretyńcem, gdyby

454 *Kate Thomas*

oparł się dziewczynie, o której śnił od początku znajomości.

Kochali się w jego łóżku i zasnęli spleceni mocnym uściskiem. Jack obudził się późnym wieczorem i wsparty na ręku obserwował uśpioną Melinę, zastanawiając się, dlaczego takie cudowne przeżycie działa na niego przygnębiająco. Było im przecież tak dobrze. Owszem, ale pragnął czegoś więcej. Seks bez miłosnych deklaracji dawał chwilowe zadowolenie, ale pozostawiał uczucie niedosytu. I tu właśnie tkwiło poważne niebezpieczeństwo, ponieważ miłość oznacza trwałą więź. Zakochani chcą być razem. Na zawsze.

Melinda to wspaniała kobieta. Zasługiwała na wszystko, ale o nic nie prosiła. A może chciała tylko chwili zapomnienia? Miała przecież swoją medycynę. Do tego stopnia poświęciła się pracy, że świata poza nią nie widziała. Gdyby szczerze wyznał, czego pragnie, mogłaby poczuć się zagrożona. Lepiej trzymać język za zębami i z wolna przyzwyczaić ją do myśli, że rozstanie po pół roku nie wchodzi w grę.

A może warto postawić jej ultimatum i oznajmić, że będą się kochać tylko pod warunkiem, że niefortunny kontrakt małżeński zostanie uznany za niebyły?

Głupie gadanie. Nie potrafiłby się oprzeć jej urokowi. Wystarczy, że skinie na niego palcem albo zalotnie zatrzepoce rzęsami, i będzie go miała.

### *Mąż idealny 455*

Na razie nie wiedział, jak uporać się z tym problemem. Ostrożnie wstał z łóżka i otulił Melinę kołdrą. Wziął swoje ciuchy, ubrał się w korytarzu, a potem zszedł do kuchni, żeby przygotować pożywną kolację: kurczak w sosie z malin i ziół, brokuły gotowane na parze i jaśminowy ryż.

Gdy skończył, zaniósł tacę do sypialni, obudził Melinę i podał jej posiłek do łóżka. W sypialni było dość chłodno, więc włożyła jedną z jego koszul. Tak ładnie wyglądała, że miał ochotę ją rozebrać.

Boska dekadencja, pomyślała, karmiona przez męża kawałkami kurczaka skapanego w aromatycznym, kwaskowatym sosie. Cieszyła się każdą sekundą cudownego sam na sam.

Nic jednak nie trwa wiecznie. Dzwonek telefonu sprawił, że Melinda i Jack wrócili do rzeczywistości. Sygnał umilkł, nim odebrała. Jack był wściekły, ale nie protestował, gdy wyjęła komórkę, żeby sprawdzić, kto jej poszukuje.

- Na pewno nikt ze szpitala. Nie znam numeru. Moim zdaniem to pomyłka, ale, jeśli spróbuje znowu, odbiorę, bo inaczej będzie nas nękać do północy - odparła.

Po chwili telefon znowu się odezwał. Jack wyskoczył z łóżka.

- Porozmawiaj spokojnie. Zaniosę naczynia do kuchni.

Odprowadziła go wzrokiem. Dopiero gdy zniknął za drzwiami, sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - usłyszała znajomy głos, ale nie mogła sobie przypomnieć, do kogo należy.

- Tak, słucham. Tu Melinda Burke.

456

- Dzięki Bogu! Mówi Boby, mąż Noreen. Mężczyzna gadał jak najęty, a Melinda słuchała uważnie.

Jack wbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni. Był nagi. Błyskawicznie przebiegł korytarz, ale w progu sypialni stanął jak wryty.

- Melindo, co ty robisz?

Zrobiła w pokoju okropny bałagan, lecz nic nie wskazywało, że to przygotowania do miłosnej nocy. Można by pomyśleć, że się...

- Pakuję rzeczy.

Jack miał wielką ochotę chwycić ją za rękę i zatrzymać siłą, ale zapanował nad sobą i spytał rzeczowo:

- Dlaczego?

Przerwała pakowanie i spojrzała na niego. Była wytrącona z równowagi.

- Ten nieodebrany telefon... Dzwonił mąż kuzynki. Biedna Noreen jest w szpitalu. Leży na chirurgii. Marnie z nią.

- Rozumiem, ale po co ci te ubrania?

- Mam spotkać się z Bobbym w szpitalu, zabrać do domu ich dziecko i opiekować się nim do czasu, aż Noreen wyjdzie ze... - Melinda złapała się za głowę, a potem załamała dłonie. - Nie mam pojęcia, jak zajmować się dzieckiem!

- Bzdura! - przerwał Jack. - Poradzisz sobie. Jesteś...

- Powiedz, że jestem kobietą, a przersedzę ci tę niesforną czuprynę - odparła z pozoru spokojnie.

*Mąż idealny 457*

- Jesteś pediatrą. O to mi chodziło - dokończył z naciskiem.

- Sama nie wiem, czy lubię dzieciaki do tego stopnia, żeby zajmować się nimi na co dzień. Od lat mam do czynienia wyłącznie z chorymi dziećmi. Tak bardzo jestem skupiona na leczeniu ich dolegliwości, że brak mi czasu, aby zastanowić się, co myślą i czują - przyznała.

- Masz okazję sprawdzić samą siebie - odparł rezolutnie. - Spędzisz z maluchem parę dni i od razu będziesz wiedziała, czy chcesz... - Omal nie wyrwał się z ryzykowną uwagą. Można by pomyśleć, że chce ją namówić, żeby mieli dziecko, a taka sugestia byłaby przedwczesna. - Gzy chciałabyś częściej zostawać z tym maluchem - dokończył pospiesznie, kierując rozmowę na bezpieczniejsze tory, a potem dodał: - Wezmę rzeczy i pojedziemy. Ja prowadzę. Zgłaszam się na ochotnika, żeby zadzwonić do Bowena. Co tam, niech mnie zrużga.

- Pojedziemy? Chcesz mi towarzyszyć?

- Oczywiście. Jesteśmy razem, prawda?

Nie odpowiedziała, lecz głębokie westchnienie ulgi stanowiło wymowny dowód, że kamień spadł jej z serca.

Jack uśmiechnął się pobłaźliwie. To urocze, że kobieta sprawnie asystująca podczas operacji przeszczepu wątroby umiera ze strachu na myśl, że ma przez kilka dni opiekować się niemowlakiem.

Gdzieś w pobliżu zapłakało dziecko. Zaspana Melinda zerwała się na równe nogi i popatrzyła



458 *Kate Thomas*

wokół. Aha, po raz kolejny zasnęła ubrana na krześle w malutkim saloniku Noreen.

Zaledwie trzy dni na zmianę z Jackiem opiekowali się maleństwem, a już była kompletnie wykończona, całkiem jak po tygodniu studenckich praktyk na internie.

Znowu usłyszała płacz. Oto dowód, że dzieciaki mimo pozorów słabości mają niespożyte siły. Odgarnęła włosy opadające na twarz i poszła do małej. Jak dotąd udawało jej się bez żadnej wpadki przewijać, karmić i nosić na rękach pięciomiesięczne niemowlę. Najgorzej szło jej z usypianiem, bo nie miała do tego cierpliwości.

Na szczęście w tej kwestii Jack okazał się niezastąpiony. Przytulał małą, kołysał ją i usypiał, chodząc po mieszkaniu.

A kiedy Amber zasnęła... Było cudownie.

Omijali z daleka małżeńskie łóżce Noreen, ale poza tym kochali się wszędzie. Jack był pełen inwencji. Odznaczał się również wyjątkową kondycją.

- Która godzina? - zapytała Melinda, wchodząc do sypialni, gdzie stało dziecinne łóżeczko.

- Nie wiem dokładnie. Mamy czwartkowy poranek - odparł z uśmiechem i figlarnym błyskiem w oku.

Wcale mu nie przeszkadzało, że Melinda nie radzi sobie z opieką nad dzieckiem, jest fatalną kucharką, nie umie dbać o dom, natomiast jej samej te ewidentne braki przysparzały mnóstwo zgryzoty. Dlatego odwlekała rozmowę na temat

### *Mąż idealny 459*

przyszłości ich związku, choć gorąco pragnęła, aby zostali razem na zawsze. A może Jackowi marzyła się gospodarna żona?

- Dzwonił Bobby - oznajmił, przekrzykując szlochającą Amber. - Noreen czuje się lepiej.

- Dobra nowina - mruknęła z ulgą.

Miała nadzieję, że za parę dni kuzyn przejmie opiekę nad małą, a oni będą mogli wrócić do domu. Amber płakała coraz głośniej.

- Skąd pewność, że nie choruje? - wypytywał zatroskany Jack. - Jest cała mokra. - Gdy Melinda dotknęła pieluszki, dodał pospiesznie: - Nie tutaj. Okropnie się ślini.

Melinda doznała olśnienia. Pomacała ostrożnie dziąsła Amber. No tak, jasna sprawa. Pani doktor dała plamę.

- Noreen się zdziwi! - oznajmiła z uśmiechem. Pochylona cmoknęła małą w policzek, a potem wzięła ją na ręce. - Mam nadzieję, że Bobby wróci do domu, zanim...

- No mów! - Jack wiedział, że lekarze w trudnych chwilach muszą zachować spokój, lecz opanowanie Melindy było wręcz podejrzanym.

- Małej wyrzyna się pierwszy ząbek. Rodzice niedługo będą go podziwiać.

Jack popatrzył na Melinę tulącą w objęciach dziecko, które radośnie gryzło jej palec. Pocałowała spocone czołko.

Teraz rozumiem, co miała na myśli Tess, kiedy mówiła, że miłość pozwala łatwiej znosić życiowe cierpienia, myślał. Pojął także, jak ważna stała się

460 *Kate Thomas*

dla niego Melinda. Chciał... a raczej musiał z nią być.

- Sprawdź, czy mamy lód - poprosiła, spoglądając na małą, która z zapalem poruszała szczękami i śliniła się okropnie. - Podobno tak można ulżyć ząbkującym maluszkom.

Już miał powiedzieć, że zapamięta ten sposób, żeby w przyszłości pomagać ich dzieciom, ale ugryzł się w język. Trzeba działać ostrożnie.

Nie można niczego przyspieszać. Jeszcze za wcześnie na takie uwagi.

Na razie mógł tylko wpatrywać się z uwielbieniem w swoją żonę, taką kochaną, uroczą, mądrą i zmysłową. Niewiele myśląc, oznajmił:

- Powinnaś wiedzieć, że nie zamierzam dłużej być twoją gospodynią.

Chodziło mu o to, że od dziś pragnie być dla niej kochającym mężem, a w przyszłości ojcem jej cudownych dzieci i partnerem we wszelkich życiowych sprawach. Będzie facetem, który współfinansuje co najmniej w połowie domowe wydatki, odkłada na dobre studia dla pociech i jak najczęściej zabiera żonę na romantyczne eskapady.

Nie zdążył tego powiedzieć. Melinda była szybsza. Podeszła bliżej i oślinionym palcem wycelowała w jego tors.

*Mąż idealny 461*

- Muszę cię zmartwić, cwaniaczku - burknęła i popatrzyła na niego, mrugając. - Zawarliśmy umowę i musisz jej dotrzymać. Albo przez sześć miesięcy będziesz u mnie kurą domową, albo znajdziesz mi zaufaną gosposię na stałe, która cię

zastąpi. - Cofnęła się, podając mu Amber. - Potrzyj dziąsła kostką lodu, ale uważaj, żeby za bardzo nie wychłodzić małej. Pojadę do szpitala, żeby sprawdzić, co z Noreen. Muszę wrócić do pracy. Zobaczymy się... później.

Ale się popisałeś, głupku, pomyślał zdegustowany, obserwując Melinę, która zebrała lekarskie akcesoria i niemal wybiegła z mieszkania. I co dalej, mądralo?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sześć dni po wypadku Noreen wróciła do domu. Dziękowała wylewnie Melindzie i Jackowi, którzy natychmiast pojechali do domu, lecz niewiele czasu spędzili razem, ponieważ obowiązkowa doktor Burkę zabrała swoje czasopisma i poszła na górę, żeby się doksztalać. Jack oglądał telewizję. Tego wieczoru każde spało w swoim pokoju.

Następny rano Jack zaczął od przydzielenia zleceń emerytowanym fachowcom. Stworzona przez niego firma usługowa rozwijała się bardzo szybko. Zadowoleni byli usługobiorcy oraz zatrudniani przez nich rzemieślnicy. Jack zdecydował się w końcu na pobieranie niewielkiej prowizji za pośrednictwo. Miał z tego całkiem niezłe pieniądze, a przecież dopiero rozkręcał swój bank ofert i zleceń.

Gdy podopieczni wiedzieli już, dokąd mają iść i co naprawić, szef pojechał robić zakupy. Wkrótce miał już świece, kwiaty, szampana, pierścionek z brylantem oprawionym w platynę, a także obrączki z tej samej kolekcji.

### *Mąż idealny 463*

Potem zadzwonił do profesora Bowena i przekonał go, że Melinda powinna dziś skończyć pracę o cywilizowanej porze, bo ma urodziny, a stojąca nad grobem matka w tajemnicy przygotowała dla niej uroczyste przyjęcie.

Po powrocie do domu natychmiast zabrał się do przygotowywania wykwintnej kolacji. Szalał w kuchni, gdy zadzwonił telefon. Jeśli to Bowen dzwoni z wiadomością, że musi zatrzymać Melinę, bo trafił im się ciekawy przypadek, niezawodnie krew się poleje.

- Postanowiłem dziś wieczorem oświadczyć się żonie i błagać ją na kolanach, żeby wzięła mnie za męża. Róbcie, co chcecie, ale nikt mi w tym nie przeszkodzi - mruczał groźnie, podchodząc do aparatu.

Musiał wiedzieć, czy Melinda go zechce. Kolejny dzień niepewności byłby nieznośną torturą. Pragnął, żeby ich życie we dwoje zaczęło się natychmiast.

Telefon nadal dzwonił.

- Co tam? - burknął, podnosząc słuchawkę.

- Cześć, braciszku. Mówi Tess. Postanowiłam do ciebie zadzwonić i zapytać, jak się...

464 *Kate Thomas*

- Do rzeczy, do rzeczy - przerwał bezceremonialnie.

Tess zamilkła, najwyraźniej urażona szorstkim tonem.

- Przestań się dąsać. Mów, o co chodzi. - Jack popatrzył na zegar. Kolacja jeszcze niegotowa. Miał sporo pracy.

- Pamiętasz, jak usilnie namawiałeś mnie, żebym się przełamała i zaczęła chodzić na randki? - powiedziała wymijająco Tess. Z każdym słowem

wydawała się coraz bardziej zbита z tropu. - Zastanawiam się, jak byś zareagował, gdybym ci powiedziała, że znajomy zaprosił mnie na...

- Jesteś dorosła, Tess. Rób, co chcesz - przerwał zniecierpliwiony. - Mam dużo roboty. Muszę kończyć. - Gdy odkładał słuchawkę, do kuchni weszła Melinda.

- Moment! Przyszłaś za wcześnie! - Nie miał ochoty, żeby patrzyła mu na ręce, gdy będzie się miotał po kuchni. Trzeba grzecznie ją stąd wyprosić.

- Chciałem powiedzieć, że miło cię zobaczyć. Wyglądasz na zmęczoną. Może weźmiesz ciepłą kąpiel? Niedługo kolacja. Zawołam cię, gdy będzie gotowa.

Widzisz, pomyślała z goryczą Melinda. Nie poprosił, żebyś została i pomogła mu przygotować kolację. Dał ci do zrozumienia, że masz zniknąć z kuchni, bo na nic się tam nie przydasz. Jak zwykle.

- Dobra. Idę do wanny. Tam mnie znajdziesz, gdybyś... - Omal nie powiedziała: gdybyś chciał się do mnie przyłączyć. Na szczęście ugryzła się w język.

### *Mąż idealny 465*

Wciąż brzmiały jej w uszach pamiętne słowa Jacka. Miał dość bycia jej kurą domową. Chciał odejść. Z tego wniosek, że nie zdołała go oczarować. Właśnie dlatego zwątpiła w swój kobiecy urok. Nic dziwnego, że brak jej seksapilu, jeśli nawet w kąpielni zamiast porad kosmetycznych woli czytać medyczną literaturę fachową.

Jack był stuprocentowym mężczyzną. Udowodnił to, gdy poszli do łóżka. O sobie miała znacznie gorsze mniemanie. Jedna miłosa noc niczego nie zmienia. Pracoholiczka, która nie radzi sobie z codziennymi obowiązkami i funkcjonuje normalnie tylko dlatego, że mąż przejął wszelkie żonine obowiązki, z pewnością na dłuższą metę go nie zadowoli.

Poszła na górę, napełniła wody do wanny i wrzuciła garść pachnących kryształków. Rozebrała się, upięła włosy i zanurzyła się w ciepłej, pianistej kąpielni. Ułożyła się wygodnie i próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, z jaką kobietą Jack Halloran chciałby przejść przez życie. Minęło kilkanaście minut, a ona nadal nie miała pojęcia, kim powinna być idealna wybranka jej męża.

- Zgaduj-zgadula - mruknęła. - Nie będziesz tego wiedzieć, jeśli nie zapytasz. Trzeba się z nim rozmówić.

Postanowiła zrobić to natychmiast. Wyszła z wanny, założyła jedwabny szlafrok i rozpuściła włosy. Gdy je rozczesywała, z dołu dobiegło rytmiczne zawodzenie.



466 *Kate Thomas*

- Dobry znak. Musi być w dobrym humorze, skoro śpiewa podczas gotowania - szepnęła i z bijącym sercem zeszła po schodach do holu. Jack umieścił kulkę purée na talerzu Melindy. Przygotowując kolację, próbował ułożyć sobie w głowie przekonującą mowę. Należy obowiązkowo wspomnieć o wielkiej, dozgonnej miłości i długim, szczęśliwym życiu w zgodnym stadle.

Z zamyślenia wyrwały go osobliwe dźwięki: postukiwanie, szuranie, łoskot, huk. Ktoś pchał się do domu frontowymi drzwiami! Jack rozejrzał się po kuchni, szukając wzrokiem jakiejś broni.

- Cholera jasna! - usłyszał nieznany męski głos. - Stale zapominam, jak łatwo otwierają się te drzwi.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - odparła jakaś kobieta.

W domu? Jack nadal zadawał sobie pytanie, co jest grane, kiedy w drzwiach kuchni stanęło dwoje ludzi w średnim wieku opalonych na brąz. Postawny, mocno zbudowany mężczyzna, na oko po sześćdziesiątce, postawił na podłodze dwie walizy.

- Kim pan jest, do diabła? I co pan robi w moim domu? - spytał gniewnie.

- Ja... - Jack gapił się na przybyszów, którzy byli zapewne rodzicami Melindy. Śmiało, zachęcił samego siebie, powiedz, że poślubiłeś ich córkę, bo chciałeś rzucić pracę. Nie ukrywaj, że z nią sypiasz.

Mowy nie ma o takich wyznaniach, zreflektował się natychmiast. Jestem zaskoczony, ale nie zrobię z siebie kretyna.

- Dzień dobry! Państwo Burke, prawda?

### *Mąż idealny 467*

- Uśmiechnął się szeroko. - Jack Halloran. Ja tylko... pomagam Melindzie. Strzygę trawnik, gotuję... i tak dalej. - Szczekał talerzami na dowód, że mówi prawdę. - Praca chirurga jest wyczerpująca. Biedna Melinda wiele godzin spędza w szpitalu, a ja uczę się do egzaminów. Jestem maklerem. Chcę założyć własne biuro, więc muszę uzupełnić kwalifikacje. Nasza kochana Melinda nie radziła sobie z pracami domowymi, więc poprosiła mnie o pomoc... - Zakłopotany Jack marzył, aby ziemia rozstąpiła się i pochłonięła go w jednej chwili.

- Rzecz jasna, po przyjacielsku.

Zerknął na rodziców żony, sprawdzając, jak przyjęli te wyjaśnienia. Chyba dość sceptycznie. Zerknął w prawo, ujrzał bladą, skurczoną buzię Melindy i jęknął bezgłośnie.

- Otóż i państwa córka - oznajmił, nadrabiając miną.

Była w kusym jedwabnym szlafrocisku. Nie ma co, odpowiedni strój na taką okazję. W innych okolicznościach...

- Cześć, mamó. Witaj, tatusiu. - Grzecznie przywitała się z rodzicami, starając się nie myśleć o niedawnym oświadczeniu Jacka, który powiedział wprost, że poza przyjaźnią i wzajemną korzyścią nic ich nie łączy. To boli, ale teraz nie powinna brać sobie do serca tych słów. Trzeba robić dobrą minę do złej gry - Widzę, że się poznaliście. To jest Jack Halloran. Wpadł na krótko, już wychodzi.

468 *Kate Thomas*

- Melindo, nie! - Przepisnął się między rodzicami żony i chwycił ją za rękę.

- Przepraszam - powiedział do pani i pana Burkę. Wszedł do pralni, ciągnąc za sobą Melindę. - Musimy porozmawiać na osobności! - zawołał i zatrzasnął drzwi.

- Ile słyszałaś? - zapytał bez żadnych wstępów. Niesforny kosmyk opadł mu na czoło.

- Wszystko. - Dość, żeby odpowiedzieć sobie na dręczące ją pytania. Nie była dość kobieca i nie nadawała się na żonę dla Jacka.

- Nie chciałem narażać ich na szok - tłumaczył zdesperowany, wymachując rękami. - Uznałem, że trzeba ostrożnie dawkować wiadomości. Sytuacja jest osobliwa. Trudno powiedzieć, jak zareagowałiby twoi rodzice, gdybyś wyznała im całą prawdę.

- Idź już - wymamrotała, wsuwając dłonie w kieszenie szlafroka. Musiała chronić swoją dumę, skoro nic więcej jej nie zostało. - Później wyjaśnię rodzicom, w czym rzecz. Zresztą sprawa jest banalna, a z ich powrotem wszystkie problemy znikają. Nie muszę już dbać o dom i ogród.

Jack milczał przez chwilę, jakby czekał, aż to odwoła.

- Dobra! - krzyknął w końcu. - Wracaj do szpitala! Schowaj się za plecami rodziców! Jedno ci powiem, zanim stąd wyjdę. - Miał świadomość, że ponoszą go nerwy. Powinien wyznać jej miłość, ale nie panował nad sobą, więc do głosu doszły zadawnione urazy i pretensje. Jak każdy facet chciał mieć ukochaną na wyłączność. - Życie to cenny dar. Nie marnuj go, próbując nadać sens śmierci twego braciszka. Zachowujesz się tak,

*Mąż idealny 469*

jakbyś próbowała wyrównać stratę, żyjąc za niego i za siebie. Nie musisz tak postępować! Lepiej uczcisz jego pamięć, żyjąc szczęśliwie, mądrze i... - Idź do diabła, Jack.-To zdanie wypowiedziane cichym, spokojnym głosem sprawiło, że oniemiał. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł ironicznie, wsuwając rękę do kieszeni. Wyjął pierścionek i ze złością położył go na desce do prasowania. - Masz. Ja go nie potrzebuję.

Minął ją, wyszedł z pralni i wpadł do kuchni, krzycząc głośno nie wiadomo do kogo, że trzeba wyjąć mokre ciuchy z pralki i przerzucić do suszarki. Tylko ostrożnie: najniższa temperatura, bo to delikatne tkaniny. Na dziesięć minut.

Kwadrans później był spakowany. Wyszedł bez przeszkód. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Zrezygnował z mieszkania, więc był teraz bezdomny. Pojechał do Tess. Ustalili, że zatrzyma się u niej, póki czegoś nie znajdzie. Zdawał sobie sprawę, że siostra bez entuzjazmu dzieli z nim swoje lokum, lecz mimo to zacisnęła zęby i stanęła na wysokości zadania.

Był przygnębiony i zrezygnowany, ale starał się żyć normalnie. Musiał przecież kierować firmą usługową, a jego komórka dzwoniła coraz częściej, i Zapotrzebowanie na solidnych fachowców stale rosło. Był w rozpacz, choć krył się z tym. Przestał dbać

470 *Kate Thomas*

o zdrowie, więc złapał grypę. Serce miał złamane, wszystko go bolało. Po dwóch dniach Tess zaczęła się niepokoić. Z jawną troską i odrobiną irytacji przyglądała się bratu, który całymi dniami leżał na kanapie, oglądając komedie romantyczne i łzawe melodramaty. Postanowiła naradzić się z Sherry. Co dwie głowy, to nie jedna. Jack milczał jak zaklęty i zbywał je półsłówkami, kiedy próbowały wypytywać, co mu jest. Obie uznały, że muszą wziąć sprawy w swoje ręce, żeby otrząsnął się z marazmu. Ułożyły plan i urzeczywistniały go w pięknym stylu.

Sherry oznajmiła Jackowi, że ktoś z jej znajomych jest poważnie zainteresowany inwestowaniem w jego firmę usługową. Chciałby się z nim zobaczyć, żeby przedłożyć swoją ofertę. Tess natychmiast to podchwyciła, namawiając brata, żeby przynajmniej raz umówił się na spotkanie z potencjalnym wspólnikiem i sprawdził, co warta jest ta propozycja. Ustąpił, bo nie miał ochoty z nimi dyskutować.

Dziwne, pomyślał, spoglądając na kartkę z adresem, którą wcisnęła mu do ręki dziwnie rozemocjonowana Tess. Spotkanie miało się odbyć w luksusowym apartamencie najlepszego hotelu w Dallas. Zgodnie z instrukcją Sherry podał swoje nazwisko portierowi, który uśmiechnął się tajemniczo.

*Mąż idealny 471*

- Witam, panie Halloran. Apartament numer siedem. Ktoś tam na pana czeka.

Jack doznał olśnienia. Może to... ona? Sherry i Tess najwyraźniej coś knuły. A jeśli znalazły sposób, żeby pogodzić skłócone małżeństwo? W końcu od czego ma się przyjaciół i rodzinę?

- Jak się tam dostanę? - spytał drżącym głosem.

- Trzeba wjechać na dziewiąte piętro, a potem iść za strzałkami.

Nim drzwi windy zamknęły się za nim, zaczął powtarzać w duchu: Niech ona tam będzie. Niech się ze mną pogodzi. Na zawsze.

Melinda chodziła z kąta w kąt, nie zwracając uwagi na luksusowe wnętrza. Rozpoczęła grę, w której stawką było jej serce, szczęście, cała przyszłość.

Lekarze są odważni; dotyczy to zwłaszcza chirurgów. Mimo wszystko bała się, że Jack ją wyśmieje... o ile w ogóle raczy przyjść na to spotkanie. Może nie powinna tak ryzykować? Albo przynajmniej ubrać się przyzwoicie?

Pokręciła głową i dumnie uniosła głowę. Nie ma mowy. Trzeba jasno i wyraźnie dać mu do zrozumienia, co jest gotowa zrobić, żeby do niej wrócił. Na stałe. Dlatego właśnie...

Znieruchomiała w pół kroku, gdy drzwi apartamentu otworzyły się wreszcie. Na progu stał Jack. Wyglądał cudownie, choć włosy miał potargane, na policzkach zarost, a ubranie koloru khaki mocno zmięte. Szafirowe oczy lśniły jak gwiazdy. Ciekawe dlaczego.

Pora się tego dowiedzieć, uznała w duchu.

472 *Kate Thomas*

Odchrząknęła nerwowo i zaczęła wygłaszać starannie przygotowaną mowę.

- Witaj. Zaprosiłam cię tutaj...

- Co ty masz na sobie? - spytał zmienionym głosem, wyciągając ku niej rękę. Palce mu drżały.

Melinda skubała falbankę muślinowego fartuszka francuskiej pokojówki wypożyczonego w teatralnym magazynie kostiumów. Oprócz tego miała na sobie tylko czarną bieliznę i niebotyczne szpilki.

- Ubranie stosowne do okoliczności. Chciałam ci zaproponować stałą współpracę. - Teraz czekało ją najtrudniejsze wyznaczenie, ale w porównaniu z mężką, jaką okazało się życie bez ukochanego mężczyzny, wszystko inne to łatwizna.

- Ty...

- Pozwól mi skończyć. - Sięgnęła za plecy, żeby rozwiązać fartuszek. -

Nie jestem biegłą w dziedzinach stanowiących główny obszar

zainteresowań tradycyjnych żon. - Odrzuciła tiulowy ciuszek i wzięła się do rozpinania stanika. - Docień jednak, że mam silną motywację i szybko się uczę. Sam wiesz, że prace domowe to nie jest wielka filozofia.

Wkrótce kończę staż, będę miała więcej czasu dla rodziny. Postaram się być dla ciebie idealną żoną.

- Melindo, najdroższa... Dla mnie najważniejsze jest twoje szczęście i zadowolenie. Nie oczekuję, że będziesz ze mną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Miej własne sprawy, pracuj, rozwijaj się. Wszystko będzie dobrze, bylebyśmy się kochali. Nie przejmujmy się tradycyjnym

*Mąż idealny 473*

podziałem ról. W przyszłości możemy na bieżąco decydować, kto się czym zajmie. - Wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na wielkim łóżku z baldachimem.

- Moim zdaniem jesteś idealną żoną. Proszę tylko, żebyś mnie kochała tak, jak ja ciebie kocham. - To znaczy? - spytała.

- Bezgranicznie, całym sercem, na zawsze - powiedział, kładąc się obok niej. - Tak cię właśnie kocham - zapewniła uradowana.

Jack zamknął jej usta pocałunkiem.

- Kochanie, postaram się być dla ciebie idealnym mężem - obiecał.

Melinda objęła go za szyję i odparła żartobliwie: - Chciałabym najpierw sprawdzić twoje kwalifikacje w pewnej ważnej dziedzinie - mruknęła zalotnie.

Zamilkli oboje. Mieli teraz dla siebie mnóstwo czasu, więc mogli odłożyć rozmowy na później.